

ANITA DIAMANT

CZERWONY
NAMIOT





O Dinie, bohaterce jednego z epizodów Księgi Rodzaju, wiemy niewiele. Zaistniała krótko, bez prawa głosu, jako ta mało ważna córka Jakuba, która padła ofiarą gwałtu i stała się mimowolną przyczyną potwornej rzezi dokonanej przez jej braci. W lirycznej konfabulacji Anity Diamant garść szczegółów biblijnego przekazu przegradza się w wielobarwną materię losu niezwyklej kobiety, która kochała i cierpiała, która dojrzewiała, uczyła się i realizowała swoje powołanie. Dina przenosi nas w świat pozornie odległy, a jednak jej głos, szczery i zmysłowy, nawiązuje intymną więź z współczesnym odbiorcą. A czerwony namiot, królestwo Lei, Racheli, Bilhy i Zilpy - czterech matek Diny - i zarazem centralna metafora powieści, to hołd dla ponadczasowego rytmu życia, siostrzanej przyjaźni i mądrości kobiet.

MILIONY KOBIET POKOCHAŁY TĘ KSIĄŻKĘ!

cena 28 zł



Anita Diamant

CZERWONY NAMIOT

Przekład Katarzyna Kaliska

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 2003

Tytui oryginału The Red Tent

Copyright © 1997 by Anita Diamant All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2003

Redaktor Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce Honi Werner

Książka ta jest dziełem fikcyjnym. Wprawdzie oparta jest na opowieściach zawartych w Biblii, to jednak dzieje opisanych w niej postaci są wytworem wyobraźni autorskiej.

Wydanie I ISBN 83-7301-341-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

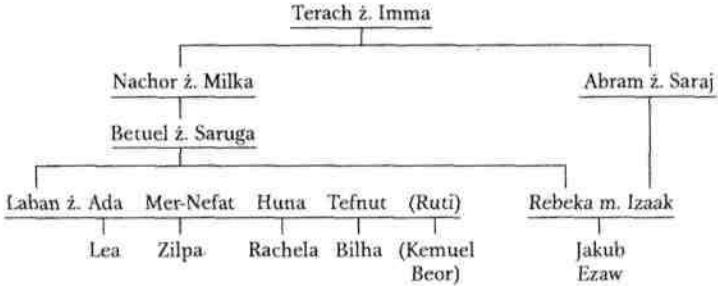
www.rebis.com.pl

Fotoskład: Z.P. Akapit, Poznań, ul. Czernichowska 50B, tel. 87-93-888

Dla Emilii, mojej córki

POKOLENIA

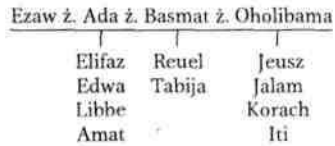
PIERWSZE POKOLENIA



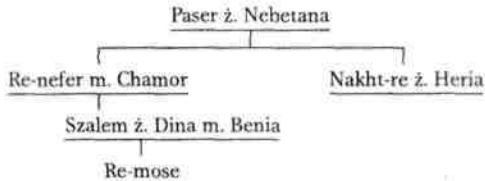
POTOMSTWO JAKUBA



POTOMSTWO EZAWA



DINA W EGIPCIE



Prolog

Tak długo nie mogliśmy się odnaleźć. Moje imię nic dla was nie znaczy. Wspomnienie o mnie to pył. To nie wasza wina i moja też nie. Więż łącząca matkę z córką została zerwana, a samą opowieść przekazano mężczyznom, którzy o niczym nie wiedzieli, bo i skąd. Dlatego właśnie stałam się przypisem, dlatego mój epizod to tylko krótki łącznik między znaną wszem i wobec historią mojego ojca, Jakuba, a głośną kroniką życia Józefa, mojego brata. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy przypominano sobie o mnie, zawsze byłam ofiarą. Przy samym końcu waszej świętej księgi jest taki jeden ustęp, który zdaje się orzekać, że mnie zgwałcono, i zaraz potem następuje krwawa opowieść o tym, jak to pomszczono mój honor.

Aż dziw bierze, że zdarzały się potem takie matki, które nadawały swym córkom imię Dina. A jednak niektóre tak czyniły. Może wy domyśliłyście się, że ja to nie tylko milcząca obecność w tekście, że działo się ze mną coś więcej. Może wy słyszałyście to w melodii mojego imienia: pierwsza sylaba wysoka i czysta, ta sama, którą matka nawołuje swoje dziecko o zmierzchu; drugi dźwięk jest cichy, pobrzmiwa w głosach tych, które z głowami na poduszkach szepczą sobie sekrety. Di-na...

Nikt nie zapamiętał, że byłam nadzwyczaj wprawną położną, nikt nie zapamiętał pieśni, które śpiewałam, nikt nie zapamiętał chleba, który piekłam dla moich nienasyconych braci. Nie zostało nic prócz garści okaleczonych szczegółów tamtych kilku tygodni w Sychem.

A wszak jest co opowiadać. Gdyby to mnie poproszono o opowieść, zaczęłabym od historii pokolenia, które mnie wychowało, od tego jedyne miejsca, od którego należałoby zacząć. Jeśli chcecie zrozumieć jakąkolwiek kobietę, musicie najpierw spytać o jej matkę, a potem uważnie słuchać. Opowieści o pokarmach ukazują silne więzi. Smutne chwile milczenia demonstrują nie dokończone sprawy. Córka tym jest silniejsza, im więcej szczegółów z życia matki poznaje - bez wzdragania się czy utyskiwania.

Rzecz jasna w moim przypadku jest to bardziej skomplikowane, bo ja przecież miałam cztery matki: każda karmiła i nauczała mnie po swojemu, każda pielęgnowała we mnie coś innego, ofiarowując mi inne dary, przeklinając innymi lękami. Lea dała mi życie i swoją bezprzykładną arogancję. Rachela pokazała mi, w jaki sposób położna ustawia swoje cegły i jak należy układać włosy. Zilpa zmusiła mnie do myślenia. Bilha słuchała. Żadna z moich matek nie przyprawiała mięsa tak jak pozostałe. Żadna nie przemawiała do mojego ojca tym samym tonem głosu co inne - ani też on do nich. I winnyście też wiedzieć, że moje matki były również siostrami, córkami La-bana, dziećmi różnych żon, choć mój dziadek nigdy nie uznał Zilpy i Bilhy; coś takiego kosztowałoby go dwa dodatkowe posagi, a był wszak obrzydliwym sknerą.

Dokładnie tak jak wszystkie siostry, które mieszkają razem i dzielą między sobą jednego męża, moja matka i ciotki utkały lepką

sieć wzajemnych zależności i urazów. Sekretami wymieniały się jak bransoletami, a potem przekazywały je mnie, jedynej córce, która przeżyła swe narodziny. Opowiadały mi różne rzeczy, choć byłam za mała, aby tego słuchać. Ujmowały moją twarz w dłonie i kazały sobie przysięgać, że zapamiętam.

Moje matki były dumne z tego, że dały memu ojcu tylu synów. Synowie to chluba i miara wartości kobiety. A jednak rodzenie jednego chłopca za drugim wcale nie stanowiło źródła niczym nie zakłóconej radości w namiotach kobiet. Mój ojciec chełpił się swym hałaśliwym plemieniem i kobiety kochały moich braci, ale pragnęły też mieć córki i w swoim gronie narzekały na ową męskość Jakubowego nasienia.

Córki mogły ująć matczynego brzemienia - pomagając w przędzeniu, mieleniu ziarna i opiece nad małymi chłopcami, którzy bezustannie siusiali po kątach namiotu, choćby nie wiadomo ile razy im się tego zakazywało.

Ale jeszcze innym powodem, dla którego kobiety chciały mieć córki, było to, że właśnie te córki podtrzymywały pamięć o nich. Synowie nie wysłuchiwali historii matek, gdy te już odstawiały ich od piersi. Tak więc padło na mnie. Moja matka i moje ciotki-matki opowiadały mi nie kończące się historie o nich samych. Nieważne, co akurat robiły ich ręce - czy trzymały dzieci, gotowały, przędły czy tkwały - usta stale wlewały mi coś do uszu.

W rudawym cieniu czerwonego namiotu, menstruacyjnego namiotu, rozczesywały palcami moje loki, wspominając awanturnicze wypadki ze swojej młodości, opowiadając sagi o dawaniu życia. Ich opowieści były niczym ofiary złożone z nadziei i siły składane Królowej Niebios, tyle że owe dary nie były przeznaczone dla żadnego boga czy bogini - one ofiarowywały je mnie.

Wciąż czuję siłę miłości, jaką obdarzały mnie moje matki. Zawsze bardzo ceniłam sobie ich miłość. Ona mnie pokrzepiała. Podtrzymywała przy życiu. Nawet wtedy, kiedy je opuściłam, i nawet teraz, tak długo po ich śmierci, znajduję uspokojenie dzięki pamięci o nich.

Przekazałam słowo o moich matkach następnemu pokoleniu, ale zakazano mi snuć opowieści o moim własnym życiu i to milczenie omal nie zabiło we mnie serca. Nie umarłam, ale żyłam dostatecznie długo, aby moje dni i noce mogły się wypełnić cudzymi historiami. Patrzyłam, jak nowo narodzone dzieci otwierały oczy, aby ujrzeć nowy świat. Znalazłam powody do śmiechu i wdzięczności. Kochano mnie.

A teraz wy przychodzicie do mnie - kobiety o dłoniach i stopach tak delikatnych jak u królowych, z większą liczbą garnków, niż jest wam potrzebna, tak bezpieczne podczas rodzenia i tak swobodne w używaniu języka. Przychodzicie złąknione opowieści, która gdzieś się zagubiła. Łakniecie słów, które wypełniłyby tę wielką ciszę, która pochłonęła mnie, moje matki, a przed nimi moje babki.

Żałuję, że nie potrafię powiedzieć nic więcej o moich babkach. To straszne, ile zostało zapomniane, i właśnie dlatego, przypuszczam, zapamiętywanie zdaje się świętością.

Taka jestem wdzięczna, żeście przyszły. Wyleję wszystko, co jest we mnie, abyście mogły powstać od tego stołu nasycone i umocnione. Błogosławię wasze oczy. Błogosławię wasze dzieci. Błogosławię ziemię, po której stąpacie. Moje serce to czerpak wypełniony po brzegi świeżą, pachnącą wodą.

Sela.

Część pierwsza

MOJE MATKI I ICH HISTORIE

Rozdział pierwszy

Ich historie zaczęły się tamtego dnia, kiedy pojawił się mój ojciec. Do obozu przybiegła Rachela, która potykała się o własne nogi i darła niby ciele odłączone od matki. Nim jednak ktokolwiek zdążył ją zbesztać, że zachowuje się jak jakieś nieokrzesane chłopaczysko, Rachela, krztusząc się z braku powietrza, jęła wylewać z siebie słowa niczym wodę na piach, plotąc niestworzone rzeczy o nieznanym spotkaniem przy studni.

Dzikus, bez sandałów. Potargany. Brudny na twarzy. Pocałował ją w usta. To jakiś kuzyn, syn ich ciotki. Napoił za nią owce i kozy, naurągał zbójcom, którzy przyszli do studni.

- Co ty wygadujesz? - natarł na nią jej ojciec, Laban. - Że kto przyszedł do studni? Jest kto z nim? Ile sakiew dźwiga?

- On się ze mną ożeni - rzuciła Rachela rzeczowym tonem, kiedy już odzyskała oddech. - Powiada, że jestem mu przeznaczona i że gdyby mógł, poślubiłby mnie choćby i jutro. Idzie tu prosić o twoją zgodę.

Lea skwitowała to oświadczenie krzywym grymasem.

- Ożeni się z tobą? - wycodziła, krzyżując ręce na piersiach i prostując plecy. - Do małżeństwa dorośniesz dopiero za rok - powiedziała ta starsza z dziewcząt, która miała wprawdzie niewiele więcej lat niż Rachela, a jednak już się zachowywała jak najważniejsza z

kobiet zamieszkujących skromne włości ich ojca i lubiła przybierać taki wyniosły, macierzyński ton w odniesieniu do swej siostry. - Czy mnie słuch nie myli? Możliwe to, że cię pocałował?

To ostatnie stanowiłoby straszliwe pogwałcenie obyczajów, nawet jeśli ten mężczyzna rzeczywiście był kuzynem i nawet jeśli Rachela była jeszcze tak młoda, że wciąż należało ją traktować jak dziecko.

Rachela wyduła dolną wargę, robiąc nadąsaną minę, która jeszcze kilka godzin wcześniej przystawałaby jej jako małej dziewczynce. Coś jednak się zmieniło od czasu, gdy otworzyła oczy tego ranka; wtedy najważniejszą sprawą zaprzętającą jej umysł było znalezienie miejsca, gdzie Lea ukryła miód. Lea, ta oślica, nigdy nie dzieliła się z nią miodem, tylko chowała go dla gości, dając go posmakować tej żalostnej małej Bilsze i nikomu innemu.

W tym momencie jednakże Rachela nie potrafiła myśleć o niczym innym jak o kudłatym nieznajomym, bo gdy ów spojrział jej w oczy, przeżyła coś, co nią wstrząsnęło nieledwie do kości.

Rachela pojęła, o czym mówi Lea, ale fakt, że jeszcze nie zaczęła krwawić, nic teraz dla niej nie znaczył. Niemniej jednak mocno pokraśniała na twarzy.

- A to co znowu? - spytała Lea nagle rozbawiona. - No jakże, zadurzyła się. Popatrzcie na nią tylko - powiedziała. - Widzieliście kiedy, żeby ta dziewczyna tak się czerwieniła?

- Co on ci zrobił? - warknął Laban niczym pies, który wyczuł intruza kręcącego się wokół jego stada. Zacisnął pięści, zmarszczył brew i skupił całą uwagę na Racheli, córce, której nigdy w życiu nie uderzył, córce, której rzadko kiedy otwarcie patrzył w oczy. Zawsze

go przerażała, już od swych narodzin - krwawych i gwałtownych, które zabiły jej matkę. Kobiety były zszokowane, kiedy to dziecko wreszcie się wynurzyło z łona tamtej; takie małe - i na dodatek dziewczynka - a mimo to stało się przyczyną wielu znojących dni, zabierając matce moc krwi i ostatecznie życie.

Z wyglądu Rachela robiła wrażenie wielkie jak księżyc i była równie jak on piękna. Urody nikt nie mógł jej odmówić. Nawet ja, która w dzieciństwie wprost wielbiłam twarz mojej własnej matki, wiedziałam, że uroda Lei błędnie na tle jej młodszej siostry. I choć zawsze, gdy mi to przychodziło do głowy, czułam się jak zdrajczyni, to jednak wiedziałam również, że zaprzeczanie tej prawdzie byłoby niczym zaprzeczanie, że słońce jest gorące.

Taką urodę jak Racheli spotykało się rzadko, toteż nie dziwiło, że zapierała dech w piersiach. Jej rude włosy połyskiwały spiżem, a nieskazitelna skóra mieniła się złotem miodu. Przy tak bursztynowej oprawie jej oczy były zadziwiająco ciemne, nie zwyczajnie brązowe, lecz czarne niczym polerowany obsydian albo dno studni. Mimo drobnych kości i małych piersi, nawet w owym czasie, gdy spodziewała się dziecka, dłonie miała muskularne, a głos ochryply, który zdawał się pasować raczej do kobiety znacznie rośniejszej.

Podśluchałam kiedyś dwóch pasterzy, którzy spierali się o to, jaka jest najlepsza z cech Racheli; sama zresztą lubiłam się bawić w takie wyliczanki. Dla mnie najcudowniejszym szczegółem doskonałej postaci mojej ciotki były jej policzki, wystające i jędrne niczym figi. Jako małe dziecko zwykłam wyciągać do nich ręce, próbując zerwać owoc, który się tam pojawiał wraz z jej uśmiechem.

Kiedy do mnie docierało, że nie mogą ich sobie wziąć, oblizywałam ją zamiast tego, w nadziei, że chociaż poczuję smak. Moja ciotka śmiała się wtedy, śmiechem z głębi brzucha. Kochała mnie bardziej niż wszystkich swoich siostrzeńców razem wziętych - a w każdym razie tak twierdziła, kiedy splatała moje włosy w skomplikowane warkocze, do których dłoniom mej matki brakowało zarówno cierpliwości, jak i czasu.

Naprawdę nie przesadzam, tak wychwalając urodę Racheli. Ona już jako dziecko wydawała się klejnotem zdobiącym to biodro, które akurat przenosiło ją z miejsca na miejsce, ornamentem, źródłem rzadkiej przyjemności - czarnookie dziecko o złotych włosach. Przezywano ją „Tuki”, które to słowo oznacza „słodycz”.

Wszystkie kobiety dzieliły się opieką nad Rachelą po śmierci Huny, jej matki. Huna była doświadczoną położną, znaną z gardłowego śmiechu, i kobiety wielce bolały nad jej stratą. Żadna nie narzekała, że musi się zajmować osieroconą córką Huny, i nawet mężczyźni, których małe dzieci fascynowały w równym stopniu jak kamienie z paleniska, pochylali się, by gładzić jej urodziwe lico swymi sękatymi dłońmi. Prostowali się potem, obwąchiwali sobie palce i potrząsali głowami.

Rachela pachniała wodą. Przysięgam! Gdziekolwiek moja ciotka się pojawiła, tam rozchodził się aromat świeżej wody. I zaiste niezwykły to był aromat, zielony i rozkoszny; wśród naszych wyschłych wzgórz mówił o życiu i dostatku. Zaiste, tylko dzięki studni Labana przez wiele lat jego rodzina nie głodowała.

Początkowo liczone, że Rachela zostanie różdżkarką, która potrafi znajdować ukryte studnie i podziemne strumienie. Nie spełniła tych nadziei, ale jakimś sposobem woń świeżej wody na zawsze

przywarła do jej skóry i zamieszkała w jej szatach. Często tak się działo, że kiedy gubiło się jakieś dziecko, to odnajdywano je później na jej kocach, pogrążone we śnie i w najlepsze ssące kciuk.

Nie dziwota, że Jakuba oczarowało przy studni. Inni mężczyźni przyzwyczaili się do wyglądu Racheli, a nawet do tych jej niesamowitych perfum, ale dla Jakuba musiała stanowić zjawisko niezemskie. Spojrzał jej w oczy i całkiem go zmogło. A kiedy ją jeszcze pocałował, to wydał taki okrzyk jak mężczyzna, który obcuje ze swoją żoną. Ten odgłos właśnie wybudził Rachelę z jej dzieciństwa.

Ledwie starczyło czasu na wysłuchanie Racheli opisującej ich spotkanie, a tu zjawił się Jakub we własnej osobie. Podszedł do Labana i Rachelę zauważyła taksujący wzrok ojca.

Najsampierw Laban zauważył jego puste ręce, ale spostrzegł też, że tunika i płaszcz obcego uszyte są z delikatnej materii, że jego bukłak na wodę jest należycie wykonany, że rękojeść noża wyrzeźbiono z polerowanej kości. Jakub stanął wprost przed Labanem i spuściwszy głowę, przedstawił się.

- Wuju, jestem synem Rebeki, siostry twojej, córki Na-chora i Milki, tak jak ty jesteś ich synem. Moja matka wyprawiła mnie do ciebie, brat mój pogonił mnie do ciebie, ojciec wygnał mnie do ciebie. Opowiem ci całą rzecz, kiedy już nie będę taki brudny i strudzony. Dopraszam się twej gościnności, którą wszak słyniesz w całym kraju.

Rachela otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale Lea szarpnęła siostrę za ramię i rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie; nawet młody wiek Racheli nie mógł być wymówką dla dziewczyny, która odzywa się wtedy, gdy jeden mężczyzna przemawia do drugiego. Rachela

kopnęła grudę, ziemi i zmełła w myślach jadowite wyzwiska wobec swojej siostry, tej apodyktycznej starej krowy, tej zezowatej kozy.

Słowa Jakuba na temat osławionej gościnności Labana były kłamstwem podyktowanym grzecznością, bo Laban bynajmniej się nie ucieszył z wizyty siostrzeńca. Mało co przysparzało radości staremu, a wygłodniali przybysze stanowili niechciane niespodzianki. Ale cóż było robić? Musiał uhonorować roszczenia krewniaka i nie miał jak się wyprzeć łączących ich związków. Jakub znał imiona, a zresztą Laban rozpoznał twarz siostry u stojącego przed nim mężczyzny.

- Serdecznie witamy - rzekł Laban, ani się nie uśmiechając, ani też nie odpowiadając na gest powitalny siostrzeńca. Odwrócił się, zbierając do odejścia, jednocześnie wskazując kciukiem Leę, jej wyznaczając zadanie zajęcia się tym utrapieniem.

Moja matka przytaknęła i stanęła na wprost pierwszego dorosłego mężczyzny, który nie odwrócił głowy na widok jej oczu.

Lea wzrok miała sokoli. Wedle jednej z najniedorzeczniejszych opowieści upiększających historię naszej rodziny zniszczyła sobie oczy, bo wylała morze łez z powodu grożącego jej małżeństwa z moim wujem Ezawem. Jeśli w to wierzycie, to w takim razie może zainteresuje was również oferta kupna magicznej żaby; taka żaba sprawi, że każdy, kto na was spojrzy, omdleje z miłości.

Oczy mojej matki nie były ani słabe, ani chore, ani kaprawe. Prawda jest całkiem inna - one sprawiały, że inni czuli się przy niej

słabi i większość ludzi wołała odwrócić wzrok, byle tylko w nie nie spojrzeć - jedno błękitne niczym lapis, drugie zielone jak egipska trawa.

Kiedy Lea przyszła na świat, położna podniosła larum, że niby co to za wiedźma się uległa i że winno się ją utopić, nim sprowadzi przekleństwo na rodzinę. Jednak moja babka, Ada, spoliczkowała głupią i ofuknęła ją za taki język.

- Pokażcie mi moją córkę - rozkazała Ada, głosem tak donośnym i dumnym, że słyszeli ją nawet mężczyźni zgromadzeni na zewnątrz. A potem nadała swej ukochanej córce, ostatniej z urodzonych przez nią dzieci, imię Lea, które to imię oznacza „panią”, a później jeszcze z płaczem wygłosiła modlitwę o to, żeby to dziecko przeżyło, bo wszak pogrzebała przedtem aż siedmioro synów i córek.

Było wielu takich, którzy pozostali przekonani, że to dziecko jest diabłem. Z jakiegoś powodu Laban, najbardziej przesadna dusza, jaką możecie sobie wyobrazić (pluł i kłaniał się za każdym razem, gdy skręcał w lewo, i wył przy każdym przesileniu księżycy), nie chciał nawet wysłuchać sugestii, żeby porzucić Leę na zewnątrz namiotu, by umarła na nocnym powietrzu. Rzucił wprawdzie jakieś łagodne przekleństwo na temat jej płci, ale poza tym ignorował córkę i nigdy nie wspominał jej odmienności. Ale z kolei kobiety podejrzewały, że stary w ogóle nie widzi kolorów.

Oczy Lei nigdy nie wyblakły - wbrew przewidywaniom i nadziejom niektórych kobiet - wręcz przeciwnie, odróżniały się coraz bardziej, a nawet stawały się coraz bardziej osobliwe, zwłaszcza od czasu, gdy przestały jej rosnać rzęsy. Mimo że mrugała tak jak każdy, to jednak u niej ten odruch był tak słabo widoczny, że zdawała się w ogóle nie zamykać oczu. Nawet te najczulsze z jej spojrzeń

przypominały odległe spojrzenie węża i mało kto potrafił patrzeć jej prosto w oczy. Ci, którym się to udawało, otrzymywali nagrodę w postaci pocałunków, uśmiechów i chleba suto posmarowanego miodem.

Jakub spojrział Lei prosto w oczy i tym z miejsca zaskarbił sobie jej względy. W rzeczy samej Lea zauważyła już wcześniej Jakuba, a to za sprawą jego wzrostu. Była o pół głowy wyższa od większości mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała, i z tego powodu odrzucała wszystkich bez wyjątku. Wiedziała, że to niesprawiedliwe. Wszak wśród tych, którzy jej sięgali ledwie do nosa, musieli być jacyś mężczyźni dobrego serca. Jednak myśl o tym, że mogłaby lec z kimś, kto miał nogi krótsze i słabsze od niej, brzydziła ją. Co wcale nie znaczy, by który starał się o nią. Zdawała sobie sprawę, że przezywali ją Jaszczurką, Złym Okiem albo i jeszcze gorzej.

W tym obrzydzeniu do niskich mężczyzn utwierdził ją sen, w którym szeptał do niej jakiś wysoki mężczyzna. Słów nie zapamiętała, ale one rozgrzały jej uda i przebudziły ją. Kiedy zobaczyła Jakuba, przypomniała sobie tamten sen i jej dziwne oczy zogromniały.

Jakub ze swej strony też popatrzył na Leę z aprobatą. Wciąż jeszcze nie mógł się otrząsnąć po spotkaniu z Rachelą, a mimo to z jakiegoś niewytłumaczonego powodu nie umiał przejść obojętnie obok Lei.

Była nie tylko wysoka, ale też zgrabna i silna. Los pobłogosławił ją bujnymi, sterczącymi piersiami i muskularnymi łydkami, które prezentowały się korzystnie spod szat, jakoś nigdy nie sięgających samej ziemi. Przedramiona miała jak młody mężczyzna, za to jej chód znamionował kobietę o obiecujących udach.

Lei przyśnił się któregoś razu rozpołowiony owoc granatu, z ośmioma czerwonymi pestkami w środku. Zilpa stwierdziła, iż ów sen zapowiada, że Lea urodzi ośmioro zdrowych dzieci, a moja matka wiedziała, że te słowa się sprawdzą, tak jak wiedziała, skąd bierze się chleb i piwo. W zapachu Lei nie kryła się żadna tajemnica. Pachniała drożdżami, z którymi każdego dnia miała do czynienia, przy warzeniu i pieczeniu. Biło od niej chlebem, dostatkiem oraz - jak to się wydawało Jakubowi - seksem. Zapatrzył się na tę olbrzymkę i ślina napłynęła mu do ust. O ile wiem, nigdy nie wyrzekł słowa na temat jej oczu.

Moja ciotka Zilpa, drugie z kolei dziecko Labana, powiadała, że pamięta wszystko, co jej się kiedykolwiek przydarzyło. Twierdziła, że nosi w pamięci nie tylko własne narodziny, ale nawet dni spędzone w łonie matki. Zaklinała się, że zapamiętała śmierć własnej matki w czerwonym namiocie, gdzie ta rozchorowała się kilka dni po tym, jak Zilpa przyszła na świat, nogami najpierw. Lea szydziła z tych twierdzeń, aczkolwiek nie w twarz siostrze, bo Zilpa była jedyną osobą, która umiała zmusić moją matkę, by okiełznała swój język, niezależnie od sprawy.

Zilpa nie zapamiętała przybycia Jakuba tak dokładnie jak Rachele czy Lea, ale z kolei Zilpa nie interesowała się znanymi mężczyznami, uważając ich za istoty włochate, nieokrzesane i nie do końca ludzkie. Kobiety potrzebowały mężczyzn do tego, żeby rodzić dzieci oraz do pomocy w przenoszeniu ciężkich przedmiotów; co się tyczy reszty, to Zilpa za nic nie rozumiała sensu ich istnienia, a już zupełnie nie doceniała ich wdzięków. Swoich synów kochała zachłannie do czasu, gdy wyrastały im brody, później ledwie potrafiła się zmusić, by na nich spojrzeć.

Kiedy już dorosłam na tyle, by móc zapytać o dzień przybycia mojego ojca, powiedziała, że czuło się przy nim obecność Ela i dlatego okazał się godny uwagi. Zilpa wyjaśniła mi, że El to bóg piorunów, gór i straszliwych ofiar. El potrafił zażądać od ojca, by ten poświęcił własnego syna - porzucił go na pustyni albo uśmiercił od razu. Był to srogi, dziwny bóg, obcy i zimny, ale, przyznała, godny partner dla Królowej Niebios, którą kochała pod każdą postacią i imieniem.

O bogach i boginiach Zilpa mówiła bodajże częściej niż o ludziach. Mnie to czasami nużyło, ale przecudownie używała słów i uwielbiałam jej opowieści o Ninchursag, wielkiej matce, i Enlilu, pierwszym ojcu. Wymyślała majestatyczne hymny, w których prawdziwi ludzie spotykali się z bóstwami i tańczyli razem do muzyki fletów i cymbałów, wyśpiewując je wysokim, cienkim głosem przy akompaniamencie małego glinianego bębenka.

Od czasu, gdy zaczęła krwawić, Zilpa uważała siebie za kogoś w rodzaju kapłanki, opiekunki tajemnic czerwonego namiotu, za córkę Aszerat, za siostrę-Siduri, która służy radą kobietom. Pomysł był głupi, gdyż tylko kapłani służyli boginiom ze świątyni wielkiego miasta, kapłanki zaś służyły bogom. A poza tym Zilpa nie posiadała darów właściwych wyroczni. Brakowało jej talentu do ziół i nie potrafiła wróżyć, czarować ani czytać z kozich wnętrzności. Granat z ośmioma pestkami, który przyśnił się Lei, był jedynym snem, jaki kiedykolwiek zinterpretowała poprawnie.

Zilpa była córką Labana zrodzoną z niewolnicy o imieniu Mer-Nefat, którą Laban kupił od egipskiego handlarza w czasach, kiedy jeszcze było go na to stać. Ada opowiadała, że matka Zilpy była

kobietą smukłą, kruczowłosą i tak cichą, że człowiek z łatwością zapominał, że ona w ogóle potrafi mówić; jej córka nie odziedziczyła po niej tej cechy.

Zilpa była zaledwie kilka miesięcy młodsza od Lei i po śmierci matki Zilpy Ada dawała piersi im obu. W najwcześniejszych latach bawiły się razem, stając się później serdecznymi przyjaciółkami, które razem pilnowały bydła, chodziły na jagody, wymyślały wspólnie piosenki, śmiały się z tego samego. Oprócz Ady nie potrzebowały nikogo innego na świecie.

Zilpa wyrosła na niemal tak wysoką jak Lea, ale była szczuplejsza i nie tak dorodna w piersiach i nogach. Z tymi ciemnymi włosami i oliwkową cerą obie były podobne do ojca i obie odziedziczyły nos swojej rodziny, mało co się różniący od Jakubowego - wydatny jastrzębi dziób, który zdawał się wydłużać, kiedy się uśmiechały. Obie też miały zwyczaj przemawiać dłońmi, ściskając kciuk i palec wskazujący w wymowny owal. Kiedy słońce zmuszało je do mrużenia powiek, wokół kącików ich oczu pojawiały się identyczne zmarszczki.

O ile jednak Lea miała włosy kręcone, o tyle czarne włosy Zilpy były proste i sięgały jej aż do pasa. Były jej najładniejszą cechą i moja ciotka nie znosiła ich zakrywać. Od nakryć głowy łomotało jej w czaszce, tak twierdziła, przykładając dłoń do policzka z udawanym tragizmem. Już kiedy byłam dzieckiem, pozwalało mi się z niej śmiać. Owe bóle głowy stanowiły powód, którym tłumaczyła to, że tak często się chowa we wnętrzach namiotów należących do kobiet. Nie przyłączała się do tych z nas, które rozkoszowały się wiosennym słońcem albo szukały podmuchu wiatru w upalną noc. Ale kiedy księżyc był młody - cienki i nieśmiały, ledwie widoczny na niebie -

Zilpa obchodziła obóz, potrząsając swymi długimi włosami, klaszcząc w dłonie, składając w ofierze pieśni, by zachęcić go do rychłego powrotu.

Kiedy zjawił się Jakub, Bilha miała dopiero osiem lat i nie zapamiętała nic z tamtego dnia.

- Zapewne siedziała na jakimś drzewie, ssała palce i liczyła chmury - powiedziała Lea, powtarzając jedyną rzecz, jaką zapamiętano o najmłodszych latach Bilhy.

Bilhę traktowano w rodzinie jak sierotę. Ta ostatnia córka zrodzona z nasienia Labana była dzieckiem niewolnicy o imieniu Tefnut - drobnej, czarnoskórej kobiety, która uciekła pewnej nocy, kiedy Bilha miała już dość lat, by pojąć, że ją porzucono.

- Nigdy nie pogodziła się z tą krzywdą - powiadała Zilpa z wielką łagodnością, bo Zilpa szanowała cudzy ból.

Bilha żyła wśród nich całkiem samotnie, nie tylko dlatego, że była najmłodsza i że jej trzy siostry umiejętnie dzieliły pracę między siebie. To smutne dziecko łatwo się zostawiało samemu sobie. Rzadko się uśmiechała i praktycznie nic nie mówiła. Nawet moja babka Ada, która uwielbiała małe dziewczynki, która przygarnęła pozbawioną matki Zilpę do własnego kręgu i nie widziała świata poza Rachelą, nie potrafiła ogrzać tego dziwnego, samotnego ptaszka, który nigdy nie wyrósł ponad wzrost dziesięcioletniego chłopca i którego skóra miała odcień ciemnego bursztynu.

Bilha nie była ani tak piękna jak Rachelą, ani tak zdolna jak Lea, ani tak bystra jak Zilpa. Była drobna, smagła i cicha. Adę do rozpaczy doprowadzały jej włosy, sprężyste niczym mech, które za nic

nie chciały okazać posłuszeństwa jej dłoniom. W porównaniu z dwoma innymi dziewczętami, które wychowywały się bez matek, Bilha była okropnie zaniedbana.

Pozostawiona samej sobie, wspiniała się na drzewa i zdawała się śnić na jawie. Ze swojej grzędy przyglądała się światu, wzorom na niebie, obyczajom zwierząt i ptaków. Bydło traktowała jak ludzi, nadając każdemu zwierzęciu tajemne imię dopasowane do jego osobowości. Któregoś wieczoru przyszła z pola i szepnęła Adzie do ucha, że pewna czarna karłowata koza jest gotowa do urodzenia bliźnięt. Było jeszcze bardzo daleko do pory, w której kocą się kozy, a tamto szczególne zwierzę było jałowe od czterech sezonów. Ada potrząsnęła głową, słysząc te brednie Bilhy, i przegnała ją.

Następnego dnia Laban przyniósł wieści o dziwnych zdarzeniach, jakie zaszły wśród stad, dokładnie potwierdzając przewidywania dziewczynki. Ada z miejsca ją przywołała i przeprosiła.

- Bilha ma dobry wzrok - powiedziała pozostałym córkom, które popatrzyły uważnie na swą niewidzialną siostrę i po raz pierwszy dostrzegły dobroć w jej czarnych oczach.

Jeśli człowiek przyjrzał się nieco dokładniej, od razu widział, że Bilha jest dobra. Była dobra, tak jak mleko jest dobre, tak jak deszcz jest dobry. Bilha obserwowała niebo, zwierzęta i obserwowała też swoją rodzinę. Z ciemnych zakamarków namiotu widziała, jak Lea skrywa swe upokorzenie, gdy gapią się na nią ludzie. Również Bilha zauważyła, że Racheli boi się ciemności i że Zilpa cierpi na bezsenność. Jedna Bilha wiedziała, że Laban jest równie podły jak głupi.

Bilha twierdzi, że jej pierwsze wyraźne wspomnienie o Jakubie wiąże się z dniem, w którym urodziło mu się pierwsze dziecko. To był chłopiec - Ruben - i rzecz jasna Jakub był zachwycony. Wziął swego pierworodnego w ramiona i długo tańczył z nim dookoła czerwonego namiotu.

- Był taki czuły dla tego chłopczyka - opowiadała Bilha. - Nie pozwolił Adzie odebrać sobie Rubena, nawet wtedy, gdy mały zaczął kwilić. Mówił o nim, że jest doskonały, że jest cudem tego świata. Stałam obok niego i razem z Jakubem wystawiałam chłopca. Liczyliśmy jego paluszki i gładziliśmy jego miękką główkę. Zachwycaliśmy się i nim, i naszą wzajemną radością - powiedziała Bilha. - To właśnie wtedy poznałam Jakuba, twojego ojca.

Jakub przybył późnym popołudniem, w tygodniu, w którym była pełnia; zjadł prosty posiłek złożony z jęczmiennego chleba i oliwek, po czym zapadł w strudzony sen, który trwał niemal cały następny dzień. Lea zawstydzona się ubóstwa tej strawy, którą potraktowali go na powitanie, więc następnego dnia zabrała się do przygotowania uczy, jaką spożywało się jedynie podczas wielkich świąt.

- Nic, co kiedykolwiek ugotowałam, nie przysporzyło mi tylu udręk, ile tamten posiłek - wyjaśniała Lea, opowiadając mi tę historię podczas gorących popołudni, kiedy to do znudzenia potrząsałyśmy dzbanami o wąskich szyjach, oddzielając wodę od koziego twarogu. - Już wtedy byłam pewna, że gościmy w naszym domu ojca moich dzieci. Widziałam, że zadurzył się w Racheli, której urodę dostrzegłam wtedy jakby po raz pierwszy. A mimo to nie wzdragał

się, kiedy na mnie patrzył, więc nabrałam nadziei. Zabiłam jagniątko, samca bez skazy, jak gdyby to miała być ofiara dla bogów. Ucie-rałam proso, aż było sypkie niczym obłok. Pogrzebałam w sakwach, tych, w których trzymałam swoje najcenniejsze przyprawy, i wyko-rzystałam ostatki moich suszonych granatów. Biłam, siekałam i skrobałam jak szalona, wierząc, że on zrozumie, co mu ofiarowuje.. Żadna mi nie pomagała przy gotowaniu, co zresztą wcale nie zna-czy, bym pozwoliła którejś dotknąć mięsa, chleba czy choćby jęcz-miennej wody. Nie pozwoliłabym nawet własnej matce nalać wody do garnka - powiedziała i parsknęła śmiechem.

Uwielbiałam tę opowieść i do znudzenia prosiłam, by mi ją po-wtarzała. Lea była zawsze wiarygodna, rozważna i nazbyt stateczna, aby zasłużyć sobie na miano trzpiotowatej. A mimo to, kiedy tak wspominała swój pierwszy posiłek sporządzony dla Jakuba, stawała się głupią, skorą do płaczu dziewczyną.

- Zachowywałam się jak idiotka - wyznała. - Spaliłam pierwszy chleb i zalałam się łzami. Oddałam nawet na ofiarę kawałek z dru-giego bochna, żeby tylko Jakub mnie polubił. Dokładnie tak, jak siódmego dnia, gdy pieczemy placki dla Królowej Niebios, oderwa-łam kawał placka, ucałowałam go i ofiarowałam płomieniom pale-niska w nadziei, że ten mężczyzna mnie weźmie. Nawet nie mów o tym Zilpie, bo inaczej nigdy nie usłyszysz, jak to się skończyło - zagroziła mi Lea żartobliwie konspiracyjnym szeptem. - No i wiedz, że gdyby Laban, twój dziadek, miał jakiegokolwiek pojęcie, ile jedze-nia podałam żebrakowi, który zjawił się bez żadnego daru, nawet dzbana oliwy, to byłby mnie wychłostał. Ale dałam staremu dość tęgiego piwa, by nie robił żadnych komentarzy. A może zresztą dla-tego nie wyrzekł słowa na temat mojej rozrzutności, że wiedział, że

ten krewniak przyniesie mu szczęście. Może zgadł, iż oto znalazł zięcia, który nie będzie żądał wiele w posagu. Trudno było orzec, co stary wie albo nie wie. On był jak wół, ten twój dziadek.

- Chyba raczej jak słup - zaprotestowałam.
- Jak kamień z paleniska - rzuciła moja matka.
- Jak kozie łajno - powiedziałam na to.

Matka pogroziła mi palcem, jakbym była niegrzecznym dzieckiem, ale zaśmiała się głośno, bo drwiny z Labana zawsze stanowiły dla jej córek wspaniałą zabawę.

Nawet dzisiaj potrafiłabym wyrecytować spis podanych przez nią potraw. Marynowane w kwaśnym mleku jagnię przyprawiane kolendra, a do tego sos z granatów, w którym maczało się kawałki mięsa. Dwa rodzaje chleba: podpłomyk z jęczmienia i pszeniczny na drożdżach. Kompot z pigwy i figi duszone z morwą, a także świeże daktyle. I oczywiście oliwki. A do picia wyborne słodkie wino, trzy rodzaje piwa i woda jęczmienna.

Jakub był tak wyczerpany, że mało co, a byłby przepuścił posiłek, który Lea przygotowała z takim oddaniem. Zilpa strasznie się namęczyła, żeby go obudzić, i w końcu musiała polać go wodą, czym tak Jakuba nastraszyła, że aż zaczął młócić rękoma i wreszcie obalił ją na ziemię, gdzie jęła syczeć jak kot.

Zilpa wcale nie była urzeczona tym Jakubem. Widziała, że jego obecność zmieniła wszystko między jej siostrami i że osłabiła jej więź z Leą. Obraził ją, bo był o tyleż atrakcyjniejszy od wszystkich mężczyzn, których widywały, od tych pasterzy o plugawych językach i z rzadka pojawiających się kupców, którzy popatrywali na siostry, jakby one były stadkiem owieczek.

Jakub okazał się wygadany, no i był urodziwy z twarzy.

A kiedy jeszcze spojrział Lei w oczy, Zilpa zrozumiała, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Była zrozpaczona, zła, ale nie potrafiła zagrozić drogi zmianom, choć dokładała wszelkich starań.

Jakub najadł się należycie, kiedy wreszcie się obudził i poszedł zasiać po prawicy Labana, przed jego namiotem. Lea zapamiętała każdy spożyty przez niego kęs.

- Bez końca nakładał sobie jagnięciny i trzy razy dobierał chleba. Zauważyłam, że lubi łakocie i że woli piwo słodzone miodem niż to o gorzkim posmaku, które Laban wypijał jednym haustem. Wiem już, jak zadowolić jego podniebienie, pomyślałam sobie. Dowiem się, jak zadowolić całą resztę.

Ten fragment opowieści zawsze sprawiał, że moje matki zaczynały pokrzykiwać i klepać się po udach, bo Lea, mimo że taka praktyczna, była także najbardziej lubieżna z czterech sióstr.

- A potem, po całej tej pracy, po całym tym biesiadowaniu, jak myślisz, co się wydarzyło? - pytała Lea, jakbym nie znała odpowiedzi tak dobrze, jak znałam małą bliznę w kształcie półksiężyca nad stawem jej prawego kciuka. - Jakub się rozchorował, oto, co się zdarzyło. Zwymiotował każdy kęs. Zwracał tak długo, aż całkiem opadł z sił i już tylko albo kwilił jak dziecko, albo wzywał Ela, Isztar, Marduka oraz swoją błogosławioną matkę, aby wyzwolili go z tych śmiertelnych boleści, względnie pozwolili mu umrzeć. Zilpa, ten dzieciuch, zakradła się do jego namiotu, by sprawdzić, jak się czuje, i wszystko mi potem doniosła, przedstawiając sprawę gorzej, niż miała się w rzeczywistości. Powiedziała, że Jakub jest bledszy od księżyca w pełni, że szczeka jak pies i że pluje żabami i węzami.

Zawstydziłam się i zarazem przeraziłam. A gdyby on umarł od mojego gotowania? Albo, co byłoby równie okropne, gdyby tak ozdrowiał i mnie właśnie winił za swoje nieszczęście? A jednak żaden z pozostałych biesiadników nie zdradzał objawów choroby, więc się uspokoiłam, że przyczyną nie było jedzenie. Ale zaraz potem, zapewne powodowana głupotą, zaczęłam się zamartwiać, że to mój dotyk jest mu nienawistny. Albo że może postąpiłam źle, czyniąc ofiarę z chleba, dając go nie w hołdzie jakiemuś bogu albo bogini, tylko usiłując uprawiać magię. Dlatego właśnie znowu zrobiłam się religijna i oddałam resztę dobrego wina w ofierze dla Anat uzdrowicielki. Było to trzeciej nocy jego cierpienia i następnego dnia ozdrowiał. - W tym momencie zawsze potrząsała głową i wzdychała. - Mało obiecujące początki jak na tak owocnych kochanków, nieprawdaż?

Jakub prędko wydobrzeł; mijały tygodnie, a on wciąż mieszkał wśród nas. Wydawało się, że zawsze tu był. Zajął się wynędzniałymi stadami, dzięki czemu Rachela nie musiała już uganiać się po pastwiskach, które to zajęcie, z powodu braku braci, należało dotąd właśnie do niej.

Mój dziadek winą za stan swoich stad i topniejącego majątku obarczał fakt, że jego synowie umierali przy narodzinach albo we wczesnym dzieciństwie, nie pozostawiając mu nic prócz córek. W ogóle natomiast nie zastanawiał się nad swoją gnuśnością, przekonany, że tylko syn odmieniłby jego los. Zasięgnął rady u miejscowych kapłanów, którzy kazali mu oddać w ofierze najlepsze barany oraz byka, dzięki czemu bogowie mogliby obdarzyć go synem. Obcował z żonami i nałożnicami na polach, jak mu podpowiedziała

pewna stara położna, ale od tych wysiłków tylko nabawił się swędzenia pleców i sińców na kolanach. Zanim zjawił się Jakub, wyzbył się wszelkich nadziei na syna czy jakąkolwiek poprawę losu.

Nie oczekiwał niczego od Ady, która lata, kiedy rodzi się dzieci, miała już dawno za sobą, a poza tym była chora. Jego inne trzy kobiety umarły albo uciekły i brakowało mu tych paru monet na kupno niewolnicy, a co dopiero mówić o odpłacie za nową żonę. Dlatego więc sypiał sam, wyjąwszy te noce, gdy wędrował na wzgórze, by nękać zwierzęta ze swego stada, niczym jakiś roznamiętniony młodzik. Rachela twierdziła, że żądze mojego dziadka były legendarne pośród pasterzy. „Kiedy Laban wchodzi na wzgórze, owce umykają niczym gazy”, zaśmiewali się.

Jego córki gardziły nim ze stu powodów, z których wszystkie były mi znane. Zilpa opowiedziała mi, jak to któregoś razu, kiedy od pierwszej krwi dzieliło ją jeszcze kilka miesięcy, musiała zanieść swemu ojcu jego popołudniowy posiłek, a ten wyciągnął rękę i uszczypnął jej sutek kciukiem i palcem wskazującym, jakby była kozą.

Lea mówiła, że Laban wkładał jej ręce pod szaty, ale kiedy w końcu opowiedziała o tym Adzie, moja babka tak obija Labana tłuczkiem, że ten cały zalał się krwią. Wyłamała rogi jego ukochanemu domowemu bożkowi, a kiedy jeszcze zagroziła, że rzuci na niego przekleństwo, od którego nabawi się wrzodów i impotencji, przysiągł, że już nigdy nie tknie córek, i wynagrodził im nawet uczynione krzywdy. Kupił Adzie i wszystkim córkom złote bransolety - nawet Zilpie i Bilsze, ten jedyny raz przyznając, że są z jego rodziny. I kupił też do domu piękną aszerę - wysoki słup, niemal tak wysoki jak Bilha - wykonaną przez najlepszego garncarza, jakiego potrafił znaleźć. Kobiety ustawiły ją na bame, naszym wzgórze ofiarnym.

Twarz bogini była szczególnie śliczna, z tymi oczyma o kształcie migdała i szerokim uśmiechem. Kiedy polewałyśmy ją winem w ciemnościach każdego nowego miesiąca, zdawało się, że jej usta bardziej jeszcze się rozciągają z zadowolenia.

Ale to było na kilka lat przed przybyciem Jakuba, kiedy Laban wciąż miał kilku pracujących dla niego sług, których żony i dzieci wypełniały obóz wonią gotowanej strawy i śmiechem. Zanim zjawił się mój ojciec, Labanowi została się już tylko jedna chora żona i cztery córki.

Mimo że Laban był nawet zadowolony z obecności Jakuba, obaj mężczyźni nie znosili się serdecznie. Obu ich jednak, tak różnych jak kruk i osioł, łączyły nie tylko więzy krwi, ale także, jak niebawem wyszło na jaw, wspólne interesy.

Jakub, jak się okazało, był pracowity i miał rękę do zwierząt - zwłaszcza psów. Przemienił trzy bezużyteczne kundły Labana w znakomite owczarki. Zagwizdał i psy już przypadały do jego boku. Klasnęły w ręce i zaraz biegały dookoła owiec, zmuszając, by szły za nim. Jodłował i wtedy stawały się tak niestrudzonymi strażnikami, że trzoda Labana nigdy nie zaznała uszczerbku ze strony lisa czy szakala. A jeśli znaleźli się jacyś kłusownicy, to uciekali, żeby nie napotkać obnażonych zębów tego piekielnego stada.

Niebawem psy Jakuba stały się przedmiotem zawiści innych mężczyzn, którzy proponowali ich kupno. On tymczasem kazał sobie płacić za jeden dzień pracy kundla o sprytnych wilczych ślepiach. Kiedy zaś najmniejsza z naszych suk rodziła miot psio-wilczych mieszańców, Jakub szkolił jej młode i sprzedawał cztery z

pięciu za kwotę, która zdawała się niczym góra skarbów. Potem prędko zamieniał ją na podarki dowodzące, jak dobrze rozumiał córki Labana.

Zabrał Rachelę do studni, tam, gdzie się poznali, i dał jej pierścionek z niebieskim lapisem, który nosiła aż do śmierci. Przyszedł do Lei, która akurat czesała wełnę, i bez słowa wręczył jej trzy znakomicie odrobione złote bransolety. Zilpie ofiarował małe naczynie wotywno w kształcie Anat; wino ofiarne wylewało się zeń przez sutki. Złożył torbę soli u spuchniętych stóp Ady. Pamiętał nawet o Bilsze i sprezentował jej maleńką amforę z miodem.

Laban utyskiwał, że siostrzeniec powinien jemu oddawać zyski ze szczeniaków, suka wszakże była jego własnością. W końcu dał się udobruchać torbą monet, z którą natychmiast pobiegł do wsi i kupił tam sobie Ruti. Biedactwo.

Po roku Jakub został zarządcą Labanowej dziedziny. Dzięki swoim psom mógł przeganiać stada, jak chciał, toteż owce pasły się na delikatnej trawie, owce karmiły się soczystymi ziołami, a dorodne barany buszowały w bujnych chwastach. Zwierzęta pod jego opieką miały się tak dobrze, że przy kolejnym strzyżeniu Jakub musiał już wynająć dwóch chłopców, aby zdążyć przed nastaniem deszczy. Rachela zaś przyłączyła się do Lei, Zilpy i Bilhy w pracy w ogrodzie i wspólnie powiększyły zagon z pszenicą.

Jakub zmusił Labana, by oddał dwie tłuste owce i jagnię w ofierze bogu jego ojca, w ramach podziękowania za ten dostatek. Lea upiekła drożdżowe ciasta z najlepszej pszenicy, też na tę ofiarę, która została złożona tak, jak zakomenderował Jakub. Na sposób swych

ojców palił całe bochny i najlepsze części zwierząt, a nie tylko kilka kawałków. Kobiety utyskiwały półgłosem na to marnotrawstwo.

Był to rok zmian dla mojej rodziny. Stada się pomnożyły, zboże obrodziło i szykowały się zaślubiny. Po miesiącu od przybycia Jakub spytał Labana o wysokość opłaty, jaką musiałyby wnieść za poślubienie Racheli, a więc uczynił to, co ona sama przepowiedziała tamtego pierwszego dnia. A że było oczywiste, iż siostrzeniec nie ma ani majątku, ani ziemi, Laban uznał, że zdobędzie tanio tego mężczyznę, i głośno demonstrował swoją wspaniałomyślność, oferując swą córkę za, bagatela, siedem lat służby. Jakub obśmiał ten pomysł.

- Siedem lat? My tu rozmawiamy o dziewczynie, nie o tronie. Za siedem lat ona może już nie żyć. Ja mogę nie żyć. I, co najbardziej prawdopodobne, ty sam możesz nie żyć, starcze. Dam ci siedem miesięcy - zaproponował. -A jako posag wezmę sobie połowę twego mizernego stada.

Laban aż podskoczył w miejscu i nazwał Jakuba złodziejem.

- Ty rzeczywiście jesteś synem swojej matki, jako żywo - wściekał się. - Tobie się wydaje, że świat jest ci coś winien? Ty się tak nade mną nie wywyższaj, ty popłódzie cuchnący, bo inaczej odeślę cię z powrotem pod długi nóż twojego brata.

Zilpa, najlepszy szpieg wśród siostr, doniosła o sprzeczce, opowiadając, jak to się handryczyli o wartość mojej ciotki, jak to się Laban pieklił, a Jakub spluwał. W końcu ugodzili się na rok służby

w ramach opłaty, którą miał wnieść oblubieniec. A co do posagu, to Laban przysięgał, że jest ubogi.

- Mam tak mało, synu - oświadczył ten nagle kochający patriarcha. - A ona to istny skarb.

Jakub nie mógł przyjąć narzeczonej bez posagu. Wtedy bowiem Rachela stałaby się nałożnicą, a on głupcem, bo zapłaciłby rokiem życia za dziewczynę, która nie ma nic oprócz żarna, wrzeczona i przyodziewku. Dlatego więc Laban dorzucił do tego targu Bilhę, dając Racheli status żony z posagiem, a Jakubowi możliwość posiadania po jakimś czasie nałożnicy.

- Musisz mi także dać jedną dziesiątą wszystkich jagniąt i koźląt, które urodzą się, gdy będę strzegł stad podczas tej rocznej służby - rzekł Jakub.

Usłyszawszy to, Laban przeklął Jakubowe nasienie i oddalił się hałaśliwie. Działo się to w tym tygodniu, który poprzedził koniec targów obu mężczyzn, w tygodniu, podczas którego Rachela popłakiwała i nosiła się jak małe dziecko, a Lea mówiła mało i nie podawała nic prócz zimnej polewki z prosa, potrawy żałobników.

Kiedy wreszcie dogadali się co do warunków, Laban udał się do Ady, żeby ta mogła zacząć planować wesele. Ale Ada się nie zgodziła:

- Wszak nie jesteśmy jakimiś barbarzyńcami, co to kojarzą małe dzieci.

Racheli nie można nawet obiecać, powiedziała swemu mężowi. Dziewczyna mogła się zdawać gotowa do zamążpójścia, ale wciąż jeszcze była niedojrzała, jeszcze nie zaczęła krwawić. Moja babka twierdziła, że Anat rzuci kłótnię na ogród, jeśli Laban odważy się złamać to prawo, i że ona sama znajdzie w sobie siłę, by znowu zamierzyć się tłuczkiem na jego głowę.

Te pogrożki były jednak niepotrzebne. Laban dostrzegł korzyści w zwłoce i czym prędzej udał się do Jakuba z wieścią, że ów będzie musiał poczekać, dopóki dziewczyna nie będzie gotowa, i dopiero wtedy ustalał datę ślubu.

Jakub przystał na to wszystko. Co jeszcze mógł zrobić? Rozeźlona Rachela nawrzeszczała na Adę, która dała jej kilka szturchańców i powiedziała, że ma sobie iść ze swymi humorami gdzie indziej. Wtedy Rachela spoliczkowała Bilhę, skłęła Zilpę i ofuknęła Leę. Rozkopała nawet piach pod stopami Jakuba, nazywając go kłamcą, ale zaraz potem zrosiła jego kark swymi czarownymi łzami.

Zaczęły ją trawić mroczne lęki o przyszłość. Nigdy nie będzie krwawić, nigdy nie wyjdzie za Jakuba, nigdy nie urodzi mu synów. Drobne, kształtne piersi, z których była dotąd taka dumna, zniecka wydały jej się nedorzecznie małe. Może jest wybrykiem natury, hermafrodytą jak ten wielki idol w namiocie jej ojca, ten z pnem drzewa między nogami i cyckami jak u krowy.

Dlatego więc Rachela usiłowała przyspieszyć swój czas. Przed następnym nowym księżycem upiekła placki ofiarne dla Królowej Niebios, coś, czego nigdy przedtem nie robiła, i przespała całą noc z brzuchem przyciśniętym do podstawy aszery. Ale księżyc ubył i potem znowu urósł, a tymczasem uda Racheli pozostawały suche. Poszła sama do wioski, by poprosić o pomoc Inne, położną, i dostała od niej napar z paskudnych pokrzyw, które rosły w pobliskim wadi. Ale znowu przyszedł nowy księżyc i Rachela nadal była dzieckiem.

Kiedy zaćmił się kolejny księżyc, Rachela zmiażdżyła garść gorzkich jagód i przywołała starsze siostry, by obejrzały płamę na jej kocu. Sok jednak był fioletowy i Lea z Zilpą uśmieły się, dojrawszy pestki na udach tamtej.

W następnym miesiącu Rachela schowała się w swoim namiocie i ani razu nie wymknęła się na zewnątrz, by odszukać Jakuba.

Wreszcie, po upływie dziewięciu miesięcy od przybycia Jakuba, Rachela wydała swą pierwszą krew i aż zapłakała z ulgą. Ada, Lea i Zilpa odśpiewały przesywającą, gardłową pieśń, która obwieszcza narodziny, śmierć i dojrzewanie kobiet. Kiedy zaszło słońce, ustępując miejsca nowemu księżycowi, kobiety, które znowu zaczęły krwawić, natarły paznokcie i pięty Racheli henną. Pomalowały jej powieki na żółto i ubrały jej palce u nóg i rąk, jej łydki i nadgarstki we wszystkie bransolety, klejnoty i kamienie, jakie tylko znalazły. Nakryły jej głowę najcieńszym haftem i wprowadziły ją do czerwonego namiotu. Śpiewały pieśni dla bogiń: dla Inanny i Aszerat, Pani Morza. Opowiadały o Elath, matce siedemdziesięciu bogów, w tym również samej Anat, Anat niańki, obrończyni matek.

Śpiewały:

Któż jaśniej jasnością Anat?
Któż urodziwa jest urodą Asztarte?
Masz w łonie swym teraz Asztarte
Nosisz w sobie moc Elath.

Kobiety śpiewały Racheli pieśni powitalne, a ona sama tymczasem zajadała się miodem daktylowym i smakowitym plackiem z mąki pszennej, upieczonym w trójkątnym kształcie kobiecego łona. I oprócz tego wypła tyle słodkiego wina, ile tylko była w stanie. Ada natarła ramiona, nogi, plecy i brzuch Racheli aromatycznymi olejami, dzięki którym dziewczyna niemalże zapadła w sen. Na pole,

gdzie miały się odbyć jej zaślubiny z ziemią, wyniosły ją ze szczętem ogłupiałą, z zadowolenia i od tego wina. Nie pamiętała potem, jak to się stało, że ma nogi oblepione ziemią i zaschniętą krwią; uśmiechała się przez sen.

Pełna radości i nadziei trzy dni leniuchowała w namiocie, zbierając bezcenny płyn do misy z brązu - krew pierwszego księżycy od dziewicy stanowiła znakomitą ofiarę dla ogrodu. Nikt nie pamiętał Racheli równie spokojnej i serdecznej jak właśnie podczas tych godzin.

Ledwie kobiety zakończyły swe comiesięczne obrzędy, Rachela wnet zażądała wyznaczenia daty ślubu. Żadne tupanie nogą nie poruszyło Ady na tyle, by odstąpiła od obyczaju oczekiwania siedmiu miesięcy od pierwszej krwi. Takie właśnie zapadły ustalenia i mimo że Jakub pracował dla Labana już cały rok, umowę przypieczęto- wano i następne siedem miesięcy też miało należeć do Labana.

Rozdział drugi

Nie były to łatwe miesiące. Rachela zrobiła się arogancka, Lea wzdychała niczym krowa przy porodzie, Zilpa się boczyła. Tylko Bilha zdawała się nie zważać na całe zamieszanie, przędła i tkęła, pełła chwasty w ogrodzie i doglądała ogniska Ady, które teraz pło-nęło na okrągło, bo przynosiło ulgę jej zziębniętym kościom.

Rachela spędzała z Jakubem tyle czasu, ile się odważyła. Ukradkiem uciekała z ogrodu albo od warsztatu tkackiego, żeby odnaleźć ukochanego wśród wzgórz. Ada była zbyt chora, by ją powstrzymy-wać przed tak szalonymi postępkami, a Rachela nie chciała okazy-wać posłuszeństwa Lei, która utraciła część swojej pozycji teraz, kiedy jej młodsza siostra miała jako pierwsza stać się żoną i matką.

Rachela rozkoszowała się tymi dniami spędzonymi wśród pól z Jakubem.

- Patrzył na mnie z zachwytem - opowiadała moja śliczna ciotka - przebijając palcami w moich włosach. Kazał mi stawać w cieniu, a potem w słońcu, żeby móc oglądać gry światła na moim policzku. Ta moja uroda doprowadzała go do łez. Śpiewał pieśni o swojej rodzinie i opowiadał, jak bardzo piękna była jego matka. Snuł też

marzenia o tym, jacy to piękni będą nasi synowie. Tacy sami szczęśliwcy jak ja, powiadał. Chłopcy bez skazy, przyszli książęta i królowie. Wiem, co oni wszyscy sobie myśleli, moje siostry i pasterze, ale my się w ogóle nie dotykaliśmy. No cóż, raz. Przycisnął mnie do piersi, ale zaraz zaczął się trząść i odepchnął mnie. Potem już zachowywał stosowną odległość. Mnie to odpowiadało. No bo on cuchnął, rozumiesz. Wprawdzie nie tak okropnie jak inni, ale ten smród kóz i mężczyzny był zaiste przemożny. Zawsze biegłam potem do domu i zagrzebywałam nos w kolendrze.

Rachela chełpiła się tym, że jako pierwsza usłyszała historię rodziny Jakuba. Był młodszy z bliźniąt, co czyniło go dziedzicem matki. I był też tym urodziwszym, mądrzejszym. Rebeka wyjaśniła swemu mężowi, Izaakowi, że Jakub dlatego tyle chorował, iż chciał, aby ona wciąż trzymała go przy piersi - jeszcze rok po tym, jak odstawiła jego brata.

Wydanie na świat bliźniąt omal nie zabiło Rebeki, która krwawiła tak strasznie, że nie zostało w jej ciele nic, co mogłoby jeszcze kiedyś podtrzymać w niej jakieś życie. Kiedy pojęła, że nie urodzi córki, zaczęła namawiać się szeptem z Jakubem.

Rebeka powiedziała Jakubowi, że błogosławieństwo ojca prawowicie należy się jemu, a nie Ezawowi, bo po cóż innego miałyby Inanna czynić go piękniejszym od brata? A poza tym w jej rodzinie to matka miała prawo decydować, kto będzie dziedziczył. Sam Izaak urodził się jako drugi w kolejności. Gdybyż to zależało od Abrama, patriarchą zostałby Izmael, ale Saraj upomniała się o swoje prawo i zamiast tamtego wymieniła Izaaka. To właśnie ona kazała Izaakowi szukać sobie narzeczonej wśród jej rodziny, tak jak to dyktował zwyczaj od najdawniejszych czasów.

A mimo to Jakub kochał Ezawa i nie mógł znieść myśli, że wyrządził mu krzywdę. Lękał się, że bóg Izaaka, jego ojca, i Abrama, jego dziadka, ukarze go za to, że usłuchał słów matki. Nękał go sen, od którego budził się zdjęty śmiertelnym strachem, sen, który kończył się jego zgładzeniem.

Rachela pogłaskała go po policzku i zapewniła, że jego obawy są bezpodstawne.

- Powiedziałam mu, że gdyby nie podporządkował się nakazowi matki, to nigdy by mnie nie spotkał, i że ten bóg Izaaka, który pokochał Rebekeę, z pewnością uśmiecha się teraz do miłości Jakuba i Racheli. Poweselał wtedy. Wyznał mi, że pokrzepiłam jego serce niczym wschód słońca. Mówił takie ładne rzeczy.

Jakub przemawiał słodko do Racheli, a Lea tymczasem cierpiała. Straciła na wadze i zaniedbała włosy, choć nie swoje obowiązki. Obóz był zawsze oporzędzony, wysprzątnany, zasobny i wypełniony pracą. Prządki nie porzucały swych wrzecion, ogród kwitł i owocował, a i zioła tak się pieniły, że można je było wymieniać w wiosce na nowe lampy.

Jakub widział to wszystko. Widział, co robi Lea, i wiedział też od innych, że to ona zadbała o porządek podczas chudych lat, kiedy Laban się wałkoniał. Stary do niczego się nie przydawał, kiedy Jakub wypytywał, czy czarnobrody kupiec z Aleppo jest godzien zaufania albo których chłopców wynająć do strzyżenia owiec. To Leę należało pytać o stado; o to, które owce urodziły się poprzedniego roku, które z kozłat to potomstwo czarnego kozła, a które nakrapianego. Rachela, która zajmowała się trzodą, nie umiała odróżnić jednego zwierzęcia od drugiego, ale Lea zapamiętywała wszystko, co zobaczyła, i wszystko, co powiedziała jej Bilha.

Jakub traktował Lec z takim samym szacunkiem, jaki okazywał Adzie, wszak obie były jego krewniaczkami. Ale też jakby coś za często przebywał w bliskości Lei, częściej niżli to było konieczne. Takie w każdym razie wrażenie odnosiła Zilpa.

Jakuba codziennie nękało jakieś nowe pytanie, które zadawał potem najstarszej z sióstr. Gdzie powinien wypasać koźłeta następnej wiosny? Czy ma może nieco zbywającego miodu, który mogłaby wymienić za owcę o obiecującym wyglądzie? Czy jest gotowa złożyć ofiarę za jęczmienne żniwa? Zawsze też łaknęła piwa warzonego przez nią według znakomitych receptur, które jej matka poznała od pewnego egipskiego kupca.

Lea odpowiadała na pytania Jakuba i nalewała mu napój z odwróconym wzrokiem, z głową niemalże wtuloną w pierś, niczym gniazdujący ptak. Patrzenie na niego sprawiało jej ból. A mimo to każdego ranka, kiedy już otwarła oczy, jej pierwsza myśl dotyczyła jego właśnie. Czy przyjdzie porozmawiać z nią dzisiaj? Czy zauważył, jak drżała jej ręka, gdy napełniała mu puchar?

Zilpa nie znosiła być blisko nich, kiedy przebywali z sobą.

- Jakby się człowiek znalazł w pobliżu parzących się koźłów - powiedziała. - I byli tacy uprzejmi. Niemalże składali się w pałąk, byle tylko nie widzieć się wzajem, bo inaczej szcepiliby się pewnie jak te psy w rui.

Lea starała się ignorować pragnienia własnego ciała, do Racheli zaś nie docierało nic oprócz przygotowań do jej wesela, ale Zilpa widziała żądzę wszędzie, gdziekolwiek spojrzeła. Dla niej cały świat zdawał się naraz wilgotny z pożądania.

Nocami Lea rzucała się i przewracała z boku na bok, Zilpa zaś widywała Jakuba na polach, kiedy wsparty o drzewo dęgo obrabiał swe przyrodzenie i nagle zginał się wpół z wyraźną ulgą. Na miesiąc przed weselem Jakub przestał śnić o bitwie i o swoich rodzicach i bracie. Zamiast tego po całych nocach chodził przez sen w towarzystwie którejś z czterech sióstr. Gasił pragnienie w wodach strumienia i trafiał na łono Racheli. Podźwignął ogromny głaz i znalazł pod nim Leę. Uciekał przed tym czymś strasznym, co go ścigało, i padł wyczerpany w ramiona Bilhy, która zaczynała już nabierać kształtów kobiety. Wyswobodził Zilpę z akacjowego drzewa, wyplątując jej długie włosy spomiędzy gałęzi. Budził się co rano spocony, ze wzwiedzionym przyrodzeniem. Staczał się z koca i tak długo skręcał na ziemi, aż wreszcie mógł się bez wstydu wyprostować.

Zilpa przyglądała się, jak ten trójkąt utworzony przez Jakuba, Rachelę i Leę powoli przeradza się w klin, który mogłaby wykorzystać do własnych celów. O ile bowiem Zilpa kochała Leę, o tyle nigdy specjalnie nie przepadała za uroczą Rachelą. (Tak właśnie mówiła o niej zawsze - „Ach, oto i nasza urocza Rachelą”, z jadem w głosie.) Wiedziała, że niewiele jest w stanie zdziałać, by nie dopuścić, żeby Jakub został głową rodziny, i w rzeczy samej z niecierpliwością oczekiwała dzieci tak jak pozostałe siostry. Niemniej jej pragnieniem było, aby ta rzeka popłynęła w kierunku, który ona sama wytyczy. I pragnęła też, aby urocza Rachelą pocierpiała choć troszeczkę.

Zilpa podejrzewała, że Rachelą boi się nocy poślubnej, i zachęciła tamtą, by zwierzyła się ze swego strapienia. A potem westchnęła i

potrząsnęła głową ze współczuciem, kiedy Rachela wyznała, jak mało wie o technikach obcowania z mężczyzną. Rozkoszy nie spodziwała się w ogóle - tylko bólu. Na co Zilpa wzmówiła jej, że pastsze opowiadają o przyrodzeniu Jakuba jako o wybryku natury.

- Dwakroć większy niż u każdego normalnego mężczyzny - wyszeptwała, demonstrując ową nieprawdopodobną długość między dłońmi. Zabrała Rachelę na najwyżej położone pastwisko i pokazała jej chłopców chędożących owce, które pobekiwały żałośnie i krwawiły. Starsza siostra współczuła Racheli, szepcząc: „Biedula” i gładząc włosy roztrzęsionej dziewczyny.

I to właśnie dlatego w dniu wesela Rachela wpadła w panikę. Cnotliwa adoracja Jakuba była przyjemna, ale teraz zażąda od niej wszystkiego i nie będzie miała jak odmówić. Zbuntował jej się żołądek i zaczęła wymiotować. Rwała sobie z głowy całe garście włosów. Rozorała policzki paznokciami aż do krwi. Błagała siostry o ratunek.

- Rachela zalewała się łzami, kiedy usiłowałyśmy ją odziać na ucztę - opowiadała Lea. - Płakała, twierdząc, że jest niegotowa, niezdrowa, za mała na swego męża. Próbowała nawet sztuczki ze zmiażdżonymi jagodami, zadzierając spódnice i łkając, że Jakub ją zabije, jeśli odkryje krew miesięczną w ich weselnym łożu. Powiedziałam jej, że ma przestać zachowywać się jak dziecko, bo przecież nosi pas kobiety.

Rachela wciąż jednak szlochała rozpaczliwie, padała na klęczki i błagała siostrę, by to ona przywdziała jej ślubny welon.

- Zilpa twierdzi, że ty to zrobisz - wyłkała.

- Oniemiałam wtedy - wspominała Lea. - No bo Zilpa oczywiście miała rację. Nie ośmielałam się na takie rojenia: że to ja mogłabym

być z nim owej nocy. Nawet sama przed sobą nie bardzo potrafiłam się do tego przyznać, a tym bardziej przed moją siostrą, która w tym momencie już wcale nie była taka urodziwa, z tymi oczyma zaczerwienionymi od płaczu, z policzkami umazanymi krwią i jagodowym sokiem. Z początku powiedziałam „nie”. Od razu by się połapał, wszak żaden welon nie ukryłby różnicy wzrostu. Nie chciałby mnie wziąć i potem byłabym już tylko wadliwym towarem nie nadającym się na żonę; nie pozostawałoby już nic prócz sprzedania mnie jako niewolnicy. A jednak, choć protestowałam, serce mi łomotało, krzycząc „tak”. Rachela prosiła mnie, bym zrobiła coś, czego pragnęłam najbardziej na całym świecie. I tak, mimo że najpierw się, wyklócałam, ostatecznie wyraziłam zgodę.

Ada była zbyt chora, by pomóc w ubieraniu narzeczonej tego ranka, więc Zilpa pokierowała spiskiem, nacierając dłonie i stopy Lei henną, obrysowując jej oczy czarną kredką, ozdabiając ją świecidełkami. Rachela siadła w kącie, przycisnęła kolana do piersi i dygotała, gdy to Leę szykowano do nocy poślubnej, która przecież miała być jej nocą.

- Nigdy w życiu nie czułam się równie szczęśliwa - mówiła Lea. - Ale też przepełniała mnie trwoga. A jeśli on odwróci się ode mnie z obrzydzeniem? A jeśli wybiegnie z namiotu, na zawsze okrywając mnie hańbą? Coś jednak kazało mi wierzyć, że on weźmie mnie w objęcia.

Była to prosta uczta z udziałem niewielu gości. Dwaj fleciści z wioski przyszli i prędko sobie poszli; jeden z pasterzy przyniósł dar ofiarny z oliwy, który pozostawił, gdy tylko napełnił sobie brzuch. Laban był pijany od samego początku i wciąż wsadzał rękę pod suknię biednej Ruti. Potykał się o własne nogi, kiedy prowadził Leę do

boku Jakuba. Panna młoda, kuląca się pod swym welonem, okrążyła pana młodego trzy razy w jednym kierunku, trzy razy w drugim. Zilpa podała posiłek.

- Miałam wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy - opowiadała Lea. - Pod welonem nie było mnie widać, a i sama nie widziałam wyraźnie, ale jak Jakub mógł się nie połapać, że to ja? Cierpiałam istne katusze, czekając, aż mnie zdemaskuje, aż nagle poderwie się z miejsca i oświadczy, że go oszukano. Ale on tego nie zrobił. Usiadł obok mnie, dostatecznie blisko, bym czuła ciepło jego uda dotykającego mojego uda. Jadł jagnię i chleb, pił wino i piwo, aczkolwiek nie w takich ilościach, by mógł się zrobić senny albo zgłupieć.

W końcu Jakub wstał i pomógł mi się podnieść. Zaprowadził mnie do namiotu, gdzie mieliśmy spędzić siedem dni. Laban szedł za nami, wydierał się, że życzy nam synów - wspominała Lea. - Jakub nie zbliżył się do mnie, dopóki na zewnątrz nie zrobiło się cicho. Wtedy zdjął mój welon. Był to piękny welon, haftowany wielobarwnymi nićmi; nosiły go całe pokolenia panien młodych, które przeżyły sto nocy poślubnych pełnych rozkoszy, gwałtu, strachu, zachwytu, rozczarowania. Cała dygotałam, zastanawiając się, jaki los jest mi pisany.

W namiocie nie było całkiem ciemno. Jakub zobaczył moją twarz i nie okazał zdziwienia. Oddychał ciężko. Rozebrał mnie do końca, zdejmując płaszcz z moich ramion, rozwiązując pas, pomagając, kiedy występowałam z szat. Stałam przed nim całkiem naga. Moja matka uprzedzała, że mąż tylko zadrze mi szaty do góry i wejdzie we mnie, sam również się nie rozbierając. Ale ja zostałam rozebrana i po chwili on też zdjął odzienie, celując we mnie swym przyrodzeniem. Przyrodzeniem, które przypominało aszerę bez twarzy!

Ta myśl była tak śmieszna, że byłabym wybuchła głośnym śmiechem, gdyby nie to, że całkiem zbrakło mi tchu. Bo ja się bałam. Padłam na koc, a on prędko przywarł do mojego boku. Pieścił moje dłonie, dotknął policzka i na koniec ułożył się na mnie. A ja dalej się bałam. Ale przypomniałam sobie radę mojej matki: rozłożyłam ręce i nogi, wsłuchując się w brzmienie swojego, a nie jego oddechu.

Jakub był dla mnie dobry. Za pierwszym razem wszedł we mnie powoli, ale skończył tak szybko, że ledwie zdążyłam się uspokoić, a on już przywarł do mnie, bezwładny i ciężki niczym trup, i leżał tak, jak się zdawało, wiele godzin. A potem jego ręce znów ożyły. Wędrowały po mojej twarzy, po włosach i potem, och!, po piersiach i brzuchu, w stronę nóg i tego najczulszego miejsca, którego dotykał jak najdelikatniej. Był to dotyk matki gładzącej czubkiem palca wnętrze ucha swego nowo narodzonego dziecka, wywołujący uczucie tak rozkoszne, że aż się uśmiechnęłam. A on, widząc, jak mi błogo, pokiwał głową i roześmiał się oboje.

Wtedy właśnie Jakub przemówił czule do swej pierwszej żony.

- Mój własny ojciec rzadko się do mnie zwracał i zdawał się przedkładać towarzystwo mego brata nad moje - wyszeptał. - Ale kiedyś, w podróży, minęliśmy namiot, przed którym jakiś człowiek bił kobietę: żonę, nałożnicę albo niewolnicę, tego nie mieliśmy jak się dowiedzieć. Izaak, mój ojciec, westchnął i wyznał mi, że w życiu nie wziął do swego łóża żadnej innej kobiety prócz mojej matki, mimo iż ona dała mu tylko dwóch synów na samym początku małżeństwa. Rebeka przyjęła go czule i namiętnie, bo jako młody oblubieniec traktował ją tak, jakby ona była Królową Niebios, a on jej

małżonkiem. Ich obcowanie było niczym obcowanie morza i nieba, deszczu i spalonej ziemi. Nocy i dnia, wiatru i wody. Ich noce były przepelnione gwiazdami i westchnieniami, kiedy tak odgrywali role bogini i boga. Ich wzajemny dotyk owocował tysiącem snów. Spali w swych objęciach każdej nocy, z wyjątkiem tych, kiedy ona musiała się udać do czerwonego namiotu albo kiedy karmiła synów. Takie właśnie nauki o mężach i żonach przekazał mi ojciec - powiedział Jakub, mój ojciec, do Lei, mojej matki, podczas ich pierwszej wspólnej nocy. I zapłakał wtedy nad utratą miłości ojca.

Lea też zapłakała, wiedzona współczuciem dla swego małżonka, ale też z ulgi i radości, że jej tak się poszczęściło. Wiedziała, że jej matka również roniła łzy w noc poślubną, lecz były to łzy rozpacz, bo Laban już na samym początku okazał się gburem i prostakiem.

Lea pocałowała męża. On pocałował ją. A potem długo i tkliwie obejmowali się. I już tamtej nocy, kiedy wciąż jeszcze czuła ból od pierwszego wniknięcia w nią mężczyzny, zareagowała na jego pieszczotę. Polubiła jego zapach i dotyk jego brody na swej skórze. Kiedy w nią wszedł, naprężyła nogi z siłą, która ją samą zadziwiła, a jego zachwyciła. Wydał okrzyk najwyższej rozkoszy, a ją zalało poczucie własnej władzy. I gdy poddała się rytmowi swego oddechu, odkryła własną rozkosz, otwarcie i pełnię; westchnęła wtedy, zamruczała jak kot i zapadła w sen, jakiego nie zaznała od czasu, gdy była dzieckiem. Jakub nazwał ją Inanną. Ona nazwała go Baalem, bratem-kochankiem Isztar.

Pozostawiono ich samym sobie przez pełne siedem dni i siedem nocy. O świcie i o zmierzchu przynoszono im posiłek, który spożywali

z łączywością właściwą kochankom. Pod koniec tego tygodnia kochali się o każdej godzinie dnia i nocy. Byli przekonani, że odkryli z tysiąc całkiem nowych sposobów dawania i brania rozkoszy. Spali w swych objęciach. Śmiali się jak dzieci z głupoty Labana i dziwnych obyczajów Zilpy. Ale nie rozmawiali o Racheli.

Był to złoty tydzień, którego kolejne dni były coraz to słodsze, ale i coraz smutniejsze. Czas, kiedy to Lei i Jakubowi wolno było wędrować po swych wspomnieniach albo drzemać za dnia w swych objęciach, nie miał się już nigdy powtórzyć. Ten jeden jedyny, ostatni raz spożywali posiłki wspólnie, rozmawiając i odnajdując w sobie wzajem pokrewne dusze w sprawach interesów i polityki rodzinnej.

Uradzili, że kiedy ten tydzień dobiegnie końca, Jakub wynurzy się z namiotu, udając zagniewanego. Że pójdzie do Labana i powie „Zostałem omamiony. Spojono mnie tęgim winem i wtedy dałeś mi tę wiedźmowatą Leę zamiast ukochanej Racheli. Moja ciężka praca dla Racheli została sflacona oszustwem, za które domagam się zadośćuczynienia. I choć spędziłem te siedem dni i siedem nocy z twoją najstarszą córką tak, jak mi nakazywał obowiązek, to jednak nie będę jej uważał za swoją żonę, dopóki nie wyznaczysz posagu w jej imieniu i dopóki Racheli również nie będzie moja”.

I tak właśnie postąpił Jakub, kiedy opuścił namiot.

- Wezmę dziewczyną Zilpę jako posag Lei, tak jak Bilha będzie posagiem Racheli. Wezmę jeszcze jedną dziesiątą część twojego stada za to, że uwalniam cię od twej szpetnej córki. I aby sprawiedliwości stało się zadość, odpracuję u ciebie kolejne siedem miesięcy, aby spłacić cenę za Leę. Takie są moje warunki.

Jakub wygłosił tę przemowę w obecności wszystkich w dniu, w którym on i Lea wynurzyli się z ich odosobnienia. Lea miała wzrok wbity w ziemię, gdy jej mąż recytował słowa, które wspólnie przećwiczyli poprzedniej nocy, nadzy, każde złane potem tego drugiego. Udawała, że płacze, jednocześnie krzywo zaciskając usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Kiedy Jakub się określił, Ada przytaknęła na znak, że się zgadza. Zilpa zbieła na wzmiankę o niej. Laban, który cały tydzień pił, świętując zamążpójście córki, tak zgłupiał, że zrazu ledwie był w stanie wykrztusić jakieś słowa protestu, po czym wyrzucił ręce w górę, przeklął ich wszystkich i skrył się w mroku swojego namiotu.

Rachela splunęła pod nogi Jakuba i odeszła. Pod koniec małżeńskiego tygodnia zaczęła żałować, że wpadła w panikę. Na zawsze utraciła pozycję pierwszej żony. Potem usłyszała odgłosy dochodzące z małżeńskiego namiotu - śmiech i stłumione okrzyki rozkoszy. Wylała swój smutek przed Bilhą, która pokazała jej parzące się psy i owce; zdawały się nie cierpieć podczas tego aktu. Rachela udała się do wioski i powiedziała Innie, co się stało. Położna opowiedziała jej kilka historii namiętności i rozkoszy, po czym zabrała Rachelę do swej chaty i pokazała jej, jak ma szukać sekretów własnego ciała.

Kiedy Jakub znalazł Rachelę pod ich umówionym drzewem, ta skłępa go dosadnie, nazywając złodziejem i łajdakiem, diabłem i świnią, która naśladuje owce, kozy i psy. Zarzuciła mu, że jej nie kocha. Wrzeszczała, że musiał wiedzieć, że to była Lea, choć tamta miała na twarzy welon, kiedy siedziała obok niego na uczcie weselnej. Mógł to wszystko przerwać. Dlaczego tego nie zrobił? Gorzko płakała.

Kiedy już wylała wszystkie łzy, Jakub tulił ją do piersi tak długo, aż wreszcie zdawało się, że ogarnęła ją senność, a wtedy powiedział jej, że ona to córka samego księżycy, świetlista, promienna i doskonała. Że jego miłość do niej jest pełna uwielbienia. Że z Leą łączy go tylko poczucie obowiązku, bo Lea jest jedynie cieniem blasku Racheli. Że tylko ona, Rachela, będzie panią jego serca, jego pierwszą żoną, pierwszą miłością. Ot, takie piękne słowa.

I zdarzyło się tak, że w dniu poprzedzającym nadejście kolejnej pełni odbyła się druga uczta weselna, jeszcze uboższa od poprzedniej. I tym razem to Rachela zajęła swoje miejsce w namiocie z Jakubem.

Niewiele wiem o tym tygodniu, bo Rachela nigdy o nim nie opowiadała. Dobrym znakiem było to, że z wnętrza małżeńskiego namiotu Jakuba i Racheli nie dobiegały odgłosy płaczu. Ale nikt też nie słyszał śmiechu. Kiedy tydzień dobiegł końca, Rachela wpęzła o świcie do czerwonego namiotu, gdzie spała aż do następnego ranka.

Przy pierwszym nowiu, jaki nastął po tygodniu małżeńskim Lei, między jej nogami nie pojawiła się krew. Tę wieść Lea zatrzymała dla siebie. Pośród pospiesznych przygotowań do wesela Racheli bez trudu ukryła fakt, że nie musi zmieniać swego miejsca na słomie ani umieszczać gałganka między nogami, kiedy zamierza wstać.

Dwa dni po tym, jak Rachela weszła z Jakubem do namiotu małżeńskiego, Lea udała się do matki i przyłożyła wyschłą dłoń Ady do swego młodego brzucha. Starsza kobieta uściskała córkę.

- Nie sądziłam, że dożyję takiego wieku, by dane mi było zobaczyć wnuka - powiedziała do Lei, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

- Kochana dziewczyna, moja kochana córka.

Lea wyjaśniła, że chowa swój brzemienny stan w tajemnicy, by chronić szczęście Racheli. Rodząc syna, zapewniłaby sobie status głównej żony, a wiedziała od samego początku, że nosi w sobie chłopca. Rachela jednak wpadła w furię, kiedy usłyszała, że Lea spodziewa się dziecka. Uznała, że jej siostra trzymała tę wieść w tajemnicy przed nią, ponieważ uknuła wielce pokretny spisek, którego celem było okrycie jej hańbą, zapewnienie sobie roli pierwszej żony i sprawienie, by Jakub ją porzucił.

Oskarżenia Racheli słyszać było nawet przy studni znajdującej się naprawdę bardzo daleko od namiotu, w którym tak się wydzierała. Zarzucała Lei, że ta poprosiła Zilpę o pomoc w usunięciu jej z należącego miejsca. Insynuowała, że Lea jest brzemienna nie z Jakubem, lecz z pewnym półgłupim, obdarzonym zajęczą wargą pastercem, który często wałęsał się przy studni.

- Ty zazdrosna suko! - darła się Rachela. - Ty niezdarco o złym oku, chcesz, żeby Jakub kochał cię tak, jak kocha mnie, ale tak nigdy nie będzie. To ja jestem jego ukochaną. Ja jestem jego sercem. Ty bezmyślna szkapo! Ty żałosna krowo!

Lea trzymała język na wodzy, dopóki Rachela nie skończyła. Potem spokojnie nazwała siostrę oślicą i z całej siły uderzyła ją w twarz, najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Nie odezwały się do siebie ani słowem przez wiele miesięcy.

Przypuszczam, że naturalną kolejną rzeczą należy zakładać, że Lea była zawsze zazdrosna o Rachelę. I prawda jest taka, że moja matka nie śpiewała ani też nie uśmiechała się często podczas Jakubowego tygodnia z Rachelą.

W istocie przez całe lata, zawsze wtedy, kiedy ojciec brał do swego łoża moją piękną ciotkę, Lea spuszczała głowę nad swoją pracą, której stopniowo przybywało, bo gromadka jej synów stawała się coraz liczniejsza, a i dzięki znoejnej pracy Jakuba było coraz więcej wełny, którą należało prząść.

Ale Lea nie była tak zazdrosna, jak bywają zazdrosne te głupie dziewczyny, które w pieśniach miłosnych usychają z niezaspokojonych tęsknot. Kiedy Jakub pokładał się ze swymi innymi żonami, w smutku Lei nie było goryczy. Wszak czerpała moc radości z synów, niemal stale trzymając tego czy tamtego u piersi. Mogła liczyć na to, że Jakub wezwie ją raz czy dwa razy w miesiącu, aby porozmawiać o stadach i wypić w jej obecności dodatkowy kubek słodkiego piwa. W te noce, kiedy wiedziała, że będą spali razem, obłapiała go co sił w pasie i następnego ranka rodzina mogła kąpać się w jej uśmiechu i sycić przyrządzanymi przez nią smakołykami.

Wybiegam jednak naprzód w mej opowieści. Wiele bowiem lat musiało upłynąć, zanim Lea i Rachela nauczyły się wreszcie dzielić swoim mężem; z początku były jak te psy, które obchodzą się wzajem, powarkując i omijając z daleka, badając dzielącą je granicę.

Z początku zresztą wydawało się, że dojdzie do rozejmu, ponieważ przy kolejnym nowiu również Rachela odkryła, że nie będą potrzebne ani gałganki, ani świeża słoma. Brzemienne były obie siostry. Jęczmień obrodził nadzwyczajnie. Pasterze klepali Jakuba po plecach i żartowali z jego potencji. Bogowie się uśmiechali.

Ale niestety, gdy brzuch Lei obrzmiewał już pod jej tuniką, Rachela zaczęła krwawić. Któregoś wczesnego ranka, prawie trzy miesiące po jej weselu, obudziła cały obóz swymi krzykami. Lea i Zilpa

przypadły do jej boku i zobaczyły, jak lka, owinięta w zakrwawiony koc. Nikt nie był w stanie jej pocieszyć. Nie pozwalała Adzie siedzieć przy sobie. Nie pozwalała Jakubowi siebie oglądać. Przez tydzień kuliła się w kącie namiotu, jadła niewiele i spała gorączkowym snem bez snów.

Lea wybaczyła Racheli tamte plugawe słowa i bardzo jej współczuła. Próbowwała pobudzić jej apetyt ulubionymi łakociami, ale Rachela pluła na jej jedzenie i na samą Leę, która z każdym dniem zdawała się coraz cięższa, krągłjsza i piękna jak nigdy dotąd.

- To było takie niesprawiedliwe. Takie smutne - mówiła Bilha, która w końcu zmusiła Rachelę do zjedzenia garści oliwek i wywabiła ją spod zaplamionego, sztywnego koca.

To właśnie Bilha przeszła się do wioski, gdzie mieszkała położna Inna, by spytać, czy nie ma przypadkiem jakiejś mikstury, która mogłaby wyrwać jej siostrę ze stanu bliskiego śmierci. Inna pokwapiła się osobiście do obozu i spędziła wiele godzin z Rachelą, myjąc ją, karmiąc drobinami chleba maczanego w miodzie, namawiając do popijania aromatycznego czerwonego miodu. Szeptła też słowa otuchy i nadziei do ucha Racheli. Uprzedziła, że rodzenie dzieci nie będzie jej przychodziło z łatwością, ale przepowiedziała również, że Rachela kiedyś jeszcze pocnie, pod takim jednak warunkiem, że dostosuje się do zaleceń swojej położnej.

Dlatego właśnie, kiedy Lea w swym szóstym miesiącu szukała błogosławieństwa siostry, Rachela przyłożyła dłonie do brzucha tamtej i pogładziła ukryte w nim życie. A potem rozplakała się w ramionach siostry, ucałowała dłonie Ady i poprosiła Zilpę, by uczesała jej włosy. Wzięła Bilhę na bok, objęła ją i podziękowała za to,

że przyprowadziła Inne. Po raz pierwszy w życiu Rachela komukolwiek za coś podziękowała.

Następnego ranka Lea i Rachela, ramię w ramię, wyszły z mroku czerwonego namiotu prosto na blask światła, gdzie stał Jakub. Rachela opowiadała, że załkał, kiedy zobaczył je obie razem, ale Lea twierdziła, że się uśmiechał.

- Pierwszy poród Lei nie był szczególnie trudny - wspominała Rachela. W czasie, gdy opowiadała mi o przyjściu na świat Rubena, liczba tych wszystkich porodów, których była świadkiem, osiągnęła już dobrych kilka setek. I mimo że potrafiła odłożyć wrzeczono i natychmiast zapomnieć, gdzie je położyła, to jednak pamiętała szczegóły wszystkich narodzin, które dane jej było oglądać.

Opowiedziała mi, że choć bóle porodowe Lei zaczęły się przed zachodem słońca i nie skończyły aż do brzasku, to jednak była to prosta ścieżka. Chłopczyk ułożony był główką w dół, a jego matka miała dostatecznie szerokie biodra. Niemniej jednak w czerwonym namiocie dawała się wszystkim we znaki duchota letniej nocy, a i żadna z siostrz nigdy wcześniej nie widziała porodu. Tak naprawdę Lea cierpiała najbardziej z powodu tego strachu, jaki zawładnął jej siostrami.

Wszystko zaczęło się po południu, od słabych bólów w krzyżach. Lea uśmiechała się po każdej ich fali, zadowolona, że już się zaczęło, skwapliwie bowiem chciała stać się już członkinią wspólnoty matek. Przekonana, że jej ciało, bujne i rosłe, spełni swój cel, dużo na samym początku śpiewała. Piosenki dla dzieci, ballady, kołysanki.

Ale kiedy noc się przeciągała i księżyc wzeszedł, a potem zaczął zachodzić, nie było już ani uśmiechów, ani śpiewania. Każdy kolejny skurcz chwycił i wyżył Leę niczym skrawek materii, po czym opuszczał ją całą zasapaną i zdętą trwogą przed kolejnym wybuchem bólu. Ada trzymała ją za rękę. Zilpa mruczała modlitwy do Anat.

- Ja nie przydałam się do niczego - wspominała Rachel. - Wchodziłam do namiotu i wychodziłam, zżerana przez zazdrość. Ale w miarę jak upływały godziny, każda cięższa od poprzedniej, moja zazdrość słabła i zaczął przerażać mnie ten ból, który przepełniał ciało Lei, taki silny, podobny do niezwykłego wołu, który powalony na ziemię trzęsie się i toczy w krąg wytrzeszczonymi oczyma. Byłam przerażona myślą, że to ja mogłabym się znaleźć na jej miejscu, że może jeszcze kiedyś je zajmę. I jestem pewna, że Zilpa i Bilha dygotały pod wpływem takich samych myśli i że dlatego właśnie milczały, kiedy nasza siostra tak się mozoliła.

Bilha zrozumiała wreszcie, że Ada im nie wystarczy, że potrzebują pomocy z zewnątrz, i poszła po Inne, która zjawiała się o świcie. Do tego czasu Lea skomlała już jak pies. Inna przyłożyła dłonie do brzucha rodzącej, a potem wsunęła je do środka. Kazała jej ułożyć się na boku, po czym natarła plecy i uda oliwą zaprawioną miętą. Uśmiechnęła się do Lei i powiedziała:

- Dziecko lada chwila stanie na progu. - I opróżniwszy swą torbę z przyborami, kazała kobietom zebrać się dookoła i pomóc siostrze w urodzeniu dziecka.

- Wtedy po raz pierwszy w życiu oglądałam przybory położnej - wspominała Rachel. - Nóż, sznurek, trzcinki do odsysania, amfory z kminkiem, hizop i olejek miętowy. Inna ułożyła na ziemi dwie

cegły i powiedziała Lei, że niebawem będzie musiała na nich stanąć. Kazała mnie i Zilpie ustawić się z obu stron, abyśmy mogły służyć oparciem, kiedy Lea kucnie nad świeżym sianem. I tak razem z Zilpą stałyśmy się siedziskiem Lei, z ramionami oplecionymi wokół jej ramion i podtrzymującymi jej uda.

- Szczęśliwa dziewczyno - powiedziała Inna do Lei, która ani trochę nie czuła się szczęśliwa. - Zobacz, jaki królewski tron sporządziły ci twoje siostry.

Inna gadała i gadała, przerywając te pełną przerażenia ciszę, która otoczyła Leę niczym mur. Wypytywała Adę o jej dolegliwości i naśmiewała się z Zilpy, że ma mierzwę zamiast włosów. Za każdym razem jednak, gdy przychodził nowy skurcz, jej słowa były przeznaczone tylko dla Lei. Chwaliła ją, podnosiła na duchu, mówiła jej: „Dobrze, dobrze, dobrze, zuch dziewczyna”. Niebawem wszystkie kobiety w namiocie wtórowały jej w tym „Dobrze, dobrze, dobrze”, gruchając niczym stado gołębic.

Inna zaczęła masować pośladki Lei, tak opuchnięte, że całkiem już utraciły kształt. Rozcierała je coraz to silniejszymi ruchami, a tymczasem przerwy między kolejnymi napadami bólu stawały się coraz krótsze. A potem przyłożyła dłoń Racheli do brzucha Lei i pokazała jej, w jaki sposób ma go ugniatać, ruchem skierowanym w dół, delikatnie, ale stanowczo, kiedy nadejdzie pora. Samej Lei mówiła natomiast, że ma nie przecę; powtarzała to tyle razy, aż w końcu Lea zaczęła wyrzaskiwać przekleństwa.

- Niczego przedtem nie oglądałam tak dokładnie, jak przychodzenia tamtego dziecka na świat – powiedziała Racheli. - Tak wyraźnie. Bez jednej choćby myśli o samej sobie. Rozmyślałam za to o mojej matce, która widziała to tyle razy, której ręce wyprowadziły

tyle dusz na ten świat, ale która zmarła wtedy właśnie, kiedy to mnie obdarzała życiem. Nie miałam jednak czasu, by żałować samej siebie, bo nagle między nogami Lei wykwitła jakaś dziwna czerwona bańka, a potem, niemalże natychmiast, spomiędzy jej ud wytrysnął potok zabarwionej krwią wody.

Przerażona Lea usiłowała stanąć na ziemi, ale Inna zakazała jej zdejmować stopy z cegieł. Jest, jak powinno być, zapewniła ją. On już idzie.

Lea parła z zaczerwienioną twarzą, wytrzeszczając zamglone od łez oczy, i to niebieskie, i to zielone. Trzęsły jej się nogi, wydawało się, że zaraz przestaną ją dźwigać, i Zilpa z Rachelą musiały użyć całej swej siły, aby ją utrzymać. Potem Inna kazała Bilsze zająć miejsce Racheli, aby Rachelą mogła złapać dziecko; kto to wie, może krew porodowa pobudzi łono Racheli, sprawiając, że znowu się wypełni. I takim to sposobem Rachelą skapała się w rzece życia.

Lea zawyła co sił w płucach i powiła syna. Był tak duży, że Inna musiała pomóc Racheli w jego schwytaniu, i płakał, zanim jeszcze zdążyły podnieść mu głowę. Trzcinki do przetykania ust i nosa dziecka okazały się niepotrzebne. Wszystkie kobiety zaniósły się radosnym śmiechem, łzy spływały im po twarzach, dyszały z wysiłku, jaki kosztował je poród Lei.

Podawały sobie dziecko z rąk do rąk, wycierając je i całując, wychwalając jego nóżki i rączki, tors, główkę, maleńkie przyrodzenie. Wszystkie gadały jedna przez drugą, robiąc więcej hałasu, niż przystało sześciu kobietom. Jakub zawołał do nich, domagając się wieści.

- Jesteś ojcem! - odkrzyknęła Inna. - Odejdź teraz. Niebawem po

ciebie pošlemy i wtedy zobaczysz swego syna, swego pierworodnego, ale najpierw my musimy zrobić przy nim, co trzeba.

Usłyszały, jak Jakub krzyczy z radości i przekazuje wieści Labanowi, Ruti, swym rozszczekanyim psom i chmurom na niebie.

Chwile po porodzie uszły uwagi Lei, która prawie już spała z wyczerpania. Inna napoiła ją i nakarmiła, zanim sama udała się na spoczynek, przystawiła też dziecko do piersi Lei, a ono z miejsca zaczęło ją ssać. Matka i syn zasnęli, a siostry okryły ich oboje. Ada przyglądała im się z uśmiechem, który nie opuścił jej twarzy nawet wtedy, gdy sama zapadła w drzemkę. Inna owinęła łożysko w starą szmatę i jak to się należało pierworodnemu synowi, wszystkie razem pogrzebały je jeszcze tamtej nocy, w najdalej na wschód wysuniętym miejscu bamy.

Lea obudziła się kilka godzin później i nazwała swego syna Ruben. Było to imię przypominające radosny okrzyk, imię, które odstraszało złe duchy od wyrządzenia mu krzywdy. Ale Lea nie obawiała się o swego krzepkiego chłopca. Poślano po Jakuba, który powitał syna z wielką czułością.

Kiedy Jakub wyszedł z namiotu po pierwszym spotkaniu z synem, zdawało się, że jego szczęście gdzieś wyparowało. Markotnie zwiesił głowę, jakby się zastanawiał, co zrobić dalej. Zgodnie z obyczajem jego rodziny chłopca należało obrzezać i nie było nikogo, kto mógłby to zrobić, oprócz niego. Jakub nie pozwoliłby Labanowi dotknąć dziecka, a co dopiero dać mu do ręki nóż. Ani w wiosce, ani wśród pobliskich wzgórz nie znał nikogo, kto wiedziałby, jak to zrobić, ani nawet wiedziałby, dlaczego on chce to zrobić swemu pierworodnemu. Tak więc musiał to zrobić on sam.

Jakub widywał, jak jego ojciec nacina napletki małym synom swych sług, ani nie odwracając przy tym głowy, ani nawet się nie krzywiąc. Sam jednak nigdy tego nie robił ani też, teraz to rozumiał, nie przyglądał się dostatecznie uważnie, by wiedzieć, jak ojciec opatrywał ranę. I rzecz jasna, nigdy w życiu nie zależało mu tak bardzo na żadnym dziecku.

A jednak należało to zrobić, więc zaczął przygotowania; przyglądała im się Bilha, która doniosła o wszystkim Lei, a ta aż się rozchorowała na myśl, że jej dziecko, jej chluba, miałyby zostać ułożone na ołtarzu bamy i okaleczone. Bo tak właśnie na to patrzyła. Płatek skóry na penisie nic dla niej nie znaczył. W rzeczy samej teraz, kiedy już wiedziała, jak wygląda nieobrzezany mężczyzna, stwierdziła, że woli wygląd przyrodzenia Jakuba - obnażony, czysty, a nawet bezczelny - zamiast tego małego całunu, który jej syn nosił na swoim członku, stanowiącym źródło wielu niemądrych i nieokrzesanych żartów w czerwonym namiocie. Lea zagroziła nawet, że weźmie kawałek zwęglonego drewna i wyrysuje nim twarz na przyrodzeniu Rubena, kiedy więc Jakub odsunie napletek, to zaskoczony wypuści nóż. Kobiety aż tarzały się po swych matach, chwytając za boki, śmiejąc się z tego wrażliwego instrumentu, który mężczyźni noszą między nogami.

Po kilku dniach jednakże żarty się skończyły i Lea płakała tak długo i tak serdecznie nad chłopcem u swej piersi, że ciemne kędziory na jego główce stały się słone od jej łez. A jednak nie sprzeciwiła się obyczajowi ojca swego męża. Jakub to przeżył, powtarzała bez końca swym siostram, głównie po to, by uspokoić samą siebie. Izaak też obrzezano, a przed nim Abrama. Niemniej jednak myśl o tym,

że jej dziecku mógłby zagrażać ból i niebezpieczeństwo, przyprowadziła młodą matkę o dreszcz, a kiedy pojęła, że Jakub nie ma w tym żadnego doświadczenia, zaczęła wręcz szaleć ze zmartwienia.

Zilpa, która przyglądała się wszystkiemu, zauważyła, że Jakub też nie zabiera się do tego rytuału ze spokojem ducha. Noc po nocy siadywał na barnie ze swym nożem i ostrzył go o kant ołtarza. Od zachodu słońca aż do wschodu księżycy, przez trzy noce z rzędu, ostrzył go i polerował, aż wreszcie krawędź ostrza stała się idealna, aż wreszcie wystarczał mu najlżejszy ruch nadgarstka, by mógł odciąć sobie włos z głowy. Poprosił Adę, by uszykowała bandażę, utkane z najświeższej wełny uzyskanej z postrzyżyn nowo narodzonych jagniąt. Posłał list do Lei, zapytując ją, czy położna dała jej może jakieś maści, które wspomagają gojenie się ran.

Siódmej nocy od narodzin Rubena Jakub przysiadł sztywno i w milczeniu wpatrywał się w niebo, aż do samego wschodu słońca. Rozlewał wino ofiarne i śpiewał bogom swych ojców. Polewał też winem aszerę i rozpościarał przed nią ręce. Zilpa, która obserwowała to wszystko, przestała odtąd mówić o Jakubie jako o „tym nowym mężczyźnie”, tylko zaczęła nazywać go jego imieniem.

O świcie ósmego dnia od narodzin syna Jakub zabił koźlą i spalił je na ołtarzu. Umył ręce, po czym wytarł je słomą aż do czerwoności, jakby miał do czynienia z jakimś ścierwem. A potem podszedł pod czerwony namiot i poprosił kobiety, żeby dały mu Rubena, syna Lei.

Kazał Labanowi iść za sobą - obaj mężczyźni wspięli się na barnę, gdzie Jakub rozebrał chłopczyka, który miał otwarte oczy, i ułożył go na ołtarzu. Jakub wzdychał głośno i przeciągle, kiedy rozbierał dziecko, a potem dał znak Labanowi, że ma chwycić je za

nóżki. W tym momencie Ruben zaczął kwilić. Jakub ujął nóż i zmarszczył brew.

- Miał łzy w oczach - powiedziała Zilpa. - Ujął przyrodzenie dziecka w dłonie i chwyciwszy napletek dwoma palcami lewej ręki, odciągnął go zdecydowanym ruchem. A potem naciął go, szybko i bez wahania, jakby był w tym zwyczajny, jakby wiedział, co robi.

Ruben rozdarł się i Jakub upuścił nóż. Prędko obwiązał ranę bandażem Ady i opatulił dziecko, tak jak to robią mężczyźni, czyli źle. Odniósł syna kobietom, szepcząc do przesłicznych uszu Rubena słowa, których nikt inny nie mógł słyszeć.

Czerwony namiot, w którym pod nieobecność dziecka zapanowała cisza, rozświetlił się życiem. Lea opatrzyła ranę kminkowym olejkim, który Inna dała jej na poporodowe rany. Ada opatuliła Rubena, jak należy, i oddała go matce; Ruben z ulgą przyssał się do jej piersi i zaraz potem zasnął.

Dziecko prędko ozdrowiało w schronieniu czerwonego namiotu, podobnie jak Lea podczas swego pierwszego miesiąca macierzyństwa. Położnicy dogadzały siostry, które niemalże nie pozwalały jej dotykać stopami ziemi. Jakub wstępował tam codziennie, znosząc świeżo upolowane i oprawione ptactwo na jej posiłki. Przez zgrzebną ścianę namiotu przekazywali sobie wieści o tym, jak im mijają dni, z czułością, która rozgrzewała serca podsłuchujących.

Ada chodziła rozpromieniona cały ten miesiąc i dopilnowała, by jej córka wyszła z namiotu wypoczęta i z zapasem nowych sił. Zachwycała się pierwszymi ziewnięciami i kichnięciami wnuka; nie dziwota, że jako pierwsza zauważyła, że Ruben podnosi już główkę.

Ada brała dziecko na ręce za każdym razem, gdy Lea się z nim rozstawała; zachwyty ujmował jej lat z twarzy i bólu z kości. Ale niestety, nawet największa radość nie zmoła choroby, która odbierała jej siły od tak dawna. I tak, któregoś ranka, nie wstała już z postłania.

Ada była jedyną matką, jaką siostry kiedykolwiek poznały; sypały sobie włosy popiołem i oddawały jej cześć. Lea obmyła twarz i ręce Ady. Zilpa uczesała gładko jej włosy. Rachela ubrała ją w najwspanialszą tunikę, jaką posiadały, Bilha zaś ozdobiła pomarszczone nadgarstki, szyję i palce zmarłej pierścieniami i bransoletami. Wspólnie skrzyżowały jej ramiona i ugięły kolana, dzięki czemu wyglądała teraz jak śpiące dziecko. Szeptem przekazywały swoje życzenia do jej uszu, aby zaniósła je na drugą stronę światła; tam duchy przodków miały powitać jej duszę, która teraz mogła spocząć w pyłe ziemi i na zawsze przestać cierpieć.

Owinęły ją całunem z niebielonej wełny wyścielonej aromatycznymi ziołami i pogrzebały ją wśród korzeni wielkiego drzewa, tego, pod którym zwykły się gromadzić kobiety, by wspólnie wypatrywać wschodu księżyca.

Jakub kopał grób, a tymczasem Laban stał i patrzył, z głową obasypaną popiołem dla uczczenia pamięci pierwszej żony. Razem z Adą Laban grzebał swoją młodość, siłę i być może część swego zapomnianego lepszego ja. Cisnął pierwszą grudę ziemi, po czym odwrócił się i odszedł, zanim cztery siostry skończyły otulać ją ziemią, kwiatami i głośnym lamentem.

Dwa miesiące po śmierci Ady do czerwonego namiotu weszła Bilha. Zabrakło Ady i nie było żadnej starszej kobiety, która mogłaby przejąć jej rolę, więc teraz Lea, karmiąca swego syna, stała się tą

matką, która wita w namiocie. Lea przyjęła nowicjuszkę i pouczyła ją, jak ma sobie radzić ze strumieniem krwi, jak radować się no-wiem, jak łączyć cykl ciała z rytmem życia.

Koło się obróciło. I mimo że Laban zachował tytuł głowy rodu, to jednak rozpoczął się czas Jakuba jako patriarchy. Moje matki również zaczęły liczyć swe dni mądrością kobiet.

Nadeszło wiele dobrych lat. Deszcze przychodziły w porę i w studni nigdy nie brakowało świeżej, zdrowej wody. Ziemi nie trapiły zarazy i pośród okolicznych plemion panował pokój. Stada rozrosły się do tego stopnia, że Jakub nie dawał już rady pracować w pojedynkę i najął do siedmioletniej służby Szibtu, trzeciego syna miejscowego pasterza. A potem najął jeszcze Nomira, który sprowadził swoją żonę, Zibatu, i w namiocie pojawiła się nowa twarz.

Pomyślność rodziny i coraz większy dostatek nie były do końca rezultatem umiejętności Jakuba ani też nie należałoby przypisywać wszystkiego woli bogów; zawdzięczano je również ciężkiej pracy moich matek. To prawda, że owce i kozy stanowią oznakę bogactwa, a jednak tylko dzięki kobietom i ich gospodarzeniu można ocenić prawdziwą jego wartość. Sery Lei nigdy nie kwaśniały, a kiedy rdza atakowała pszenicę albo proso, pilnowała, by porażone łodygi wybrano do końca, aby uchronić resztę plonów. Zilpa i Bilha tkwały wełnę z coraz liczniejszych stad Jakuba we wzory z czerni, bieli i pomarańcza, które przyciągały kupców i przynosiły dalsze zyski.

Był to również czas wielkiej płodności kobiet. Urodziło się wiele dzieci i większość przeżyła. Lea przywdziała szatę matki rodu, bo

ona, jak się zdawało, zawsze albo była brzemienna, albo karmiła piersią. Dwa lata po urodzeniu Rubena powiła drugiego syna, Symeona. Lewi urodził się zaledwie osiemnaście miesięcy później. Potem Lea poroniła, ale już w następnym roku jej smutek przyćmiła radość z czwartego syna, Judy.

Ci bracia, tak bliscy sobie wiekiem, ustanowili własne plemię. Ruben, zawsze najbardziej z nich krzepki i najwyższy, obchodził się łagodnie z młodszymi braćmi. Symeon był niczym demon - przystöjny i pełen pychy, zachłanny i arogancki - ale za te dołki w policzkach wybaczało mu się wszystko. Lewi, cichy jak polna myszka, był niewolniczo wpatrzony w Symeona. Judę znano jako spokojnego chłopca, który darzył uczuciem wszystkich ze swego otoczenia. Miał znacznie jaśniejszą karnację od swych braci i Jakub powiedział Lei, że on przypomina jego brata, Ezawa.

Kiedy Lea nosiła w łonie Symeona, Ruti, żona Labana, też miała wielki brzuch; urodziła chłopca, Kemuela, po którym, w następnym roku, urodził się Beor. Stary nie widział świata poza swymi synami o spłaszczonych czaszkach, którzy z początku coraz to zaczepiali i poszturchiwali chłopców Lei, z wiekiem jednak wymyślili sekretny język, który zamknął ich w wąskim świecie własnej wyobraźni. Laban uważał, że stanowi to dowód wyższości jego synów, ale zdaniem pozostałych członków rodziny był to dowód ich ograniczenia i opóźnionego rozwoju.

Żyli pośród wesołego zgiełku dziecięcych głosów, ale błogosławieństwo pokolenia nie zostało rozdzielone po równo. Rachela przechodziła jedno poronienie za drugim. Kiedy krwawy strumień zmył jej nadzieje po raz czwarty, dostała gorączki, która na trzy dni i trzy

noce pozbawiła ją władzy nad umysłem. Siostry przeraziły się tak strasznie, że nalegały, by przestała już rodzić, i namawiały ją, by zażywała wywaru z kopru, który pieczętuje łono, przynajmniej do czasu, aż odzyska wagę i siły. Wyczerpana Rachela zgodziła się.

Nie potrafiła jednak długo wypoczywać pośród harmidru, jaki robili synowie jej siostry. Mimo że nie nienawidziła już Lei z taką pasją jak ongiś, nie umiała się uśmiechać do siostry, kiedy jej własne ciało wciąż nie wydawało owoców. Często oddalała się od namiotów swej rodziny, szukając porady u Inny, która dysponowała, jak się zdawało, nie kończącą się listą mikstur i zabiegów, dzięki którym jej łono mogłoby się otworzyć.

Rachela wypróbowała każdy środek, każdy napar, każdy osławiony lek. Przywdziewała wyłącznie czerwienie i żółcie - barwy krwi życia i talizman chroniący zdrową menstruację. Sypiała z brzuchem przytkniętym do pni tych drzew, o których powiadano, że miejscowe boginie naznaczyły je jako święte. Gdzie tylko widziała płynącą wodę, tam pokładała się w niej, w nadziei, że życie rzeki udzieli natchnienia życiu ukrytemu w niej. Wypijała takie ilości nalewki na pyłku kwiatowym, że jej język okrył się cały złotym nalotem i wydalala strugi moczu barwy szafranu. Zjadła nawet węża, zwierzę, które rok po roku rodzi samo siebie.

Rzecz jasna gdy ktoś, czy to dorosły, czy też dziecko, znalazł mandragorę - korzeń, który tak bardzo przypomina pobudzonego męża - przynosił ją z miejsca Racheli i wręczał jej z mrugnięciem oka i modlitwą. Pewnego razu Ruben znalazł wyjątkowo duży okaz i przyniósł go swej cioteczce z dumą pogromcy lwów. Ale niestety, mandragora ani trochę nie pomogła łonu Racheli.

W trakcie tych wszystkich starań o własne dziecko Rachela asystowała Innie i została jej uczennicą. Nauczyła się, jak postępować, gdy dziecko rodzi się nogami naprzód, i co robić, gdy pcha się na świat zbyt szybko, a ciało matki jest rozdarte i zaognione. Nauczyła się, jak nie dopuścić, by matka, której dziecko urodziło się martwe, utraciła ducha z rozpacz. I jak otwierać łono matki, która umarła, aby uratować zamknięte w jego wnętrzu dziecko.

Rachela przynosiła swym siostronom opowieści; słuchały jej, płacząc, wzdykając i dziwując się. O matce, która zmarła, i ojcu, który sprzedał dziecko, zanim jej ciało zdążyło ostygnąć. O mężczyźnie, który omdlał przy śmierci swej ukochanej żony. O kobiecie, która opłakiwała krwią zmarłe dziecko. Opowiadała o naporach, które zdawały się działać cuda w przypadku jednej kobiety i zabijały inną, o bezrękim monstrum, które pozostawiono na pastwę chłodnej nocy, by umarło samotnie, o krwi, która zabijała, i krwi, która leczyła.

Były też opowieści triumfalne, o zdrowych bliźniętach, o dziecku, które urodziło się sine, z pępowną oplataną wokół szyi, i przywróconym do życia przez Inne, która wyssała śmierć z nozdrzy maleństwa za pomocą łądygi rzecznej trzciny. Czasami Rachela rozśmieszała siostry, naśladując kobiety, które porykiwały jak lwy, i takie, które wstrzymywały oddech i wołały zemdleć, niż zerknąć.

Rachela stała się ogniwem łączącym je z większym światem. Oprócz opowieści o życiu i śmierci Rachela znosiła nieznanne zioła do przyprawiania jarzyn, receptury na maści leczące rany i jeszcze dziwniejsze remedia na jałowość, które w jej przypadku zawodziły wszystkie bez wyjątku.

Często też powracała z bransoletą, misą albo pasmem wełny - dowodami wdzięczności za jej oddanie przy łożu rodzącej. Dawna

aroganka piękność stała się uzdrowicielką o czułym sercu, wiernie służącą matkom. Płakała przy wszystkich narodzinach, zarówno tych łatwych, szczęśliwych, jak i tych, które kończyły się krzykiem i płaczem. Płakała razem z Ruti i nawet z Leą.

Kiedy nadszedł czas, że Zibatu miała stanąć na ceglach ustawionych przez położną, Rachela w pojedynkę - bez wsparcia Inny - przeprowadziła ją przez cały ten mozół, odcięła pępowinę i zaczerwieniła się z zadowolenia, kiedy wzięła na ręce „swoje” pierwsze dziecko, które nadało jej prawo do miana położnej. Tamtej nocy Lea przygotowała jej posiłek, a Zilpa rozsypała przed nią sól i rozlała wino, uznając jej nowy status jako służki kobiet w imię Anat, uzdrowicielki.

Czas mijał i coraz więcej sług przychodziło żyć z Jakubem i pracować dla niego, a razem z nimi przybywały kobiety, które rodziły dzieci i traciły dzieci. Zibatu urodziła Nasi, ale potem straciła swoje drugie dziecko, dziewczynkę, która przysła na świat dwa miesiące przed czasem. Iltani powiła bliźniaczki, które rozkwitały w oczach, aczkolwiek ona sama zmarła na gorączkę, zanim jej córki poznały twarz matki. Lamasu urodziła syna, Zinriego, ale jej córkę porzucono poza namiotem, aby tam umarła, bo miała zajęczką wargę.

W czerwonym namiocie wiedziałyśmy, że śmierć jest cieniem narodzin, ceną, jaką kobiety płacą za zaszczyt dawania życia. Tak więc nasz smutek miał swoją miarę.

Po narodzinach Judy Lea poczuła zmęczenie. Ona, która zawsze wstawiała najwcześniej i kładła się najpóźniej, która zdawała się najbardziej zadowolona, gdy udawało jej się robić dwie rzeczy naraz (mieszać w garnku i jednocześnie karmić piersią albo mleć ziarno i

doglądać przedzenia), zaczęła się ślaniać popołudniami i widzieć cienie tam, gdzie ich nie było. Inna radziła jej, aby na jakiś czas przestała rodzić; przyniosła jej nasiona kopru i pokazała jej też, jak zrobić z pszczelego wosku krążek pieczętujący wnętrze łona.

Lea odpoczęła. Radowała się krzepą swych synów i co dzień poświęcała im moc czasu, darząc ich pieśczętami i grając z nimi w kamyki. Piekła miodowe ciasto tak jak zawsze i planowała założyć nowy ogród z ziołami, które przyciągnęłyby więcej pszczół do pobliskich uli. Sypiała głębokim, zdrowym snem i wstawiała pogodna każdego ranka.

Lea zapamiętała swe lata ugoru jako czas wielkiego zadowolenia z życia. Dotykała własnymi dłońmi pełni każdego dnia, pomnażając radość ze swych dzieci i przyjemność z pracy. Dziękowała nasionom kopru i mądrości ich używania. Jej ciasto nigdy nie było słodsze niż tamtego roku i odpowiadała ciału Jakuba z żarem, jakiego nie czuła w sobie już od wielu, wielu lat.

- Smak wdzięczności jest jak pszczeli nektar - powiadała, gdy wspominała owe czasy.

Po dwóch latach odstawiła koper i krążek, po czym poczęła kolejnego syna, którego powiła z łatwością i nazwała go Zabulon, bo radowała się zdolnością swego ciała do leczenia się z ran i wydania na świat jeszcze jednego życia. Uwielbiała to nowe dziecko tak samo jak swego pierwородnego. I kiedy wreszcie podała dziecko Jakubowi, by ten je obrzezał, on ucałował jej ręce, bo zobaczył uśmiech na jej twarzy.

Rozdział trzeci

Rachela zapadła się w sobie. Przestała dotrzymywać towarzystwa Innie, gdy ta odbierała porody, i w ogóle nie wstawała pod koców, gdyby Lea nie potrząsała nią i nie przypominała dobitnie, że winna pomóc pozostałym kobietom w pracy. Dopiero wtedy Rachela zabierała się do przędzenia, tkania albo pracy w ogrodzie, robiła to jednak bez słowa i bez uśmiechu. Z tego smutku nie potrafił jej wyrwać nawet Jakub, który w końcu przestał przywoływać ją do siebie na noc, bo tak go zmroziło to nieugięte milczenie. Od przygnębienia Racheli wionęło czymś tak ponurym, że nawet najmniejsze dzieci zaczęły unikać pięknej ciotki. I tak pozostała całkiem osamotniona pośrodku swej czarnej nocy.

Bilha dostrzegła rozpacz Racheli i któregoś razu poszła do niej, gdy ta kuliła się pod kocami. Legła obok starszej siostry i przygarnęła ją do serca delikatnie jak matka.

- Pozwól mi udać się do Jakuba w twoim imieniu - szeptała Bilha tamtej o ucha. - Pozwól mi urodzić syna na twych kolanach. Pozwól mi stać się twym łonem i piersiami. Pozwól mi wylać twoją krew i twoje łzy. Pozwól mi być twoim naczyniem, dopóki nie nadejdzie twój czas. Nie rozczaruję cię.

Rachela nie odpowiedziała. Przez dłuższy czas w ogóle się nie

odzywała. Bilha wręcz się zastanawiała, czy siostra przypadkiem nie spała, kiedy ona mówiła, albo czy nie obraziła jej swoją propozycją. Czekwała na odpowiedź tak długo, że wręcz utraciła pewność, czy te słowa, które od tak dawna gromadziła w sercu, w ogóle opuściły jej usta.

Bilha była jednak przyzwyczajona do milczenia, toteż czekała cierpliwie. W końcu Rachela odwróciła się i ucałowała ją, przygarbiając swą małą siostrzyczkę do siebie, czerpiąc otuchę z jej ciepła.

- I te łzy, które wtedy wylała, nie były już ani gorzkie, ani nawet słone - rzekła Bilha - tylko tak słodkie jak deszczowa woda.

Bilha dobrze wiedziała, że choć jej propozycja uczyniona Racheli płynnie prosto z serca, to jednocześnie służy jej własnym pragnieniom. Rozumiała tęsknotę Racheli, bo była to także jej tęsknota. Już dawno temu osiągnęła wiek, w którym rodzi się dzieci. Odgłosy cielesnej miłości rozbrzmiewające w ciasnym świecie naszych namiętności wytrącały Bilhę ze snu pośrodku nocy, wzbudzały poruszenie i nie pozwalały znów zasnąć. Pomaganie przy porodach sióstr sprawiło, że sama zapragnęła udziału w wielkiej tajemnicy macierzyństwa, okupionej bólem, ale i odplaconej promiennym uśmiechem i jedwabistą skórą dziecka. Aż czuła ból w piersiach - tak bardzo pragnęła, by ssało je dziecko.

Wiedziona uczciwością Bilha odkryła przed Rachelą wszystkie zakamarki swego serca, przed Rachelą, która znała tę pustkę opisywaną przez siostrę. Razem płakały i zasnęły potem w swych objęciach. Następnego ranka Rachela odszukała Jakuba i poprosiła go, żeby spłodził dziecko z Bilhą, w jej imieniu. Wymuszać tego na nim nie musiała, bo miała prawo do posiadania dziecka Jakuba.

Odpowiedź nie mogła brzmieć inaczej. Jakub zgodził się. (Czemuż miałby się nie zgodzić? Lea karmiła ich najmłodszego syna, a Rachela od wielu miesięcy odwracała się do niego plecami.) I tak oto, już tamtej nocy, przy pełni chłodnego miesiąca, Bilha udała się do Jakuba i wyszła dopiero następnego ranka, już nie panna, ale nie panna młoda.

Dłonie Bilhy nie zostały pomalowane henną, nie przygotowano dla niej uczty, nie wręczano jej podarków. Nie miała też siedmiu dni na poznanie tajemnic Jakubowego ciała i znaczenia jego słów. Kiedy następnego dnia wstało słońce, Jakub powrócił doglądać trzody, a Bilha poszła do Racheli i opowiedziała siostrze wszystkie szczegóły swej nocy. Wiele lat później opowiedziała je mnie.

Po wejściu do namiotu Jakuba rozplakała się i te łzy ją zdziwiły. Dotąd bardzo chciała, by wprowadzono ją w tajniki obcowania z mężczyzną, pragnęła rozewrzeć nogi i poznać odwieczne obyczaje łączące mężczyzn i kobiety. Tymczasem do namiotu męża weszła samotnie, nie odprowadzały jej siostry, nie było ani ceremonii, ani świętowania. Nie miała prawa do rytuałów należnych pannie młodej z wianem i bardzo tego żałowała.

- Jakub był delikatny - wspominała Bilha. - Myślał, że moje łzy są oznaką strachu, więc przytulił mnie, jakbym była dzieckiem, i ofiarował mi bransoletę z wełny. - Czyli nic. Żadnego szlachetnego metalu, kości słoniowej ani czegokolwiek wartościowego. Tylko warkocz upleciony z resztek, przedmiot, jaki potrafi wykonać znużony pastuch, schroniwszy się pod osłonę cienistego drzewa w upalny dzień, z kłębków wełny zaczepionej na kolcach albo walających się po ziemi. Jakub po prostu skręcał brązowe, czarne i mleczne pasma na udzie, aż uzyskał dość materiału na taki sznurek.

Odwiązał go teraz od swego ramienia i przyciął, aby bransoleta pasowała na jej przegub. Żaloszna to była opłata za nową żonę, ale Bilha i tak nosiła tę wełnianą ozdobę jeszcze cały rok, aż któregoś dnia bransoleta się rozpadła i trzecia żona Jakuba nawet się nie zorientowała, gdzie i kiedy zgubiła szczytki. Na myśl o swej bransolecie Bilha uśmiechała się zawsze i gładziła palcem wskazującym miejsce, w którym kawałek sznurka połączył ją z Jakubem.

- Nie powiedział ani słowa, a jednak dodał mi otuchy tym lichym podarkiem i wtedy przestałam płakać. Uśmiechnęłam się do niego. I potem, och, byłam taka śmiała... Ledwie potrafiłam uwierzyć, że to naprawdę ja. Położyłam dłoń na jego przyrodzeniu, a on nakrył moją dłoń swoją. Zadarł moją spódnice i zaczął gładzić mnie po brzuchu i piersiach. Zagrzebał swoją twarz między moimi udami i omal nie zaśmiałam się w głos, gdy poczułam pierwsze drgnienie rozkoszy. Kiedy we mnie wszedł, było tak, jakbym wpadła do stawu, jakby księżyc wyśpiewywał moje imię. Na to właśnie liczyłam i na nic więcej. Spałam w długich ramionach Jakuba, utulona niczym dziecko po raz pierwszy, odkąd obejmowała mnie moja matka, oby jej imię zostało zapisane wśród gwiazd. Tamtej właśnie nocy pokochałam Jakuba.

Bilha opowiedziała to wszystko Racheli. Wysłuchanie tego nie przyszło mojej pięknej ciotce z łatwością, ale nalegała, by Bilha niczego nie pominęła. I młodsza siostra powtarzała swą opowieść tak często, jak Racheli chciała jej słuchać, aż wreszcie wspomnienie o spełnieniu Bilhy stało się wspomnieniem samej Racheli, aż rozkosz i wdzięczność siostry stały się częścią jej uczuć do Jakuba.

Następnego dnia po tym, jak pierwszy raz obcował z Bilhą, Jakub

musiał udać się na dwudniową wyprawę do Karkemisz, gdzie miał dobić targu z pewnym kupcem. Bilha cierpiała podczas jego nieobecności, bo bardzo pragnęła znowu z nim lec. Rachela cierpiała, wiedząc, że Jakub znalazł szczęście z Bilhą. Lea cierpiała, bo czuła się odsunięta od życia sióstr. Zilpa przyglądała się wszystkiemu, mówiła niewiele, za to często wzdychała.

Jakub przywiózł Racheli naszyjnik z paciorków i spędził z nią pierwszą po powrocie noc. Lea jeszcze karmiła, więc podczas następnych miesięcy często wzywał do siebie Bilhę, zwłaszcza kiedy Rachela asystowała przy porodach.

Jakub i jego trzecia żona mało rozmawiali, gdy byli razem, ale ich ciała łączyły się w bardzo szczerych pozach, które obojgu dawały przyjemność i ulgę.

- Jakub twierdził, że dzięki mnie odnajduje spokój - oświadczyła Bilha z niezmierną satysfakcją.

Bilha poczęła. Rachela powitała wieść pocałunkami i radowała się razem z siostrą. Kiedy mijały miesiące i brzuch ciężarnej się powiększał, Rachela dogadzała jej, jak mogła, i prosiła, by Bilha opisywała każde odczucie, każde drgnienie, każdy nastrój. Czy Bilha wie, w którym momencie ukorzeniło się w niej życie? Czy zmęczenie wywołane ciężką odczuwa w kolanach czy raczej w oczach? Czy łaknie soli czy słodczy?

Obie sypiały wtedy pod jednym kocem. Bezpłodna kobieta czuła powolne obrzmiewanie brzucha siostry i narastający ciężar jej piersi. Przyglądała się skórze napinającej się opalonymi pasmami wokół brunatnego brzucha i ud tamtej, zauważała przebarwienia sutków. W miarę jak dziecko w łonie Bilhy rosło, wysysając z niej kolor i siły, Rachela rozkwitała. W obecności Bilhy robiła się miękka i krągła, a

zapadliny, które wyrzeźbił w jej policzkach smutek, zniknęły. Śmiała się i bawiła z siostrzeńcami i innymi dziećmi w obozie. Nieproszona piekła chleb i robiła ser. Żyła w takim zespoleniu z brzemiennością Bilhy, że podczas dziewiątego miesiąca spuchły jej kostki, a kiedy nadszedł czas przyjścia dziecka na świat, Rachelę wezwała Inne, by to ona była położną, dzięki czemu sama mogłaby stanąć za plecami Bilhy podczas porodu, obejmować ją i razem z nią cierpieć.

Na całe szczęście dla Bilhy rozwiązanie przebiegło prędko i równie łatwo jak ciąża. Po całym poranku wypełnionym dyszeniem i pojękiwaniem stanęła na ceglach, a Rachelę przykucnęła tuż za nią. Bilha wsparła łokcie na rozstawionych kolanach Racheli i wszystko odbyło się tak, jakby dwie kobiety dzieliły jedno łono podczas tej strasznej godziny, gdy dziecko wychodziło na świat. Obu im napinały się i czerwieniały twarze, obie krzyczały jednym głosem, kiedy pojawiła się główka. Położna twierdziła potem, że wyglądało to tak, jakby rodziła dwugłowa kobieta; była to, jej zdaniem, jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie widziała w życiu.

Kiedy chłopiec już się urodził i pępowina została odcięta, jako pierwsza tuliła go Rachelę, z oczyma zamglonymi od łez, bardzo długo. Albo tak się wydawało Bilsze, która ugryzła się w język i czekała na chwilę, kiedy to ona obejmie pierwszy płon swego łona. Na moment nie odrywała oczu od Racheli, śledząc każdy jej ruch, gdy ta ocierała krew z główki dziecka i sprawdzała, czy jest całe i bez skazy. Bilha ledwie oddychała, gdy upływały kolejne chwile, a jej ramiona pozostawały puste, ale nic nie mówiła. Zgodnie z prawem jej syn należał do Racheli.

Lata asystowania przy tak wielu porodach wyculiły serce Racheli i z wielkim westchnieniem umieściła chłopczyka w objęciach

Bilhy, gdzie ów podniósł wzrok na twarz swojej matki i uśmiechnął się do jej oczu, zanim wziął do ust jej pierś.

W tym momencie Rachela ocknęła się ze snu i zobaczyła, że to niemowlę nie jest jej dzieckiem. Jej uśmiech zbladł, zwiesiła ramiona, po czym mimo woli oblała dłońmi swe dziewczęce piersi. Inna wyjaśniła Racheli, że jeśli pozwoli dziecku ssać się dostatecznie długo, to ono w końcu znajdzie w niej mleko i ona stanie się jego mleczną matką. Ale Rachela nie wierzyła, by jej ciało było zdolne do podtrzymania życia. Zmuszanie jej syna, który tak naprawdę wcale nie był jej, tylko Bilhy, by karmił się pustą piersią, naraziłoby go na cierpienie. Poza tym Bilha mogłaby się rozchorować i nawet umrzeć, gdyby nie opróżniała piersi; Rachela widywała już takie przypadki. No i kochała siostrę. Miała nadzieję, że dziecko u piersi Bilhy wyrośnie na udanego mężczyznę, tak jak jego matka wyrosła na udaną kobietę.

Rachela pozostawiła Bilhę z jej synem i poszła do Jakuba. Powiedziała mężowi, że dziecku nadano imię Dan, które oznaczało „sąd”. Dla kobiety, która go urodziła, imię Dan miało słodkie brzmienie, ale dla niej, w której imieniu został urodzony, kryło w sobie gorzki posmak.

Oglądanie dziecka w ramionach Bilhy dzień po dniu po raz kolejny wstrząsnęło pewnością siebie Racheli. Była tylko ciotką, postronną obserwatorką, tą, która jest jałowa. Tym razem jednak nie złorzeczyła niebiosom ani też nie katowała sióstr wybuchami gniewu. Siadywała, zbyt nieszczęśliwa, by płakać, pod drzewem akacji, świętym drzewem Inanny, tam, gdzie o świcie zbierają się ptaki. Szła do aszery, padała na twarz przed uśmiechniętą szeroko boginią i szeptała: „Daj mi dzieci, bo inaczej umrę”.

Jakub widział jej cierpienie i przytulał ją do siebie z największą czułością. I po wszystkich tych latach, wszystkich tych nocach, wszystkich poronieniach i zawiedzionych nadziejach, Rachela odkryła wreszcie rozkosz w jego ramionach.

- Doprawdy nie miałam przedtem pojęcia, czego Lea i Bilha tak szukały w łóżu Jakuba - powiedziała Rachela. - Ja zawsze szłam do jego łóża dostatecznie chętnie, ale przeważnie z obowiązku. Kiedy jednak Dan otworzył łono Bilhy, moja namiętność z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu dorównała nareszcie namiętności Jakuba i zrozumiałam ową skwapliwość, z jaką one pokładały się z nim. I wtedy na nowo obudziła się we mnie zazdrość za te wszystkie lata, podczas których tęskniłam za słodyczą szaleństw kochanków.

Rachela i Jakub spędzili razem wiele nocy, zgłębiając świeżo wybuchły między nimi żar, i Rachela znowu poczuła nadzieję. Niektóre położne twierdziły, że rozkosz podgrzewa nasienie i zabija je. Inne jednak mówiły, że dzieci przychodzą tylko wtedy, gdy kobieta się uśmiecha. Taką właśnie wersję przekazała Rachela Jakubowi, by dostarczyć mu natchnienia w jego pieśczętach.

Podczas ostatnich miesięcy ciąży Bilhy Zilpa po raz pierwszy udała się do łóża Jakuba. Nie zaofiarowała siebie tak, jak to uczyniła Bilha, mimo że była co najmniej pięć lat starsza od niej, równa wiekiem Lei, która do tego czasu urodziła pięciu żywych synów.

Zilpa wiedziała, że któregoś dnia do tego dojdzie, i czekała na to z rezygnacją. Jednak w odróżnieniu od Bilhy nigdy by sama nie poprosiła. Lea musiała jej kazać. I w końcu zrobiła to.

- Pewnej nocy, kiedy szłam w świetle księżycy w pełni, zagroziła mi drogę - wspominała Zilpa. - Z początku wydawało mi się, że śnię. Moja siostra sypiała snem równie kamiennym jak Laban i nigdy nie wstawała w środku nocy. Z budzeniem Lei miały kłopot nawet jej dzieci. A tymczasem stała tu teraz, w tej martwocie nocnej pory. Przez dłuższą chwilę szłyśmy tylko w jasnej poświacie księżycy, ręka w rękę. I ja znowu się zastanawiałam, czy to jest naprawdę moja siostra czy może jakiś duch, bo ta kobieta obok mnie milczała, a Lea wszak miała zawsze coś do powiedzenia. W końcu wygłosiła kilka starannie dobranych słów na temat księżycy. Że wprost kocha to białe światło, że zdarza jej się rozmawiać z księżycem i że co miesiąc on wzywa ją po imieniu. Powiedziała też, że księżyc jest jedyną twarzą bogini, która zdaje się dla niej otwarta, bo nakłania ją do napełniania i opróżniania ciała. Moja siostra postąpiła ze mną nadzwyczaj przemyślnie - dodała Zilpa. - Zatrzymała się, spojrzała mi w twarz, ujęła za ręce i zapytała: „Czy jesteś gotowa poćknąć wreszcie księżyc?” Co mogłam rzec? Mój czas już nadszedł.

W rzeczy samej istniała nawet taka możliwość, że Zilpa zbyt długo zwlekała; w rzeczy samej liczyła, że mając dwadzieścia pięć lat, jest już zbyt stara, by rodzić. Sam wiek zresztą nic tu nie znaczył. Rachela była bezpłodna od młodych lat, mimo jej wielkich wysiłków. U Lei zaś, żywej niczym nawodniona gleba, nic nie wskazywało, że kończy już z rodzeniem. Zilpa miała tylko jeden sposób na przekonanie się, co też matka życia chowa dla niej w zanadrzu: musiała się udać do Jakuba i zostać najpośledniejszą z jego żon.

Następnego ranka Lea rozmówiła się z mężem. Bilha zaofiarowała się, że pomaluje dłonie Zilpy henną, ale ta zacisnęła usta i odmówiła.

Jeszcze tej nocy wolnym krokiem powędrowała do namiotu Jakuba i on z nią obcował. Zilpa nie zaczerpnęła żadnej przyjemności z dotyku Jakuba.

- Zrobiłam to, czego ode mnie wymagano - powiedziała takim tonem, że już nikt nie ośmielał się prosić, by powiedziała coś jeszcze.

Nigdy się nie poskarżyła na zaloty Jakuba. On robił, co mógł, by uspokoić jej lęki, tak jak to czynił w przypadku pozostałych żon. Wzywał ją jeszcze wiele razy, starając się ją pozyskać. Prosił, by śpiewała mu pieśni o boginiach, i czesał jej włosy. A jednak nie udało mu się poruszyć Zilpy.

- Nigdy nie potrafiłam pojąć, skąd u mych sióstr ten zapał do obcowania z Jakubem - powiedziała i machnęła ręką ze znużeniem. - To był obowiązek, taki sam jak mielenie ziarna, czyli coś, co męczy ciało, ale jest konieczne, by życie mogło toczyć się dalej. Nie chcę przez to powiedzieć, że się rozczarowałam - dodała. - Ja się po prostu nie spodziewałam, że sama znajdę w tym jakąś radość.

Zilpa poczęła podczas ciąży Bilhy. I niebawem, kiedy już urodził się Dan Bilhy, zaiste mogło się tak wydawać, że Zilpa połknęła księżyc. Przy jej wątej budowie ten brzuch zdawał się ogromny i idealnie krągły. Siostry dokuczały jej, ale Zilpa tylko się uśmiechała. Cieszyło ją, że jest nareszcie wolna od uwagi Jakuba, bo zwyczaj zakazywał mężczyznom sypiania z brzemiennymi kobietami. Szczyciła się swym nowym ciałem i miała cudowne sny o mocy i fruwanii.

Śniło jej się, że powiła córkę, nie ludzkie dziecko, ale jakiegoś odmienca, kobietę-ducha. Wyrośniętą, obdarzoną piersiami. Nie

miała na sobie nic prócz sznurkowej przepaski, zasłaniającej ją od przodu i tyłu. Przemierzała ziemię, wielkimi krokami i wszędzie tam, którądy przeszła, wszędzie, gdzie padły krople jej krwi miesięcznej, wyrastały drzewa.

- Uwielbiałam spać w czasie, gdy spodziewałam się dziecka - wyznała Zilpa. - Jakże daleko podróżowałam pod swymi kocami podczas tych miesięcy.

Kiedy jednak nadszedł czas rozwiązania, dziecko nie spieszyło się z przyjściem na świat i Zilpa cierpiała. Jej biodra były zbyt wąskie i poród trwał całe trzy dni, od zmierzchu do zmierzchu. Zilpa szlochała i darła się, pewna, że jej córka umrze albo że ona sama umrze, zanim zobaczy swoją dziewczynkę, jej Aszrat, bo już wybrała jej imię i przekazała je swym siostronom na wypadek, gdyby nie przeżyła.

Było z nią źle. Wieczorem trzeciego dnia porodu prawie umierała już z bólu, który, mimo że taki silny, jakoś nie zdawał się przybliżyć tego dziecka do świata. W końcu Inna uciekła się do jeszcze nie sprawdzonej mikstury, którą kupiła od pewnego kananejskiego kupca. Wsunęła rękę do upartych drzwi łona Zilpy i natarła je potentną, aromatyczną żywicą, która rychło dokonała dzieła, wrywając wrzask z gardła rodzącej, które do tego czasu tak już ochrypło od jej męki, że brzmiało to nie jak odgłos wydawany przez kobietę, tylko przez zwierzę pochwycone w pułapkę ognia. Inna wyszeptwała fragment inkantacji przeznaczonej dla pradawnej bogini uzdrawiania.

Gulo, przyspiesz te narodziny.

Gulo, zwracam się do ciebie ja, nieszczęsna i oszalała

Boleścią uęczona, twoja służka.

Umiłuj się i usłysz tę modlitwę.

Wkrótce potem siostry wydzwignęły Zilpę na cegły, a Lea stanęła tuż za nią, wspierając narodziny dziecka poczętego w jej imieniu. Zilpa nie znalazła już w sobie żadnych łez, gdy Inna kazała jej przeć. Była spopielała i zimna. Była półżywa i nie miała siły nawet krzyczeć, kiedy dziecko wreszcie przyszło, rozdzierając jej ciało i od przodu, i od tyłu.

Nie była to jednak wymarzona córka, lecz chłopiec, długi, chudy i czarnowłosy. Lea przytuliła siostrę i zapewniła ją, że bogowie musieli jej być bardzo przychylni, skoro dali takiego syna i pozwolili jej przeżyć. Lea nadała chłopczykowi imię Gad, na szczęście, i powiedziała:

- Oby przyniósł ci księżyc i gwiazdy. Oby dał ci bezpieczeństwo w podeszłym wieku.

Ale radość w czerwonym namiocie prędko ustała, bo Zilpa znowu zaczęła krzyżeć. Ból powrócił.

- Ja umieram! Ja umieram! - powtarzała przez łzy, opłakując syna, który miał nigdy nie poznać swej matki. - Będzie żył tak, jak ja żyłam - szlochała - sierota po nałożnicy, nawiedzany przez sny o zimnej, martwej matce. O nieszczęsny! - skowytała. - Nieszczęsny synu nieszczęsnej matki.

Inna i Rachela przykucnęły przy obu bokach rozpaczającej, szukając źródła tego nowego bólu. Inna ujęła rękę Racheli i ułożyła ją na brzuchu Zilpy, pokazując jej drugie dziecko w łonie tamtej.

- Nie poddawaj się jeszcze, mała matko - rzekła Inna do Zilpy. - Tej nocy powijesz bliźnięta. Czyżbyś o tym nie śniła? Marna kapłanka z tej dziewczyny, prawda? - I tu uśmiechnęła się szeroko.

Drugie dziecko przyszło na świat prędko, bo Gad już otworzył mu drogę. Wypadło z łona matki niczym dojrzwały owoc, jeszcze

jeden chłopiec, też ciemny, ale znacznie mniejszy od tego pierwszego.

Ale matka go nie widziała. W ślad za malcem wylała się rzeka krwi i światło w oczach Zilpy zgasło. Inna i Rachela raz po raz pakowały w jej łono wełnę i zioła, aby zatamować krwawienie. Zwilżały jej wargi wodą i silnymi naparami słodzonymi miodem. Śpiewały uzdrawiające hymny i paliły kadzidła, co miało nie dopuścić, aby jej duch wyfrunął z namiotu. Zilpa jednakże leżała na kocu, nie martwa, ale też i nie żywa, przez osiem dni i dłużej. Nic nie wiedziała o obrzezaniu Gada i jej drugiego syna, którego Lea nazwała Aser, na cześć bogini, którą Zilpa najbardziej sobie umiłowała. Chłopców karmiła Lea, Bilha i jedna ze służebnic.

Po dziesięciu dniach Zilpa jęknęła i podniosła ręce.

- Śniło mi się, że mam dwóch synów - wyrzęziła. - Czy tak jest? - Przyniesiono jej dzieci, ciemnoskóre i bardzo żywe. I Zilpa roześmiała się. Śmiech Zilpy należał do rzadko słyszanych dźwięków, ale ich imiona sprawiły, że zaczęła chichotać. - Gad i Aser. Szczęście i bogini. We śnie brzmiało to jak nazwa mitu z dawnych czasów - powiedziała. - A ja byłam Ninmah, pełną wzniosłych uczuć panią, która powiła jedno i drugie.

Zilpa jadła, piła i zdrowiała, aczkolwiek nie mogła karmić synów, piersi jej bowiem wyschły podczas choroby. Ale taki smutek była w stanie znieść. Miała dwóch synów, obu pięknych i silnych; nie żałowała już swej córki ze snu. Dopiero wtedy, gdy podrośli i opuścili jej skrzydła, Zilpa jęła się smucić, że nie ma córki, którą mogłaby uczyć. Ale kiedy tuliła ich w ramionach, czuła jedynie smak matczynej radości, smak najśłodszych łez.

Inna powiedziała jej, że powinna zadbać o to, aby nie rodzić przez co najmniej dwa lata, ale Zilpa nie chciała już nigdy więcej przechodzić przez taki ból. W końcu ofiarowała swej rodzinie aż dwóch synów. Któregoś ranka odszukała Jakuba, zanim ten wyruszył na pastwisko, i powiedziała mu, że jeszcze jedna ciąża byłaby ją niechybnie zabiła. Poprosiła, by o tym pamiętał, kiedy będzie przywoływał którąś z żon do swego łoża, i już nigdy więcej nie spała z Jakubem.

W rzeczy samej Jakub aż zadygotał, kiedy się dowiedział, że spłodził z nią bliźnięta. On sam był jednym z bliźniąt i to nie przyniosło mu nic prócz smutku.

- Zapomnijcie, że ci dwaj dzielili jedno maczyne łono - przykazał.

I tak też się stało, choć nie dlatego, że tak rozkazał Jakub, tylko dlatego, że ci dwaj byli tacy różni. Gad, wysoki i chudy, ze swoimi fletami i bębniem, Aser, ten niski, krzepki rolnik, który odziedziczył rękę swego ojca do zwierząt.

Również Lea powiła bliźnięta - Neftalego i Issachara. W odróżnieniu od bliźniąt Zilpy jednakże chłopcy ci byli tak do się podobni jako dzieci, że nawet ich matka nie zawsze potrafiła ich odróżnić. Jedyne Bilha, która umiała dostrzec każdy liść na drzewie w jego własnym świetle, nigdy nie dała się zwieść tym dwóm, którzy kochali się wzajem tym rodzajem cichej harmonii, której nie poznali żadni z moich pozostałych braci.

Biedna Bilha. Po Danie wszystkie jej dzieci, chłopiec i dwie dziewczynki - umierały, jeszcze zanim zdążyła odstawić je od piersi. Nigdy jednak nie dopuściła, by smutek zatruł jej serce i zamiast tego kochała wszystkich nas pozostałych.

Jakub miał teraz cztery żony i dziesięciu synów, jego imię zaś zyskało rozgłos pośród mężczyzn z okolicy. Ojcem był dobrym i zabierał synów na wzgórze, gdy już byli w stanie nieść swoją wodę, i uczył ich obchodzenia się z owcami i kozami, tajników utrzymywania dobrych pastwisk, obyczajów towarzyszących długim wędrówkom, posługiwania się procą i włócznią. Tu także, z dala od namiotów ich matek, opowiedział im straszliwą historię swego ojca, Izaaka.

Kiedy Jakub i jego synowie zostawali na oddalonych pastwiskach, by pełnić straż tam, gdzie widziano szakala, lub też zwyczajnie po to, by rozkoszować się chłodnym powietrzem w skwarne letnie noce, opowiadał swym synom o tym, jak jego dziadek, Abram, związał Izaaka za ręce i nogi, a potem przyłożył nóż do gardła chłopca, aby złożyć Elowi ofiarę ze swego ukochanego syna. El był jedynym bogiem, przed którym Jakub bił pokłony - zazdrosnym, tajemniczym bogiem, zbyt straszliwym (tak mówił), aby ludzkie ręce mogły ulepić jego podobiznę, zbyt wielkim, by dał radę się zmieścić w jakimkolwiek miejscu - nawet w miejscu tak wielkim jak niebo. El był bogiem Abrama, Izaaka i Jakuba, dlatego więc Jakub życzył sobie, by jego synowie też zaakceptowali Ela jako swego boga.

Gdy przychodziło do słów, był Jakub niczym ten tkacz, który potrafi uwikłać spragnioną widownię w przędzę swej opowieści, gdy tak opowiadał o połyskliwym nożu i wytrzeszczonych strachem oczach Izaaka. Ratunek przyszedł w dosłownie ostatnim momencie, kiedy nóż był już przy gardle chłopca i kropla krwi ściekała mu po szyi, dokładnie tak jak łyż z rozjarzonych oczu Abrama. W tym właśnie momencie jakiś ognisty duch przytrzymał dłoń starca i sprowadził

śnieżnobiałego barana, który miał zostać oddany w ofierze zamiast Izaaka. Ruben i Symeon, Lewi i Juda przyglądali się ręce ojca, wyciągniętej na tle gwiazdzistej nocy, i dygotali na myśl o tym, że oni mogliby zostać złożeni na ołtarzu.

- Bóg moich ojców jest miłosierny - rzekł Jakub. Kiedy jednak Zilpa usłyszała całą rzecz od swych synów, powiedziała:

- A cóż to za miłosierdzie, straszyć tak biednego Izaaka? Bóg twego ojca jest może wielki, ale i okrutny.

Wiele lat później, kiedy synowie Jakuba poznali wreszcie tego chłopca z opowieści, wówczas już starego człowieka, byli poruszeni, słysząc, jak Izaak się jąka, jakby wciąż się trwożył przed ojcowskim nożem.

Synowie Jakuba uwielbiali swego ojca, a jego sąsiedzi szanowali go za osiągnięcia. Jego samego jednakże przepełniał niepokój. To Laban był właścicielem wszystkiego, co Jakub osiągnął - stad, sług i ich rodzin, owoców z ogrodu, wełny na handel. Nie był też Jakub samotny w swej odrazie wobec Labana. Lea, Rachela, Bilha i Zilpa irytowały się władzą ojca, który w miarę upływu lat zdawał się coraz bardziej nieokrzesany i arogancki. Traktował własne córki niczym niewolnice i poszturchiwał ich synów. Czerpał zyski z ich pracy bez słowa podziękowania. Szydził ze służebnic, które musiały przekupywać go piwem, aby ująć przed jego pożądlivością. Nie było dnia, by w jakiś sposób nie znęcał się nad Ruti.

Cztery siostry rozmawiały o tych sprawach w ukryciu czerwonego namiotu, do którego zawsze wchodziły dzień wcześniej niż inne mieszkanki obozu. Być może ich pierwsze wspólne lata, kiedy to były jedynymi kobietami w obozie, wytworzyły w ich ciałach nawyk, który przywoływał strumień krwi na kilka godzin przed

służebnicami. Albo może była to zwyczajnie potrzeba ich serc, aby spędzić dzień we własnym towarzystwie. W każdym razie służebnice nie narzekały, a zresztą nie uchodziło, by coś mówiły. Poza tym żony Jakuba zawsze witały je łakociami, kiedy tamte przychodziły celebrować nadejście nowego księżycy i spoczywać na słomie.

Ruti nic nie mówiła, ale czyniła im wymówki swymi podbitymi oczyma i sińcami. Ruti, która nie była starsza od Lei, na ich tle wydawała się nadzwyczaj wynędzniała. Dopóki rodziła synów, Laban traktował ją dobrze - ten koziół o twardych pięściach kupował nawet bransolety, by mogła zdobić swe nadgarstki i kostki. Kiedy jednak przestała rodzić, zaczął ją bić i obrzucać wyzwiskami tak paszkodnymi, że moje matki za nic nie chciały ich powtórzyć na mój użytek. Ramiona Ruti obwisły z rozpacz, a kilka jej zębów połamało się od siły ciosów Labanowych pięści. Mimo to wciąż wykorzystywał jej ciało do zaspokojenia własnej przyjemności, na myśl o czym moje matki aż się wzdrygały.

Żony Jakuba współczuły tamtej, ale nie przyjęły jej do swego kręgu. Ruti była matką rywali ich synów, a więc ich wrogiem. Niewolnice widziały, że siostry trzymają się z dala od tamtej, i brały przykład. Nawet synowie Ruti naśmiewali się z niej i traktowali ją jak psa. Tak więc osamotniona trzymała się na uboczu. Po czasie stała się takim złachmanionym kłębkim nieszczęść, że już nikt jej nie dostrzegał. Kiedy przyszła do Racheli, rozpaczliwie szukając pomocy, wyglądała bardziej jak duch niż kobieta.

- Błagam cię, o pani. Daj mi ziół, abym mogła pozbyć się dziec-
ka, które noszę w sobie - wyszeptwała lodowatym, beznamiętnym

sykiem. - Już raczej wolałabym umrzeć, niż ofiarować mu jeszcze jednego syna, a jeśli będzie to dziewczynka, utopię ją, nim dorośnie, by znieść cierpienia z jego rąk. Dopomóż mi przez wzgląd na synów twego męża - błagała Ruti, głosem jakby zza grobu. - Bo ja wiem, że nie zrobisz tego dla mnie. Nienawidzisz mnie, wszystkie mnie nienawidzicie.

Rachela przekazała siostrze słowa Ruti; wysłuchały ich w milczeniu i zdjął je wstyd.

- Potrafisz to zrobić? - spytała Lea.

Rachela machnęła ręką, odrzucając pytanie jako niegodne zastanowienia. Nie była to trudna sprawa, tym bardziej że Ruti była dopiero w pierwszym miesiącu.

Oczy Bilhy płonęły.

- Nie jesteśmy lepsze od niego, pozwalając jej cierpieć w pojedynkę, nie dając żadnej pociechy, nie udzielając wsparcia.

Zilpa zwróciła się wtedy do Racheli, pytając:

- Kiedy to zrobisz?

- Musimy poczekać na następny nowy księżyc i przyjście wszystkich kobiet - odparła Rachela. - Laban jest zbyt głupi, aby cokolwiek podejrzewać. Moim zdaniem nawet najsubtelniejsza spośród nich nie zdaje sobie sprawy z tego, co my wiemy i robimy między sobą, ale lepiej uważać.

Z pozoru siostry nie zmieniły sposobu, w jaki traktowały Ruti. Nie odzywały się do niej ani nie okazywały jej specjalnej dobroci. Ale nocą, kiedy Laban już chrapał, jedna z czterech odszukiwała ją, tuliła na jej brudnym kocu w zakamarku namiotu i karmiła rosółem albo chlebem z miodem. Zilpa traktowała cierpienie Ruti jak własne. Nie mogła znieść pustki w oczach tamtej ani też rozpacz, która

unosila się wokół niej niczym mgła ze świata zmarłych. Nabrała zwyczaju odwiedzania jej każdej nocy i szeptania słów zachęty do uszu Ruti, ale ona tylko tam leżała, głucha na wszelkie nadzieje.

W końcu ubył księżyc i wszystkie kobiety weszły do czerwonego namiotu. Lea stanęła przed niewolnicami i skłamała z czystym sercem:

- Ruti zachorowała. Jej krew się opóźnia, brzuch ma gorący i obawiamy się, że tej nocy poroni. Rachela robi, co w jej mocy, postara się ziołami i zaklęciami uratować dziecko. Pozwólcie, że zajmiemy się naszą siostrą Ruti.

Już po kilku chwilach jednak stało się oczywiste dla większości, że zabiegi Racheli nie mają na celu ratowania dziecka, lecz pozbycie się go. Przyglądały się, z drugiego krańca czerwonego namiotu, nie tykając ni wina, ni placków, gdy Rachela sporządzała ziołowy odwar, który Ruti wypija potem w milczeniu.

Leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Zilpa mruzczała imiona Anat uzdrowicielki i pradawnej Guli, która wspomaga rodzące kobiety, a Rachela tymczasem szeptała słowa pochwał dla Ruti, której odwaga objawiała się, w miarę jak upływała ta noc.

Kiedy zioła zaczęły działać, powodując straszliwe, rozdzierające skurcze, Ruti nie wydała z siebie żadnego dźwięku. A kiedy popłynęła krew, czarna i pełna skrzepów, Ruti nawet nie rozchyliła warg. Mijały godziny, krew lała się ciurkiem, a ona wciąż milczała. Rachela wiele razy zatykała łono Ruti wełną, aż wreszcie było po wszystkim.

Żaden mężczyzna nigdy się nie dowiedział, co zaszło tamtej nocy. Żadne dziecko nie wypaplało tajemnicy, bo żadna z kobiet nigdy nie uchyliła jej rąbka, dopóki Zilpa nie przekazała mi całej historii. A wtedy było to już tylko echo zza grobu.

Moja matka opowiadała mi, że po narodzinach jej synów bliźniaków postanowiła raz na zawsze skończyć z rodzeniem. Piersi miała jak stara kobieta, obwisł jej brzuch i co rano bolał ją grzbiet. Myśl o jeszcze jednej ciąży napawała ją strachem i znów zaczęła pić koper, aby nasienie Jakuba nie zapuściło w niej korzeni.

Ale tak się zdarzyło, że dostawy nasion kopru ustały, bo Inna wyjechała daleko na północ. Mijały miesiące i wciąż nie wracała ze swymi mieszkaniami pełnymi ziół. Lea wypróbowała stary środek - nasączała kłębek wełny w zjełczałej oliwie z oliwek i umieszczała go w ujściu swego łona, zanim legła z Jakubem. Jej wysiłki okazały się jednak płonne i po raz pierwszy wiedza o życiu, które ma w sobie, przysięgnęła ją.

Lea nie chciała iść z tym kłopotem do Racheli, której łaknienie posiadania własnego dziecka nie ustało. Ta płodna żona starała się nie urazić uczuć jałowej siostry poprzez utrzymywanie szacownego dystansu. Obie zresztą dzieliły między sobą obowiązki głównej żony. Lea doglądała tkania i gotowania, ogrodu i dzieci. Rachela, wciąż piękna i smukła w talii - służyła mężowi i zajmowała się kupcami, którzy przybywali do obozu. Spełniała potrzeby Jakuba, a że jej umiejętności uzdrowicielki wciąż rosły, leczyła też bóle i przypadłości mężczyzn, kobiet, a nawet zwierząt.

Porody i nowy księżyc ściągnęły obie kobiety razem do czerwonego namiotu. Ale Lea spała z twarzą zwróconą do zachodniej ściany, podczas gdy Rachela wtuliła się we wschodnią i rozmawiały ze sobą jedynie za pośrednictwem swych sióstr: Lea przez Zilpę, Rachela przez Bilhę.

Lea nie miała już żadnego wyboru. Inna nie wróciła i tylko Rachela знаła się na ziołach, modłach, właściwym masażu. Oprócz niej nie miała kogo poprosić.

Kiedy Rachela wyszła, by odebrać poród w sąsiednim obozie, Lea użyła jakiejś wymówki, że musi nanieść wody, i przyspieszyła kroku, aż wreszcie zrównała się z Rachelą. Policzki Lei płonęły i oczy miała spuszczone, kiedy prosiła siostrę, aby pomogła jej tak, jak pomogła Ruti. Rachela zaskoczyła ją delikatnością swej odpowiedzi.

- Nie pozbywaj się córki - poradziła. - Nosisz w sobie dziewczynkę.

- W takim razie ona umrze - odparła Lea, odruchowo przypomniawszy sobie poronienia Racheli. (Inna twierdziła, że były to same dziewczynki.) - I nawet jeśli ona jeszcze żyje, to nie pozna swej matki, bo ja jestem już na poły martwa od tego ciągłego rodzenia.

Rachela jednakże przekonywała ją w imieniu wszystkich sióstr, które od dawna odkładały swoje skarby dla córki.

- Zrobimy dla ciebie wszystko, bylebyś tylko donosiła naszą córkę, Leo - powiedziała, nazywając ją jej imieniem, po raz pierwszy, jak daleko ta sięgała pamięcią. - Zgódź się, proszę - dodała i zagroziła żartobliwie: - Zrób, co mówię, bo inaczej powiem o wszystkim Zilpie. Ona zatruje ci życie niczym wzgardzona bogini, jeśli odkryje twoje plany.

Lea roześmiała się i ustąpiła, bo wciąż z całego serca pragnęła mieć córkę.

Kiedy jeszcze spałam w łonie mej matki, ukazywałam się i jej, i każdej z moich ciotek w nadzwyczaj wyraźnych snach.

Bilha śniła o mnie pewnej nocy, gdy leżała w ramionach Jakuba.

- Widziałam cię w białej szacie z cienkiego lnu, okrytą długą kamizelą z niebieskich i zielonych paciorków. Włosy miałas zaplecione w warkocze i niosłaś piękny koszyk przez pastwisko, zieleńsze

niż wszystkie, jakie kiedykolwiek widziałam. Szłaś pomiędzy królowymi, a jednak byłaś sama. Racheli przyśniły się moje narodziny.

- Wyszłaś z łona matki z otwartymi oczyma i ustami pełnymi idealnie równych zębów. Wyślizgując się spomiędzy jej nóg, mówiłaś: „Witajcie, matki. Jestem tu nareszcie. Czy znajdzie się coś do zjedzenia?” Rozśmieszyłaś nas tym. Przy twoich narodzinach pomagały setki kobiet, niektóre w zamorskich strojach o szokujących barwach i z ogolonymi głowami. Wszystkie śmiałyśmy się i śmiałyśmy. Ja śmiałam się nawet wtedy, gdy już się obudziłam, w samym środku nocy.

Moja matka, Lea, twierdziła, że śniłam jej się co noc.

- Ty i ja szeptałyśmy do siebie jak stare przyjaciółki. Byłaś bardzo mądra, mówiłaś mi, co mam jeść, by uspokoić zdenerwowany żołądek, jak zakończyć waśń między Rubenem i Symeonem. Opowiedziałam ci wszystko o Jakubie, twoim ojcu, i o twoich ciotkach. Ty opowiedziałas mi o tej drugiej stronie świata, gdzie nie ma podziału na ciemność i światło. Byłaś mi tak dobrym towarzyszem, że za nic nie chciałam się budzić. Jedna rzecz mnie niepokoiła w tych snach - powiedziała moja matka. - W ogóle nie widziałam twojej twarzy. Zawsze stałaś za mną, tuż za moim lewym ramieniem. I za każdym razem, kiedy się odwracałam, żeby zobaczyć cię choćby przelotnie, znikaaś.

Sny Zilpy nie były przepełnione śmiechem ani serdecznymi spotkaniami. Twierdziła, że widziała mnie, jak wylewałam z oczu rzekę krwi, z której potem rodziły się płaskie zielone potwory: ich rozwarste paszcze ziały rzędami ostrych zębów.

- Ty jednak wcale się ich nie bałaś - opowiadała Zilpa. - Szłaś po ich grzbietach, osławiając ich brzydotę, a potem znikaaś w słońcu.

Na świat przyszedłam podczas pełni, wiosną, która wrażyła się dobrze w pamięć ze względu na wielką liczbę urodzonych jagniąt. Zilpa stała po lewej ręce mojej matki, gdy tymczasem Bilha wspierała ją od prawej. Towarzyszyła im Inna, która chciała być na miejscu podczas tego świętowania i złapać łożysko do swego antycznego wiadra. Ale Lea poprosiła Rachelę, by to ona odebrała poród i złapała mnie.

Poród był łatwy. Po tych wszystkich chłopcach, którzy urodzili się przede mną, ja zjawiłam się szybko i całkiem bezboleśnie. Byłam duża - tak duża jak Juda, największy z moich braci. Inna obwieściła, że jestem „córką Lei”, głosem pełnym satysfakcji. Tak jak każdemu swemu dziecku, matka spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się, widząc, że oba są brązowe, tak jak oczy Jakuba i wszystkich jej synów.

Rachela oczyściła mnie, a potem podała Zilpie, która mnie objęła, a potem Bilsze, która też mnie ucałowała. Ujęłam pierś mojej matki złąknionymi ustami i wszystkie kobiety z obozu nagrodziły Leę i mnie oklaskami. Bilha nakarmiła swą siostrę mlekiem z miodem i ciastem. Umyła jej włosy perfumowaną wodą i wymasowała stopy.

Kiedy Lea spała, Rachela, Zilpa i Bilha wyniosły mnie na światło księżyca i pomalowały moje stopy i dłonie henną, jakbym była panną młodą. Wypowiedziały dla mnie sto błogosławieństw, na północ, południe, wschód i zachód, aby ochronić mnie przed Lamasztu i innymi demonami, które porywają dzieci. Obdarzyły mnie tysiącem pocałunków.

Rankiem moja matka zaczęła odliczać dwa cykle księżycowe w czerwonym namiocie. Po urodzeniu chłopca matki odpoczywały od jednego księżycyca do następnego, jednak narodziny tej, która sama potem miała rodzić, wymagały dłuższego okresu rozłączenia ze światem mężczyzn.

- Ten drugi miesiąc był taki rozkoszny - powiedziała mi matka. - Moje siostry traktowały nas obie jak czyjeś królowe. Nie zostawiano cię samej nawet na moment. Zawsze znajdowały się jakieś ramiona chętne cię nosić, tulić, obejmować. Nacieraliśmy twoje ciało oliwą każdego ranka i wieczora. Śpiewaliśmy ci piosenki do uszu, ale nie gaworzyliśmy przy tobie ani nie paplałyśmy bez sensu. Mówiąc do ciebie, używałyśmy całego naszego zasobu słów, jakbyś była naszą dorosłą siostrą, a nie dziewczynką w powijakach. I zanim skończyłaś rok, odpowiadałaś nam bez śladu dziecięcego seplenienia.

Kiedy tak podawały mnie sobie z rąk do rąk, od matki do kolejnych ciotek, wszystkie roztrząsały kwestię mojego imienia. Była to rozmowa bez końca i każda kobieta argumentowała za swoim ulubionym imieniem, które od dawna miała nadzieję nadać córce z własnego łona.

Bilha zaproponowała, by nazwać mnie Adani, na cześć mojej babki Ady, która kochała je wszystkie. To sprowokowało długą sesję wdychań i wspominek o Adzie, która wszak tak by się cieszyła wszystkimi swoimi wnukami. Ale Zilpa martwiła się, że takie imię wywołałoby zamęt wśród demonów, które mogłyby przyjść po mnie, pomyślawszy, że ja to Ada, która uciekła ze świata podziemi.

Zilpie podobało się imię Iszara - które czciło boginię i dawało się łatwo rymować. Planowała ułożyć wiele pieśni na moją cześć. Bilse jednak nie podobało się jego brzmienie.

- Ono przywodzi na myśl kichnięcie - powiedziała.

Rachela zaproponowała Bentresz, hetyckie imię, które poznała od żony jakiegoś kupca.

- Ono brzmi jak muzyka - stwierdziła.

Lea słuchała ich wszystkich, ale kiedy siostry za bardzo się roznamiętniły tymi argumentami na rzecz wybranego przez każdą z nich imienia bądź co bądź jej córki, zagroziła, że nazwie mnie Lillu, którego to imienia nienawidziły wszystkie.

Podczas drugiej pełni po moich narodzinach Lea znowu połączyła się z mężem i podała mu moje imię. Powiedziała mi, że sama je sobie wybrałam.

- Podczas moich sześćdziesięciu dni szeptalam do twojego maleńkiego uszka kolejno wszystkie imiona zaproponowane przez moje siostry. Każde imię, jakie kiedykolwiek usłyszałam, a nawet kilka takich, które sama wymyśliłam. Kiedy jednak wymówiłam imię „Dina”, wypuściłaś moją pierś z ust i spojrzałaś na mnie. I takim to sposobem zostałam Diną, ostatnim dzieckiem, które urodziłam. Moja córeczka. Pamięć o mnie.

Józef został poczęty tuż po moich narodzinach. To Rachela udała się do Jakuba z wieścią, że nareszcie spłodził zdrową dziewczynkę. Oczy jej lśniły, kiedy mu o tym opowiadała, i Jakub uśmiechnął się, widząc, jak jego bezpłodna żona cieszy się dzieckiem Lei. Tamtej nocy, gdy już uradowali się sobą w ten delikatny sposób właściwy długoletnim małżonkom, Racheli przyśnił się jej pierwszy syn i obudziła się z uśmiechem na ustach.

Nie wtajemniczyła żadnej z sióstr, kiedy nie przysłała jej miesięczna krew. Liczne fałszywe oznaki i przedwczesne straty prześladowały ją i dlatego mocno strzegła swej tajemnicy. Wraz z nadejściem nowego księżycy udała się do czerwonego namiotu i zmieniła

słomę, udając, że ją zanieczyściła. Była tak szczupła, że lekkie przybranie ciała w pasie nie zostało zauważone przez nikogo oprócz Bilhy, która zachowała to dla siebie.

W czwartym miesiącu Rachela poszła do Inny, która powiedziała jej, że znaki wróżą temu chłopcu pomyślnie, i Rachela nabrała nadziei. Pokazała swój obrzmiały brzuch siostrom, które zatańczyły dookoła niej. Przyłożyła dłoń Jakuba do pagórka swego łona. Ojciec dziesięciu synów zapłakał.

Rachela zaczęła się garbić. Jej drobne piersi zrobiły się pełne i bolesne. Kształtne dotąd tydki spuchły. Nie znajdowała jednak nic oprócz zadowolenia w skargach karmiących kobiet. Ze śpiewem na ustach doglądała ognisk, na których gotowano strawę, i brała do ręki wrzeciono. Jej rodzina dziwowała się, słysząc słodycz w jej głosie, którego nigdy przedtem nie słyszeli w pieśni. Jakub sypiał z Rachelą każdej nocy jej odmiennego stanu, co stanowiło wstrząsające naruszenie zwyczaju i jawne zaproszenie dla demonów. Nie chciał jednak słuchać ostrzeżeń i Rachela, w miarę jak stawała się coraz cięższa, upajała się jego atencją.

W ósmym miesiącu zaczęła chorować. Skóra jej zbladła i wypadały włosy. Ledwie była w stanie ustać, żeby od razu nie zemdleć. Gdy strach pożarł jej nadzieję, wezwała Inne, która kazała jej się posilać tęgimi rosółami gotowanymi na baranich i byczych kościach. Kazała też dużo wypoczywać i przychodziła w odwiedziny do swej przyjaciółki tak często, jak tylko mogła.

Inna przyszła do porodu Racheli. Dziecko było ułożone nóżkami w dół i na długo przed tym, zanim się pojawiło, popłynęła krew.

Wysiłki Inny, aby obrócić dziecko, naraziły Rachelę na straszliwy ból; krzyczała tak żałośnie, że wszystkie dzieci w obozie wybuchły płaczem, słysząc te dźwięki. Jakub usiadł na barnie i wpatrując się w twarz bogini, zastanawiał się, czy nie powinien złożyć jej jakiejś ofiary, mimo iż przecież przyrzekł czcić kult jedynie boga swego ojca. Wpił się rękami w trawę i tak trwał, aż w końcu nie mógł już wytrzymać krzyku Racheli i uciekł na odległe pastwisko, gdzie został, dopóki nie urodziła.

Minęły całe dwa dni, zanim posłano po niego Rubena. Dwa straszne dni, podczas których Lea, Zilpa i Bilha żegnały się kolejno z Rachelą, bo zdawało się pewne, że ona umrze.

Inna jednak nie rezygnowała. Dała Racheli każde zioło i każde lekarstwo, jakie miała w swych mieszkach. Wypróbowała kombinacje, których nie używał żaden zielarz. Mruczała sekretne modlitwy, mimo że tajemnice magicznych słów i zaklęć były jej obce.

Rachela się nie poddawała, tylko walczyła o pragnienie serca, którego wypierała się od piętnastu lat. Walczyła jak zwierzę, przewracała oczami, cała zalana strugami potu. Nawet po trzech dniach i trzech nocach nie wezwała śmierci, by przyszła ją uwolnić od tej udręki.

- Była godna najwyższego podziwu - stwierdziła Zilpa.

W końcu Inna zmusiła dziecko, by się obróciło. Ale ten wysiłek jakby poluznił coś w rodzącej; jej ciałem owładnęła drżączka, która za nic nie chciała odejść. Oczy jej się zapadły, a kark tak zesztyniał, że zdawała się patrzeć w tył. Jakby demony opanowały jej ciało. Nawet Inna wydała okrzyk zdumienia.

I wtedy wszystko się skończyło. Ciało Racheli uwolniło się z uścisku śmierci, pojawiła się główka dziecka i Rachela znalazła w sobie ostatnią krzyknę siłę, by wypchnąć je na zewnątrz.

Był mały, a na głowie miał wielką szopę włosów. Dziecko jak każde, pomarszczone, znajome i śliczne. A co najwspanialsze, należało do Racheli. W namiocie zapanowało milczenie, bo wszystkie kobiety płakały łzami wdzięczności. Inna, nie mówiąc ani słowa, przecięła pępownię i Bilha złapała łożysko. Lea obmyła Rachelę, a Zilpa oczyściła dziecko. Westchnęły i otarły oczy. Rachela miała żyć i patrzeć, jak jej dziecko dorasta.

Rachela zdrowiała powoli, ale nie była w stanie karmić. Trzy dni po narodzinach Józefa jej piersi stały się twarde i gorące. Ciepłe kompresy łagodziły ból, ale mleko wyschło. Lea, która w tamtym czasie właśnie karmiła mnie, brała do piersi również Józefa. Zadawiony gniew Racheli gorzał wtedy, ale zniknął, gdy odkryła, że Józef to kapryśne dziecko, które krzyczy i wierzga nogami, dopóki nie znajdzie się w objęciach własnej matki.

Część druga

MOJA HISTORIA

Rozdział pierwszy

Wcale nie jestem tak do końca przekonana, czy moje najwcześniejsze wspomnienia rzeczywiście są moje, bo kiedy je przywołuję, każde ze słów owiewa oddech moich matek. Pamiętam jednak smak wody ze studni, roziskrzonej i zimnej, na moich mlecznych zębach. I mam też pewność, że zawsze, kiedy się potykałam, musiały mnie łapać czyjeś silne ręce, bo nie przypominam sobie, bym w najwcześniejszych latach życia była kiedykolwiek samotna albo czymś przestraszona.

Tak jak każde ukochane dziecko, wiedziałam, że jestem najważniejszą osobą w świecie mojej matki. Najważniejszą nie tylko dla matki, Lei, ale również dla ciotek-matek. Wszystkie wprawdzie uwielbiały swoich synów, a jednak to mnie właśnie stroiły i zabawiały, kiedy chłopcy urządzali sobie zapasy w błocie. To właśnie mnie zabierały do czerwonego namiotu jeszcze długo po tym, jak już odstawiono mnie od piersi.

Moim nieodłącznym towarzyszem w owych czasach był maleńki Józef, mój mleczny brat z początku, a potem najprawdziwszy przyjaciel od serca. Miał osiem miesięcy, kiedy pierwszy raz wstał i podszedł do mnie, do miejsca przed namiotem mojej matki, które sobie szczególnie upodobałam. Ja sama, choć byłam o wiele miesięcy starsza,

jeszcze nie stałam pewnie na nogach, prawdopodobnie dlatego, że ciotki lubiły mnie nosić. Józef wyciągnął do mnie ręce i wtedy wstałam. Podobno w podzięce za to, że nauczył mnie chodzić, ja nauczyłam go mówić; tak przynajmniej twierdziła później Lea. Józef zaś chętnie wszystkim opowiadał, że pierwsze wypowiedziane przez niego słowo brzmiało „Dina”, choć Rachela zapewniała mnie, że to pierwsze słowo brzmiało „Ema”, czyli mama.

Nikt nie pomyślał, że Rachela urodzi jeszcze jedno dziecko po tych wszystkich okropnych przejściach, jakie miała z Józefem, tak więc on i ja byliśmy tak traktowani, jak to się należy ostatniemu owocowi łona głównej żony. Zgodnie ze zwyczajem, znanym od najdawniejszych czasów, najmłodsze dziecko dziedziczyło błogosławieństwo matki i ojcowie dostosowywali się do tego, w ten czy inny sposób. Jednak Józefa i mnie obsypywano pieścizotami i psuto, bo byliśmy jeszcze małymi dziećmi - najmłodszymi dziećmi naszych matek i przedmiotem dumy naszego ojca. Ale też byliśmy ofiarami naszych starszych braci.

Wiek podzielił dzieci Jakuba na dwa odrębne plemiona. Ruben, Symeon, Lewi i Juda w czasie, gdy poznawałam ich imiona, byli już prawie mężczyznami. Często przebywali poza obozem, bo pilnowali stad razem z naszym ojcem, a że tworzyli jednolitą grupę, nie bardzo potrzebowali nas, malców. Ruben był z natury miły dla dzieci, ale unikaliśmy Symeona i Lewiego, którzy naśmiewali się z nas i dokuczali Talemu i Issie, bliźniakom. „Skąd wiecie, który z was jest który?”, drwił Lewi. Symeon był jeszcze gorszy: „Jeśli jeden z was umrze, wasza matka nie będzie nosiła żałoby, bo zostanie jej jeszcze ten drugi, dokładnie taki sam”. Słyszac to, Tali zawsze płakał.

Odnosiłam wrażenie, że Juda przygląda się naszym zabawom z tęsknotą. Był o wiele za duży, żeby przestawać z nami, ale jako najmłodszy ze starszych braci najmniej się pośród nich liczył i cierpiał z tego powodu. Często brał mnie na barana i nazywał swoją Achatą, czyli małą siostrzyczką. Pośród tych wszystkich dużych chłopców ceniłam go najbardziej.

Z początku przywódcą nas, maluchów, był Zabulon, który zapewne znęcałby się nad nami, gdybyśmy go tak bardzo nie podziwiali i nie okazywali mu posłuszeństwa całkiem dobrowolnie. Zabulon znalazł sobie prawą rękę w osobie Dana, który, jak przystało na dziecko Bilhy, był lojalny i sympatyczny. Gad i Aser z kolei byli dzicy, uparci i zbyt swarliwi jak na dobrych towarzyszy zabaw, ale jakże zabawnie potrafili przedrzeźniać! - naśladowali ociężały krok i bełkotliwą pijacką mowę Labana z taką złośliwą dokładnością, że wybaczyliśmy im wszystko w zamian za takie przedstawienie. Nefali, którego nigdy nie nazywano inaczej niż Tali, i Issahar, czyli Issa, starali się podporządkować sobie mnie i Józefa, bo byli blisko dwa lata starsi. Nazywali nas dzieciuchami, ale chwilę później przyłączali się do nas, podrzucając kamyk w powietrze, by sprawdzić, ile innych kamyków jesteśmy w stanie zebrać tą samą ręką. Była to nasza ulubiona zabawa, dopóki nie zaczęłam chwytac dziesięciu kamyków, podczas gdy oni tylko pięć. Wtedy stwierdzili, że to gra dobra tylko dla dziewczyn, i już nigdy więcej do niej nie zapraszali.

Zanim ukończyliśmy sześć lat, Józef i ja stanęliśmy na czele młodszej grupy, bo byliśmy najlepsi w wymyślaniu różnych historii. Nasi bracia przenosili nas na rękach od studni do namiotu mojej

matki i kłaniali się nisko przede mną, ich królową. Udawali, że umierają na rozkaz Józefa, ich króla, który wskazywał ich palcem. Wysłaliśmy ich na bitwy z demonami, z których mieli wracać z wielkimi bogactwami. Koronowali nasze głowy girlandami z chwastów i całowali nas po rękach.

Dobrze pamiętam ten dzień, w którym cała zabawa się skończyła. Tali i Issa wypełniali właśnie moje polecenia, piętząc kamyki na stosie; miał to być niby ołtarz na moją cześć. Dan i Zabulon wachlowali mnie liśćmi. Gad i Aser tańczyli przed nami.

I tak się złożyło, że obok przechodzili nasi starsi bracia. Ruben i Juda uśmiechnęli się i poszli dalej, ale Symeon i Lewi zatrzymali się i zaczęli szydzić.

- Popatrzcie, jak te dzieciaki wodzą większych od siebie chłopców za nos! Czekaćcie tylko, naskarżymy naszemu ojcu, że Zabulon i Dan służą tym smarkom za osły. Ojciec na pewno każe im czekać jeszcze dwa lata, zanim pozwoli pójść razem z nami na pastwiska wśród wzgórz.

Nie przestawali się naigrawać, dopóki ja i Józef nie zostaliśmy sami, opuszczeni przez naszych towarzyszy zabaw, którzy nagle spojrzeli na siebie zimnymi oczyma swoich braci.

Po tym wszystkim Zabulon i Dan nie chcieli już pomagać naszym matkom przy przedzeniu wełny i w końcu, po licznych błagalnych prośbach, pozwolono im pójść za starszymi braćmi w góry. Bliźniacy zaś, i jedni, i drudzy, kiedy nie plewili chwastów w ogrodzie albo nie pomagali przy krośnię, bawili się osobno; cała czwórka utworzyła własne plemię, zainteresowane wyłącznie zabawami w polowania i uprawianiem zapasów.

Józef i ja coraz częściej bywaliśmy skazani wyłącznie na siebie i to już wcale nie było takie przyjemne. Żadne z nas nie chciało klękać

przed tym drugim przy odgrywaniu postaci z wymyślonych opowieści i Józef musiał sobie radzić z prześladowaniami ze strony naszych braci, którzy dokuczali mu za to, że w ogóle się ze mną zadaje. W naszym obozie dziewczynek było bardzo mało - kobiety żartowały, że Jakub zatrzał przeciwko nim studnię. Usiłowałam wprawdzie nawiązywać przyjaźnie z córkami naszych sług, ale albo byłam za mała, albo za duża, by móc brać udział w ich zabawach, i tak oto jeszcze zanim nadszedł czas, gdy byłam już w stanie sama przynieść dzban wody ze studni, zaczęłam myśleć o sobie jako o członkini kręgu mojej matki.

Co wcale nie znaczy, że dzieciom często pozwalano na zabawy. Kiedy już byliśmy dostatecznie duzi, by móc przenieść choćby kilka drewniaków, zaprzęgano nas do pracy przy pielenu i niszczeniu owadów w naszym ogrodzie, noszeniu wody, gręplowaniu wełny i przędzeniu. Nic nie pamiętam z tego okresu, zanim moja ręka pierwszy raz ujęła wrzeciono, ale pamiętam za to, że karcono mnie za niezdarność, za to, że pozwalałam, by do mojej wełny wczepiały się osty, i za to, że moje pasma były nierówne.

Lea, najlepsza z matek, była marną nauczycielką. Jej rozmaite czynności przychodziły z taką łatwością, że nie potrafiła pojąć, jak to możliwe, by takie małe dziecko mogło się nie nauczyć czegoś równie prostego jak przekładanie sznurka.

- Jak to możliwe, by córka Lei mogła mieć takie pechowe palce?
- powiedziała pewnego dnia, spojrzawszy na płataninę, która była efektem mojej pracy.

Nienawidziłam jej za te słowa. Po raz pierwszy w życiu nienawidziłam własnej matki. Moja twarz zrobiła się czerwona, lzy nabiegły

mi do oczu i cisnęłam dzieło całego dnia przedzenia w błoto. Był to straszny akt marnotrawstwa i braku szacunku; chyba żadna z nas nie potrafiła uwierzyć, że w ogóle to zrobiłam. Po krótkiej chwili powietrze przeszył suchy trzask jej dłoni o mój policzek, wywołując we mnie znacznie większy wstrząs niż sam ból. Matce zdarzało się poszturchiwać moich braci, ale po raz pierwszy w życiu uderzyła mnie.

Stałam tam przez długą chwilę i patrzyłam, jak jej twarz wykrzywia się z bólu z powodu tego, co zrobiła. Bez słowa okręciłam się na pięcie i pobiegłam poszukać kolan Bilhy, gdzie się wyplakałam i gdzie ciężko wdychając, opowiedziałam o tej strasznej niesprawiedliwości, jaką mi wyrządzono. Opowiedziałam mojej ciotce o wszystkim, co tak mi zaciążyło na sercu. Opłakiwałam swoje bezużyteczne palce, które za nic nie potrafiły zmusić wełny, by skręcała się równo, ani też wrzeciona, by pochylało się, jak trzeba, i miarowo obracało. Bałam się, że zawstydziłam moją matkę tym, że jestem taka niezdarna. I wstydziłam się nienawiści, którą ni stąd, ni zowąd poczułam do tej osoby, którą wszak kochałam z najwyższym oddaniem.

Bilha gładziła mnie po włosach, aż wreszcie przestałam płakać, i nakarmiła mnie kawałkiem chleba umaczanym w słodkim winie.

- Chodź, pokażę ci, na czym polega tajemnica wrzeciona - powiedziała, przykładając palec do moich ust. - Mnie przekazała ją twoja babka i teraz moja kolej, aby przekazać ją tobie.

Bilha usadziła mnie sobie na kolanie, choć po prawdzie byłam już na to za duża. Jej ramionom ledwie starczało długości, aby mnie objąć, ja jednak siedziałam, znowu małeńka dziewczynka, w tych bezpiecznych objęciach, gdy tymczasem Bilha szeptała mi do ucha historię Uttu.

Dawno temu, kiedy kobiety jeszcze nie potrafiły przekształcać wełny w przędze, i przędzy w tkaninę, ludzie chodzili po świecie nago. Za dnia nękał ich skwar, po nocach dygotali, marniały im dzieci.

Ale Uttu usłyszała szloch matek i ulitowała się nad nimi. Uttu była córką Nanny, boga księżyca, i Ninchursag, matki dolin. Uttu spytała swego ojca, czy mogłaby nauczyć kobiety przędzenia i tkania, bo dzięki temu ich dzieci trzymałyby się życia.

Nanna zrobił szyderczą minę i rzekł, że kobiety są zbyt głupie, by pamiętać porządek strzyżenia, prania i czesania wełny, budowania krosien, zakładania wątku i osnowy. I że ich palce są zbyt grube, by mogły opanować sztukę przędzenia. Ale Nanna kochał swoją córkę, więc jej pozwolił.

Uttu udała się najpierw na wschód, do kraju Zielonej Rzeki, ale tamtejsze kobiety nie chciały odłożyć swych bębnow i fletów, aby dać posłuch bogini.

Tak więc Uttu udała się na południe, ale trafiła w sam środek straszliwej suszy, podczas której słońce odzierało kobiety z ich wspomnień.

- Nic nam nie trzeba oprócz deszczu - powiedziały, niepomne tamtych miesięcy, kiedy to ich dzieci umierały z zimna. - Ześlij nam deszcz albo odejdz.

Uttu wyprawiła się na północ, którą zamieszkiwały kobiety odziewające się w futra, tak wojownicze, że wydzierały sobie jedną pierś, by w ten sposób przysposobić się do wiecznego polowania.

Były zanadto w gorącej wodzie kapane, aby chciało im się parać niemrawą sztuką przedzenia i tkania.

Uttu wyprawiła się tedy na wschód, gdzie wstaje słońce, ale odkryła, że tamtejsi mężczyźni ukradli swym kobietom języki i dlatego te nie były w stanie odpowiadać za siebie.

Uttu nie potrafiła rozmawiać z mężczyznami, tak więc udała się do Ur, łona świata, gdzie poznała kobietę o imieniu Enhenduanna, która miała chęć się uczyć.

Uttu usadziła sobie Enhenduannę na kolanie, oplotła swe potężne ramiona wokół wątych ramion tamtej i nakrywszy swymi złotymi dłońmi jej ludzkie dłonie, poprowadziła najpierw lewą rękę, a potem prawą rękę.

Uttu upuściła wrzeciono wykonane z lapis-lazuli, które jęło się obracać niczym wielka niebieska kula po złotym niebie i prząść przędzę z promieni słonecznych. Enhenduanna zasnęła na kolanach Uttu.

Enhenduanna spała i przędła, nic nie widząc i nic nie wiedząc, nie wysilając się i nie nużąc. Przędła i przędła, aż wreszcie przędzy było tyle, że dałoby się zapełnić nią cały magazyn wielkiego boga Nanny. A ten był taki ukontentowany, że wyraził zgodę, by Uttu nauczyła córki Enhenduanny wyrabiania ceramiki i brązu, muzyki i wina.

Od tego czasu ludzie mogli przestać jeść trawę i pić wodę, a zamiast tego jeść chleb i pić piwo. A ich dzieci, otulone w wełniane koce, nie umierały już z zimna, tylko rosły, by móc składać bogom ofiary.

Opowiadając mi historię Uttu, Bilha nakryła moje niezdarne dłonie swymi zwinnymi dłońmi. Czułam delikatną, jak by gliniastą woń

bijącą od mojej najmłodszej ciotki, słuchałam jej słodkiego, melodyjnego głosu i zapominałam o całym bólu wypełniającym mi serce. A kiedy opowieść dobiegła końca, Bilha pokazała mi, że pasmo na moim wrzecionie jest tak samo równe i mocne, jakby było dziełem rąk Lei.

Wyczuwałam Bilhę po stokroć i pobiegłam pokazać matce, co zrobiłam. A ona utuliła mnie w swych objęciach tak, jakbym powróciła spośród zmarłych. I już nigdy więcej mnie nie uderzyła. Nawet polubiłam przerabianie poskręcanych obłoków wełny w cienkie, sprężyste pasma, z których potem powstawały ubiory i koce dla mojej rodziny, a także towary na handel. I polubiłam ten stan, kiedy to mój umysł błąkał się gdzieś, a dłonie kierowały się własnymi wskazaniem. Nawet kiedy byłam już dorosła i częściej przędłam len niż wełnę, pamiętałam wciąż perfumy mojej ciotki i brzmienie jej głosu, kiedy wymawiała imię bogini Uttu.

Przekazałam Józefowi opowieść o Uttu tkacze. Opowiedziałam mu też historię wyprawy bogini Inanny do ziemi zmarłych i o jej małżeństwie z Dumuzi, królem pasterzem, którego miłość zapewniała obfitość daktyli, winorośli i deszczu. Były to opowieści, które poznawałam w czerwonym namiocie, z ust moich matek albo, bywało, od żon wędrownych handlarzy, które opatrywały bogów i boginie obcymi imionami i czasami dawały inne zakończenia pradawnym bajkom.

Józef z kolei opowiedział mi o przysiędze Izaaka, o cudzie jego uwolnienia i o spotkaniach naszego pradziadka Abrama z posłańcami bogów. Zdradził mi też, że nasz ojciec, Jakub, rozmawia z Elem,

bogiem swych ojców, co rano i co wieczór, nawet wtedy, kiedy nie składa żadnej ofiary. Nasz ojciec twierdził, że nawiedza go pewien pozbawiony kształtu i twarzy bóg, który nie ma żadnego imienia, tylko nazywa się po prostu bóg, że nawiedza go nocą, we snach, i za dnia, tylko wtedy, gdy Jakub jest sam; Jakub był pewien, że On, ten bóg, pobłogosławi przyszłość jego synów.

Józef opisał mi cudowny gaj drzew terebintowych w Mamre, gdzie nasza prababka rozmawiała co wieczór ze swymi bogami i dokąd nasz ojciec miał nas któregoś dnia zabrać, abyśmy mogli złożyć ofiarę, z wina ku czci Saraj. O tym wszystkim Józef usłyszał od Jakuba, gdy siedział pośród naszych braci, blisko naszych pasących się owiec i kóz. Przyszło mi na myśl, że historie opowiadane przez kobiety są ładniejsze, ale Józef wolał opowieści naszego ojca.

Nasze rozmowy nie zawsze były takie wznioste. Bywało też, że dzieliliśmy się naszą wiedzą na temat tajników współzycia i rodzenia, a potem śmialiśmy się, do rozpuku na te. wstrząsającą myśl, że naszym rodzicom zdarza się zachowywać jak te psy tarzające się w kurzu. Bez końca plotkowaliśmy o naszych braciach, bacznie przypatrując się rywalizacji Symeona z Lewim, która niekiedy doprowadzała do wymiany ciosów z powodu czegoś tak trywialnego, jak wsparcie drzewa tyczką. Również między Judą i Zabulonem trwała nieustająca walka - tyle że były to zazwyczaj dobroduszne potyczki, dzięki którym sprawdzali, który jest silniejszy, i każdy z nich okłaskiwał brata za jego umiejętność dźwigania dużych kamieni i przenoszenia wyrośniętych owiec przez łąkę.

Józef i ja byliśmy również świadkami, jak synowie Zilpy powoli wkradali się w łaski mojej matki; Gad i Aser wstydzili się dziwactw własnej matki, a jej niestrawny chleb sprawiał, że często zagłądali

do namiotu Lei. Nie rozumieli i nie doceniali talentu, jaki Zilpa przejawiała przy krośnię, i rzecz jasna nie mieli pojęcia o jej darze opowiadania. I dlatego właśnie zanosili swe drobne trofea - kwiatki, kolorowe kamyki, szczątki ptasich gniazd - na łono mojej matki. Lea czochrała ich po głowach i karmiła, a oni wtedy prężyli się jak mali bohaterowie.

Dla odmiany Tali i Issa, bliźniacy, którzy wszak wyszli z łona Lei, wcale jej tak nie lubili. Nie mogli ścierpieć, że są tacy do siebie podobni, i winili za to matkę. Robili wszystko, co mogli, żeby ich odróżniano, i prawie nigdy nie przebywali w swoim towarzystwie. Issa uczeplił się Racheli, która zdawała się oczarowana jego atencją i pozwalała mu biegać dla siebie na posyłki. Tali zaś prędko się zaprzyjaźnił z Danem Bilhy i obaj chętnie sypiali obok siebie w jej namiocie, gdzie chłonęli słowa swego dużego brata Rubena, którego również przyciągały spokój i cisza otaczające moją ciotkę.

Lea usiłowała przekupić Issę i Talego łakociami albo dodatkowymi porcjami chleba, żeby wrócili do niej, ale była zanadto zajęta pracą na rzecz rodziny, aby walczyć o względy dwóch synów, skoro przecież miała ich tak wielu. A zresztą nie uskarżała się na brak miłości. Kiedy przyłapywałam ją na tym, że przygląda się, jak jeden z jej chłopców wędruje nocą w stronę namiotu innej matki, pociągałam ją za rękę. Wtedy ona podnosiła mnie na taką wysokość, że nasze oczy mogły się spotkać, po czym całowała mnie najpierw w jeden policzek, potem w drugi i na koniec w czubek nosa. Tym zawsze doprowadzała mnie do śmiechu, który z kolei przywoływał ciepły uśmiech na jej twarz. To, że posiadam taką moc kojenia jej smutków, stanowiło jeden z moich największych sekretów.

Mój świat był pełen matek i braci, znoju i zabawy, nowych księzców i smakowitej stawy. Wzgórza w oddali obejmowały moje życie niczym misa wypełniona wszystkim, czego mogłabym pragnąć.

Byłam jeszcze mała, kiedy ojciec wyprowadził nas z ziemi dwu rzek na południe, do kraju swej młodości. Byłam mała, ale wiedziałam, czemu się tam udajemy. Czułam rozprężony mur gniewu dzielący mojego ojca i dziadka. Czułam niemalże buchający od nich żar przy tych rzadkich okazjach, kiedy siadywali razem.

Laban nie znoził mojego ojca za jego osiągnięcia, jeśli szło o stadą, oraz za synów, tak licznych i znacznie bardziej pojętych niż jego dwaj chłopcy. Mój dziadek nie mógł ścierpieć faktu, że swe ostatnie tłuste lata zawdzięcza mężowi własnych córek. Robiło mu się kwaśno w ustach, kiedy padała wzmianka o Jakubie.

Jeśli zaś idzie o mojego ojca, to mimo że właśnie on przyczynił się do rozmnożenia stad, mimo że dzięki niemu obóz wypełnił się sługami i kupcy ciągnęli hurmą do naszych namiotów, nigdy nie stał się kimś lepszym niż tylko sługą Labana. Wynagradzany był skromnie, a jednak ze swym niewielkim zapasem dóbr postępował oszczędnie i roztropnie, pieczołowicie też pomnażał własne stadko przegowanych kóz i szarych owiec.

Jakub nienawidził Labana za jego lenistwo i za sposób, w jaki pospołu ze swymi synami marnotrawił owoce jego harówki. Pewnej wiosny, na przykład, starszy z chłopców, Kemuel, pozostawił bez dozoru parzące się kozy, i najlepsze z nich wymarły podczas walk najsilniejszych samców. A kiedy któregoś razu Beor wypił za dużo

wina i zasnął, jastrząb porwał kozłą, które Jakub wyznaczył na ofiarę..

Czara się przelała, gdy Laban stracił dwa najlepsze psy Jakuba - jego najmądrzejsze i ulubione. Stary wyprawił się w trzydniową podróż handlową do Karkemisz i nie pytając o pozwolenie, zabrał psy, by pilnowały stada tak małego, że nawet chłopiec poradziłby sobie z nim sam. I stało się tak, że już będąc w mieście, Laban sprzedał je oba za jakieś nędzne ochłapy, które potem przegrał w grze hazardowej.

Na wieść o utracie psów mój ojciec wpadł we wściekłość. Onej nocy, kiedy Laban wrócił do obozu, słyszałam ich krzyki i przekleństwa nawet wtedy, gdy już zasypiałam. Później na twarzy mojego ojca pojawił się wyraz, którego nie szło odczytać. Nie rozprostował dłoni zaciśniętych w pięści, dopóki nie znalazł Lei i nie wyłożył jej szczegółów tej najnowszej zgrzyzoty.

Moja matka i ciotki współczuły Jakubowi. Ich poczucie lojalności względem Labana nigdy nie było silne, a w miarę upływu lat piętrzyły się powody, by czuć wobec niego wzgardę - lenistwo, fałszywość, arogancja jego upartych synów i gorszący sposób, w jaki traktował Ruti.

Kilka dni po awanturze o psy Ruti przyszła do mojej matki i przypadła jej do nóg.

- Jestem zgubiona! - krzyknęła, smutna kupka nieszczęścia na ziemi. Włosy miała rozpuszczone i przysypane popiołem, jakby właśnie pogrzebała własną matkę.

Na tamtej grze w Karkemisz Laban stracił więcej niż tylko monety. Przegrał również Ruti i teraz kupiec przybył wziąć ją jako niewolnicę. Laban skrył się w swoim namiocie, nie chcąc wyjść na zewnątrz i przyznać, co zrobił z matką swoich synów, ale kupiec

przywiózł jego laskę wędrowną, którą dostał jako zastaw, oraz swojego nadzorcę w charakterze świadka. Ruti biła czołem o ziemię i błagała Leę o pomoc.

Lea wysłuchiwała ją, a potem splunęła na imię własnego ojca.

- Osioł ma w swym siedzeniu więcej rozumu niż Laban - rzekła.
- Mój ojciec to wąż. Gdzie tam! To zasuszone bebechy węża.

Odstawiła garniec z mlekiem, z którego zamierzała zrobić twaróg, i ciężkimi krokami pomaszzerowała w stronę pobliskiego pastwiska, gdzie mój ojciec wciąż jeszcze się smucił z powodu utraty psów. Matka była tak głęboko pogrążona w myślach, że zdawała się nie zauważać, że idę za nią.

Lea podeszła do swego męża z całkiem spąsowiałą twarzą. A potem zrobiła coś niezwykłego. Padła na kolana i ująwszy dłoń Jakuba, ucałowała jego palce. Widok mojej matki korzącej się w taki sposób był niczym oglądanie owcy polującej na szakala albo mężczyzny pielęgnującego dziecko. Moja matka, która nigdy nie umiała się wysławiać, teraz niemalże się jąkała.

- Mężu, ojczyźnie moich dzieci, ukochany przyjacielu - wykrztusiła. - Przyszłam błagać cię w sprawie błahej, powodowana najczystsza litością. Mężu - powiedziała. - Jakubie - wyszeptła. - Wiesz dobrze, że składam swe życie tylko w twoich rękach i że imię mojego ojca okrywa mnie hańbą. A mimo to przychodzę cię prosić, abyś wyzwolił kobietę mojego ojca z niewoli, w którą ów ją sprzedał. Z Karke-misz przybył człowiek, by zabrać Ruti, którą Laban zastawił w grze, jakby była zwierzęciem z jego stada albo kimś obcym, a nie matką jego synów. Proszę cię, abyś potraktował ją lepiej niż jej własny mąż. Proszę cię, abyś postąpił jak ojciec.

Jakub skrzywił się, usłyszawszy prośbę żony, choć w sercu musiał być rad, że zwraca się do niego nie tylko jako do męża, ale także jako do głowy swej rodziny. Stał nad Leą, która wciąż klęczała w pochyloną głowę, i popatrzył na nią z czułością.

- Żono - powiedział i ujął jej ręce, by podnieść ją z klęczek. - Leo.

Ich oczy się spotkały i oboje się uśmiechnęli.

Byłam wstrząśnięta. Przyszłam tu patrzeć, jak rozwinie się historia Ruti, a tymczasem odkryłam coś zupełnie innego. Zobaczyłam żar wykwitający między moją matką i jej mężem. Zobaczyłam, że nie tylko ja, ale również Jakub potrafi u niej wywołać ten promienny uśmiech ukojenia i szczęścia.

Po raz pierwszy w życiu dostrzegłam też fakt, że mój ojciec jest mężczyzną. Spostrzegłam, że jest nie tylko wysoki, ale również barczysty i smukły w pasie. Mimo że wtedy musiało to być już jego czterdzieste lato, trzymał się prosto, wciąż miał większość zębów i czyste oko. Mój ojciec jest przystojny, pojęłam wtedy. Mój ojciec jest wart mojej matki.

A jednak nie znalazłam pocieszenia w tym odkryciu. Ruszyli w stronę namiotów, ramię w ramię, niemalże stykając się głowami; Lea szeptała o dobrach, które Jakub mógłby zebrać wśród swych żon na wykupienie Ruti: miód i zioła, stos miedzianych bransolet, jedna bela lnu i trzy wełny. Jakub słuchał jej w milczeniu, raz po raz kiwając głową. Nie było dla mnie miejsca obok nich, nie byłam im potrzebna. Oczy mojej matki były pełne Jakuba. Ja dla niej nie liczyłam się tak, jak ona dla mnie. Zachciało mi się płakać, ale uświadomiłam sobie, że jestem już na to za duża. Niebawem miałam się stać kobietą i musiałam się nauczyć żyć z pękniętym sercem.

I taka właśnie nieszczęśliwa weszłam za moimi rodzicami do kręgu namiotów. Lea umilkła i zajęła swoje miejsce za plecami męża. Przyniosła dzban najcieńszego piwa, by w ten sposób pomóc Jakubowi w zmiękczeniu kupca. Ale mężczyzna zdążył się już zorientować, że kobieta Labana, mimo że wyniszczona i nieładna, nie ma ani zajęcej wargi, ani też nie jest potulna, czego się spodziewał na podstawie wyznaczonej za nią ceny. I był też dostatecznie przenikliwy, by spostrzec, że jego wizyta spowodowała spore zamieszanie. Wyczuł dla siebie korzyść, czyli po prostu zabrał wszystkie skarby kobiet i jednego ze szczeniaków Jakuba, i dopiero wtedy podarował dług i wyjechał bez Ruti. Niebawem wszystkie kobiety z obozu wiedziały, co się stało, i później przez wiele tygodni Jakub jadał jak księżę.

Laban nie wypowiedział się ani słowem na temat tego, że Jakub wykupił jego żonę. Zaczął za to traktować Ruti jeszcze podlej; odtąd już stale chodziła z podbitymi oczyma. Jej synowie, idąc w ślady ojca, nie okazywali matce żadnego szacunku. Nie nosili jej wody do gotowania i zwierzyny z polowań. Ruti pełzała wokół swych mężczyzn, usługując im w milczeniu.

W otoczeniu kobiet Ruti nie mówiła o niczym innym, jak tylko o dobroci mojej matki. Stała się cieniem Lei, wciąż całującym jej ręce i rąbek szat, zasiadającym jak najbliżej swej wybawczyni. Obecność tej złachmanionej kobiety wcale nie sprawiała przyjemności Lei, która od czasu do czasu traciła dla niej cierpliwość. „Idź do swojego namiotu”, mówiła, kiedy Ruti wchodziła jej pod nogi. Ale Lea zawsze potem żałowała, gdy już ofuknęła Ruti, która kuliła się, słysząc choć jedno złe słowo z ust mojej matki. Odesławszy ją, zawsze potem jej szukała i siadała obok tej biednej, straconej duszy, pozwalając się bez końca obcałowywać i zasypywać podziękowaniami.

Rozdział drugi

Po tamtej historii z wykupieniem Ruti Jakub zaczął poważnie planować nasze odejście. Podczas nocy z Leą i nocy z Rachelą rozmawiał z nimi o pragnieniu porzucenia namiotów Labana i powrotu do ziemi swego ojca. Zwierzył się Bilsze, że nie może znaleźć sobie miejsca i że źle sypia. Którejś nocy spotkał Zilpę, gdy bezsenność wyгнаła każde z nich z osobna z namiotu, i zabrał ją w kojący cień wielkiego terebintu, który rósł obok ołtarza, do miejsca, gdzie szepotało się najwygodniej. Nawet w pogodne, duszne noce wiatry skrywały się pośród szerokich, płaskich liści drzewa Zilpy. Jakub wyznał swojej czwartej żonie, że objawił mu się jego bóg, który mu powiedział, że czas opuścić ziemię dwu rzek. Że czas zabrać stąd żony, synów i cały majątek, jaki zbudował własnymi rękoma.

Jakub zdradził też Zilpie, że jego sny stały się piekielne. Co noc jakieś ogniste głosy wzywały go z powrotem do Kanaanu, do ziemi jego ojca. Ale te jego sny, choć gwałtowne, były też radosne. Rebecka była w nich promienna niczym słońce, a Izaak uśmiechał się i błogosławił. Nawet jego brat już mu nie groził, tylko pojawiał się pod postacią ogromnego, czerwonego byka, który zapraszał Jakuba do przejażdżki na swym grzbiecie. A zresztą wiele wskazywało na

to, że Jakub nie musi się już obawiać swego brata, bo kupcy z Kanaanu przywozili wieści, jakoby Ezaw został zamożnym właścicielem stada, obdarzonym licznymi synami i słynącym ze szczodrobliwości.

Podczas dni spędzanych w odosobnieniu czerwonego namiotu żony Jakuba rozmawiały o snach i planach ich męża. Oczy Racheli aż lśniły, bo tak jej się podobała perspektywa przeprowadzki na południe. Rachel z nich wszystkich odbyła najwięcej podróży, gdyż pomagała przy wielu porodach wśród wzgórz, była w Karkemis, a nawet raz w samym mieście Charan.

- Och, zobaczyć wielkie góry i prawdziwe miasto - mówiła. - Targowiska pełne wspaniałości, towarów i owoców, których nazw nawet nie znamy! Napotykałybyśmy twarze z wszystkich czterech stron świata. Posłuchałybyśmy muzyki srebrnych tamburynów i złotych fletów.

Lea aż tak bardzo się nie paliła do odkrywania nowych światów położonych za doliną, która wszak dała jej życie.

- Mnie tam wystarczają twarze, które widzę tutaj dookoła siebie - oświadczyła - ale bardzo byłabym rada, mogąc się uwolnić od smrodu Labana. Udamy się na południe, ma się rozumieć. Ja jednak odejdę z żalem.

Bilha przytaknęła jej.

- Będzie mi smutno opuszczać kości Ady. Będę tęskniła za widokiem wschodu słońca w miejscu, gdzie urodziłam syna. Będzie mi żal przemijającej młodości. Ale jestem gotowa, tym bardziej że nasi synowie aż się palą, by odejść z doliny.

Bilha wyraziła na głos prawdę, której dotąd żadna nie ubrała w słowa. Dla tylu synów brakowało już miejsca, a nie mogli też udać się do samego Charanu, bo tam każdy pagórek okupowały liczne pokolenia. Nie było już dla nich ziemi w kraju ich matek. Jeśli rodzina nie odejdzie wspólnie z doliny, kobietom niebawem popękają

serca, bo będą musiały patrzeć, jak ich synowie zwracają się przeciwno sobie albo gdzieś znikają w poszukiwaniu własnych ścieżek.

Oddech Zilpy stał się jeszcze głośniejszy i bardziej chrapliwy, gdy jej siostry zwróciły twarze ku przyszości.

- Ja nie mogę odejść - wybuchnęła. - Nie mogę opuścić świętego drzewa, które jest źródłem mojej siły. Ani też bamy przesyconej moimi ofiarami. Skąd bogowie mieliby wiedzieć, gdzie jestem, jeśli nie będzie mnie tu, by im służyć? Kto mnie ochroni? Siostry, padniemy pastwą demonów. - Jej oczy zogromniały. - To drzewo, to miejsce; ona jest tutaj właśnie, moja maleńka bogini Nansze.

Siostry aż zeszytniały, słysząc, jak Zilpa wymawia imię swojego bóstwa, a więc czyni coś, co zwykle się czynić jedynie na łożu śmierci. Ich siostra wyraźnie całkiem podupała na duchu, co było słychać, gdy głosem zdławionym od łez mówiła:

- To samo was dotyczy, siostry moje. Wszyscy nasi nazwani bogowie mieszkają tutaj. To jest miejsce, gdzie jesteśmy znane, gdzie wiemy, jak służyć. Odejdziecie stąd będzie się równało śmierci. Wiem to.

Pozostałe wpatrywały się w nią w milczeniu. Pierwsza odezwała się Bilha.

- Każde miejsce ma swoje święte nazwy, drzewa i bamy - powiedziała spokojnym głosem, jakim matka przemawia do wystraszonego dziecka. - Wszędzie tam, dokąd się udamy, również będą bogowie.

Ale Zilpa nie chciała spojrzeć jej w oczy i tylko kręciła głową.

- Nie - wyszeptała.

W następnej kolejności głos zabrała Lea.

- Zilpo, przecież my służymy ci za ochronę. My, twoja rodzina, twoje siostry, jesteśmy ci jedynym zabezpieczeniem przed głodem, zimnem, szaleństwem. Bywa, że się zastanawiam, czy bogowie nie są przypadkiem tylko bohaterami marzeń i opowieści, dzięki którym człowiek jest w stanie przetrwać zimne noce i mroczne myśli. - Lea chwyciła siostrę za ramiona. - Lepiej złóż zaufanie w moich i Jakubowych rękach zamiast w opowieściach stworzonych z wiatru i strachu.

Zilpa skurczyła się pod dotykiem siostry i odwróciła od niej twarz.

- Nie - rzekła.

Rachela wysłuchiwała w zdumieniu tych jakże zasadnych bluźnierstw Lei, po czym przemówiła, ostrożnie dobierając słów przy formułowaniu myśli, które odkrywała w sobie dopiero teraz, kiedy dawała im wyraz.

- Brak nam dowodów, abyśmy mogły rozproszyć twoje obawy, Zilpo. Bogowie nigdy nic nie mówią. Ja wiem, że rodzące kobiety znajdują siłę i pociechę w imionach bogów. Widziałam nieraz takie, dla których nie było już żadnej nadziei, a jednak zdobywały się na nowe zmagania, kiedy słyszały wezwania do bogów. I widywałam też, jak w ostatniej chwili było im darowane życie, a to tylko dlatego, że po prostu trzymały się nadziei. Ale wiem też, że bogowie nie chronią nawet najlepszych, najpobożniejszych kobiet przed zawodem sercowym albo śmiercią. Tak więc Bilha ma rację. Zabierzemy Nansze z sobą - powiedziała, wymieniając z imienia ukochaną boginię Zilpy, patronkę snów i śpiewaków. - Zabierzemy też Gulę - dodała, wymieniając z imienia boginię uzdrawiania, której sama składała ofiary. A potem impulsywnie, bo tak impulsywnie przyszedł jej ten pomysł do głowy, warknęła: - Zbierzemy wszystkie

terafim z naszych namiotów i powieziemy je do Kanaanu, razem z naszym mężem i naszymi dziećmi. One przecież nie uczynią nam nic złego - ciągnęła Rachela, z każdą chwilą mówiąc coraz szybciej, w miarę jak ten plan nabierał kształtu w jej głowie. - Jeśli to my przejmemy nad nimi pieczę, to Labanowi nie przydadzą się do niczego - dodała figlarnym tonem.

Bilha i Lea zaśmiały się nerwowo na myśl o Labanie ogołoconym z jego świętych posążków. Starzec radził się ich, kiedy był zmuszony podjąć jakąś decyzję, i w roztargnieniu gładził swych ulubieńców, nieraz całymi godzinami. Lea twierdziła, że uspokajały go tak, jak pełna pierś uspokaja rozkapryszone dziecko.

Odejście z posążkami oznaczałoby wzniecenie gniewu Labana. Ale z kolei Rachela miała przecież do nich jakieś prawo. W dawnych czasach, kiedy rodzina mieszkała jeszcze w mieście Ur, najmłodsza córka miała nie kwestionowane prawo dziedziczenia wszystkich świętych przedmiotów. Obecnie jednak nie przestrzegano już tego zwyczaju i Kemuel mógł zabrać wszystkie terafim w ramach przywileju przysługującego najstarszemu synowi.

Siostry siedziały w milczeniu, przemyślując śmiały pomysł Racheli. W końcu odezwała się ona sama.

- To ja wezmę terafim i one staną się źródłem naszej siły, one będą świadectwem naszego prawa należnego nam z urodzenia. Nasz ojciec będzie cierpiał tak, jak przymuszał innych do cierpienia. Więcej mówić o tym nie będę.

Zilpa otarła oczy. Lea chrząknęła. Bilha powstała. Decyzja zapadła.

Ledwie odważyłam się odetchnąć. Bałam się, że jeśli sobie o mnie przypomnę, to mnie przegnają z namiotu.

Siedziałam nieruchomo między prawą ręką mojej matki i lewą ręką Bilhy, zdumiona tym, co usłyszałam.

Rachela była lojalna wobec Guli, uzdrowicielki. Z kolei Bilha składała swe ofiary z ziarna Uttu, tkaczce. Lea szczególnie z czystością darzyła Ninkasi, warzącą piwo, która używała kadzi z czystego lapis-lazuli i mieszała ze srebra i złota. Ja bogów i boginie traktowałam w myślach jak ciotce i wujków, którzy są więksi od moich rodziców i zdolni mieszkać pod ziemią albo nad ziemią, tak jak im się podoba. Wyobrażałam ich sobie jako nieśmiertelnych, bezwonnnych, wiecznie szczęśliwych, silnych i zainteresowanych wszystkim, co dzieje się ze mną. Bałam się słuchać, jak Lea, najmądrzejsza z kobiet, zastanawia się, czy ci potężni przyjaciele mogą być czymś więcej niż tylko bohaterami opowieści, które mają uspokajać dzieci przestraszone koszmarami sennymi.

Zadrżałam. Moja matka przyłożyła mi dłoń do policzka, by sprawdzić, czy nie gorączkuję, ale miałam chłodne ciało. Później, jeszcze tej samej nocy, obudziłam się z krzykiem i złana potem, z wrażeniem, że lecę w jakąś otchłań, ale matka przyszła do mnie i ułożyła się obok, uspokajając mnie ciepłem swego ciała. Bezpieczna dzięki wiedzy, że ona mnie kocha, zaczęłam na powrót zapadać w sen, ale jeszcze przez chwilę wierciłam się, bo wydawało mi się, że słyszę głos Racheli mówiący: „Zapamiętaj tę chwilę, kiedy ciało twojej matki uzdrawia kłopot trawiący ci duszę”. Rozejrzałam się, ale nigdzie w pobliżu nie zobaczyłam ciotki.

To musiał być sen.

Trzy dni później Lea przeszła się na skaliste pastwisko na zachodzie, aby powiedzieć Jakubowi, że jego żony są gotowe udać się z nim do ziemi jego urodzenia. Poszłam za nią, niosąc chleb i piwo dla

mojego ojca, ale niezbyt mi się podobało, że w tak ciepły dzień muszę, gdzieś wędrować z postugami.

Kiedy doszłam do wzniesienia, które oddzielało nasz obóz od pastwiska, zatrzymałam się, bo urzekł mnie ten skończenie piękny krajobraz. Wiele owiec było brzemiennych, toteż poruszały się nadzwyczaj niemrawo w tym narastającym upale. Wschodzące słońce zdawało się wzniecać woń goździków. Nie było słychać nic prócz brzęczenia pszczoł pod mosiężnym błękitnym sztandarem nieba.

Zatrzymałam się, choć matka szła dalej przed siebie. Świat zdawał się taki idealny, taki doskonały, a mimo to tak niestały, że omal nie wybuchnęłam płaczem. Poczułam, że muszę opowiedzieć Zilpie o swoich uczuciach i spytać, czy przypadkiem nie zna jakiejś pieśni na ten temat. Ale zaraz potem zauważyłam, że we wszechświecie coś się zmieniło. Że zaszła jakaś doniosła zmiana. Omiotłam wzrokiem horyzont; niebo wciąż było czyste, goździki wciąż pachniały, pszczoły brzęczały.

Zauważyłam, że moja matka i ojciec nie są sami. Lea stała twarzą w twarz ze swoim mężem. Obok niej stała Rachel.

Obie kobiety zawarły wiele lat wcześniej coś w rodzaju rozejmu. Nie pracowały razem i nie udzielały sobie wzajem rad. Nie siadały obok siebie w czerwonym namiocie i nie zwracały się do siebie bezpośrednio. I nigdy nie przebywały razem w obecności męża. A mimo to teraz właśnie cała ta trójka zebrała się w jednym miejscu, widocznym dla wszystkich, i gawędziła niczym starzy przyjaciele. Kobiety były zwrócone do mnie plecami.

Rozmowa urwała się, kiedy do nich podeszłam. Matka i ciotka odwróciły się od Jakuba i zobaczywszy mnie, zastąpiły grobowe

miny tymi fałszywymi uśmiechami, jakie dorośli pokazują dzieciom, przed którymi chcą coś ukryć. Nie odpowiedziałam im uśmiechem. Wiedziałam, że rozmawiali o odejściu. Ułożyłam jedzenie i picie mojego ojca u jego stóp i odwróciłam się, zamierzając wrócić śladem Lei i Racheli do namiotów, kiedy Jakub, mój ojciec, przemówił.

- Dino - powiedział. Zapamiętałam to, bo wtedy właśnie po raz pierwszy zwrócił się do mnie moim imieniem. - Dziękuję ci, córko. Obyś zawsze była pociechą dla swych matek.

Spojrzałam mu w twarz i wtedy on uśmiechnął się do mnie szczerze i otwarcie. Ja jednak nie potrafiłam ani się uśmiechnąć do ojca, ani też odpowiedzieć mu, więc odwróciłam się, żeby pobiec za matką i Rachelą, które szły już w stronę namiotów. Wsunęłam dłoń w dłoń Lei i obejrzałam się ukradkiem, by raz jeszcze popatrzeć na Jakuba, ale on odwrócił się już ode mnie.

Tego właśnie wieczoru Jakub zaczął negocjować sprawę naszego odejścia. Jeszcze tej samej nocy i potem przez wiele innych nocy kobiety kładły się na posłaniach z uszami dźwięczącymi od głosów mężczyzn. Laban owszem, bardzo chciał zobaczyć, jak Jakub odchodzi z jego córkami i wnukami, którzy jedli za dużo i okazywali mu za mało szacunku. Ale też nie mógł znieść myśli, że Jakub mógłby odejść jako bogacz.

Podczas długich nocy wypełnionych krzykiem Laban siadywał między swymi dwoma synami, Kemuelem i Beorem. Wszyscy trzej zapijali się piwem i winem, ziewali Jakubowi w twarz i kończyli rozmowę, nim cokolwiek zostało ustalone.

Jakub siadał między swymi dwoma najstarszymi synami, Rubenem i Symeonem, nie tykając żadnego tęższego napitku oprócz jęczmiennego piwa. Za nimi z kolei stawali Lewi i Juda. Siedmiu młodszych chłopców czekało na zewnątrz namiotu, wyteżając słuch, by posłyszeć, co się tam mówi w środku. Józef przekazywał mi potem, co udało mu się podsłuchać, a ja powtarzałam to wszystko moim matkom. Nie mówiłam jednak Józefowi o tym, o czym kobiety rozmawiały szeptem. Nie donosiłam o tym, że zbierają stary chleb ani że zaszywają zioła pod rąbkami swych szat. Miałam dość rozumu, by nie zdradzić planu Racheli zabrania terafim.

Laban noc po nocy dowodził, że nie jest winien Jakubowi nic więcej oprócz tych skromnych posagów, w które wyposażył Leę i Rachełę, w wyniku czego mojemu ojcu zostałyby niewiele więcej niż namioty, pod którymi sypiała jego rodzina. Potem, demonstrując, jak bardzo jest hojny, zaofiarował dwadzieścia owiec i dwadzieścia kozłów - po jednym z obu gatunków za każdy rok służby Jakuba, która wszak wzbogaciła Labana tak, jak nawet nigdy nie marzył.

Jakub natomiast dowodził swego prawa zarządcy, dzięki któremu należała mu się jedna dziesiąta wszystkich stad, a także wybór poszczególnych sztuk. Chciał też dostać cały osobisty majątek swoich żon, na który składał się spory stos żaren i wrzecion, kołowrotek i dzbanów, biżuterii i serów. Przypomniawszy Labanowi, że zdobył swoje namioty, stada i nowe sługi dzięki pracy jego rąk. Zagroził, że będzie dochodził sprawiedliwości przed trybunałem w Charanie, ale tym tylko wywołał drwiny ze strony Labana, który uprawiał hazard i pił z ojcami miasta przez wiele lat i nie miał wątpliwości, po czyjej stronie staną.

Pewnego późnego wieczoru, po wielu tygodniach bezowocnych rozmów, Jakub znalazł wreszcie słowa, którymi poruszył serce Labana. Mąż Lei i Racheli, ojciec synów Zilpy i Bilhy spojrział Labanowi w oczy i zagroził, że bóg jego ojców nie będzie patrzył łaskawie na tego, który oszukał pomazańca jego plemienia. Powiedział, że jego bóg odwiedził go we śnie, przemówił do niego i kazał mu odejść z żonami, synami i licznymi stadami. Bóg Jakuba powiedział, że każdy, kto będzie się starał mu zaszkodzić, ucierpi na ciele, stadach i synach.

To zakłopotало starca, który drżał przed mocą każdego boga bez wyjątku. Kiedy więc Jakub odwołał się do boga swoich ojców, drwiący grymas opuścił wargi Labana. Pomyślność, jaką Jakub przyniósł stadom, zdrowie jego jedenastu synów, lojalność jego sług, a nawet nadzwyczajne zalety jego psów - wszystko to stanowiło widome znaki, że Jakub uzyskał błogosławieństwo niebios. Laban przypomniał sobie wszystkie te lata nadzwyczajnych ofiar, jakie Jakub składał swemu bogu, i uznał, że El musi być bardzo zadowolony z takiego oddania.

Następnego dnia Laban zamknął się razem ze swymi terafim i nie widziano go aż do wieczora, kiedy to posłał po Jakuba. Jakub spojrział w twarz swego teścia i wiedział już, że to on ma przewagę. Zaczął się teraz targować na poważnie.

- Ojcze - powiedział, głosem ociekającym fałszywym miodem - byłeś dla mnie dobry, dlatego więc pragnę zabrać jedynie te zwierzęta, które są cętkowane albo pstre - te, za których wełnę i skóry uzyskam niższą cenę na targowisku. Ty sam zachowasz okazy najczystszej krwi. Opuść swój dom biedny, ale wdzięczny.

Laban wyczuł podstęp w propozycji Jakuba, ale nie potrafił wy-koncypować, gdzie ów miałby z tego korzyść. Każdy wiedział, że zwierzęta ciemniejszej maści nie dają białej wełny ani też skóry, którą można równo garbować. Nie każdy natomiast, w tym i Laban, wiedział, że te „gorsze” zwierzęta są silniejsze i zdrowsze od tych, które dają piękną wełnę i skóry. Cętkowane owce częściej rodziły bliźnięta i większość ich potomstwa to były samice, a to z kolei oznaczało więcej sera. Sierść pstrych kozłów była nadzwyczaj ole-ista, dzięki czemu robiło się z niej mocniejsze sznury. Ale to były tajemnice Jakuba, który wszedł w ich posiadanie dzięki wielu latom znoej pracy przy stadach. Laban, z winy swojego lenistwa, nie miał tej wiedzy.

- Niech więc tak będzie - odrzekł Laban i obaj mężczyźni napili się wina, by przypieczętować umowę.

Jakub miał odejść ze swymi żonami i synami, zabierając cętko-wane i pstre sztuki, razem nie więcej niż sześćdziesiąt kóz i sześć-dziesiąt owiec. Trzody byłoby więcej, ale Jakub zamienił ją na dwóch sługów i ich kobiety. Zgodził się ponadto zostawić dwa spo-śród swoich psów w zamian za osła i leciwego wołu.

Wszelkie dobra z wyposażenia gospodarstwa Lei i Racheli miał wziąć Jakub, a oprócz tego ubrania i biżuterię noszoną przez Bilhę i Zilpę. Jakub dostał też płaszcze i włócznie swych synów, dwa wrze-ciona i dwadzieścia cztery miny wełny, sześć koszy ziarna, dwana-ście dzbanów oliwy, dziesięć skór z winem i buklaki na wodę, po jednym na każdą osobę. Ale to jest tylko oficjalne podsumowanie, które nie uwzględnia sprytu moich matek.

Wybrali datę naszego odejścia; miało nastąpić za trzy miesiące. Mimo że kiedy ogłoszono ów termin, zdawało się, że to cała wiecz-ność, to jednak te tygodnie upłynęły szybko. Moje matki zabrały się

do gromadzenia, odrzucania, pakowania, sortowania, wymieniania, prania. Robiły sandały na podróż i piekły bochny twardego chleba. Ukrywały swoją najlepszą biżuterię w koszach ze zbożem, na wypadek, gdyby po drodze napadli na nas złodzieje. Szukały na wzgórzach ziół, którymi mogły napełnić swoje mieszki.

Moje matki огоłociłyby ogród, gdyby takie podjęły postanowienie. Zabrałyby każdą cebulę, wykopały każdy zagrzebany zapas ziarna i opróżniły każdy ul, do którego dałyby radę dojść. A jednak zabrały tylko to, co uważały, że należy im się zgodnie z prawem, i nic więcej. Postępowały tak nie z szacunku dla Labana, tylko dla żon sług i ich dzieci, które miały zostawić.

Obarczana różnymi zleceniami, sama też ciężko pracowałam. Nikt mnie nie głąskał i nikt nie czochrął mi włosów. Nikt nie uśmiechał się do mnie ani nie chwalił za to, jaką jestem prądką. Czułam się wykorzystywana i ignorowana, ale nikt nie zauważał, kiedy posępniałam, więc przestałam uzalać się nad sobą i robiłam, co mi kazano.

Były to czas radości, gdyby nie Ruti, która podczas ostatnich tygodni naszych przygotowań całkiem straciła ducha. Nawykła siodać na ziemi przed namiotem Lei, grobowy obraz rozpaczy zmuszający wszystkich do obchodzenia jej szerokim łukiem. Lea kuciała obok i usiłowała namówić Ruti, by się przesunęła, by weszła do jej namiotu i coś zjadła, żeby się uspokoiła. Ale Ruti nie dawała się pocieszyć. Lea cierpiała z powodu tej biedaczki, która nie była od niej starsza, a mimo to potraciła już zęby i człapała niczym staruszka. Nic jednak nie można tu było zrobić i po kilku próbach wyciągnięcia jej pochlebstwami z tego nieszczęścia moja matka wstawiała i szła dalej.

W noc poprzedzającą nadejście ostatniego nowego księżyca, które miałyśmy oglądać w kraju dwu rzek, żony Jakuba zebrały się potajemnie w czerwonym namiocie. Siostry usiadły, nie tykając trójgraniastych placzków w stojącym przed nimi koszyku.

- Ruti umrze - rzekła Bilha. Jej słowa zawisły w powietrzu, nie oprotestowane i prawdziwe. - Któregoś dnia Laban uderzy ją za mocno albo zwyczajnie szcześnie ze smutku.

Zilpa westchnęła, a Lea otarła oczy. Rachela zapatrzyła się na swoje dłonie. Matka posadziła mnie sobie na kolanach, na miejscu, z którego już wyrosłam. Ale siedziałam tam, pozwalając jej siebie nianńczyć i rozkoszując się jej pieścizotami.

Kobiety spaliły częśćkę księżycowego ciastka w ofierze, tak jak to czyniły przy każdym nowym księżycu, tak jak to czyniły co każde siedem dni. Nie odśpiewały jednak żadnych pieśni dziękczynnych ani nie tańczyły.

Następnego dnia niewolnice przyłączyły się do żon Jakuba, by razem z nimi spędzić księżycowe dni, ale bardziej przypominało to pogrzeb niż święto. Żadna nie poprosiła tej, która wśród nich była ciężarna, aby wyliczyła swe objawy, i żadna nie opowiadała o najnowszych wybrykach swego syna. Ani jedna nie zaplatała drugiej włosów i nie nacierała czyichś stóp oliwą; ani jedna nie skosztowała słodkich placzków. Po te ostatnie sięgały tylko dzieci, które nawiedzały namiot w poszukiwaniu piersi i kolan matek.

Spośród wszystkich niewolnic tylko Zibatu i Uzna miały się udać do Kanaanu razem z moimi matkami. Inne miały zostać przy swoich mężach. Taki był koniec długiej historii tutejszego zrzeszenia sióstr.

Wszystkie one przytrzymały sobie wzajem nogi podczas porodów i używały piersi dzieciom tych, którym wyschło mleko. Razem śmiały się w ogrodzie i śpiewały pieśni pochwalne dla nowego księżycy. Teraz jednak te czasy dobiegały końca i teraz każda kobieta siedziała pogrążona we własnych wspomnieniach, bolejąc nad własną stratą. Nie weszłam do środka, tylko siedziałam pod czerwonym namiotem, który po raz pierwszy stał się smutnym miejscem; siedziałam na zewnątrz tak długo, aż wreszcie poczułam się dostatecznie zmęczona, by iść spać.

Ruti nie pojawiła się w namiocie. Nastął ranek, potem przyszedł wieczór, a jej wciąż nie było. Kiedy następnego dnia wzeszło słońce, moja matka kazała mi jej poszukać. Spytałam Józefa, czy żona naszego dziadka piekła chleb tego ranka. Spytałam Judy, czy wie, gdzie można znaleźć Ruti. Wypytywałam moich braci i córki niewolnic, ale jakoś nikt nie pamiętał, gdzie ostatni raz widział Ruti. Nikt nie potrafił sobie przypomnieć. Do tego czasu nieszczęście uczyniło ją niemalże niewidzialną.

Wdrapałam się na szczyt wzgórza, gdzie byłam szczęśliwa kilka miesięcy temu, ale teraz niebo było mętne i krajobraz zdawał się szary. Omiotłam wzrokiem horyzont, ale nikogo nie zobaczyłam. Poszłam do studni, ale i tam byłam sama. Wspięłam się na niskie konary drzewa rosnącego na przeciwległym skraju pobliskiego pastwiska, ale i tam nie zobaczyłam Ruti.

Natknęłam się na nią w drodze powrotnej, gdy szłam już powiedzieć, że nie mogę jej nigdzie znaleźć. Leżała na brzegu wyschłego wadi, w ustronnym miejscu, do którego niekiedy trafiały zabłąkane owce i łamały tam nogi. Z początku myślałam, że Ruti śpi, oparta plecami o strome zbocze. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że

oczy ma otwarte, więc do niej zawołałam, ale nie wykonała żadnego ruchu, żeby mi odpowiedzieć.

Dopiero wtedy spostrzegłam, że powieki ma otwarte i że muchy roją się w kąciach jej oczu i na przegubach dłoni, które są czarne od krwi. W górze nad nią krążyły padlinożerne ptaki.

Nigdy wcześniej nie widziałam trupa. Moje oczy wypełniły się twarzą Ruti, która nie była już twarzą Ruti, tylko płatem niebieskiej skały noszącym ślady twarzy, którą zapamiętałam. Nie wyglądała na smutną. Przyglądałam jej się, starając się zrozumieć, dokąd odeszła Ruti. I mimo że nawet tego nie zauważyłam, wstrzymałam oddech.

Chyba nigdy bym się nie ruszyła z tego miejsca, gdyby za moimi plecami nie stanął Józef. Rachela jemu też kazała szukać Ruti. Józef wyminął mnie i przykucnął obok ciała. Dmuchał delikatnie w jej znieruchomiałe nozdrza, dotknął palcem jej policzka, a na koniec ułożył dłoń na jej oczach, żeby zamknąć powieki. Byłam zdumiona odwagą i spokojem mojego brata.

Ale w tym momencie Józef zadrżał i odskoczył od ciała, jakby ukąsił go wąż. Zbiegł do samego dna wadi, tam, gdzie kiedyś płynęła woda i gdzie musiały kwitnąć kwiaty. Padł na kolana i zwymiotował na dno wyschniętego łożyska. Łkając głośno, klęczał, spazmował i kaszłał. Kiedy podeszłam do niego, poderwał się na równe nogi i odegnał mnie gestem ręki.

- Idź i powiedz im - wyszeptałam. - Ja tu zostanę i będę odganiała sępy. - Pożałowałam tych słów już w chwili, gdy opuściły moje usta. Józef nie odpowiedział, ale pomknął przed siebie tak szybko, jakby ścigał go wilk.

Odrzuciłam się od ciała, ale nie potrafiłam odgrodzić się od brzęczenia much oblepiających jej nadgarstek i od tego zakrwawionego

noża leżącego u jej boku. Sępy łopotały skrzydłami i skrzeczały. Cała drżałam, bo wiatr przeszywał moją tunikę na wylot.

Podeszłam do wylotu wadi i starałam się przywołać dobre myśli o Ruti. A jednak potrafiłam sobie przypomnieć tylko strach w jej oczach, brud we włosach, kwaśny odór ciała, skuloną, przybitą sylwetkę. Była kobietą, tak jak moja matka była kobietą, a mimo to krącowo się od niej różniła. Nie rozumiałam tej dobroci, z jaką Lea traktowała Ruti. W głębi serca żywiłam do niej taką samą pogardę jak jej synowie. Dlaczego tak się płaszczyła przed Labanem? Dlaczego nie domagała się szacunku od swoich synów? Jak znalazła odwagę, żeby odebrać sobie życie, skoro nie miała odwagi do życia? Wstydziłam się tego chłodu, który przepęśniał moje serce, bo wiedziałam, że Bilha popłakałaby się na widok leżącej tutaj Ruti i że Lea posypie sobie włosy popiołem, kiedy się dowie, co się stało.

Jednak im dłużej tam stałam, tym bardziej nienawidziłam Ruti za jej słabość i za to, że muszę jej teraz pilnować. Potem przestraszyłam się, że nikt tu po mnie nie przyjdzie, i zaczęłam się trząść. Może Ruti podniesie się i zamierzy na mnie swym nożem, żeby mnie ukarać za te okrutne myśli. Może bogowie podziemia przyjdą po nią i przy okazji mnie też zabiorą. Zaczęłam płakać, chciałam, by przyszła moja matka i wyratowała mnie. Wzywałam imiona wszystkich moich ciotek. Wołałam Józefa, Rubena i Judę. Ale wydawało się, że oni o mnie zapomnieli.

Zanim spostrzegłam sylwetki dwojga ludzi przemierzających łąkę, zaczęło mnie już mdlić ze strachu. I nie było nikogo, kto by mnie uspokoił, bo kobiety zostały w namiocie. Przyszli tylko ci straszni synowie Ruti, którzy narzucili koc na twarz matki, nawet nie westchnąwszy. Beor przerzucił sobie tobolek z ciałem Ruti przez ramię,

jakby to było zabłąkane jagnię. Szłam za nim w pojedynkę. Kemuel nie zwracał uwagi na swoją biedną martwą matkę i polował w tyle na królika.

- Ha, ha! - krzyknął, kiedy jego strzała dosięgła celu.

Dopiero wtedy, gdy zobaczyłam czerwony namiot na skraju obozu, po policzkach znowu zaczęły mi cieknąć łzy i czym prędzej podbiegłam do swych matek. Lea przyjrzała się uważnie mojej twarzy i okryła ją pocałunkami. Rachela przytuliła mnie z całej siły, a potem ułożyła na swym pachnącym wonnościami pościeliu. Zilpa zaśpiewała mi kołysankę o ulewnych deszczach i bogatych żniwach, a Bilha tak długo masowała mi stopy, aż wreszcie zapadłam w sen. Nie budziłam się aż do następnego wieczoru, a do tego czasu Ruti była już pod ziemią. Kilka dni później wyruszyliśmy w drogę.

Mój ojciec i starsi bracia, wszyscy niewolnicy i synowie Labana udali się na pastwiska, aby wybrać cętkowane i pstre sztuki, które teraz należały do Jakuba. Tylko Laban spośród wszystkich mężczyzn pozostał w obozie. Liczył kolejno napełniane dzbany i przetrząsał schludnie ułożone wełny, aby sprawdzić, czy nie zabraliśmy czegoś, czego nie chciał nam oddać.

- Jestem w swoim prawie - powarkiwiał, zamiast przeprosić.

W końcu znudził się podpatrywaniem ciężkiej pracy swych córek i postanowił wybrać się do Charanu „w interesach”. Lea szydziła, usłyszawszy to oświadczenie.

- Stary wybiera się uprawiać hazard, pić i chwalić przed innymi leniwymi nicponiami, że nareszcie udało mu się pozbyć chciwego

zienia i niewdzięcznych córek - powiedziała mi, kiedy razem szykowaaliśmy posiłek, który miał zabrać ze sobą w podróż.

Laban zamierzał zabrać w drogę Beora, cały obóz zaś ostentacyjnie pozostawił w pieczy Kemuela.

- On ma całą moją władzę we wszystkim – oznajmił Laban żonom i młodszym synom Jakuba, których zebrał razem, zanim ruszył w drogę.

Ledwie Laban zniknął za wzgórzem, Kemuel wydał rozkaz, że Rachela ma mu przynieść tegiego wina.

- Nie przysyłajcie mi żadnych brzydkich dziewcząt do posługi - warknął. - Chcę, żeby przyszła moja siostra.

Rachela nie wyraziła sprzeciwu, dowiedziawszy się, że ma mu służyć, bo dzięki temu miała okazję dosypać mu do pucharu ziela, które przyspiesza sen.

- Pijże na zdrowie, bracie - powiedziała przymilnym głosem, kiedy wychylił pierwszy puchar. - Masz tu, wypij jeszcze trochę.

Ledwie minęła godzina nieobecności Labana, a Kemuel w najlepsze już chrapał. Za każdym razem, kiedy przytomniał, Rachela szła do jego namiotu ze swoim odwarem, siadała obok, udając zainteresowanie jego grubiańskimi zalotami, i napełniała mu puchar tak szczerze i tak często, że ostatecznie stracił nie tylko cały ten dzień, ale również następny.

Kemuel chrapał, a tymczasem wrócili mężczyźni, którzy sprowadzili stada na pobliskie pastwisko tuż za następnym wzniesieniem obok namiotów, dzięki czemu ostatnim godzinom naszych przygotowań towarzyszyło głośne pobekiwanie, moc kurzu i zwierzęce wonie. I było też wiele hałasu i napięcia, wywołanego obecnością tak wielu mężczyzn pośród nas, kobiet.

W zwyczajnych czasach w namiotach przebywały tylko kobiety i dzieci. Chory albo słaby mężczyzna mógł leżeć na swym pościeli albo siedzieć w słońcu, gdy tymczasem dookoła niego tkano się wełnę, piekło chleb i warzyło piwo, jednak rozsądek nakazywał takiemu mężczyźnie trzymać się skromnie na uboczu.

Teraz otaczał nas cały tłum zdrowych mężczyzn, którzy nie mieli nic do roboty.

- Co za utrapienie - tak moja matka określiła nieustającą obecność swoich synów.

- Wiecznie chce im się jeść - narzekała Bilha - ta, która nigdy nie narzekała - gdy już drugi raz tego ranka odprawiła Rubena z miską pełną soczewicy duszonej z cebulą.

Bilha albo Lea musiały co kilka minut przerywać to, czym się akurat zajmowały, by rozgrzać kamienie chlebowe.

Mężczyźni nadržali jeszcze jednego problemu swą obecnością, problemu dość subtelnej natury. Namioty były królestwem Lei i mimo że to ona właśnie wiedziała najlepiej, co trzeba zrobić, nie mogła wydawać rozkazów, skoro u jej boku był mąż. Tak więc stała za plecami Jakuba i pytała cicho: „Czy mój mąż jest gotów rozebrać to wielkie wrzeciono i ułożyć je na wozie?” i on wtedy wydawał odpowiednie polecenie swym synom. I tak to szło, aż wreszcie wszystko było gotowe.

Podczas owych tygodni przygotowań, a zwłaszcza wtedy, gdy Laban wyprawił się do Charanu, trzymałam się blisko mojej ciotki Racheli. Znajdowałam wymówki, dzięki którym mogłam za nią chodzić od jednego zajęcia do drugiego, oferując, że będę dla niej biegać z posyłkami, albo wypytyując ją o rady związane z moimi

obowiązkami. Trzymałam się jej boku aż do zmierzchu, a nawet przysypiałam na jej pościeli i obudziwszy się rankiem, stwierdzałam, że jestem przykryta jej słodko pachnącym płaszczem. Staralam się pilnować, ale ona wiedziała i tak, że ja ją obserwuję.

W noc poprzedzającą nasze odejście Rachela połapała się wreszcie, że śledzę każdy jej ruch. Z początku potraktowała mnie srogim grymasem, ale zaraz potem spojrzała na mnie w sposób, który powiedział mi, że wygrałam: mogłam za nią iść. Udałyśmy się do bamy, gdzie znalazłyśmy Zilpę leżącą twarzą do ziemi obok ołtarza; moja ciotka rozmawiała szeptem z bogami i boginiami, których mieliśmy porzucić. Kiedy zasiadłyśmy obok, w korzeniach rosnącego tam wielkiego drzewa, podniosła wzrok, ale wcale nie jestem pewna, czy Zilpa w ogóle zauważyła, że siedzę między kolanami Racheli. Kiedy tak czekałyśmy, moja ciotka zaplotła mi włosy, a potem zaczęła opowiadać o uzdrawiających własnościach różnych pospolitych ziół, że na przykład nasiona kolendry leczą ból brzucha, a koper koi rany. Już od dawna twierdziła, że powinna mi przekazać to wszystko, czego ją nauczyła Inna.

Czekałyśmy tam, pod drzewem, tak długo, aż wreszcie Zilpa wstała, westchnęła i odeszła. Siedziałyśmy dopóty, dopóki nie ucihła wrzawa wypełniająca krąg naszych namiotów i nie pogasty ostatnie lampy. Zostałyśmy tam, aż wreszcie księżyc, w połowie drogi do pełni, stanął wysoko ponad konarami; nie było już słychać nic prócz rzadkiego pobekiwania owiec.

Wtedy Rachela powstała; towarzyszyłam jej, gdy wślizgnęła się bezszelestnie do namiotu Labana. Ciotka nie dawała po sobie poznać, że dostrzega moją obecność, i nie byłam pewna, czy ona w

ogóle wie, że za nią idę, dopóki nie przytrzymała dla mnie płachty zagradzającej wejście do tego namiotu, do miejsca, w którym w życiu nie byłam i nigdy nie chciałam się znaleźć.

W namiocie mojego dziadka było ciemno jak w głębinie wyschłej studni, a powietrze zdawało się zastarzałe i cuchnące. Rachela, która tu była wcześniej, by spić Kemuela, minęła teraz jego wstrząsane chrapaniem ciała, kierując się prosto do rogu namiotu, gdzie stała ławka z niegładzonego drewna, służąca Labanowi za ołtarz. Stały na niej dwa rzędy terafim. Rachela brała je kolejno bez żadnego wahania i wrzucała, jeden po drugim, do płachty, którą obwiązana była w pasie, jakby właśnie zbierała cebulę. Kiedy ostatni idol wpadł do jej fartucha, odwróciła się, przeszła przez cały namiot, nawet nie spojrzawszy na postępującego przez sen Kemuela, i bezgłośnie uchyliła przede mną płachtę.

Wyszłyśmy na nocny mrok. Słyszałam łomot własnego serca i wstrzymywałam oddech, by nie czuć tego smrodu, ale Rachela nie zatrzymywała się, tylko prędko szła w stronę własnego namiotu, gdzie spała Bilha. Słyszałam, że moja ciotka przerzuca koce, ale było zbyt ciemno, bym mogła zobaczyć, gdzie chowa posążki. Potem położyła się i nic już więcej nie słyszałam.

Miałam ochotę potrząsnąć nią i zażądać, żeby pokazała mi te skarby. Chciałam, żeby mnie przytuliła i pochwaliła za to, że nie narobiłam hałasu. Nic jednak nie powiedziałam. Ułożyłam się przy akompaniamencie bicia własnego serca, przerażona, że zaraz do namiotu wtargnie Kemuel, który nas tu wymorduje. Zastanawiałam się, czy terafim nie ożyją i nie rzucą na nas jakichś straszliwych czarów za to, że zakłóciłyśmy ich spokój. Byłam pewna, że ranek

nigdy nie nadejdzie, i dygotałam pod swoim kocem, mimo że noc nie była chłodna. W końcu zamknęłam oczy i odpłynęłam w sen bez snów.

Obudził mnie wielki harmider głosów pokrzykujących coś przed namiotem. Racheli i Bilhy już nie było i zostałam sama w towarzystwie dwóch stosów równo poskładanych koców. Zabrała je z sobą, dotarło do mnie. Rachelą przeniosła gdzieś posążki beze mnie. Przeoczyłam ten moment, choć tak uważnie ją śledziłam i chodziłam za nią krok w krok. Pospiesznie wybiegłam na zewnątrz i tam zobaczyłam moich braci rolujących kozie skóry, z których zbudowany był namiot mojego ojca. Wszystkie zresztą namioty stojące najbliżej zostały już rozebrane; podtrzymujące je słupy ułożone na stosie, liny zwinięte: mój dom rozebrany na części. Odchodziliśmy.

Jakub wstał o świcie i złożył ofiarę ze zboża, wina i oliwy, aby podróż okazała się udana. Zwierzęta z jego stad, wyczuwające zmianę, pobekiwały i rozkopywały racicami ziemię. Psy na moment nie przestawały ujadać. Połowa namiotów została już rozmontowana, przez co obóz wydawał się jakby wykoślawiony i opuszczony, jak gdyby wielki wiatr zmiotł część naszego świata.

Zjedliśmy poranny posiłek osolony łzami tych, które nie miały nam towarzyszyć. Kobiety odkładały ostatnie miski i stały teraz z pustymi rękoma. Nie pozostało nam już nic do zrobienia, ale Jakub nie dał jeszcze żadnego sygnału do odejścia. Laban nie wrócił z Charanu tak, jak obiecał.

Słońce wschodziło coraz wyżej i już od dawna powinniśmy byli być w drodze, a tymczasem Jakub wciąż stał samotnie na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na drogę do Charanu, wypatrując Labana. Synowie Jakuba pomrukiwali coś do siebie. Zilpa

podeszła do bamy, rozdarła swą tunikę, i obsypała sobie włosy popiołem. Żar słońca narastał i narastała też cisza; umilkło nawet bydło. Wtedy Rachela przeszła obok Rubena, Symeona, Lewiego i Judy, stojących u stóp wzgórza, z którego Jakub obserwował drogę, zbliżyła się do swego męża i powiedziała:

- Ruszajmy. Kemuel wyznał, że ojciec zamierza wrócić z włócznikami i jeźdźcami, aby nie dopuścić do naszego odejścia. Udał się do Charanu, aby oskarżyć cię przed sędziami, że jesteś złodziejem. Nie możemy zwlekać.

Jakub wysłuchał jej, a potem odparł:

- Twój ojciec za bardzo się boi mojego boga, by poczynać sobie tak śmiało. A Kemuel to głupiec.

Rachela skłoniła głowę i powiedziała:

- Mój mąż wie o wszystkim najlepiej, ale stada są gotowe i cały dobytek spakowany. Wszyscy jesteśmy obuci i nie mamy już nic do roboty. Nie będziemy wszak wymykali się ukradkiem po nocy. Nie zabieramy stąd niczego, co nie należy do nas. Pora jest właściwa. Jeśli jeszcze dłużej będziemy czekać, to zacznie ubywać księżyc, a ciemniejący księżyc to nie jest czas na zaczynanie pod róży.

Rachela mówiła samą prawdę, a Jakub nie miał najmniejszej chęci oglądać Labana. W rzeczy samej był wściekły na starego, że każe mu czekać, że każe mu odchodzić w taki sposób, jakby był złodziejem, który nie chce się pożegnać jak należy z dziadkiem własnych synów.

Słowa Racheli przemówiły do Jakuba, bo odpowiadały jego celom, tak więc, kiedy go zostawiła, dał rozkaz odejścia. Zniecierpliwieni synowie Jakuba pokrzykiwali ze szczęścia, ale te kobiety, które miały pozostać, podniosły lament.

Ojciec dał nam znak, że mamy ruszać za nim. Podprowadził nas najpierw do bamy, gdzie każde z nas ułożyło mały kamyk obok ołtarza; mężczyźni kładli kamyki znalezione wprost przy drodze, ale Lea i Rachela wyszperały swoje pod wielkim terebintem, którego konary przez tyle lat dawały im cień i pociechę.

Nie padły żadne słowa. Te kamyki miały wystarczyć za nasze świadectwo, choć Bilha i tak ucałowała swój, zanim dołożyła go do stosu pozostałych.

Zilpa i ja byliśmy przygotowane na ten moment. Wiele tygodni wcześniej moja zasmucona ciotka zabrała mnie do wadi, w którym zmarła Ruti, i pokazała mi miejsce na samym dnie wąwozu wypełnione gładkimi, owalnymi kamyczkami. Wybrała jeden, mały i biały, wielkości paznokcia jej kciuka. Ja wzięłam sobie czerwony z czarnymi żyłkami, prawie tak duży jak moja pięść. Zilpa przechowała go dla mnie i teraz położyła mi go na dłoni, kiedy po raz ostatni podeszłyśmy do świętego miejsca mojej rodziny.

Wtedy Jakub poprowadził swoją rodzinę przez wzgórze, do miejsca, gdzie czekali słudzy ze stadem. Moje matki nie oglądały się za siebie, nawet Zilpa, której oczy były zaczerwienione, ale suche.

Rozdział trzeci

Ojciec uszeregował wszystkich, przydzielając członkom swej rodziny, stadom i sługom ich miejsca w tej wyprawie. Sam szedł na czele pochodu, trzymając w ręku dużą laskę z drzewa oliwnego, w towarzystwie Lewiego i Symeona, którzy kroczyli obok, cali napuszeni z dumy, że są tacy ważni. Za nimi szły kobiety i dzieci zbyt małe, by mogły pilnować stad, wśród nich Uzna z małym synkiem i córką, którzy trzymali się jej nóg, a także Zibatu niosąca swe niemowlę w tobołku przy biodrze. Ja sama wyruszyłam w drogę obok Zilpy, w nadziei, że rozproszę smutek, który na dobre do niej przylgnął, ale w końcu jej przygnębienie zagnało mnie do mojej matki i Bilhy, które ani trochę nie zwracały na mnie uwagi, bo tak były pochłonięte planowaniem posiłków. I tak oto dotarłam do Racheli, której uśmiech nie gasł nawet wtedy, gdy słońce na dobre zaczęło nas smagać swym żarem. Tobołek na jej plecach był zbyt duży, by mógł zawierać tylko posążki, ale byłam pewna, że to właśnie w nim są ukryte.

Józefowi, Talemu i Issie kazano się trzymać jucznych zwierząt, blisko kobiet, co z kolei sprawiło, że boczyli się, rozkopywali grudy ziemi i mruźli, że są dostateczni duzi, by można im było powierzać ważniejsze prace, niżli pilnowanie potulnego osła oraz wołu, który ciągnął ciężką furę.

Tuż za nami i zwierzętami dźwigającymi ciężary poganiał stada Ruben, w czym pomagali mu Zabulon, Dan, Gad i Aser, a także nasi słudzy, Nomir, mąż Zibatu, oraz Zimri, ojciec dzieci Uzny. Stada obiegały cztery psy, z uszami płasko położonymi przy czaszkach. Odrywały swe brunatne ślepia od kóz i owiec tylko wtedy, gdy zbliżał się Jakub, i doskakiwały do boku swego pana, aby rozkoszować się chwilowym dotykiem jego dłoni i dźwiękiem jego głosu.

Juda, który strzegł naszych tyłów, szedł za stadami, wypatrując zbłąkanych sztuk. Ja czułabym się samotna, gdyby to mi przydzielono takie miejsce w pochodzie, ale mojemu bratu samotność zdawała się odpowiadać.

Byłam oszołomiona nie tylko liczebnością naszej gromady, ale także naszym dobytkiem, nadzwyczaj bogatym, jak mi się zdawało. Józef powiedział mi, że pod każdym względem tworzymy skromną zbiorowość, bo mamy tylko dwa juczne zwierzęta, ale ja nadal byłam dumna z zamożności mojego ojca i uważałam, że moja matka nosi się jak królowa.

Uszliśmy zaledwie kawałek drogi, kiedy Lewi wskazał jakąś postać przed nami, siedzącą na poboczu. Kiedy podeszliśmy bliżej, Rachela zawołała „Inna!” i wybiegła naprzód, by się przywitać ze swoją przyjaciółką i nauczycielką. Inna była przygotowana do podróży, jej osioł był obładowany kocami i koszami. Karawana nie zatrzymała się na ten niespodziewany widok samotnej kobiety; wody w tej okolicy nie było, toteż zatrzymywanie stada nie miałyby sensu. Położna natomiast podeszła do Jakuba, prowadząc swego osła i zrównując się z nim, ale nie przemówiła doń wprost, tylko do Racheli, dzięki czemu mógł posłyszeć jej słowa.

Przedstawiła swoją sprawę, nadzwyczaj kwiecistymi zwrotami, których jakoś dziwnie się słuchało, jako że padały z ust, które normalnie przemawiały najprostszymi, a niekiedy wręcz grubiańskimi słowami.

- Moja przyjaciółko - powiedziała - nie zniosę rozstania. Moje życie będzie smutne bez ciebie, a poza tym jestem zbyt stara, aby brać sobie nową uczennicę. Chciałabym móc przyłączyć się do twojej rodziny i razem z wami dopełnić kresu mego żywota. Oddałabym twemu mężowi całe moje mienie w zamian za jego ochronę i miejsce pośród kobiet z jego namiotów. Towarzyszyłabym wam jako wasza niewolnica albo służebnica, aby móc praktykować swe rzemiosło na południu i uczyć się tego, czego oni tam uczą. Służyłabym waszej rodzinie, ustawiając cegły waszym kobietom, lecząc rany waszych mężczyzn, oferując służbę Guli uzdrowicielce w imieniu Jakuba.

Potem jeszcze pochlebila mojemu ojcu, nazywając go mądrym i dobrym. Okrzyknęła się jego służebnicą.

Byłam jednym z licznych świadków przemowy Inny. Lewi i Symeon stali blisko, koniecznie pragnąc się dowiedzieć, czego chce położna. Lea i Bilha przyspieszyły kroku, również ciekawe, czegoż to ich przyjaciółka wśród nich szuka. Nawet Zilpa się ożywiła i podeszła bliżej.

Rachela zwróciła twarz w stronę Jakuba, z brwiami wygiętymi w pytający łuk i dłońmi zaplecionymi na piersi. Mąż uśmiechnął się do niej.

- Twoja przyjaciółka jest mile witana wśród nas. W moich oczach będzie twoją służebnicą. Jest twoja, tak jakby była częścią twojego posagu. Nie ma tu nic więcej do powiedzenia.

Rachela ucałowała rękę Jakuba i na chwilę przyłożyła ją sobie do

serca. Potem podprowadziła Inne i jej osła do naszych zwierząt, gdzie kobiety mogły rozmawiać bardziej swobodnie.

- Siostro! - powiedziała Rachela do Inny. - O co tu naprawdę chodzi?

Inna zniżyła głos i zaczęła opowiadać jakąś smutną historię o narodzinach zdeformowanego martwego płodu - małeńka główka, wykoślawione kończyny - zrodzonego z dziewczynki, którą uczyniono ciężarną przy jej pierwszej krwi.

- Zbyt młoda - powiedziała Inna, gniewnie wykrzywiając usta. - O wiele za młoda. - Ojcem był jakiś obcy, mężczyzna w podeszłym wieku z potarganymi włosami, odziany w samą przepaskę na biodrach; to on przyprowadził swoją żonę do chaty Inny. Kiedy oboje, i matka, i dziecko, umarli, oskarżył położną o spowodowanie jego nieszczęścia przez rzucenia na nich czaru.

Inna, która spędziła trzy straszne dni na próbach ratowania matki, nie umiała okiełznać języka. Wyczerpana i zasmucona, nazwała mężczyznę potworem i oskarżyła go, że był nie tylko mężem, ale i ojcem dziewczyny. A potem splunęła mu w twarz.

Rozwścieczony obcy zamierzył się na jej gardło i byłby ją zabił, gdyby nie sąsiedzi zwabieni jej krzykami, którzy go odciągnęli. Inna pokazała nam czarne sińce na gardle. Mężczyzna żądał rekompensaty od ojca Inny, ale Inna nie miała ojca ani też brata czy męża. Od śmierci matki mieszkała całkiem sama.

Zatrzymawszy rodzinną chatę, nie potrzebowała innego schronienia, a praca położnej zapewniała jej ziarno, oliwę, a nawet wełnę na handel. Nie była dla nikogo ciężarem, toteż nikomu nie wadziła.

Ale teraz ten rozzłoszczony obcy chciał wiedzieć, dlaczego lud miasteczka toleruje takie „paskudztwo”.

- Samotna kobieta to zagrożenie! - krzyczał w twarze sąsiadów Inny. - Gdzie wasi sędziowie? - syczał. – Kim są wasi starsi?

W tym momencie Inna się przeraziła. Najbardziej wpływowy mężczyzna z jej błotnistej wioski nienawidził jej od chwili, gdy odrzuciła propozycję małżeństwa złożoną w imieniu jego syna, który był niespełna rozumu. Obawiała się, że ten podburzy mężczyzn przeciwko niej, a może nawet weźmie ją w niewolę.

- Idioci. Wszyscy bez wyjątku - powiedziała i splunęła w pył drogi. - Moje myśli zwróciły się ku wam, dostrzegając w was wybawienie - zwróciła się do wszystkich kobiet z mojej rodziny, które szły nieopodal, przysłuchując się każdemu jej słowu. - Rachela wie, że zawsze chciałam zobaczyć coś więcej ze świata oprócz tych pylistych wzgórz, a ponieważ Jakub traktuje swe żony lepiej niż większość mężczyzn, stwierdziłam, że wasze odejście to podarunek od bogów - ciągnęła. - A poza tym muszę wam, siostry, powiedzieć, że jestem już zmęczona jądaniem wieczornego posiłku w samotności. Z chęcią przyglądałabym się, jak chłopiec, przy którego narodzinach asystowałam, wyrasta na mężczyznę. Chciałabym świętować każdy nowy księżyc w otoczeniu przyjaciółek. Pragnę mieć pewność, że moje kości zostaną właściwie pochowane po mojej śmierci. - Ogarnąwszy nas wszystkie wzrokiem, uśmiechnęła się szeroko. - Tak więc oto jestem.

Kobiety odwzajemniły się jej uśmiechem, uszczęśliwione, że mają wśród siebie taką wprawną uzdrowicielkę. Rachela posiadała

wprawdzie wysokie umiejętności, ale Inna słynęła ze złotych rąk i była uwielbiana za swe opowieści.

Zilpa uznała, że pojawienie się Inny to dobry znak. Obecność położnej podniosła ją na duchu do tego stopnia, że niebawem moja ciotka zaczęła śpiewać. Nic egzaltowanego, ot dziecięcą piosenkę o muszce, która tak uprzykrzyła się królikowi, że pożarł owada, ale sam z kolei został pożarty przez psa, którego dla odmiany zjadł szakal, na którego polował lew, którego zaś zabił pewien chwalipięta, którego porwali An i Enlil, bogowie nieba, i którzy umieścili go w niebie, żeby dać mu nauczkę.

Była to prosta piosenka, znana każdemu dziecku i dlatego też każdemu dorosłemu, który przecież sam kiedyś był dzieckiem. Przy ostatniej zwrotce rozśpiewały się wszystkie moje matki, służebnice i ich dzieci. Przyłączyli się nawet moi bracia, a Symeon i Lewi urządzili sobie zawody, przekrzykując się wzajem. Na końcu wszyscy klaskali w dłonie i śmiali się. Miło było wyzwolić się spod cienia Labana. Miło było zaczynać nowe życie.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałam kobiece i męskie głosy połączone w pieśni; podczas tej wyprawy granice dzielące życie mężczyzn i kobiet mocno się poluzowały. My asystowałyśmy im przy pojeniu trzody, oni pomagali nam wypakowywać składniki wieczornego posiłku. Nadstawiałyśmy ucha, kiedy śpiewali pieśni pasterckie, skierowane do nocnego nieba i pełne opowieści o konstelacjach. Oni zaś słuchali naszych pieśni tkackich, które umilały nam wędrówkę i wieczory, kiedy to przedłyśmy na naszych małych wrzecionach. Oklaskiwaliśmy się wzajem i razem się śmialiśmy. To były najlepsze chwile w naszym życiu. To było jak sen.

Najwięcej śpiewało się tuż przed pójściem na spoczynek albo wczesnym rankiem, kiedy wciąż jeszcze mieliśmy zapasy sił. Zanim nastawało południe, każdy był już głodny i doskwierał mu ból w nogach. Kobiety dopiero po kilku dniach przyzwyczyły się do noszenia sandałów od wschodu do zachodu słońca - w domu zarówno w namiotach, jak i poza nimi chodziło się boso. Inna leczyła nasze pęcherze i koła bóle, masując stopy oliwą zaprawioną tymiankiem.

Nie było natomiast żadnych problemów z naszym apetytem. Pod koniec każdego długiego dnia wszyscy robili się straszliwie głodni i dobrze się składało, że moi bracia mogli uzupełnić podróżny chleb i owsiankę ptakami i zającami, na które polowali po drodze. Mięso przyrządzała Inna, która przyprawiała je jaskrawożółtym sosem; smakowało wspaniale, choć dziwnie.

Podczas wieczornych posiłków rozmawiało się niewiele: mężczyźni w swoim kręgu, kobiety w swoim. Zanim wzeszedł księżyc, wszyscy już spali - kobiety i dzieci tłoczyły się w jednym wielkim namiocie, mężczyźni i chłopcy na kocach pod gwiazdami. O świcie, po pospiesznym posiłku złożonym z zimnego chleba, oliwek i sera, wyruszyliśmy w drogę. Po kilku takich dniach ledwie potrafiłam sobie przypomnieć swoje dawne życie, ukorzenione w jednym miejscu.

Każdy poranek przynosił jakieś nowe niespodzianki. Pierwszego dnia przyłączyła się do nas Inna. Drugiego dnia, późnym popołudniem, drogę zagroziła nam wielka rzeka.

Mój ojciec przedzał, że będziemy się przeprawiali przez wielką wodę, ja jednak wtedy nie wzięłam sobie jego słów do serca. Kiedy więc wspięliśmy się na szczyt wzgórza, z którego roztaczał się widok na koryto rzeki, wprost nie posiadałam się ze zdumienia.

W życiu nie widziałam tak wiele wody w jednym miejscu; żadne z nas nie widziało, jeśli nie liczyć Jakuba i Inny. Rzeka nie była bardzo szeroka w miejscu, gdzie musieliśmy ją pokonać, aby dostać się na drugi brzeg, a mimo to była ze dwadzieścia razy większa od strumieni, które dotąd znałam. Płynęła przez dolinę niczym roziskrzona ścieżka, pod zachodzącym słońcem, które płonęło niczym ogień.

W miejscu, gdzie się przeprawialiśmy, dno rzeki wyścielały kamienie. Ziemia na obu brzegach była ubita do gładkości przez liczne karawany i mój ojciec postanowił, że zatrzymamy się tam aż do następnego poranka. Zwierzęta doprowadzono do wody, a my rozbiliśmy obóz, ale jeszcze przed posiłkiem ojciec i moje matki zebrali się na brzegu Eufratu i złożyli tej wielkiej rzece ofiarę z wina.

Nie byliśmy jedynymi przy brodzie. Wszędzie jak okiem sięgnął, w górę i w dół nurtu, zatrzymywali się kupcy, żeby się najeść i prześpać przed dalszą drogą. Moi bracia włączyli się po brzegu, przyglądając się z ciekawością obcym twarzom i cudzoziemskim strojom. „Wielbłąd!”, wykrzyknął Józef i nasi bracia pognali za nim, by też przyjrzeć się z bliska temu dziwnemu stworzeniu o pałkowatych nogach. Ja nie mogłam pójść z nimi, ale nie żałowałam, że zostałam. Dzięki temu miałam szansę zejść do rzeki, która przyciągała mnie niczym najlepszy bajczarze.

Stałam nad skrajem wody, aż wreszcie resztki dziennego światła umknęły z nieba i później, przy wieczerzy, nadal rozkoszowałam się wonią rzeki, która wywoływała takie same zawroty głowy jak kadzidło, ciężkie i mroczne kadzidło, jakże inne od słodkiego, rozrzedzonego aromatu wody ze studni. Moja matka, Lea, twierdziła potem, że poczułam wtedy woń gnijących traw porastających bagna

i mieszaniny obecności tyłu ludzi i zwierząt zebranych w jednym miejscu, ale ja nieomylnie rozpoznawałam zapach tej wody, tak jak rozpoznawałam perfumy ciała mojej matki.

Nad rzeką siedziałam jeszcze wtedy, gdy inni poszli już spać. Majtałam nogami w wodzie, aż skóra na nich cała się pomarszczyła i stała tak miękka i biała, jak jeszcze nigdy nie była. W świetle księżycy przyglądałam się liściom, które powoli płynęły wraz z prądem i znikwały z zasięgu wzroku. Powolne chlupotanie wody o płytkie brzegi ukołysało mnie i niemalże już spałam, kiedy obudziły mnie czyjeś głosy. Odwróciwszy się, by spojrzeć w górę nurtu, spostrzegłam dwie sylwetki poruszające się mniej więcej na środku rzeki. Przestraszyłam się, że mogą to być jakieś rzeczne demony albo wodne zwierzęta, które chcą wciągnąć mnie do wodnistego grobu. Nie miałam pojęcia, że ludzie potrafią poruszać się w wodzie w taki sposób - w życiu nie widziałam nikogo, kto umiał pływać. Ale niebawem pojęłam, że to tylko mężczyźni, ci Egipcjanie, którzy byli właścicielami wielbłąda, rozmawiający ze sobą swym dziwnym, mrukliwym językiem. Mimo że śmiali się cicho, woda niosła dźwięk, jakby szeptali mi coś prosto do ucha. Nie poszłam się położyć pod swój koc, dopóki nie wyszli z wody, pozwalając rzece cierpliwie kontynuować swą powolną, spokojną przeprawę przez nocny mrok.

Rankiem mój ojciec i bracia weszli do wody bez wahania, zadzierając tylko szaty, by ich nie zmoczyć. Moje matki zawiesiły sobie sandały u pasa i chichotały, że tak śmiało pokazują nogi. Kiedy przeprawialiśmy się na drugi brzeg, Zilpa nuciła jakąś rzeczną pieśń. Bliźniaki wybiegły naprzód, obryzgując się wodą.

Ja jednak się bałam. Mimo że zakochałam się w rzece, widziałam, że w jej najgłębszym miejscu woda sięga mojemu ojcu do pasa. To oznaczało, że sama zanurzę się po szyję i że woda być może pochłonie mnie całą. Bardzo pragnęłam ucześcić się ręki mojej matki, niczym małe dziecko, ale ona akurat przytrzymywała tobołek na głowie. Wszystkie moje matki miały ręce zajęte, a byłam zbyt dumna, by poprosić o pomoc Józefa.

Nie miałam czasu na strach. Za moimi plecami stały juczne zwierzęta, ponaglając mnie, więc weszłam do rzeki i poczułam, jak ona podnosi się wokół moich kostek, a potem łydek. Prąd zdawał się pieścić moje kolana i uda. W mgnieniu oka woda oblała cały mój brzuch i pierś, a wtedy zebrało mi się na śmiech. Nie było się czego bać! W wodzie nie było żadnego zagrożenia, tylko to parcie na ciało, którego nie chciałam przerywać. Stałam z boku i czekałam, aż minie mnie wół i pozostałe zwierzęta. Przebierałam rękami w wodzie, czując, jak się unoszą na powierzchni, obserwując fale i prąd, który powstawał za sprawą ruchów moich kończyn. W tym jest magia, pomyślałam. W tym jest coś świętego.

Przyglądałam się owcom, które wyciągały szyje ponad wodą, kozom, które brnęły z wytrzeszczonymi oczyma, ledwie dotykając dna kopytami. Tuż za nimi podążały psy, które w jakiś sposób opanowały sztuczkę biegania po wodzie - machały łapami i posuwały się do przodu, parskając, ale nie cierpiąc. W tym naprawdę była magia; nasze psy potrafiły pływać równie dobrze jak Egipcjanie.

W którymś momencie pojawił się obok mnie Juda, który patrzył na wodę z takim samym zwątpieniem, jakie ja odczuwałam jeszcze kilka chwil wcześniej.

- Siostró - powiedział. - Ocknijże się i chodź ze mną. Weź mnie

za rękę. - zaproponował. Kiedy jednak spróbowałam go złapać, straciłam grunt pod nogami i upadłam na plecy. Juda złapał mnie i pociągnął. Leżałam na plecach, wpatrzona w niebo i czułam, jak woda wypycha mnie w górę. Aj! - wyrwał mi się z ust cichy okrzyk. Rzeczny demon, pomyślałam. Złapał mnie rzeczny demon. Jednak Juda wywlóknął mnie na kamyki na drugim brzegu i w tym momencie utraciłam tę dziwną lekkość w ciele.

Później, nocą jeszcze tego samego dnia, kiedy ułożyłam się do snu pośród innych kobiet, opowiedziałam moim matkom, co widziałam i czułam nad brzegiem rzeki, a potem w samej rzece, podczas przeprawy. Zilpa stwierdziła, że rzeczny bóg rzucił na mnie czar. Lea ścisnęła mnie za rękę, dodając nam obu otuchy. Ale Inna powiedziała mi:

- Jesteś dzieckiem wody. Twój duch odpowiedział duchowi rzeki. Któręś dnia będziesz musiała zamieszkać nad rzeką, Dino. Tylko rzeka uczyni cię szczęśliwą.

Uwielbiałam każdą chwilę naszej wyprawy do Kanaanu. Dopóki nie wypuszczałam wrzeczona z rąk, moje matki nie interesowały się tym, co robię albo dokąd chodzę, więc stale wędrowałam od czoła karawany do jej tyłów, starając się być wszędzie i widzieć wszystko. Niewiele pamiętam z otaczającego nas krajobrazu czy nieba, które wszak musiało się zmieniać podczas naszej podróży. Raz Rachela i Inna zabrały mnie na zbieranie ziół i kwiatów porastających zbocza wzgórz, które stawały się coraz bardziej strome i wyboiste, w miarę jak posuwaliśmy się na południe. Zdumiałam się widokiem drzew

rosnących tak gęsto, że kobiety tak szczupłe jak Rachel i Inna musiały iść gęsiego, by się między nimi przedrzeć. Pamiętam wybijające z ich gałęzi dziwne igły, od których moje palce przez cały dzień pachniały zielonością.

Najbardziej z wszystkiego podobały mi się widoki, które dane mi było oglądać na drodze. Mijaliśmy karawany udające się do Egiptu z cedrem, szeregi niewolników wędrujących do Damaszku i kupców z Sychem podążających do Karkemisz położonego blisko naszego dawnego domu. Mijało nas tylu dziwnych ludzi: mężczyźni o gładko wygolonych licach upodabniających ich do małych chłopców i mężczyźni zupełnie od tamtych różni, rośli i czarnoskórzy, o obnażonych torsach. Choć kobiet na drodze było mniej, zauważałam matki w czarnych woalach, nagie niewolnice, a nawet tancerkę wystrojoną w napierśnik z miedzianych monet.

Józef fascynował się tymi ludźmi zupełnie tak samo jak ja i zdarzało mu się wybiegać z naszej procesji, gdy chciał się dokładniej przyjrzeć jakiemuś szczególnie dziwnemu zwierzęciu albo ubiorowi. Ja sama byłam zbyt nieśmiała, by mu towarzyszyć, a zresztą moje matki by na to nie pozwoliły. Mój brat opisywał mi potem, co zobaczył, i razem się dziwowaliśmy.

Dla odmiany nie dzieliłam się z Józefem swymi obserwacjami na temat naszej rodziny. Wprawdzie czułam się jak jakiś złodziej, szpiegujący własnych rodziców i braci, ale cała się paliłam z pragnienia dowiedzenia się o nich czegoś więcej - zwłaszcza o moim ojcu. Ponieważ Jakub codziennie szedł z nami jakiś czas, obserwo wałam go i zwracałam baczną uwagę na to, jak traktuje moje matki. Z Leą rozmawiał o zapasach żywności i o dalszych planach, z Rachelą o wspomnieniach jego podróży na północ, do Charanu. Bardzo

się starał traktować wszystkie kobiety jak najsprawiedliwiej w owych atencjach.

Zilpa pochylała głowę, kiedy zbliżał się mój ojciec, a on reagował podobnie, ale rzadko rozmawiali. Do Bilhy Jakub uśmiechał się tak, jakby była jego dzieckiem. Zresztą ją jedyną dotykał, gładził dłonią jej miękkie czarne włosy, kiedy przechodził obok. Był to intymny akt, który zdawał się odzwierciedlać jego czułe usposobienie, ale dowodził także jej bezradności jako najmniej ważnej z żon Jakuba. Bilha nic nie mówiła, ale czerwieniła się mocno przy tych pieszczotach.

Zauważyłam, że oddanie Rubena wobec Bilhy nie słabnie z czasem. Wszyscy prawie moi bracia rozluźniali więzi z matkami i ciotkami, kiedy już osiągnęli swój ostateczny wzrost i wyrastały im brody. Wszyscy z wyjątkiem Rubena, który lubił kręcić się przy kobietach, zwłaszcza przy Bilsze. Podczas naszej wyprawy zdawał się zawsze wiedzieć, gdzie ona jest. Kiedy ją wołał, odpowiadała mu: „Tak, bracie”, mimo że był przecież jej siostrzeńcem. Nigdy o nim z nikim nie rozmawiała i wydaje mi się, że nigdy nie słyszałam, by wypowiadała jego imię, ale widziałam łączące ich uczucie i ono mnie cieszyło.

Rubena łatwo było odszukać, ale nie ruchliwego i niespokojnego Judę. Juda wybrał sobie wprawdzie miejsce z tyłu stada, ale czasami zmuszał kogoś z młodszych braci, by go zastąpił, i sam wtedy gdzieś się włóczył. Wspinał się na szczyt jakiegoś skalistego wzgórza i stamtąd do nas pokrzykiwał, a potem znikał aż do zmroku.

- Jest jeszcze na to za młody, ale już łaknie kobiety - mruknęła Inna do mojej matki którejś nocy, kiedy Juda pojawił się przy ognisku, szukając wieczerzy.

Spojrzałam na Judę i zauważyłam, że ciało mojego brata zaczęło nabierać męskich kształtów, że ma silnie umięśnione ramiona, że na nogach wyrastają mu włosy. Był najprzystojniejszy z wszystkich moich braci. Zęby miał idealnie równe, białe i małe; pamiętam to, bo uśmiechał się tak rzadko, że zawsze nimi zaskakiwał. Wiele lat później, kiedy pierwszy raz w życiu zobaczyłam perły, przyszły mi na myśl zęby Judy.

Gdy tak patrzyłam na Judę jako mężczyznę, przyszło mi na myśl, że Ruben z pewnością osiągnął już wiek, w którym mógłby się ożenić i mieć dzieci. W rzeczy samej był niewiele młodszy od Nomira, którego córka prawie już chodziła. Symeon i Lewi też mieli już dość lat, by znaleźć sobie żony. I wtedy zrozumiałam inny powód, dla którego opuściliśmy okolice Charanu - aby moi bracia mogli zgromadzić środki na opłaty za ich przyszłe oblubienice, w czym mogłyby przeszkodzić lepkie ręce Labana. Kiedy zapytałam o to moją matkę, ta odpowiedziała tylko: „Tak, tak, oczywiście”, ale ja i tak byłam pod wrażeniem własnej mądrości i intuicji.

Nikt już nie wspominał Labana. Mijały dni i zaczęło ubywać księżyc, zdawało się, że wyzwoliliśmy się spod wpływów mojego dziadka. Jakub prawie już przestał odwiedzać Judę na tyłach stada i oglądać się przez ramię, czy nie zbliża się jego teść. Zamiast tego jego myśli szybowwały w stronę Edomu, ku spotkaniu z Ezawem, bratem, którego nie widział od dwudziestu lat, a więc od dnia, w którym ukradł podstępem błogosławieństwo ojca i uciekł. Im bardziej oddalaliśmy się od Charanu, tym częściej Jakub mówił o Eza-wie.

W dzień poprzedzający nów zatrzymaliśmy się wczesnym popołudniem, żeby zdążyć przygotować czerwony namiot i nagotować

strawy na trzy dni przyznawane kobietom. Ponieważ mieliśmy zostać w tym miejscu dłużej niż jeden dzień, ojciec też postawił swój namiot. Znajdowaliśmy się blisko urokliwego strumyka, nad którym rośla mnogość dzikiego czosnku. Obóz prędko wypełnił się wonią chleba i szykowano wielkie garnce pełne duszonego mięsa, aby mężczyznom nie zabrakło strawy w czasie, gdy kobiety nie będą pełniły swej służby.

Moje matki i Uzna weszły do namiotu kobiet przed zachodem słońca. Ja zostałam na zewnątrz, by pomóc w usługiwaniu mężczyznom. Nigdy w życiu nie pracowałam ciężiej. Obsłużenie czternastu mężczyzn i chłopców oraz dwójki małych dzieci, jeśli nie liczyć kobiet w namiocie, nie było błahym zadaniem. Prawie całe to zadanie spadło na mnie, bo Zibatu często karmiła swe dziecko, Inna zaś nie miała cierpliwości do moich braci.

Byłam z siebie dumna, że to ja karmię moją rodzinę, że wykonuję pracę dorosłej kobiety. Kiedy wreszcie o zmierzchu przyłączyliśmy się do moich matek w namiocie, poczułam, że nigdy z taką wdzięcznością nie udawałam się na spoczynek. Spałam dobrze i śniło mi się, że noszę koronę i nalewam wodę. Zdaniem Zilpy były to nieomyślne znaki, że już niebawem stanę się kobietą. Tak czy owak sen był słodki, ale zakończył się następnego ranka koszmarem, w którym grzmiał głos Labana.

To jednak nie był sen. Do obozu przybył mój dziadek, który domagał się sprawiedliwości.

- Dajcie mi tego złodzieja, który zabrał moje posążki! - wrzeszczał. - Gdzie są moje terafim?

Wybiegłam z namiotu dokładnie w tym momencie, w którym mój ojciec, z laską z drzewa oliwnego w ręku, szedł na spotkanie z Labanem. Beor i Kemuel stali tuż za dziadkiem, razem z trzema

niewolnikami z Charanu, którzy woleli wbić wzrok w ziemię, zamiast spojrzeć w twarz Jakubowi, którego wszak kochali.

- Kogo nazywasz złodziejem? - spytał podniesionym głosem mój ojciec. - Kogo ty oskarżasz, stary głupcze? Służyłem ci dwadzieścia lat bez zapłaty, bez szacunku. W tym miejscu nie było żadnego złodzieja, dopóki ty nie naruszyłeś jego spokoju.

Laban aż osłupiał, słysząc ton zięcia.

- To dzięki mnie masz wygodną starość - ciągnął Jakub. - Byłem ci najrzetelniejszym sługą. Nie zabrałem niczego, co nie należy do mnie. Nie mam tu nic oprócz tego, co zgodziłeś się dać jako mi należne, a i tak nie była to sprawiedliwa zapłata za to, co ja ci dałem. Twoje córki są moimi żonami i niczego od ciebie nie chcę. Twoi wnukowie są moimi synami i nie jestem ci nic winien. Kiedy mieszkałem na twojej ziemi, darzyłem cię szacunkiem, na który nie zasługujesz, ale teraz już nie wiążą mnie obowiązki gościa i gospodarza.

Do tego momentu wszyscy moi bracia zdążyli już się zebrać za plecami Jakuba, na podobieństwo niewielkiej armii. Nawet Józef trzymał w dłoniach laskę. W powietrzu aż trzeszczało od nienawiści.

Laban zrobił krok w tył.

- Synu! Dlaczego się mnie wyrzekasz? - tłumaczył fałszywie, głosem znienacka postarzałym i słabym. - Jestem tu tylko po to, by pożegnać się z moją ukochaną rodziną, z córkami i wnukami. Wszak ty i ja jesteśmy krewniakami. Tyś jest moim siostrzeńcem i kocham cię jak syna. Moje słowa zrozumiałeś opacznie. Chciałbym jedynie ucałować moją rodzinę i dać wam swoje błogosławieństwo - powiedział, rozcapierzając palce i pochylając głowę niczym pies okazujący uległość. - Czyż bóg Abrama nie jest także bogiem moich ojców?

Jest wielki, to pewne. Ale, mój synu - powiedział Laban, patrząc w twarz Jakubowi - co z innymi bogami? Cóżżeś z nimi zrobił?

- O czym ty mówisz? - spytał mój ojciec.

Laban zmrużył oczy i odpowiedział:

- Ktoś ukradł bogów mojego domostwa; zniknęli po waszym odejściu. Przybywam, aby odebrać je w imieniu swoim i moich synów. Czemu chciałbyś pozbawiać mnie ich ochrony? Czy nie obawiasz się ich gniewu, mimo że sam czcisz tylko tego bez twarzy?

Mój ojciec splunął Labanowi pod nogi.

- Niczego ci nie zabrałem. W moim domostwie nie ma nic, co należy do ciebie. W moich namiotach nie ma miejsca dla złodziei.

Laban jednak obstawał przy swoim.

- Ja drogo sobie cenię moje terafim, siostrzeńcze. Nie odejdę stąd bez nich.

Usłyszawszy to, Jakub wzruszył ramionami

- Ich tutaj nie ma - rzekł. - Zresztą sam sprawdź. - I z tym odwrócił się plecami do Labana i odszedł do lasu, znikając wszystkim z oczu.

Laban zaczął poszukiwania. Moi bracia stali z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i przyglądali się, jak starzec rozwiązuje każdy tobolek, jak rozwija każdy zrolowany namiot, jak przesiewa palcami każdy wór z ziarnem, jak obmacuje każdy bukłak z winem. Kiedy zbliżył się do namiotu Jakuba, Symeon i Lewi próbowali zagrozić mu drogę, ale Ruben odsunął ich na bok. Poszli więc za Labanem i patrzyli, jak ten plądruje koce mojego ojca, a nawet podnosi matę wyścielającą podłogę, aby rozkopać ziemię, na wypadek, gdyby tam była wydrążona jakaś jama.

Mijał dzień, a Laban szukał. Ja sama biegałam tam i z powrotem, od miejsc, które przeszukiwał dziadek, do czerwonego namiotu, donosząc moim matkom, co widziałam. Ich twarze pozostawały nieprzeniknione, ale ja wiedziałam, że się trapią. W życiu nie widziałam kobiecych rąk, które byłyby zajęte pracą podczas nowiu, a tymczasem one wszystkie bez wyjątku pracowały na wrzecionach.

Kiedy Laban przeszukał namiot mojego ojca, nie zostało mu już nic do sprawdzenia oprócz czerwonego namiotu. Utkwił wzrok w namiocie kobiet stojącym na samym skraju obozu. To było nie do pomyślenia, by zdrowy mężczyzna miał z własnej woli nawiedzić to wnętrze na samym początku miesiąca. Mężczyźni i chłopcy wytrzeszczyli oczy, chcąc się przekonać, czy wejdzie między krwawiące kobiety - a co gorsza, własne córki.

Stary mruczał coś pod nosem, kiedy podchodził do namiotu kobiet. Tuż przy wejściu znieruchomiał i obejrzał się przez ramię, popatrzył groźnie na swych synów i wnuków, a potem uniósł klapę i wszedł do środka.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem był chrapliwy oddech Labana. Omiótł wnętrze namiotu nerwowym wzrokiem, nie patrząc kobietom w oczy. Żadna się nie poruszyła ani nie odezwała. W końcu z wielką pogardą w głosie burknął coś niezrozumiale i podszedł do sterty koców.

W tym momencie ze swojego posłania ze słomy powstała Racheła. Nie spuściła oczu, kiedy zwracała się do ojca. W rzeczy samej patrzyła mu prosto w twarz i bez gniewu, strachu czy jakichkolwiek wyraźnych emocji oświadczyła:

- To ja je wzięłam, ojczu. Ja mam wszystkie terafim. Wszystkich twoich bogów. Są tutaj. Siedzę na nich. Posążki naszej rodziny kąpią

się teraz w mej krwi miesięcznej, przez co bogowie twego domostwa są skażeni bez możliwości odkupienia. Możesz je odebrać, jeśli chcesz - ciągnęła spokojnie, jakby mówiła o jakichś błahostkach. - Wykopię je, a nawet obetrę, jeśli chcesz, ojczu. Ale ich magia jest odtąd zwrócona przeciwko tobie. Nie będą cię więcej chronić.

Nikt nawet nie odetchnął, kiedy Rachela mówiła to wszystko. Laban wytrzeszczył oczy i zaczął się trząść. Zagapił się na swoją piękną córkę, która zdawała się jarzyć łuną w różanym świetle przesączającym się przez ściany namiotu. Była to długa i straszna chwila, która trwała dopóty, dopóki Laban nie odwrócił się i starczym krokiem nie poczłapał na zewnątrz. A tam, w pełnym świetle, stanął twarzą w twarz z Jakubem, który właśnie wrócił.

- Nic nie znalazłeś - orzekł mój ojciec z najwyższym przekonaniem. Kiedy Laban nie odpowiedział, Jakub kontynuował: - W moich namiotach nie ma złodziei. To będzie nasze ostatnie spotkanie, starcze. Skończyliśmy z sobą.

Laban nic nie powiedział, ale uniósłszy ręce, ukazał wnętrza swych dłoni i pochylił głowę na znak, że się zgadza.

- Chodź - powiedział - załatwimy sprawę do końca.

Mój dziadek dał znać Jakubowi, że ma pójść za nim na wzgórze, do jego obozu. Moi bracia poszli z nimi, żeby służyć za świadków.

Każdy, i Laban, i Jakub, znalazł dziesięć kamieni; ułożyli je potem jedne na drugich, budując kopiec, który miał wyobrażać dzielącą ich granicę. Laban polał ją winem. Jakub polał ją oliwą. Obaj mężczyźni poprzysięgli sobie pokój, dotykając wzajem swych ud. Potem Jakub odwrócił się i szedł w dół wzgórza. Wówczas ostatni raz widzieliśmy Labana, co uznaliśmy za błogosławieństwo.

Jakub bardzo chciał już opuścić to miejsce, więc następnego dnia czerwony namiot został rozebrany i ruszyliśmy w dalszą podróż do ziemi, którą mój ojciec nazywał domem.

Ojca trawiły wspomnienia o Ezawie. Mimo że minęło już dwadzieścia lat, Jakub wciąż widział twarz swego brata, w momencie gdy Ezaw wreszcie pojął w pełni to, co mu się przytrafiło. Że zdradził go nie tylko Jakub, który ukradł mu błogosławieństwo ukochanego ojca, ale że za wszystkim stała również Rebeka - co stanowiło kolejny z licznych dowodów na to, że wolała młodszego syna.

Jakub przyglądał się twarzy brata, kiedy Ezaw łączył wszystko w całość, uzyskując pełen obraz rodzinnej zbrodni, i zawstydził się. Rozumiał, jak wielki ból musi trawić wąpia Ezawa, i wiedział, że gdyby to on był na miejscu brata, ruszyłby za nim w pościg z uszykowanym sztyletem.

Jakub nie mógł się wyzbyć wizji swego straszliwego, mściwego brata, opisując go za dnia synom, a także Lei, Racheli i Bilsze, podczas nocy spędzanych z nimi, bo teraz co dzień rozbijał swój namiot, aby kobiety mogły go uspokajać aż do rana. Strach Jakuba był tak wielki, że wymazał wszelkie wspomnienia o miłości jego brata, która zawsze była silniejsza niżli krótkotrwałe napady złości. Zapomniał o tych chwilach, gdy Ezaw karmił go i sprawował nad nim opiekę, kiedy śmiał się z nim razem i udzielał mu pochwał.

Strach mego ojca przeobraził Ezawa w demona zemsty, który w mojej wyobraźni przybrał postać czerwonego lisa o ramionach grubych jak trzy pnie drzewa. Ten nieznany stryj nawiedzał moje sny i zmienił tę wyprawę, która przecież tak mi się dotąd podobała, w przymusowy marsz w objęcia niechybnej śmierci.

Nie byłam jedyną, która szła w strachu. Odkąd ojciec zaczął nam opowiadać o Ezawie, ustały śpiewy przy drodze czy w obozie. Po tym, jak ostatecznie pożegnaliśmy się z Labanem, wyprawa upływała w ciszy i nawet Juda nie chciał już iść sam na tyłach stada.

Niebawem musieliśmy znowu przeprować się przez rzekę i Ezaw opuścił moje myśli. Bardzo się uradowałam widokiem płynącej wody i czym prędzej podbiegłam do brzegu, by być jak najbliżej tego cudownego zapachu i szumu.

Mojego ojca również wyraźnie pokrzepił widok rzeki, a także zadanie, które należało wykonać. Ogłosił, że tej nocy rozbijemy obóz na przeciwległym brzegu, i zebrał najstarszych synów wokół siebie, by wyznaczyć im zadania.

Mimo że koryto nie dorównywało w żadnym miejscu szerokości tamtej rzeki na północy, to jednak było głębsze na samym środku, a nurt był o wiele szybszy. Liście nie spływały w dół rzeki, tylko odskakiwały na boki, jakby ściągały jakąś chyżą ofiarę. Nasza przeprawa musiała odbyć się prędko, bo słońce chyliło się już ku zachodowi.

Kiedy pierwsze zwierzę zostało zagnane do wody i poprowadzone ku drugiemu brzegowi, Inna i Zilpa złożyły ofiarę bóstwu tej rzeki. Mniejsze zwierzęta musiały być ustawione parami i przeprowadzone za kark, otoczone z obu stron przez mężczyzn. Psy pracowały tak długo, aż w końcu ledwie dychały ze zmęczenia. Omal nie straciliśmy jednego w wartkim nurcie, ale Józef go schwytał i na krótko stał się bohaterem pośród swych braci.

Wszyscy mężczyźni bardzo się zmęczeni. Nawet Juda ślaniał się z wysiłku, jaki kosztowało go przeprowadzanie przestraszonych zwierząt i jednoczesne zmagania ze znośnym go prądem wody.

Rzeka okazała się jednak łaskawa i nie straciliśmy ani jednej sztuki z naszych stad. Nim słońce osiadło na wierzchołkach drzew, zostały już do przepłynięcia tylko wół, osły, kobiety i niemowlęta.

Ruben i Juda mocowali się z przestraszonym wołem, który porykiwał niczym zwierzę prowadzone na rzeź. Trochę to potrwało, zanim zdołali przepchnąć oporne zwierzę na drugą stronę, a wtedy zapadł już zmierzch. Moja matka i ja przepływałyśmy się na samym końcu, tym razem trzymała mnie za rękę, w obawie, by nie porwał mnie prąd. Kiedy dotarliśmy do przeciwległego brzegu, zrobiło się już ciemno i mój ojciec został z tyłu.

- Ruben! - zawołał Jakub z tamtego brzegu.

- Tu jestem! - odkrzyknął brat.

- Przypilnuj zwierząt - przykazał mój ojciec. - Nie rozbijaj namiotu. Noc jest dostatecznie ciepła. Przeprowadzę się razem z pierwszym brzaskiem. Bądźcie już wtedy gotowi do drogi.

Moja matka nie była zachwycona planem Jakuba i kazała Rubenowi, by zaferował ojcu, że przeprowadzi się do niego przez rzekę i spędzi tę noc razem z nim. Jakub nie przystał na to.

- Powiedz matce, żeby przysiadła na swych strachach. Nie jestem ani dzieckiem, ani leciwym starcem. Prześpię się samotnie pod niebem, tak jak to nieraz czyniłem w młodości, kiedy podróżowałem na północ. Bądźcie rankiem uszykowani do drogi - rzekł Jakub i już się więcej nie odezwał.

Księżyc wciąż był młody, więc noc była ciemna. Woda osłodziłaby powietrze, gdyby nie mokra sierść zwierząt, która ubłociła jej woń. Zwierzęta pobekiwały przez sen, nieprzywykłe do wilgoci w chłodzie nocy. Próbowalam nie spać, tylko przysłuchiwać się muzyce płynącej wody, ale tym razem plusk całkiem mnie uspił. Wszyscy

zresztą spali kamiennym snem. Gdyby mój ojciec krzyknął, nikt by go nie usłyszał.

Jeszcze przed świtem Ruben w towarzystwie Lei zszedł na brzeg rzeki, aby powitać Jakuba, ale ojciec się nie pojawił. Ptasi świergot na powitanie dnia ucichł już, a słońce zaczęło wypalać rosę, a po nim nie było ani widu, ani słychu. Na znak dany przez Leę Ruben, Symeon i Juda wskoczyli do wody, żeby odszukać ojca. Znaleźli go pobitego i obnażonego w zaroślach, gdzie trawa i krzaki zostały zdeptane i połamane w szerokim kręgu dookoła niego. Ruben przybiegł do nas z powrotem, wołając o szatę do okrycia naszego ojca, a potem zaniósł mu ją na drugi brzeg.

Wrzawa ucichła, kiedy przynieśli Jakuba, ślaniającego się bez czucia w objęciach syna, z lewą nogą zwisającą pod nienaturalnym kątem, jakby nie była już umocowana w jego ciele. Inna wybiegła im naprzeciw i nakazała postawić namiot ojca. Bilha rozpałała ognisko. Mężczyźni stali obok. Milczeli, bo Ruben nie miał odpowiedzi na ich pytania.

Inna wyszła z namiotu i oznajmiła, że to gorączka. Rachela pobiegła po swoje zioła. Inna nakazała gestem Rubenowi, by wszedł za nią do środka, i kilka chwil później usłyszeliśmy straszliwy, zwierzęcy krzyk, kiedy nastawiał ojcu nogę. Jęk, który rozbrzmiał zaraz potem, zdawał się jeszcze gorszy.

Niedostrzegana i niepotrzebna siedziałam przed namiotem, przyglądając się poważnej twarzy Inny i zarumienionym policzkom Racheli, kiedy wchodziły i wychodziły z namiotu. Spostrzegłam, że

moja matka zaciskała usta w cienką kreskę, gdy z pochyloną głową wysłuchiwała ich sprawozdań. Słyszałam też, przez ścianę namiotu, jak ojciec krzychał przeraźliwie o niebieskim rzeczonym demonie i wzywał anielskie zastępy, aby walczyły z potężnym wrogiem, który zrodził się z wód rzeki. Zilpa ledwie słyszalnie wzywała Gulę, a Inna śpiewała o pradawnych bogach, których imion w życiu nie słyszałam, Nintinugdze, Ninisinnie i Babie.

Słyszałam, jak mój ojciec łka i błaga o litość swego brata. Słyszałam Jakuba, ojca jedenastu synów, jak woła własną matkę: „Ema, Ema”, niczym dziecko, które się gdzieś zgubiło. Słyszałam, jak Inna go uspokaja i zachęca do picia wody, jakby był niemowlęciem w powijakach.

Nikt nic nie jadł i nikt nie pracował tamtego dnia, który zdawał się nie mieć końca. Wieczorem zasnęłam na moim miejscu obok namiotu; moje sny kształtowały krzyki ojca i pomrukiwania matek.

Kiedy ocknęłam się nagle o świcie, powitała mnie martwa cisza. Przeżona poderwałam się na równe nogi, przekonana, że ojciec umarł. Ani chybi Ezaw nas pojmał i uczynił swoimi niewolnikami. Kiedy jednak wybuchłam płaczem, znalazła mnie i przytuliła Bilha.

- Nie, malutka - powiedziała, gładząc mnie po zmierzwionych włosach. - Ojciec ma się dobrze. Odzyskał przytomność i teraz śpi spokojnie. Twoje matki też śpią, umordowały się i muszą odpocząć.

O zmierzchu drugiego dnia, jaki minął od jego przejść, ojciec dostatecznie wydobrzał, by móc usiąść w wejściu do swego namiotu i spożyć tam wieczerzę. Nogę miał jeszcze obolałą i ledwie był w stanie chodzić, ale jego oczy były czyste, ręce pewne. Tym razem zasnęłam bez strachu.

Nad rzeką Jabbok zatrzymaliśmy się na dwa miesiące, aby Jakub mógł wydobrzeć do końca. Rozstawiliśmy namioty dla kobiet i sług: dni nabrały właściwego porządku, mężczyźni doglądali stad, a kobiety gotowały. Zbudowaliśmy piec z gliny nad rzeką i dobrze było znowu jeść świeży chleb, wilgotny i ciepły, a nie ten suszony, którym posilaliśmy się po drodze i który zawsze smakował kurzem. Podczas pierwszych dni choroby Jakuba zabite zostały dwie owce, aby można było nagotować posilnego rosółu, toteż przez jakiś czas jedliśmy też mięso. Taka rzadka uczta zdawała się jakimś świętem.

Kiedy jednak mój ojciec odzyskał zdrowie, jego strach powrócił i to ze zdwojoną mocą, całkiem go odmieniając. Jakub nie potrafił mówić o niczym innym jak o zemście swego brata i uważał ten nocny atak i walkę z zastępami aniołów za oznaki nadchodzącej bitwy. Zrobił się podejrzliwy wobec każdej próby uspokajania go i odsyłał nawet łagodnego Rubena. Zaczął natomiast polegać na Lewim, który pozwalał Jakubowi potęgować własne obawy bez końca i przytakiwał ponuro, gdy ojciec wyrażał na głos swe najkoszmarniejsze przewidywania.

Moje matki zastanawiały się nad znaczeniem ostatniego snu Jakuba, tak potężnego, że aż przeniknął do tego świata. Dyskutowały o troskach i planach Jakuba. Czy powinien zaatakować? Czy z tym wysłaniem posłańca do Ezawa to był błąd? Czy nie byłoby roztropniej zwrócić się do jego ojca, Izaaka, o pomoc? Może kobiety powinny wysłać posłańca do Rebeki, która była nie tylko ich teściową, ale również ciotką? Nie komentowały jednak zmiany, jaka zaszła w zachowaniu ich męża. Ten zazwyczaj zrównoważony mężczyzna stał się niezdecydowany i podejrzliwy. Dotąd czuły jako ojciec, zrobił się surowy, a nawet zimny. Może składała to na karb jego choroby,

a może zwyczajnie nie dostrzegały tego co ja.

Zaczęłam nie cierpieć wszelkich wzmianek o Ezawie, choć po jakimś czasie mój strach przeobraził się w nudę. Matki nawet nie zauważyły, kiedy zaczęłam unikać ich namiotów. Były za bardzo pochłonięte rozwojem historii mego ojca i spekulowaniem na temat tego, co nas czeka w przyszłości, a poza tym nie było dla mnie wiele do roboty. Cała nasza wełna została uprzedzona, wrzeczona nie miały być rozpakowywane, więc moje ręce często pozostawały bezczynne. Nikt mi nie kazał przynosić wody ani wełny i nie było tu też żadnego ogrodu do pielienia. Moje dzieciństwo dobiegało końca, a ja miałam więcej wolności niż kiedykolwiek przedtem czy potem.

Józef i ja zaczęliśmy badać rzekę. Włóczyliśmy się po jej brzegach i przyglądaliśmy się małym rybkom, które roiły się w zakolach. Polowaliśmy na żaby, takie jaskrawozielone, jakich nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Zbieraliśmy rosnące dziko zioła i sałaty. Józef łapał pasikoniki, aby potem jadać je umaczone w miodzie. Brodziliśmy w zimnym, wartkim nurcie i obryzgiwaliśmy się wodą tak długo, aż cali nią ociekaliśmy. Suszyliśmy się na słońcu, a potem wkładaliśmy ubrania pachnące wiatrem i wodami rzeki Jabbok.

Któregoś dnia poszliśmy w górę rzeki i odkryliśmy coś w rodzaju naturalnego mostu - ścieżkę z płaskich kamieni, dzięki którym przeprawa w tym miejscu musiała być łatwa. Nikt nam tego nie zabronił, więc przeszliśmy na drugi brzeg i wkrótce zorientowaliśmy się, że znaleźliśmy dokładnie to miejsce, gdzie coś zraniło naszego ojca. Rozpoznaliśmy opisaną przez niego polanę - krąg z osiemnastu drzew, zdeptana trawa, połamane i potargane krzaki. Znaleźliśmy wypalone miejsce po ognisku.

Poczułam, że włosy stają mi dęba, i Józef ujął mnie za rękę dłonią, która była mokra ze strachu. Rozejrzeliśmy się, nic nie słysząc - ni pieśni ptaka, ni szeptu liści na wietrze. Plama spalenizny nie wydzielala żadnej woni i nawet blask słońca zdawał się jakby przytłumiony. Powietrze wydawało się martwe jak ciało Ruti leżące w wadi.

Chciałam zaraz stamtąd odejść, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Józef powiedział mi później, że sam też miał ochotę uciekać, ale też jakby wrósł w ziemię. Podnieśliśmy wzrok ku niebu, zastanawiając się, czy straszliwi aniołowie ojca przypadkiem nie wrócą, ale niebo pozostało puste. Staliśmy tam niczym kamienie, czekając, aż coś się wydarzy.

I nagle, tak nagle jak huk grzmotu, od strony drzew rozległ się jakiś donośny łomot i wtedy zaczęliśmy panicznie krzyczeć, albo w każdym razie usiłowaliśmy krzyczeć, bo żaden dźwięk nie dobył się z naszych ust, kiedy z lasu wypadł czarny dzik. Biegł prosto w naszą stronę przez stratowaną łąkę. Znowu wydaliśmy z siebie ten bezgłośny krzyk, ale nawet spod kopyt bestii nie dobywał się żaden dźwięk, mimo że biegła tak chyżo jak gazela. Pomyślałam, że czeka nas śmierć, i moje oczy wypełniły się współczuciem dla naszych matek, i usłyszałam za plecami szloch Lei.

Kiedy jednak odwróciłam się ku niej, jej tam nie było. Za to czar przysł. Moje stopy odzyskały swobodę ruchu i wtedy pobiegłam w stronę rzeki, ciągnąc za sobą Józefa z większą siłą, niżbym się po sobie spodziewała. Być może są też jakieś anioły po mojej stronie, przyszło mi na myśl, kiedy dotarłam do kamiennego brodu i znalazłam przejście na drugi brzeg. Józef poślizgnął się na pierwszym kamieniu i skaleczył w stopę. Tym razem jego przepełniony bólem

głos brzmiał bardzo głośno. Bodajże ten jego krzyk właśnie sprawił, że dzik zatrzymał się jak wryty, a potem padł, jakby przeszły go włócznie.

Józef odzyskał równowagę i wdrapał się na przeciwległy brzeg, gdzie podałam mu rękę; objęliśmy się, cali drżąc, pośród plusku wody, szelestu liści i przerażonego bicia naszych serc.

- Co to było za miejsce? - spytał mój brat, ale ja tylko pokręciłam głową.

Obejrzeliliśmy się w stronę dzika, polany i pierścienia drzew, ale bestia gdzieś zniknęła, a cały krajobraz zdawał się teraz zwyczajny, a nawet piękny: horyzont przeciął jakiś ptak, głośno świergocąc, a drzewa kołysały się na wietrze. Wzdrygnęłam się, a Józef ścisnął mnie za rękę. Nie mówiąc ani słowa, poprzysięgliśmy sobie, że zachowamy zdarzenia tego dnia w tajemnicy.

Mój brat jednak już nigdy nie był taki sam. Od tamtego wieczoru jego sny nabrały mocy snów naszego ojca. Z początku tylko mnie powierzał słowo o cudownych spotkaniach z aniołami i demonami, z roztańczonymi gwiazdami i gadającymi zwierzętami. Ale już niebawem jego sny stały się zbyt potężne, by nadawały się tylko dla moich uszu.

Rozdział czwarty

Józef i ja wróciliśmy do obozu, przestraszeni, że będą nas wypytwać, gdzie się podziewaliśmy, i że nie ukryjemy tego, co się nam przytrafiło, przed bystrym okiem naszych matek. A tymczasem nikt nawet nie zauważył, żeśmy się wreszcie zjawili. Oczy wszystkich zwrócone były na obcego, który stał przed Jakubem. Mężczyzna przemawiał akcentem z południa, charakterystycznie połykając końcówki wyrazów; „mój ojciec”, tak brzmiały pierwsze z jego słów, jakie mi wpadły do ucha. Kiedy podkrađłam się bliżej, by zerknąć na twarz przybysza, zorientowałam się, że patrzę na kogoś, kto po prostu musi być naszym krewniakiem.

Był to, jak się okazało Elifaz, najstarszy syn Ezawa, a więc mój kuzyn, tak strasznie podobny do Judy, że aż musiałam przycisnąć dłoń do ust, by nie wykrzyknąć tego spostrzeżenia na głos. Miał włosy o miedzianym połysku i był równie przystojny jak Juda, choć wyższy od niego - w rzeczy samej dorównywał wzrostem Rubenowi. Kiedy mówił, wykonywał takie same gesty jak Ruben, tak samo jak on przekrzywiając głowę i ujmując się lewą ręką pod bok, czemu towarzyszyło zaciskanie i otwieranie prawej dłoni; miał dla nas wieści, których obawialiśmy się od tak dawna.

- Mój ojciec przybędzie tu jeszcze przed zmierzchem - rzekł Elifaz. - Będą mu towarzyszyć moi bracia, a także słudzy i niewolnicy,

razem czterdziestu, jeśli liczyć kobiety. Jest wśród nich także moja matka - dodał, kiwając głową w stronę moich matek, które wbrew woli uśmiechnęły się grzecznie.

Kiedy Elifaz mówił to wszystko, twarz mojego ojca była niczym jakaś maska - kamienna i obojętna. A jednak w głębi serca Jakub przeklinał swój los i łkał. Oto legły w gruzach jego plany podzielenia nas na dwie grupy, dzięki czemu Ezaw nie mógłby nas zniszczyć jednym atakiem. Na marne poszły te wszystkie wieczory, podczas których wskazywał mym braciom te sztuki z naszych stad, które miały być przeznaczone na ofiarowanie pokoju, i te, które należało tak ukryć, by Ezaw nam ich nie odebrał. Moje matki nawet nie zaczęły dzielić i szykować dóbr, które ojciec chciał sprezentować swemu starszemu bratu w nadziei, że jakoś obłaskawi jego straszliwy gniew.

Zrozumiał, że wpadł w potrzask, i wyrzucał sobie w duchu to, że za długo zaprzętały mu myśli demony i anioły, tym samym zaciemniając cel wyprawy, bo teraz nasze namioty znajdowały się na pozycji nie do obronienia, a rzeka za naszymi plecami zagradzała drogę ucieczki.

Jakub nie wygadał się z tym wszystkim przed swym bratankiem. Powitał Elifaza z równą uprzejmością i podziękował mu za wieści. Zaprowadził go do swego namiotu, zaproponował spoczynek, kazał przynieść jadła i napitku. Przygotowaniem posiłku zajęła się Lea, Rachelą zaś przyniosła jęczmiennego piwa, obie kobiety jednak wcale się nie spieszyły ze swymi zadaniami, dając w ten sposób Jakubowi czas do namysłu.

Kiedy Elifaz odpoczywał, Jakub odszukał moją matkę i powiedział jej, że ma kazać kobietom odziać się w ich najprzedniejsze

szaty i przygotować dary. Kazał też Rubenowi, by skrzyknął swoich braci, również w ich najlepszym odzieniu, ale mieli także przypasać sztylety, dzięki czemu Ezaw nie mógłby ich wszystkich zarzezać, nie ponosząc kosztów własnych. Wszystko to zostało załatwione bardzo sprawnie, tak więc kiedy Elifaz wstał, by spożyć swój posiłek, byliśmy już uszeregowani i gotowi do ruszenia w drogę.

- To nie jest konieczne, stryju - rzekł Elifaz. - Mój ojciec przybędzie do was. Czemu nie powitać go tutaj, w wygodzie?

Ale Jakub nie zgodził się z nim.

- Muszę powitać mego brata w sposób należyty człowiekowi z jego pozycją. Wyjdzimie mu naprzeciw.

Pozostawiwszy jedynie sługów i ich żony, Jakub wyprowadził nas na drogę. Elifaz kroczył u jego boku, a tuż za nimi szły zwierzęta pomyślane jako gościniec - tuzin dorodnych kóz i osiemnaście zdrowych owiec - poganiane przez moich braci.

Zauważyłam, że Lea ogląda się przez ramię i że smutek i strach zaćmiewają jej twarz niczym chmury słońce, ale prędko ukryła swe zafrasowanie i przeobraziła oblicze w obraz spokoju.

Uszliśmy zaledwie kawałek drogi - nasze szaty nawet nie zdążyły się okryć kurzem - kiedy mój ojciec wsparł swoją łaskę o ziemię. Naszym oczom prezentował się widok na kotlinę o łagodnych zboczach; na jej przeciwległym krańcu stał Ezaw. Jakub wyszedł samotnie na spotkanie z bratem i Ezaw uczynił podobnie; świty złożone z ich dorosłych synów postępowały za nimi w niewielkiej odległości. Zdjęta panicznym strachem obserwowałam ze szczytu wzniesienia, jak obaj mężczyźni stają twarzą w twarz, po czym mój ojciec

przypada do ziemi przed swoim bratem. Przez jedną okropną chwilę bałam się, że przeszła go niewidzialna strzała albo włócznia, bo tak prędko to zrobił. Ale zaraz potem podźwignął się na klęczki i jął bić ukłony, siedem razy uderzając czołem o pylistą ziemię. Moja matka odwróciła wzrok ze wstydem, bo Jakub upodobił się do niewolnika, który wita swego pana.

Mój stryj sam musiał być skonsternowany zachowaniem brata, bo pochylił się i ujął Jakuba pod ramię, kręcąc przy tym głową. Stałam zbyt daleko, by usłyszeć jakieś słowa, ale wszyscy widzieliśmy dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą, najpierw kucając na ziemi, potem już wyprostowani.

I naraz zdarzyło się coś nie do pomyślenia. Ezaw obłąpił mego ojca. Moi bracia natychmiast przyłożyli dłonie do sztyletów, które mieli ukryte pod pasami. Okazało się jednak, że Ezaw zrobił, co zrobił, nie po to, by uczynić swemu bratu coś złego, tylko żeby go ucałować. Długo trzymał ojca w objęciach, aż wreszcie oderwali się od siebie, przy czym Ezaw klepnął ojca w ramię, gestem, jakiego używają mali chłopcy w zabawie. A potem jeszcze przejechał dłonią po jego włosach i wtedy obaj zanieśli się takim samym serdecznym śmiechem, który dowiódł, że obaj dzielili łono jednej matki, mimo że jeden był śniady, a drugi jasny, mimo że jeden był szczupły, a drugi tęgawy.

Mój ojciec powiedział coś do brata i Ezaw ponownie przycisnął go do piersi, ale tym razem, kiedy się rozłączyli, nie było już śmiechu. Ruben zdradził później, że obaj mieli policzki mokre od łez, kiedy odwrócili się i zaczęli iść w naszą stronę, obejmując się ramionami.

Byłam zdumiona. Ezaw - ten żądny krwi mściciel z twarzą nabiegłą purpurą, który nawiedzał moje sny i uciszał pieśń na wargach

moich braci - łkał teraz w ramionach mojego ojca. Czy ten człowiek mógł być potworem?

Moje matki wymieniły się spojrzeniami wyrażającymi niedowierzanie, ale ramiona Inny trzęsły się od bezgłośnego śmiechu.

- Twój ojciec okazał się takim durniem – stwierdziła wiele tygodni później, w Sukkot, kiedy wspominałyśmy zdarzenia tego dnia. - Bać się takiego poczciwca o twarzy dziecka? Przyprawiać nas o koszmary z powodu takiego jagniątka?

Mój ojciec przeprowadził do nas Ezawa i dał bratu podarunki. Stryj zgodnie ze zwyczajem odmówił trzykrotnie ich przyjęcia, a potem posłusznie przyjął dary mego ojca, wychwalając każdy możliwie jak największymi pochlebstwami. Ceremoniał wręczania podarunków zabrał dużo czasu, a ja bardzo chciałam przyjrzeć się bliżej krewniakom, którzy stali za Ezawem, zwłaszcza kobietom, mającym naszyjniki i dziesiątki bransolet na rękach i nogach.

Ezaw przyjął wreszcie zwierzęta, wełnę, pokarmy i drugiego najlepszego psa pasterskiego Jakuba, po czym zwrócił się do swego brata i spytał głosem, który brzmiał zupełnie tak samo jak głos mojego ojca:

- Kim są ci wspaniali mężczyźni?

Jakub przedstawił wtedy synów, którzy kłaniali się nisko przed swym stryjem, tak jak ich nauczono.

- Oto Ruben, mój pierworodny, syn Lei, która stoi tutaj.

Moja matka bardzo nisko pochyliła głowę, moim zdaniem mniej po to, by okazać szacunek, a bardziej po to, by Ezaw nie zauważył jej oczu o różnej barwie, zanim policzy wszystkich jej synów.

- A oto kolejne dzieci Lei: Symeon, Lewi, Juda - mówił mój ojciec, klepiąc czwartego syna po ramieniu. - Sam widzisz, że twój

wizerunek nigdy na dobre nie opuszczał mych myśli.

Juda i Ezaw uśmiechnęli się do siebie identycznym uśmiechem.

- Zabulon jest także synem Lei, a tu są jej bliźnięta, Neftali i Issachar.

Ezaw złożył ukłon mojej matce i rzekł:

- Widzę., że Lea urodziła ci całe rzesze.

Usłyszawszy to, Lea zaczerwieniła się z dumy.

W dalszej kolejności mój ojciec przedstawił Józefa.

- To mój najmłodszy, jedyny syn mojej Racheli - powiedział, wyrażając czułość dla mojej ciotki.

Ezaw skinął głową, przyjrzał się temu ulubionemu synowi i wytrzeszczył oczy na widok nieskazitelnej urody Racheli. Ona zaś spojrzała mu śmiało w oczy, mimo że wciąż była wstrząśnięta wydarzeniami tego dnia.

Następnie Jakub wymienił imię Dana.

- Oto syn Bilhy, służebnicy Racheli. A oto Gad i Aser, zrodzeni przez służebnicę Lei, Zilpę.

Pierwszy raz w życiu usłyszałam o podziale między moimi braćmi czy też ciotkami, nakreślonym tak jasno albo publicznie. Zobaczyłam synów tych pośledniejszych żon, które w oczach świata były „służebnicami”, i zobaczyłam, że wymienieni opuszczają głowy, że tak ich się nazywa.

Ezaw jednakże wiedział, co to znaczy być drugim, i potraktował tych gorszych synów tak samo jak moich pozostałych braci, podchodząc do Dana, Gada i Asera i ujmując ich za ręce na powitanie. Synowie Bilhy i Zilpy wyprostowali się, a ja byłam dumna, że mam takiego stryja.

W tym momencie przyszła kolej na mojego ojca, by spytać o synów Ezawa, który wymienił ich wszystkich z dumą.

- Elifaza już znasz, mojego pierworodnego; jest synem Ady, która tu stoi - powiedział, wskazując niewysoką, zażywną kobietę, w nakryciu głowy z miedzianych krążków. - A oto Reuel - rzekł, obejmując ramieniem szczupłego, ciemnego mężczyznę z wielką brodą. - Jest synem Basmat - dodał, wskazując skinieniem głowy kobietę o słodkiej twarzy, która trzymała niemowlę przy biodrze. - Ci zaś mali chłopcy to Jeusz, Jalam i Korach. Stoją przy Basmat, ale to synowie Oholibamy, mojej najmłodszej żony - wyjaśnił Ezaw. - Zmarła ubiegłej wiosny, przy porodzie.

Wiele było wyciągania szyj przy tych przedstawieniach, ale już niebawem mogliśmy przyjrzeć się sobie bliżej, bo wszyscy udali się do nadrzecznego obozu Jakuba. Moi starsi bracia przyglądali się swym wyrośniętym kuzynom, ale nic nie mówili. Kobiety zbiły się w gromadę i powoli wzajem się poznawały. Znalazłyśmy pośród nich córki Ezawa, w tym najstarsze dwie zrodzone z Ady. W rzeczy samej Ada urodziła wiele córek, przy czym niektóre były już dorosłe i same zostały matkami, jednak Libbe i Amat wciąż były przy niej. Mimo że niewiele ode mnie starsze, ignorowały mnie, ponieważ wciąż nosiłam dziecienną suknię, a one były już kobietami.

Basmat była kimś w rodzaju macochy dla dzieci Oholibamy, zwłaszcza dla maleńkiej Iti, która pozbawiła Oholibamę życia. Basmat utraciła tyle dzieci, zarówno chłopców, jak i dziewczynek, że ledwie potrafiła je policzyć. Miała tylko jednego syna, Reuela, i tylko jedną żyjącą córkę, Tabiję, która była dokładnie taka duża jak ja. Tabija i ja szliśmy obok siebie, ale się nie odzywałyśmy, nie odważając się zakłócać uroczystego milczenia, w którym postępował cały pochód.

Do naszych namiotów dotarliśmy późnym popołudniem. Zaczęliśmy przybył tam posłaniec, aby uprzedzić służebnice, że mają zając się wieczerzą, toteż powitała nas woń świeżo upieczonego chleba i duszonego mięsa. Wiele jednak należało jeszcze zrobić, abyśmy mogli zasiąść do uczyty z okazji tak wspaniałej, jaką było pogodzenie się synów Izaaka.

Kobiety zajęły się pracą i Tabiji przykazano, że ma mi pomóc w zbieraniu dzikich cebulek rosnących nad rzeką. Przytaknęłyśmy obie, jak przystało posłusznym córkom, ale gdy tylko odwróciłyśmy twarze od dorosłych, omal nie wybuchnęłam głośnym śmiechem. Życzenie się spełniło. Mogłyśmy być same.

Tabija i ja szłyśmy przejęte naszą misją w stronę kępy cebulek, którą ogołociłam już pierwszego dnia, kiedy przybyliśmy nad Jabbok, ale znalazłyśmy dość młodych pędów, by nimi napełnić jej koszyk. Stwierdziłyśmy jednak, że nasze matki nie muszą wcale wiedzieć, że tak prędko wykonałyśmy zadanie, i skorzystałyśmy z tej chwili wolności, wkładając stopy do wody i wylewając z siebie garść opowieści, które składają się na wspomnienie dzieciństwa.

Kiedy podziwiałam miedziane bransolety na jej rękach, Tabija opowiedziała mi historię życia swej matki. O tym, jak Ezaw uległ czarowi młodej i urodziwej Basmat, kiedy zobaczył ją na targowisku w okolicy Mamre, gdzie mieszkała nasza babka Rebeka. W ramach opłaty ślubnej oprócz zwyczajowej liczby owiec i kóz ofiarował ojcu Basmat nie mniej niż czterdzieści miedzianych bransolet, „aby jej nadgarstki i kostki mogły wieścić jej urodę”, powiedział. Ezaw kochał Basmat, ale ta cierpiała z rąk jego pierwszej żony, Ady, która była zazdrosna. Serca tamtej nie zmiękczyło nawet to, że dzieci Basmat rodziły się martwe. Kiedy spytałam, jak one świętują nowy

księżyc, skoro w ich domu jest tyle gniewu, Tabija odparła, że kobiety z jej rodziny nie obchodzą wspólnie śmierci i narodzin księżycyca.

- To jest jeszcze jedna rzecz, której babcia tak nienawidzi u żon Ezawa - powiedziała Tabija.

- Znasz naszą babkę? - spytałam. - Znasz Rebekę?

- O tak - odrzekła moja kuzynka. - Widziałam ją dwa razy, podczas zbiorów jęczmienia. Babka uśmiecha się do mnie, ale nie odzywa się do mojej matki ani też do Ady, a Oholibamy w ogóle nawet nie zauważała, kiedy ta jeszcze żyła. Wyraża się z nienawiścią o mojej matce i to jest złe. - Moja kuzynka zmarszczyła brew i jej oczy zaszczyły łzami. - Ale za to uwielbiam namiot babki. Jest w nim tak pięknie, a i uroda Rebeki wciąż żyje, mimo że to najstarsza kobieta, jaką w życiu spotkałam. - Tabija zaśmiała się i dodała: - Babka powiada, że jestem do niej podobna, choć to przecież oczywiste, że pod każdym względem przypominam moją matkę.

Tabija zaiste wydawała się kopią Basmat, z jej wąskim nosem i lśniącymi, czarnymi włosami, wątłymi nadgarstkami i kostkami. Kiedy jednak poznałam Rebekę, przypomniałam sobie słowa kuzynki i zrozumiałam, o czym mówiła babka. Oczywiście Tabiji były tym właśnie, o czym mogła mówić Rebeka, czarne i przenikliwe niczym strzały, podczas gdy Basmat miała oczy brązowe i nieodmiennie wbite w ziemię.

Opowiedziałam Tabiji o czerwonym namiocie i o tym, jak moje matki świętują każdy nowy księżyc ciastkami, pieśniami i opowieściami, pozostawiając wszelką złą wolę na zewnątrz, na cały czas trwania mroku. I o tym również, że mnie, jedynej córce, pozwalano przebywać razem z nimi w namiocie przez całe moje dzieciństwo, mimo iż było to wbrew zwyczajowi, który zabraniał tam wchodzić

każdej dziewczynce już nie karmionej piersią, a jeszcze nie będącej kobietą. W tym momencie obie popatrzyłyśmy na nasze piersi i obciągnęłyśmy tuniki, aby porównać zmiany, jakie zachodziły w naszych ciałach. Mimo że żadna z nas nie była jeszcze gotowa do karmienia dzieci, wydawało się, że ja pierwsza stanę się kobietą. Tabija westchnęła, ja zaś wzruszyłam ramionami i potem śmiałyśmy się tak serdecznie, że aż się popłakałyśmy, a to z kolei sprawiło, że śmiałyśmy się jeszcze bardziej, tarzając się wręcz po ziemi.

Kiedy w końcu złapałyśmy oddech, zaczęłyśmy rozmawiać o naszych braciach. Tabija twierdziła, że nie zna dobrze Elifaza, ale że Reuel jest uprzejmy. Spośród małych chłopców nie znosiła Jeusza, który ciągnął ją za włosy przy byle okazji i kopał po łydkach, kiedy przysyłano go, by jej pomagał w ogrodzie. Ja opowiedziałam o tym, jak to Symeon i Lewi zmusili Józefa i innych moich braci do zaprzestania naszych zabaw i że traktują mnie jako swoją służkę, której jedynym obowiązkiem jest pilnowanie, by ich puchary do wina były stale pełne. Zdradziłam nawet, że pluję do ich wina, kiedy mam tylko okazję. Opowiedziałam też o dobroci Rubena, o urodzie Judy i o tym, że Józefa i mnie wykarmiła jedna pierś.

Przeżyłam wstrząs, kiedy Tabija wyznała mi, że nie chce mieć dzieci.

- Widziałam, jak moja matka kołysała w ramionach zbyt wiele martwych niemowląt - rzekła. - I słyszałam na własne uszy, jak Oholibamy trzy dni przeraźliwie krzyczała, kiedy rodziła Iti. Nie mam zamiaru tak cierpieć. - Tabija powiedziała, że nie chce małżeństwa, tylko woli służyć w Mamre i zmienić imię na Debora. Albo, dodała,

mogłaby też śpiewać przy ołtarzu jakiejś wielkiej świątyni, takiej jak ta w Sychem. - Tam stałabym się jedną z tych wyświęconych kobiet, które tkają dla bogów i zawsze noszą czyste szaty. Sypiałabym wtedy sama, chyba że zechcę wziąć sobie towarzysza na czas święta jęczmienia. Nie rozumiałam jej marzeń. W rzeczy samej nie rozumiałam nawet jej słów, bo nie wiedziałam nic o świątyniach ani o służących w nich kobietach. Powiedziałam Tabiji, że ja ze swej strony mam nadzieję urodzić dziesięcioro silnych dzieci, tak samo jak moja matka, tyle że wolałabym mieć co najmniej pięć dziewczynek. Po raz pierwszy w życiu wypowiadałam to na głos i być może po raz pierwszy o tym pomyślałam. Ale mówiłam to wszystko od serca.

- To ty nie boisz się rodzenia? - spytała moja kuzynka. - A co z tym bólem? A jeśli jakieś dziecko ci umrze?

Potrząsnęłam głową.

- Położne nie lękają się życia - powiedziałam i w tym momencie dotarło do mnie, że już od dawna myślę o sobie jako o przyszłej uczennicy Racheli i wnuczce Inny.

Tabija i ja zapatrzyłyśmy się na wodę i umilkłyśmy. Dumałyśmy nad dzielącymi nas różnicami i zastanawiałyśmy się, czy nasze nadzieje się spełnią i czy później, kiedy drogi naszych ojców się rozejdą, usłyszymy jeszcze kiedyś o sobie, o tym, co z każdą z nas się stało. Ledwie potrafiłam nadażyć za własnymi myślami, pomykającymi niczym czółenka w jakimś wielkim krośnie, ale w pewnym momencie wyrwało mnie z zadumy własne imię padające z ust mojej matki. Wychwyciłam w jej głosie nutę gniewu; zmitrężyłyśmy zbyt wiele czasu. Obie z Tabija natychmiast poderwałyśmy się z miejsca, by maszerując ramię w ramię, wrócić do ognisk, przy których gotowano strawę.

Moja kuzynka i ja robiłyśmy wszystko, byle nas tylko nie rozdzielono, i razem przyglądałyśmy się, ze złe skrywaną ciekawością, kręgowi utworzonemu przez nasze matki. A te zaś przypatrywały się szatom innych, wymieniały się przepisami potraw, uprzejmie prosiły o powtarzanie swych imion: „Zechciej, proszę powtórzyć, choć tylko raz, abym nauczyła się dobrze wymowy”. Widziałam, że moja matka unosi brew, gdy widzi, jak Kananejki używają soli, i zauważyłam też, że Ada sztywnieje na widok Bilhy dodającej świeżych cebulek do swej potrawy z suszonej kozłiny. Wszystkie jednak osądy były maskowane pod rzadkimi uśmiechami pośród pospiesznego przygotowywania uczyty.

W trakcie gdy kobiety szykowały posiłek, Ezaw i Jakub skryli się w namiocie mojego ojca. Synowie Ezawa rozbili tymczasem swoje namioty, a potem zbrali się obok namiotu mojego ojca, gdzie stali również moi bracia. Ruben i Elifaz wymieniali uprzejmości na temat stad ich rodzin, subtelnie porównując liczby i stan zdrowia zwierząt, oceniając różne metody stosowane w pasterstwie oraz umiejętności psów. Elifaz wydawał się zdziwiony, że ani Ruben, ani żaden z jego braci jeszcze się nie ożenił ani nie spłodził dzieci, ale nie był to temat, na który Ruben chciał dyskutować z synem Ezawa. Dochodziło zresztą do długich przerw w rozmowie między kuzynami, którzy z nudów zaciskali dłonie w pięści i rozprostowywali je na powrót, stale szurając nogami w miejscu.

W końcu klapa przesłaniająca wejście do namiotu odchyliła się i mój ojciec z Ezawem wyszli na zewnątrz, przecierając oczy oślepienie blaskiem dnia, domagając się wina i rozpoczęcia posiłku. Obaj bracia zasiedli na kocu, który rozpostarł Jakub. Synowie usadowili

się jakby odruchowo według starszeństwa, Elifaz i Ruben za plecami swych ojców, Józef i Korach usiedli u ich boków. Kiedy ja biegałam tam i z powrotem, zajęta dolewaniem wina, zauważyłam, że moich braci jest o wiele więcej niż braci Tabiji i że są znacznie przystojniejsi niżli synowie Ezawa. Tabija podawała chleb, a nasze matki i ich służki napełniały talerze mężczyzn, tak długo, że nie byli w stanie zjeść już nic więcej.

Każda kobieta zwracała uwagę na to, kto spożył najwięcej jej potrawy, jej chleba, jej piwa, a każdy mężczyzna starał się, jak umiał, by pochwalił jedzenie podane przez żony jego brata. Ezaw wypił moc piwa uwarzonego przez moją matkę i pochwalił przyprawioną cebulkami koźlinę ugotowaną przez Bilhę. Jakub jadł niewiele, ale kwieście wychwalał jadło podane mu przez Basmat i Adę.

Kiedy mężczyźni zostali już obsłużeni, do uczyty zasiadły kobiety i dziewczynki, ale tak jak to się często dzieje podczas wielkich uczt, apetyt nie bardzo im dopisywał po tylu godzinach mieszania w garnkach i smakowania potraw. Matkom usługiwały niewolnice Ezawa - dwie silne dziewczyny z małymi srebrnymi kółeczkami w uszach. Jedna z nich była brzemenna; Tabija szepnęła mi, że to z nasienia Ezawa i że jeśli urodzi się syn, to ta dziewczyna wyjmie górny kolczyk i zostanie gorszą żoną. Przyjrzałam się tej krzepkiej służce, której kostki były równie grube jak kostki Judy, a potem zerknęłam na szczupłą Basmat i powiedziałam Tabiji, że gust Ezawa, jeśli idzie o jego żony, jest równie rozpasany jak jego apetyt. Tabija zaczęła chichotać, ale groźne spojrzenie Ady uciszyło nas obie.

Zaczęło się zmierzchać, kiedy Jakub i Ezaw zabrali się do opowiadania swoich historii. Nasze niewolnice przyniosły lampy,

a niewolnice Ezawa napełniły je oliwą; blask płomieni zatańczył na twarzach członków mojej rodziny, która nagle zrobiła się bardzo liczna. Tabija i ja siedziałyśmy obok siebie, stykając się kolanami, przysłuchując się opowieści o naszym pradziadku Abramie, który opuścił starożytny dom w Ur, gdzie czczono księżyc w imię Nanny i Ningal, aby udać się do Charanu; tam właśnie usłyszał głos Ela, który skierował go do Kanaanu. Na południu Abram dokonał wielu wspaniałych czynów - zabił tysiąc mężczyzn jednym ciosem, bo jego bóg obdarzył go siłą dziesięciu tysięcy.

Jakub opowiedział o urodzie Saraj, żony Abrama i zarazem służki Inanny, córki Nanny i Ningal. Inanna ukochała sobie Saraj tak bardzo, że odwiedziła ją w gaju terebintowym w Mamre i dała jej zdrowego syna, aby ten stanowił przedłużenie jej życia. Ten syn to był nasz dziadek Izaak, mąż Rebeki, która była siostrzenicą Saraj kapłanki. I to właśnie Rebeka, moja babka, była teraz wyrocznią ludu zamieszkującego święty gaj Saraj w Mamre.

Gdy historia rodziny została już opowiedziana, mój ojciec i stryj przeszli do opowieści z dzieciństwa, klepiąc się wzajem po plecach, kiedy przypominali sobie, jak to wymykali się z ogrodu matki, aby bawić się z małymi jagniątkami, i pomagając sobie wzajem w od-twarzaniu imion ulubionych psów - Czarnego, Cielaczka oraz Trój-nogiej Piękności, bardzo przez nich kochanej niezwyklej suki, która przeżyła atak szakala, a i tak wciąż była najlepsza w pilnowaniu stada.

Wspaniale było widzieć twarz mojego ojca, kiedy te historie wylewały się z jego ust. Wyobrażałam go sobie teraz jako małego chłopca - beztroskiego, silnego, upartego. Jego powściągliwość

stopniała, kiedy Ezaw przypomniał mu tamten dzień, gdy obaj wpadli do wadi i musieli potem wrócić do namiotu swej matki, cali oblepieni gęstym, szarym błotem. Bardzo się też zaśmiewał przy opowieści o tym, jak to ukradli cały bochen chleba, objedli się nim tak, że aż się pochorowali, i jeszcze potem zostali ukarani chłostą.

Po tych licznych wspomnieniach całe towarzystwo ucichło z zadowoleniem; wszyscy zaśluchaliśmy się w cichym pobekiwaniu zwierząt i szumie wód Jabbok. A potem Ezaw zaintonował pieśń. Mój ojciec uśmiechnął się szeroko i przyłączył do niego, swym głośnym, głębokim głosem, powtarzając słowa nie znanej mi pieśni pasterskiej, która opowiadała o sile pewnego barana. Kobiety zaciskały wargi, w miarę jak rozlegały się kolejne strofy, każda dosadniejsza i śmielsza niż poprzednia. Ku mojemu zdumieniu, moi bracia i nasi kuzyni znali każde słowo i też się przyłączyli, zagłuszając się wzajem i kończąc donośnym krzykiem, a potem śmiechem.

Kiedy mężczyźni skończyli śpiewać, Ezaw skinął głową w stronę swojej pierwszej żony, która z kolei dała znak otwierający usta jego pozostałym żonom i córkom, służebnicom i niewolnicom. Odśpiewały razem hymn do Anat - tym imieniem Kananejki nazywały Inannę - który wychwalał męstwo bogini w wojnie i jej siłę w miłości.

Ich pieśń była tak odmienna od wszystkiego, co dotychczas w życiu słyszałam, że aż ciarki mnie przeszły, zupełnie tak, jakby Józef połaskotał mnie źdźbłem trawy. Ale kiedy się odwróciłam, żeby go skarcić, spostrzegłam, że on siedzi u boku naszego ojca, z błyszczącymi oczyma utkwionymi w chór śpiewaczek - które śpiewały jednym głosem, jakimś tajemnym sposobem wytwarzając istną sieć dźwięków. To było tak, jakby słuchał tkaniny utkanej z wszystkich

kolorów tęczy. Nie wiedziałam, że z ludzkich ust potrafi wykwitnąć takie piękno. Nigdy wcześniej nie słyszałam równie pięknej, ułożonej na wiele głosów pieśni.

Kiedy skończyły śpiewać, poczułam, że mam łzy w oczach, i zauważyłam, że policzki Zilpy też są wilgotne. Bilha otworzyła usta z podziwu, a Rachela przymknęła oczy, przysłuchując się pieśni w absolutnym skupieniu.

Mężczyźni zaczęli klaskać i prosili o więcej, więc Bas-mat zaśpiewała pieśń o żniwach i bogactwie ziemi. Tabija przyłączyła się do nich, a ja zdumiałam się, że moja przyjaciółka potrafi tak wprawnie wtórować swym matkom. Zamknęłam oczy. Kobiety śpiewały jak ptaki, tyle że jeszcze piękniej. Brzmienie ich głosów przywodziło na myśl podmuchy wiatru w koronach drzew albo pęd wody w rzece, tyle że one potrafiły spotęgować je i nadać im znaczenie. A potem przestały używać słów i zaczęły wydawać dźwięki, które nie nie znaczyły, a mimo to przepełniały radością, zachwytem, tęsknotą i spokojem. „Lu lu lu”, tak to brzmiało.

Kiedy skończyły, Ruben nagroził pieśń naszych krewniaczek oklaskami i skłonił się przed nimi uniżenie. Józef, Juda i Dan też powstali i podziękowali ukłonami, a ja pomyślałam sobie: „Ci czterej to moi najwspanialszi, najukochańsi bracia”.

Potem były jeszcze inne pieśni i opowieści; siedzieliśmy w świetle lamp. Dopiero gdy księżyc zaczął już zachodzić, kobiety uprzątnęły puchary. Młode matki, ze śpiącymi dziećmi w objęciach, ruszyły w stronę swych posłań i mężczyźni też zaczęli się zbierać. W końcu na miejscu uczy pozostali tylko Jakub i Ezaw, wpatrzeni w milczeniu w migoczący knot ostatniej lampy.

Tabija i ja wyslizgnęłyśmy się i zeszyliśmy do rzeki, objęte w pasie. Byłam doskonale szczęśliwa. Mogłabym tak zostać aż do świtu, ale znalazła mnie moja matka i choć uśmiechała się do Tabiji, to jednak wzięła mnie stanowczo za rękę i odciągnęła od przyjaciółki.

Następnego ranka obudziły mnie odgłosy świadczące o tym, że plemię Ezawa szykuje się do odejścia. Podczas rozmowy w samym środku nocy mój ojciec powiedział bratu, że nie uda się jego śladem do Seiru. Mimo jakże czulego spotkania ich losy nie mogły zostać połączone. Mój stryj miał dużo ziemi i mocną pozycję. Gdybyśmy się do niego przyłączyli, to majątek Jakuba okazałby się mizerny w porównaniu z jego majątkiem. Moi bracia też znaleźliby się w niekorzystnej sytuacji, bo synowie Ezawa posiadali już własne stada i ziemie. I mimo całej tej przyjaźni zawartej ubiegłej nocy synowie Izaaka nie byli jeszcze do końca pogodzeni i nigdy nie mieli się pogodzić. Blizny, jakie nosili od dwudziestu lat, nie mogły zostać wymazane jednym spotkaniem, a i nawyki tych lat, przeżytych w całym innych światach, miały już zawsze stać między nimi.

Tak czy owak obaj bracia padli sobie w objęcia, zapewniając się wzajem o swym przywiązaniu i obiecując, że będą się jeszcze odwiedzać. Ruben i Elifaz ścisnęli się za ramiona, kobiety pożegnały się skinieniem głów. Tabija okazała swą śmiałość, bo odbiegła od boku swej matki, żeby mnie uściskać na pożegnanie; obie poznałyśmy smak naszych łez. Kiedy obejmowałyśmy się, szepnęła mi do ucha:

- Bądź dobrej myśli. Już niedługo zobaczymy się znowu w namiocie naszej babki. Podśluchałam, jak moja matka powiedziała, że

na pewno spotkamy się tam z okazji święta jęczmienia. Zapamiętaj wszystko, co zdarzy się od teraz do tego czasu, abyś mi mogła o tym opowiedzieć.

Powiedziawszy to, ucałowała mnie i z powrotem przypadła do boku swej matki. Machała do mnie ręką tak długo, aż straciłam ją z oczu. Gdy już się oddalili, ojciec kazał Rubenowi i mojej matce szykować nas do dalszej drogi.

Zabrałam się do przydzielonych mi obowiązków z radosnym sercem, ucieszona, że na naszej podróży nie będzie już ciążył strach przed Ezawem, już tęskniąc za widokiem mojej przyjaciółki, a także babki, która zaczęła żyć w mojej wyobraźni. Byłam pewna, że Rebecka pokocha moje matki; wszak były nie tylko jej bratanicami, ale i synowymi. I wyobrażałam sobie, że stanę się jej ukochaną wnuczką, oczkiem w głowie. Bo dlaczegoż by nie, myślałam sobie. Wszak spłodził mnie jej ukochany syn.

Opuściliśmy tamto miejsce następnego ranka, ale nie pokonaliśmy wiele drogi. Drugiego dnia mój ojciec wbił łaskę w ziemię w pobliżu wąskiego strumyka pod młodym dębem i obwieścił wszystkim, że zamierza tu właśnie zostać. Znajdujemy się w bliskości wioski o nazwie Sukkot, powiedział, miejsca, które okazało mu się przyjazne podczas jego podróży na północ. Moi bracia zawczasu zbadali okolicę i zabezpieczyli dla nas miejsce, toteż po kilku dniach stały tam już zagrody dla zwierząt, a także okazały gliniany piec, dostatecznie duży, by dało się w nim piec i chleb, i placki. Mieszkaliśmy tam dwa lata.

Podróż, którą odbyliśmy po opuszczeniu domu Labana, pozwoliła mi poznać smak zmiany, więc codzienna rutyna osiadłego życia w Sukkot nudziła mnie z początku. Niemniej jednak dni były pełne

zajęć od wschodu do zachodu słońca i niebawem zaczęła mnie bawić magia przeobrażania mąki w chleb i wody w piwo. Poza tym nie przędłam już tylko, ale również tktałam, co okazało się znacznie trudniejsze, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałam; nigdy nie opanowałam tej umiejętności w takim samym stopniu jak Zilpa i Bilha, którym nić osnowy nie pękała ani razu.

Byłam najstarsza z dziewczynek, dlatego więc nieraz zlecano mi opiekę nad dziećmi naszych służebnic i dzięki temu nauczyłam się zarówno kochać, jak i nie znosić tych małych potworów, którym wiecznie ciekło z nosa. Świat kobiet potrzebował mnie tak bardzo, że ledwie zauważyłam, jak niewiele wspólnego łączy mnie z braćmi ani też jakie zmiany zachodzą wśród nich. Były to bowiem dni, kiedy Lewi i Symeon zajęli miejsce Rubena po prawicy mego ojca i stali się jego najbliższymi doradcami.

Sukkot okazało się plennym miejscem dla mojej rodziny. Zibatu znów powiła dziecko i Uzna także - byli to synowie, których mój ojciec zabrał do ołtarza pod dębem. Obrzezał ich i ogłosił wolnymi od naznaczenia ich ojców, pełnoprawnymi członkami plemienia Abramowego boga, sprawiając, że jego plemię, plemię Jakuba, znowu się rozrosło.

W Sukkot poczęła również Bilha, ale poroniła, nim dziecko zaczęło się ruszać w jej łonie. Rachela pogrzyżyła się w smutku i przez niemal miesiąc nie spuszczała Józefa z oczu. Moja matka też straciła dziecko, które opuściło jej łono kilka miesięcy za wcześnie. Kobiety odwracały wzrok od tej maciupieńkiej, straconej dziewczynki, ale ja widziałam tylko jej doskonałe piękno. Jej powieki były pożyłkowane niczym skrzydło motyla, paluszki u stóp skręcały się niczym płatki kwiatu.

Tuliłam w objęciach siostrzyczkę, której nigdy nie nadano imienia, która nie otwierała nigdy oczu i która zmarła w moich ramionach.

Nie bałam się trzymać w ręku tej maleńkiej śmierci. Twarz dziecka była pogodna, rączki doskonale czyste. Zdawało się, że lada moment się obudzi. Moje łzy padały na jej alabastrowy policzek i odnosiłam wrażenie, że ona żałuje utraty własnego życia. Moja matka podeszła odebrać ode mnie siostrę, ale ujrzawszy mój smutek, pozwoliła mi zanieść ją na miejsce pochówku. Została owinięta w skrawek z najprzedniejszej tkaniny i złożona pośród korzeni najsilniejszego i najstarszego drzewa, jakie było widoczne z namiotu mej matki. Nie złożono żadnej ofiary, ale kiedy tobołek został przysypany ziemią, westchnienia, jakie dobieły się z ust moich matek, były równie wymowne jak każda modlitwa.

Kiedy oddalałyśmy się od tego miejsca, Zilpa mruzczała, że tutejsi bogowie sprzysięgli się przeciwko życiu, ale moja ciotka jak zawsze opacznie odczytywała znaki. Służebnice bowiem natychmiast rozrastały się od ukorzonego w nich na nowo życia, gdy tylko ich poprzednie dzieci zostały odstawione od piersi. Każda owca i każda koza rodziła bliźnięta, z których wszystkie przeżywały. Stada prędko się rozrastały, czyniąc mego ojca bogatym, a to z kolei oznaczało, że moi bracia mogą się już żenić.

Trzej z nich ożenili się właśnie w Sukkot. Juda wziął sobie za żonę Szue, córkę kupca. Szua poczęła już podczas ich tygodnia małżeńskiego i urodziła mu Era, pierwszego z jego synów i pierwszego wnuka mojego ojca. Polubiłam Szue, która była pulchna i serdeczna. Do naszych namiotów wniosła kananejski dar pieśni i uczyła nas śpiewać wieloma głosami. Symeon i Lewi wzięli sobie za żony dwie siostry - Jalutu i Inbu, córki garncarza.

To ja musiałam zostać przy dzieciach i doglądać ognisk, kiedy żony Jakuba uczestniczyły w uroczystościach weselnych. Wręcz nie posiadałam się ze złości, że mnie właśnie obarczono tym wszystkim, ale po kilku tygodniach wysłuchałam opowieści moich matek, tak szczegółowych, że miałam wrażenie, jakbym sama tam była.

- Musicie jednak przyznać, że śpiewy były wspaniałe - stwierdziła Zilpa, która z każdych zaślubin wracała, nucąc nową melodię, wyklaskując sobie rytm uderzeniami dłoni o kościste udo.

- A rzeczywiście - odparła moja matka lakonicznie. - One tutaj uczą się tego od swych matek i babek.

Rachela uśmiechnęła się od ucha do ucha i pochyliła nad Leą.

- Jaka szkoda, że ich babki nie potrafią gotować, prawda?

Lea uśmiechnęła się drwiąco, zgadzając się z nią.

- Kiedy przyjdzie kolej na Dinę, aby wejść do małżeńskiego namiotu, już ja im pokażę, jak powinno się przygotować weselną ucztę - powiedziała, głaszcząc mnie po głowie.

Bodajże tylko Bilsze spodobały się wesela siostrzeńców.

- Ach, siostrzo - powiedziała do Lei - czy nie uważasz, że ten welon był przepiękny, cały przepleciony złotymi pasmami i obwieszony posagowymi monetami? Moim zdaniem ona była ubrana jak bogini.

Lea za nic się z tym nie chciała zgodzić.

- Chcesz mi powiedzieć, że miałaś pełny brzuch po tej uczcie? - spytała.

Niemniej jednak Lei podobały się oblubienice, które przyprowadzili jej synowie. Były zdrowe i darzone powszechnym szacunkiem, przy czym Szua rychło stała się jej ulubienicą. Dwie siostry dla odmiany nigdy nie weszły do kręgu moich matek i mieszkały ze swymi

mężami w niewielkiej odległości od nas, bliżej stad, powiadali moi bracia. Myślę, że Symeon i Lewi przeprowadzili się, bo Jalutu i Inbu chciały zachować dystans. Wcale nie tęskniłam za ich towarzysztwem. Traktowały mnie z taką samą pogardą jak ich mężowie, a poza tym moja matka miała rację: żadna nie potrafiła gotować.

Spośród starszych synów Jakuba tylko Ruben się nie ożenił. Mój najstarszy brat zdawał się ukontentowany, mogąc służyć swej matce i świadczyć uprzejmości Bilsze, której jedyny syn był wciąż za młody, aby polować.

Pewnego wczesnego poranka, kiedy wszyscy jeszcze spali, jakiś kobiecy głos zawołał:

- Gdzie są córki Saraj? Gdzie są żony Jakuba?

Głos był cichy, a mimo to wyrwał mnie z głębokiego snu, spod stóp mojej matki. Lea, podobnie jak ja, poderwała się i pospieszyła na zewnątrz, zderzając się z Rachelą. W jedno uderzenie serca były tam także Bilha i Zilpa i teraz wszystkie pięć gapiliśmy się na posłankę z Mamre, której suknia lśniła srebrem na tle tej błękitnej łuny, która zwiastuje nadejście świtu.

Przemawiała gotowymi formułami, jak wszyscy posłańcy.

- Rebeka, wyrocznia Mamre, matka Jakuba i Ezawa, babka wielkich rzeszy, wzywa was pod sklepienie z terebintowych konarów na święto jęczmienia. Niechaj Jakub usłyszy o tym i się dowie.

Owo oświadczenie zostało powitane milczeniem; nowo przybyła mówiła dziwnym akcentem, zniekształcając każde słowo, i to w trzech miejscach. Wydawało się, że nam wszystkim śni się to samo,

bo żadna z nas nigdy przedtem nie widziała ani tak rudych włosów, ani kobiety noszącej pasiastą sakwę posłańca. A jednak to wcale nie był sen, bo chłód poranka wywołał u nas dreszcz.

W końcu Lea złapała oddech i powitała obcą, ofiarowując jej miejsce, gdzie mogła spocząć, i chleb, którym mogła się posilić. Jednak gdy tylko zgromadziłyśmy się wokół naszego gościa, moje ciotki i ja znowu ucichłyśmy, przyglądając się kobiecie z jawnym zdumieniem. Ona zaś rozejrzała się dookoła, a potem uśmiechnęła, ukazując rząd drobnych, pożółkłych zębów przysłoniętych dziwacznie nakrapianymi wargami. Przemawiając teraz zwyczajnym głosem i z bez troską, która wreszcie uspokoiła nas wszystkie, powiedziała:

- Widzę, że pośród was rudowłose to rzadkość. Tam, skąd pochodzę, powiadają, że rudowłose kobiety poczyną się wtedy, kiedy ich matki krwawią. Oto, jaka niewiedza króluje na północy.

Bilha roześmiała się w głos, usłyszawszy tak śmiałe słowa z ust nowo przybyłej. Kobieta musiała być z tego zadowolona, bo odwróciła się i powiedziała:

- Mam na imię Werenro i służę Rebecę. - Powiedziawszy to, odrzuciła włosy do tyłu, ukazując ucho przebite zwykłym ćwiekiem z brązu, i dodała: - Jestem najszcześliwszą niewolnicą na całym świecie.

Bilha roześmiała się jeszcze głośniejsze, słysząc taką szczerość. Ja też zachichotałam.

Gdy tylko mężczyźni zostali nakarmieni, Lea posłała po Jakuba i przedstawiła mu posłankę, która do tego czasu okryła swe ogniste włosy i spuściła wzrok.

- Ta kobieta przybywa od twojej matki – powiedziała Lea. - Rebecka zaprasza nas do uczestnictwa w jej święcie jęczmienia. Posłanka czeka na twoją odpowiedź.

Jakub zdawał się zaskoczony obecnością obcej, ale opanował się prędko i powiedział Lei, że usłucha Rebeki we wszystkim i że uda się do niej w czasie żniw, on i jego żony, synowie i córki.

Werenro wycofała się wtedy do namiotu mojej matki i tam zasnęła. Pracowałam nieopodal cały dzień, w nadziei, że zobaczę ją choćby przelotnie. Usiłowałam też wymyślić jakiś powód, który pozwoliłby mi wejść do namiotu. Pragnęłam znowu zobaczyć jej włosy, a moje palce marzyły o dotknięciu szat, które falowały niczym chwały w rzece. Inna powiedziała mi, że ubranie Werenro zostało uszyte z jedwabiu, materii tkanej przez robaki na ich maleńkich wrzescionach. Uniosłam brew - starając się naśladować najbardziej wzgardliwy wyraz twarzy mojej matki - by pokazać, że jestem już za duża, żeby wierzyć w takie głupoty. Inna wyśmiała mnie i nie marnowała więcej oddechu na moje niedowierzanie.

Werenro odpoczywała bez zakłóceń aż do późnego wieczora, do czasu gdy nie tylko mężczyźni zdążyli się najeść, ale nawet miski po wieczery kobiet zostały uprzątnięte. Moje matki zebrały się wokół swego ogniska, w nadziei, że obca pojawi się tam w samą porę i coś nam opowie.

Posłanka wyszła z namiotu i zobaczywszy nas usadowione w półkolu, skłoniła się nisko, z palcami szeroko rozpostartymi w nieznany mi geście posłuszeństwa. Potem wyprostowała się, patrząc nam kolejno w twarze, i uśmiechnęła się niczym małe dziecko, które wzięło sobie figę bez pozwolenia. Werenro nie przypominała nikogo ani niczego w tym świecie. Byłam oczarowana.

Skłoniła głowę przed moimi matkami, dziękując za miskę oliwek, sera i świeżego chleba, którą dla niej zostawiono. Zanim coś

przekąsiła, wygłosiła krótką modlitwę w języku, który brzmiał jak krzyk myszołowa. Słyszac te odgłosy, roześmiałam się w głos, w przekonaniu, że kobieta mówi kolejny dowcip, ale rudowłosa rzuciła w moją stronę srogie spojrzenie. Poczulaam, jakby mnie spoliczkowano, i moja twarz zrobiła się tak gorąca i tak czerwona jak jej włosy, które znowu były odkryte i tak nieprawdopodobnie czerwone, jak je zapamiętałam. Jednak już w następnej chwili uśmiechnęła się na znak, że mi wybacza, i poklepała skrawek ziemi obok siebie, zapraszając, bym zajęła to poczesne miejsce.

Kiedy odłożyła na bok resztki posiłku, chwalaąc chleb i nadzwyczaj wysławiając piwo, zaczęła swą pieśń. Jej opowieść obfitowała w rozliczne obce imiona i towarzyszyła jej melodia smutniejsza niż wszystko, co do tej pory słyszałam. Sprawiała, że każda z nas słuchała jej jak oczarowana, niczym dziecko trzymane na kolanach.

Była to opowieść o początku świata, o Drzewie i jastrzębiu, który urodził Czerwonego Wilka, który z kolei zaludnił świat dzięki łonu, które wydało z siebie wszelkie życie o czerwonej krwi oprócz kobiety i mężczyzny. Była to bardzo długa historia, tajemnicza i przepelniona nazwami nieznanymi drzew i zwierząt. Działa się w straszliwie zimnym miejscu, gdzie wiatr wrzeszczał z bólu. Budziła przerażenie, dreszcz i poczucie osamotnienia.

Kiedy Werenro umilkła, ogień już zgasł i jedyna lampa migotała, rzucając mętne światło. Najmniejsze dzieci spały na kolanach swych matek i nawet kilka kobiet drzemało już, z głowami opadłymi na pierś.

Spojrzałam na twarz obcej, ale ona mnie nie widziała. Usta miała rozciągnięte w uśmiechu, a oczy przymknięte. Była daleko stąd, w kraju z własnej opowieści, w kraju dziwnych, obcych mitów, gdzie

pogrzebana była jej matka. Poczułam samotność tej kobiety, jakże oddalonej od swego domu. Rozumiałam serce Werenro w sposób, w jaki rozumiałam słońce, kiedy ogrzewało mi twarz. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej ramienia, a wtedy Werenro zwróciła się ku mnie, otworzyła oczy lśniące od łez i złożyła pocałunek na moich wargach.

- Dziękuję ci - powiedziała i wstała.

Weszła do namiotu mojej matki, a o świcie odeszła, nie powiedziawszy mi, w jaki sposób czerwony wilk z jej opowieści dał początek mężczyźnie i kobiecie. Tym jednak się nie przejęłam, bo wiedziałam, że usłyszę dalszy ciąg w Mamre, kiedy nareszcie udamy się na spotkanie z babką.

Rozdział piąty

Przygotowania do podróży rozpoczęły się na miesiąc przed żniwami jęczmienia. Mój ojciec zdecydował, że do Mamre uda się w towarzystwie wszystkich żon i większości synów. Symeon i Lewi mieli zostać przy stadach, a że żony ich obu były po raz pierwszy brzemiennie, nie sprzeciwiali się. Szua wprawdzie nie spodziewała się dziecka, ale Juda poprosił, aby jego też pozostawiono i wszystkie kobiety wiedziały dlaczego; radosne odgłosy ich conocnych przyjemności stanowiły źródło nieustających żartów i docinków.

Moi bracia i ja zostaliśmy wezwani do matek, które dokonały przeglądu naszego przyodziewku i stwierdziły, że wymaga on uzupełnienia. I potem wybuchło straszne zamieszanie z praniem, łątaniem i szyciem. Rachela stwierdziła, że uszyje swemu jedynakowi nową tunikę. Szata Józefa, obrzeżona na czerwono i żółto, przysporzyła mu wielu okropnych drwin z ust jego braci. Ignorował ich kąśliwe uwagi i zaklinał się, że woli szaty, które szyje mu jego matka, zamiast tych burych strojów, które dawano mężczyznom do noszenia. Nie umiałam orzec, czy on tylko udaje, że jest taki dziarski, czy naprawdę podoba mu się ten przepych.

Mnie dano bransolety na ręce - moją pierwszą biżuterię. Zwykła

miedź, a jednak byłam nimi urzeczona, zwłaszcza tymi kobiecymi dźwiękami, które wydawały. W rzeczy samej byłam tak pochłonięta podziwianiem tych trzech kółek na moich nadgarstkach, że nie zwracałam uwagi na to, jak idę, i już pierwszego dnia, kiedy je włożyłam, potknęłam się i do krwi zadrapałam sobie podbródek. A potem byłam przerażona myślą, że na spotkaniu z babką będę wyglądała jak dziecko całe w strupach. Dlatego codziennie, aż do czasu, gdy wyruszyliśmy w drogę, przyglądałam się swojej twarzy w lusterku Racheli, błagałam Inne o maść i skubałam ogromną, czerwoną narośl.

W dniu, w którym wyruszyliśmy do Mamre, byłam tak podniecona, że cała wychodziłam ze skóry i puszczałam mimo uszu wszystkie polecenia, jakie mi wydawano. Moja matka, która była wszędzie jednocześnie, sprawdzając, czy dzbany z oliwą i winem są szczelnie zakorkowane, czy bracia przyczesali brody i w ogóle czy wszystko jest gotowe, straciła wreszcie do mnie cierpliwość. Była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy podniosła na mnie głos.

- Albo mi pomożesz, albo cię zostawię, abyś usługiwała żonom swych braci - oznajmiła. I już nie musiała dodawać ani słowa.

Podróż zabrała zaledwie kilka dni i okazała się wybitnie radosna. Podczas marszu śpiewaliśmy, radując się naszym dostatkiem i pięknym stadem, bo najwspanialsze sztuki zostały wybrane jako dar dla babki.

Wczesnym rankiem Jakub szedł obok Racheli, wdychając jej woń, uśmiechając się, ale mówiąc niewiele. Potem zajął miejsce obok Lei, aby porozmawiać o naszych zwierzętach, zbiorach, prawidłowej etykietce powitania jego rodziców. Późnym popołudniem podszedł do Bilhy, zajmując miejsce Rubena, jej cienia. Ojciec szedł z ręką na jej ramieniu, jakby potrzebował jej wsparcia.

Byłam nieskończenie szczęśliwa. Józef trzymał się mnie i nawet od tego stopnia się zapomniał, że od czasu do czasu chwytął mnie za rękę. Nocą umościłam się obok Zilpy, która wzbudziła we mnie przestrah wobec babki opowieściami o reputacji Rebeki jako wróżbitki, uzdrowicielki i wyroczeni, przez co ledwie mogłam zasnąć. I ledwie potrafiłam się powstrzymać, by nie biec, bo miałam znowu spotkać się z Tabiją. Werenro miała uśmiechać się do mnie i opowiadać dalsze historie. No i przede wszystkim miałam poznać babkę, która, wyobrażałam sobie, będzie musiała natychmiast mnie zrozumieć i polubić bardziej niż moich braci.

Trzeciego dnia, w połowie ranka, pojawił się przed nami namiot Rebeki. Nawet z oddali wydawał się cudowny, choć z początku nie rozumiałam, co to tak lśni po drugiej stronie doliny. Był ogromny - o wiele większy niż jakikolwiek namiot, jaki w życiu widziałam, i zupełnie niepodobny do naszych burych siedzib z kozłich skór. Wyglądał jak ziemską tęcza - czerwona, żółta i niebieska - kłębiąca się na wzniesieniu pod zagajnikiem starych drzew, których konary wyciągały się błagalnie ku bezchmurnemu niebu.

Kiedy podeszliśmy bliżej, stało się jasne, że raczej nie jest to dom, lecz baldachim, bo jego otwarte boki zapraszały podróżników z wszystkich stron. W środku dostrzegliśmy kolorowe kobierce we wzorach, które były jednocześnie delikatne i krzykliwe; przedstawiały sceny z tańczącymi kobietami i latającymi rybami, gwiazdami, półksiężycami, słońcami, ptakami. W życiu nie widziałam równie pięknego rękodzieła.

Niewiele zapamiętałam z formalnego powitania zgotowanego memu ojcu ani też ceremonii przedstawienia moich braci, jednego

po drugim, potem dawania podarunków, a wreszcie przedstawienia moich matek i mnie samej. Widziałam tylko ją. Babka - moja babka. Była najstarszą osobą, jaką kiedykolwiek widziałam. Jej lata zdradzały się same w głębokich bruzdach na czole i wokół ust, ale wciąż jeszcze miała urodę młodości. Stała tak sztywno wyprostowana jak Ruben i niemal równie wysoka. Jej czarne oczy były czyste i przenikliwe, pomalowane na modłę obowiązującą w Egipcie - we wzór wyrysowany gęstą czarną kredką, który jakimś sposobem nakazywał wierzyć, że ona wszystko widzi. Miała na sobie szaty w barwie purpury - barwie znamionującej królewską władzę, świętość i bogactwo. Okrycie jej głowy było długie i czarne, przeplecione złotą przędzą dającą iluzję bujnych włosów, mimo że w tym wieku nie zostało jej już ich wiele oprócz kilku siwych pasem.

Rebeka nie zauważyła, że się na nią gapię. Oczy babki były utkwione w syna, którego nie widziała od czasu, gdy był jeszcze chłopcem o gładkich policzkach, teraz już mężczyzną, który miał nie tylko dorosłych synów, ale nawet wnuki. Nie okazywała żadnych emocji, kiedy Jakub przedstawiał jej swoje dzieci, żony i podarunki. Kiwała głową, akceptując wszystko i nic nie mówiąc.

Uznałam, że ona jest wspaniała - niedosiężna jak królowa. Zauważyłam jednak, że moja matka wydyma usta z niezadowoleniem. Spodziewała się pokazu macierzyńskiej miłości wobec ukochanego syna. Twarzy ojca nie widziałam, nie mogłam więc ocenić jego reakcji.

Po oficjalnym powitaniu Rebeka odwróciła się od nas i zostaliśmy zaprowadzeni na zachodni stok wzgórza, gdzie mogliśmy zrobić namioty i przygotować się do wieczery. To właśnie tam się dowiedziałam, że Tabija jeszcze nie dotarła i że Werenro została

wysłana do Tyru; miała tam kupić pewien rzadki purpurowy barwnik, który moja babka szczególnie sobie upodobała.

W gaju nie mieszkali żadni mężczyźni. Rebecę obsługiwało dziesięć kobiet, które opiekowały się również pielgrzymami, przybywającymi po radę i prorocstwo od tej, którą nazywali wyrocznią. Kiedy spytałam o ojca mojego ojca, jedna z towarzyszek babki powiedziała mi, że Izaak mieszka w wiosce Arba położonej niedaleko stąd, w wygodnej chacie, która była przyjaźniejsza dla jego starych gości niżli otwarty namiot.

- Dziś wieczorem przybędzie na wieczerzę - wyjaśniła kobieta, której imię brzmiało Debora. Babka wszystkim swoim uczennicom nadawała imię Debora, aby w ten sposób uczcić pamięć kobiety, która była jej niańką i wieloletnią służką; jej gości spoczywały pod drzewami Mamre.

Kobiety babki mówiły bojaźliwym szeptem i ubierały się w jednakowe proste białe tuniki. Były uprzejme, ale i chłodne w obejściu, toteż prędko przestałam starać się patrzeć na nie jak na odrębne istoty, a zaczęłam myśleć o nich jako o Deborahach.

Popołudnie mijało prędko na przygotowaniach do wieczerzy. Gdy z ognia zszedł pierwszy chleb, nadeszła wieść o przybyciu Izaaka. Wybiegłam na drogę, by przyglądać się, jak mój dziadek zbliża się do gaju. Rebeka też wyszła popatrzeć; podniosła rękę, witając się z nim krótko. Mój ojciec wyszedł mu naprzeciw, żeby się przywitać, stawiając kroki coraz to szybciej, aż w końcu nieledwie biegł w stronę swego ojca.

Izaak nie odpowiedział ani na powitalny gest żony, ani na podniesienie syna. Jechał dalej, z wyglądu uosobienie spokoju i pogody, na wysyciełanym siedzeniu umocowanym do grzbietu osła prowadzonego

przez kobietą w białych szatach ze świty babki - nosiła woal zakrywający ją całą prócz oczu. Dopiero wtedy, gdy znajdował się już bardzo blisko, zorientowałam się, że dziadek jest ślepy, że powieki ma zaciśnięte w grymasie, który na trwałe wykrzywił mu twarz. Miał drobne kości, był chudy i wydawałby się kruchy, gdyby nie to, że jego włosy były gęste i ciemne niczym u młodego mężczyzny.

Babka przyglądała się, jak usługująca kobieta pomaga Izaakowi zsiąść i prowadzi go potem do jego koca na wschodnim stoku Mamre. Zanim jednak służka puściła jego łokieć, Izaak ujął jej rękę i przycisnął ją sobie do ust, a potem jeszcze przyłożył do policzka. Twarz Izaaka rozluźniła się w uśmiechu, dzięki czemu każdy, kogo zainteresował ten widok, mógł się dowiedzieć, że zawoalowana kobieta to towarzyszka serca mego dziadka.

Jakub stanął przed Izaakiem. „Ojczy?” powiedział głosem narzmiętym łzami. Izaak zwrócił twarz ku niemu i rozłożył ramiona. Ojciec objął starca i objął za kark. Mówili coś do siebie szeptem, a tymczasem moi bracia stali i czekali, aż zostaną przedstawieni. Moje matki trzymały się z tyłu, wymieniając spojrzenia wyrażające troskę o jedzenie, które mogło wyschnąć i utracić smak, gdyby nie zostało czym prędzej podane.

Mężczyźni jednak się nie spieszyli. Izaak pociągnął syna na miejsce u swego boku, a Jakub przedstawił mu swoich synów. Dziadek gładził palcami twarze moich braci, Rubena i Zabulona, Dana, Gada i Asera, Neftalego i Issachara. Kiedy wreszcie został wymieniony Józef, jako najmłodszy syn, dziadek usadził go sobie na kolanach, jakby był małym dzieckiem, a nie chłopcem wkraczającym już w wiek męski. Izaak czule obwiodł palcami kontury twarzy Józefa, a

potem jeszcze sięgnęła jego ramion. Zerwał się lekki wiatr, który wydał nad nimi kopułę jedwabnego namiotu, obramowując dziadka i jego wnuka cudowną tęczę. Był to wspaniały widok, od którego zapało mi dech. I to właśnie w tym momencie Rebeka, dotąd zachowująca dystans, przerwała wreszcie swe majestatyczne milczenie.

- Musisz być głodny i spragniony, Izaaku - rzekła, oferując gościnę niezbyt uprzejmym tonem. - Twoje dzieci spiekły się podczas ich podróży. Niechaj twoja Debora wprowadzi cię do środka. Niechaj twoje synowe pokażą, że potrafią gotować.

Podawaniu posiłku towarzyszyło trzepotanie białych strojów i ucztę się rozpoczęła. Mój dziadek jadł obficie, biorąc duże kęsy z rąk kobiety w woalu. Dopytywał się, czy jego wnukowie dobrze się najedli, i od czasu do czasu wyciągał rękę, by znaleźć swego syna - kładł wtedy swą czułą dłoń na jego ramieniu albo policzku, pozostawiając smugi oliwy, których ojciec mój nie ścierał. Przyglądałam się temu zza drzewa, bo sług było tam tyle, że nie byłam potrzebna do podawania jadła ani napitków.

Moi bracia byli głodni, toteż prędko zjedli i niebawem Zilpa zabrała mnie na naszą stronę wielkiego namiotu, gdzie zebrały się kobiety. Babcia usiadła i przyglądałyśmy się, jak smakuje kolejno wszystkiego, co przed nią postawiono. Nie mówiła nic o mięsie, chlebie ani łakociach. Nie pochwaliła ani sera, ani też wielkich oliwek zebranych przez moje matki. Nie oceniła piwa mojej matki.

Ja jednak nie dziwiłam się już milczeniu Rebeki. Przystałam myśleć o niej jak o kobiecie takiej jak moje matki czy jak jakakolwiek

kobieta, skoro już o tym mowa. Przez całe popołudnie była niczym siły boże, niczym ulewna burza czy pożar w zaroślach.

Jako że babka jadła niewiele i w ogóle się nie odzywała, nasz posiłek był bardziej ponury niż świąteczny. Nie było podawania misek w stronę tych, którzy chcieliby dobrać sobie potrawy, nie było pochwał, pytań, w ogóle żadnej rozmowy. Wielka uczta skończyła się po kilku chwilach i Debory zebrały ostatnie puchary, zanim ktoś zdążył pomyśleć o dolaniu do nich.

Babka powstała i podeszła do zachodniego skraju namiotu, skąd roztaczał się widok na słońce, które zachodziło już oslepiającą pomarańczowo-złotą łuną. Tuż za nią postępowała jej świta. Rebeka wyciągnęła ręce ku słońcu, jakby chciała dotknąć jego ostatnich promieni.

Kiedy opuściła ręce, jej towarzyszki zaintonowały pieśń zapraszającą księżyc żniw jęczmienia. Kolejne strofy powtarzały pewne prastare prorocstwo. Gdy każdy jęczmienny kłos będzie miał w sobie dwadzieścia siedem ziaren, nadejdzie kres dni, zmęczeni będą mogli odpocząć i zło zniknie z ziemi niczym światło gwiazd o wschodzie słońca. Ostatni chór ucichł w momencie, gdy mrok ogarnął obóz.

Zapalono lampy, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Babka przyłączyła się do nas i obawiałam się, że będziemy tak jej towarzyszyć w milczeniu przez cały wieczór, ale mój strach był nieuzasadniony, bo gdy tylko zapłonęły światła, zaczęła mówić.

- Oto historia tamtego dnia, kiedy to przybyłam do Mamre, do gaju świętych drzew, do pępka świata - powiedziała babka Rebeka, takim głosem, że mężczyźni usłyszeliby ją, gdyby się starali. - Były to tygodnie, które nastąpiły po śmierci Saraj, Prorokini, ukochanej

żony Abrama, matki Izaaka. Tej, która urodziła dziecko w wieku, gdy była zbyt stara, by nosić wodę., a tym bardziej dziecko. Saraj, najukochańsza z matek.

Tamtego ranka, gdy weszła do onego gaju, chmura spowiła namiot Saraj. Złota chmura, która nie przyniosła deszczu ani nie zakryła słońca. Była to chmura, jaką widuje się tylko nad wielkimi rzekami i nad morzem, ale nigdy dotąd nie widziano w miejscu położonym tak wysoko. A mimo to chmura zawisała nad namiotem Saraj, kiedy Izaak poznał mnie i ja zostałam jego żoną. Spędziliśmy nasze pierwsze siedem dni jako mąż i żona pod tą chmurą, w której na pewno przebywali bogowie.

I nigdy wcześniej nie było zbiorów tak obfitych w winie, ziarnie i oliwie, moje córki - powiedziała szeptem, zarówno dumnym, jak i wypełnionym przygnębieniem. - Za to ja urodziłam tyle martwych córek. Tylu synów umarło w moim łonie. Tylko dwóch przeżyło. Któż potrafi wyjaśnić tę tajemnicę?

Babka umilkła; wszystkim słuchaczkom udzielił się jej posepny nastrój, co było widać po obwisłych ramionach. Nawet ja, która jeszcze nie straciłam żadnych dzieci, poczułam w sobie żalobę matki. Po chwili babka wstała i wskazała Leę, że ma pójść za nią do wewnętrznej komnaty wielkiego namiotu, gdzie płonęły lampy wypełnione aromatyczną oliwą i gdzie jarzyły się barwne kobierce. My pozostałe siedziałyśmy tak jeszcze chwilę, zanim do nas dotarło, że zostałyśmy odprawione.

Rozmowa mojej matki z babką przeciągnęła się do późnej nocy. Z początku Rebeka długo przyglądała się synowej, zdradzając swój

krótki wzrok, bo przysunęła się bardzo blisko i zaglądała jej prosto w twarz. Potem zaczęła przesłuchanie, wypytując o każdy szczegół życia Lei.

- Dlaczego z takimi oczyma nie porzucono cię gdzieś poza namiotem, abyś umarła zaraz po narodzinach? Gdzie jest pochowana twoja matka? Jak przygotowujesz wełnę do farbowania? Gdzieś ty się nauczyła warzyć takie piwo? Jakim ojcem jest Jakub, mój syn? Który z synów jest twoim ulubieńcem? Którego ze swych synów się obawiasz? Ile jagniąt oddaje mój syn Elowi w ofierze podczas święta wiosny? Jakie obrzędy uprawiasz przy nowym księżycu? Ile dzieci straciłaś przy porodzie? Co planujesz dla córki, kiedy ona osiągnie swój wiek? Ile ełów jęczmienia hodujecie w Sukkot, a ile pszenicy?

Moja matka nawet nie potrafiła sobie przypomnieć wszystkich pytań, jakimi zarzucono ją tamtej nocy, ale odpowiadała na nie wyczerpująco, na moment nie odrywając oczu od twarzy babki. Starą kobietę bardzo to zaskoczyło, bo przywykła zbijać ludzi z tropu, ale Lea po prostu nie dała się spłoszyć. Obie piorunowały się wzrokiem.

Rebecce w końcu skończyły się pytania; skinęła wtedy głową i wydała jakiś bezsłowny odgłos, burknięcie wyrażające posepną aprobatę.

- Niech będzie. Lea, matka wielu synów. Niech tak będzie.

I moja matka została odprawiona machnięciem ręki. Znalazła drogę do swego posłania i natychmiast zasnęła, ze szczętem wyczerpana.

Przez następne dwa dni wszystkie moje ciotki, jedna po drugiej, były wzywane do wewnętrznej komnaty babki.

Rachelę powitały pocałunki i pieśszoty, a popołudniowemu spotkaniu tych dwóch akompaniowały wybuchy dziewczęcego śmiechu.

Babka klepała moją ciotkę po jej ślicznych policzkach i delikatnie podszczypywała ją po ramionach. Rebeka, która była piękną swego pokolenia, wyjęła szkatułę z przyborami do malowania się - wielkie lakierowane na czarno pudło z licznymi przegródkami, każda wypełniona jakimś eliksirem, smarowidłem, perfumami albo farbą. Rachelę wyszła od babki uśmiechnięta i pachnąca oliwą z lotosu, z powiekami pomalowanymi na zielono i oczyma obwiedzionymi lśniąca czarną kredką, dzięki czemu wyglądała już nie tylko pięknie, ale wręcz olśniewająco.

Zilpa, kiedy po nią posłano, padła przed babką na twarz i została nagrodzona wierszem o wielkiej Aszerat, małżonce Ela i bogini morza. Babka przyglądała się krótko twarzy Zilpy, zamknęła swe czarne oczy, po czym przepowiedziała czas i miejsce śmierci mojej ciotki. Ta nowina, której nigdy nikomu nie wyjawiała, nie zaniepokoiła Zilpy, a wręcz natchnęła ją spokojem, w którym trwała już do kresu swych dni. Od tego dnia Zilpa zawsze się uśmiechała, kiedy pracowała przy wrzecionie - nie posępnym grymasem, tylko szerokim uśmiechem obnażającym zęby, jakby przypominał jej się jakiś świetny dowcip.

Bilha wzdragała się przed rozmową z babką i potknęła się, kiedy podchodziła do starej kobiety. Babka skrzywiła się i westchnęła, a Bilha nie odrywała wzroku od swych rąk. Milczenie stawało się coraz cięższe i po krótkiej chwili Rebeka odwróciła się i wyszła, zostawiając Bilhę sam na sam z barwnymi kobiercami, które zdawały się z niej drwić.

Te spotkania niewiele dla mnie znaczyły, bo przez trzy dni przepatrywałam wzrokiem horyzont, cały czas wypatrując Tabiji. Przybyła wreszcie w dniu samego święta, razem z Ezawem i jego pierwszą żoną Adą. Widok mojej przyjaciółki był dla mnie czymś nieledwie ponad moje siły i z miejsca do niej podbiegłam. A ona rzuciła

mi się na szyję..

Kiedy wreszcie się rozłączyliśmy, spostrzegłam, jak bardzo się zmieniła przez te kilka miesięcy, gdy się nie widziałyśmy. Była ode mnie wyższa o dobre pół głowy i nie musiała obciągać swych szat wokół ciała, by było widać jej piersi. Aż rozdziawiłam usta, kiedy zobaczyłam pas, głoszący, że ona jest już kobietą. Tabija weszła do czerwonego namiotu! Nie była już dzieckiem, lecz kobietą. Poczulałam, że moja twarz aż pała z zazdrości, jej twarz natomiast pokraśniała z dumy. Chciałam jej zadać tysiąc pytań, jak to jest, o jej ceremonię, o to, czy świat się zmienił, odkąd jej miejsce w nim stało się inne.

Nie zdążyłam jednak wypytać mojej kuzynki o nic. Babka zauważyła już fartuch Tabiji i podeszła do mojej ciotki, która na głowie miała czepiec z monet. Po kilku chwilach krzyczała na Adę z furią, jak mi się dotąd wydawało przynależną wyłącznie bogom mającym do dyspozycji gromy i błyskawice.

Gniew Rebeki był straszny.

- Chcesz mi powiedzieć, że jej krew została zmarnowana? Że zamknęłaś ją samą jak jakieś zwierzę?

Ada skuliła się i już chciała odpowiedzieć, kiedy babka uniosła pięści.

- Tylko mi się nie waź bronić się, ty głupia istoto - wyszczała. - Ty pawianie! Powiedziałam ci, co masz robić, ale ty wymówiłaś mi posłuszeństwo i teraz już nic się nie da zrobić. Najlepsza z jego dziewczynek, jedyna z jego nasienia przejawiająca bodaj ślad mądrości czy uczucia, a ty potraktowałaś ją jak... jak.. Fuj! - Rebeka splunęła pod nogi synowej. - Nie mam słów na taką obrzydliwość. - Jej głos przycichł, nabierając za to lodowatego brzmienia. - Dość tego.

Nie ma dla ciebie miejsca w moim namiocie. Wynos się stąd. Bądź przeklęta; odejdz i obym cię już nigdy nie spotkała.

Babka wyprostowała się i wymierzyła Adzie policzek, w który włożyła całą swoją siłę. Nieszczęsna kobieta zwała się bezwładnie na ziemię, skomląc lękliwie, że oto rzucony został na nią zły urok. Mężczyźni, którzy nadbiegli pospiesznie, by sprawdzić, co stanowi przyczynę niezadowolenia babki, skulili się na widok przekleństwa Wyroczeni i prędko odwracali się od awantury, która niezaprzeczenie była sprawą tylko kobiet.

Ada odczołgała się, ale Tabija przypadła do ziemi u stóp Rebeki, łkając:

- Błagam, nie! - Twarz mojej kuzynki całkiem spopieliała, a jej oczy były wytrzeszczone z panicznego przerażenia. - Odbierz mi moje imię i nazwij mnie w zamian Deborahą. Uczyń mnie najędzniejszą ze swych służek, tylko mnie nie karz. Och, proszę, babciu. Proszę. Błagam cię, błagam.

Ale Rebeka nie spojrzała nawet na stworzenie cierpiące u jej stóp. Nie widziała, że Tabija rozdziera sobie twarz paznokciami, aż w końcu pojawiły się na niej krwiste smugi. Nie widziała, jak szarpie swe szaty na strzępy ani jak połyka całe garście ziemi. Babka odwróciła się i odeszła od Tabiji, od jej umierających w śmiertelnych mękach nadziei, opasując się szczelnie swą szatą, jakby chciała się odgrodzić od tego nieszczęścia. W końcu Tabija została podźwignięta z ziemi przez członkinie świty babki i zaniesiona do namiotu żon Ezawa.

Nie bardzo rozumiałam, co się właściwie stało, ale wiedziałam, że moja przyjaciółka padła ofiarą niesprawiedliwości. Dźwięczało mi w uszach i łomotało mi serce. Nie potrafiłam uwierzyć, że moja

babka mogła być tak okrutna. Moja najukochańsza kuzynka, dla której Rebeka była bliższa niż jej własna matka, została potraktowana gorzej niż ci trędowaci, którzy przybywali po cudowne leki. Nienawidziłam Rebeki tak, jak jeszcze nigdy nikogo.

Moja matka wzięła mnie za rękę, poprowadziła do namiotu i dała puchar słodkiego wina. Gładząc mnie po włosach, odpowiedziała mi na pytanie, jeszcze zanim je zadałam.

- Ta dziewczyna będzie cierpiała do końca swoich dni, dlatego też trafnie ulokowałaś współczucie - rzekła Lea, moja matka. - Jednak twoja nienawiść jest nieuzasadniona, córko. Ona nie zamierzała skrzywdzić Tabiji. Moim zdaniem bardzo ją kocha, ale nie miała wyboru. Broniła swej matki i siebie samej, mnie i twoich ciotek, ciebie i twoich przyszłych córek. Broniła obyczajów naszych matek i ich matek, a także wielkiej matki, która ma wiele imion, a jednak grozi jej niebezpieczeństwo, że zostanie zapomniana. Nie jest to łatwo wyjaśnić, ale spróbuję. Jesteś moją jedyną córką i wiesz już więcej, niż powinnaś, bo długo żyliśmy w odosobnieniu. Przebywałaś razem z nami w czerwonym namiocie. Pomagałaś nawet przy porodach, czego nie wolno ci nigdy zdradzić Rebecce. Ja wiem, że nigdy nie zdradzisz tego, co mówię ci teraz.

Przytaknęłam, składając w ten sposób przyrzeczenie, i moja matka westchnęła od serca. Popatrzyła na swoje dłonie, zbrązowiałe od słońca, mądre od pracy i rzadko kiedy tak bezczynne jak teraz. Ułożyła je wnętrzami w górę na kolanach i zamknęła oczy. Pół śpiewając, pół szepcząc, Lea powiedziała:

- Wielka matka, którą my nazywamy Inanną, jest dziką wojowniczką i oblubienicą śmierci. Wielka matka, którą my nazywamy

Inanną, jest wcieleniem rozkoszy, tą, która sprawia, że kobiety i mężczyźni obcuja z sobą nocą. Wielka matka, którą my nazywamy Inanną, jest królową oceanu i patronką deszczu. Wiedzą to wszyscy, i kobiety, i mężczyźni. Wiedzą to niemowlęta karmione piersią i zgrzybiali starcy.

W tym momencie przerwała i uśmiechnęła się szeroko jak dziewczyna.

- Zilpa bardzo by się ubawiła, gdyby zobaczyła, jak opowiadam legendy - powiedziała, przez chwilę patrząc na mnie wprost, i ja odwzajemniłam jej uśmiech, okazując, że rozumiem dowcip. Jednak po chwili moja matka znowu spoważniała i ciągnęła: - Wielka matka, którą my nazywamy Inanną, ofiarowała kobiecie dar, który nie jest znany mężczyznom, i jest to tajemnica krwi. Strumień wypływający przy pociemniałym księżycu, ozdowieńcza krew narodzin księżycy; dla mężczyzn jest to tylko strumień i dolegliwość, kłopot i ból. Wyobrażają sobie, że my cierpimy, i uważają się za szczęśliwców. A my nie wyprowadzamy ich z błędu.

W czerwonym namiocie ta prawda jest znana. W czerwonym namiocie, gdzie dni mijają niczym łagodne wody potoku, w miarę jak przepływa przez nas dar Inanny, oczyszczając ciało ze śmierci ostatniego miesiąca, przygotowując ciało do przyjęcia narodzin nowego miesiąca, gdzie kobiety składają podziękowania za wytchnienie i odnowę, za wiedzę, że życie rodzi się między nogami i że za życie płaci się krwią. - W tym momencie ujęła mnie za rękę i dodała: - Mówię ci to wszystko przed właściwym czasem, córko moja, choć nie upłynie wiele wody, zanim i ty wejdiesz do namiotu, aby świętować razem ze mną i twoimi ciotkami. Staniesz się kobietą

otoczoną kochającymi rękoma, które poniosą cię, pochwycą twoją pierwszą krew i dopilnują, aby trafiła ona do łona Inanny, do tego pyłu, z którego uformowano pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę, do tego pyłu, który został przemieszany z jej miesięczną krwią.

A jednak wiele spośród jej córek zapomina o tajemnicy daru Inanny i odwraca się plecami do czerwonego namiotu. Żony Ezawa, córki ziemi edamskiej, którymi tak bardzo gardzi Rebeka, nie udzielają lekcji ani też nie witają swoich młodych kobiet, kiedy te osiągną swój wiek. Traktują je jak zwierzęta, separując je, samotne i przestraszone, zamknięte w ciemnych dniach nowego księżyca, bez wina i bez porady matek. Nie świętują pierwszej krwi tych, które będą dawały życie, ani też nie zwracają jej ziemi. Odrzuciły Otwarcie, które jest świętą sprawą kobiet, i pozwalają mężczyznom wystawiać na pokaz zakrwawione prześcieradła ich córek, jakby danina składana choćby najmniejszemu baalowi domagała się takiego poniżenia.

Moja matka zauważyła, że trochę się w tym pogubiłam.

- Jeszcze nie jesteś w stanie pojąć tego wszystkiego, Dino - uspokoiła mnie. - Ale już niebawem będziesz wiedziała i ja dopilnuję, aby twe wejście w życie kobiet było uroczyste i aby towarzyszyła mu najwyższa czułość. Tak więc nie lękaj się.

Było już ciemno, kiedy matka wypowiadała te ostatnie słowa. Do naszych uszu dotarły pieśni święta jęczmienia i wtedy matka wstała, podając mi rękę. Wyszliśmy w noc, by przypatrywać się składaniu ofiar palonych na ołtarzu obok najwyższego drzewa. Cudownie się słuchało tych hymnów śpiewanych wieloma głosami. Debory tańczyły w kręgu, akompaniując sobie klaskaniem. Obracały się i kucwały,

podskakiwały i kołysały się, jakby wszystkie miały jeden umysł, jedno ciało i wtedy zrozumiałam, dlaczego Tabija tak bardzo chciała się przyłączyć do ich tańca. Ada zniknęła gdzieś tamtej nocy, zabierając ze sobą moją przyjaciółkę umocowaną do grzbietu osła niczym zwierzę ofiarne, jeszcze nie martwe, ze szmatą wepchniętą do ust, która miała stłumić jej krzyk.

W dniach poprzedzających nasze odejście unikałam babki i trzymałam się blisko swoich matek. Z całej duszy pragnęłam już opuścić to miejsce, ale kiedy szykowaliśmy się już do powrotu do Sukkot, Lea podeszła do mnie z pochmurną twarzą.

- Babka powiada, że masz zostać tutaj, w Mamre, przez trzy miesiące - oznajmiła. - Rebeka rozmawiała z twoim ojcem i zostało to uzgodnione bez mojej... - Urwała na widok mojej wykrzywionej paniką twarzy. - Tak bardzo bym chciała tu zostać albo zostawić z tobą Zilpę, ale babcia nie chce o tym słyszeć. Chce tylko ciebie. - Po długim milczeniu dodała: - To zaszczyt. - Ujęła mnie obiema dłońmi za podbródek i dodała tonem wielkiej czułości: - Kiedy dojrzeje pszenica, znowu będziemy razem.

Nie płakałam. Byłam zalekniona i zła, ale z całą mocą postanowiłam, że nie wybuchnę płaczem, tak więc zacisnęłam usta, oddychając przez nos, i robiłam wszystko, by nie mrugać powiekami. W taki właśnie sposób przetrwałam, kiedy patrzyłam, jak sylwetka mojej matki robi się coraz mniejsza i mniejsza, aż wreszcie całkiem zniknęła za horyzontem. Nigdy nawet nie wyobrażałam sobie takiej samotności, życia bez niej, moich ciotek albo choćby jednego z moich

braci. Poczulałam się teraz jak dziecko, które porzucono na pastwę, śmierci, ale się nie rozpłakałam. Odwróciłam się z powrotem w stronę, służek babci, które przyglądały mi się w napięciu, ale nie płakałam.

Dopiero nocą, samotna na swym pośłaniu, ułożyłam się twarzą ku ziemi i tak długo łkałam, że aż zaczęłam się dławić. Wstawałam co rano zamroczona i zdezorientowana, dopóki nie przypominałam sobie, że jestem sama w namiocie babki.

Moje wspomnienia z tamtych miesięcy w Mamre zdają się blade i rozproszone. Moje matki, kiedy już do nich wróciłam, były rozczarowane, że niewiele potrafię powiedzieć o cudach, na jakie się napatrzyłam, ani też o tajemnicach, jakie zgłębiłam. To było tak, jakbym się przeszła przez jaskinię pełną drogocennych kamieni, ale pozbięrała tylko garść szarych kamyków.

A oto, co rzeczywiście pamiętam.

Otóż raz na siedem dni babka zajmowała się pieczeniem, robiąc z tego wielki pokaz. Przez cały tydzień nie kalała sobie rąk pracą kobiet, nie mówiąc już o zagniataniu czy formowaniu ciasta. Siódmego dnia natomiast brała mąkę, wodę i miód, miesiła je i kształtowała, po czym składała w ofierze jeden róg trój graniastego placka, „dla Królowej Niebios”, szeptała do placka przed wsunięciem go w ogień.

Nie chciało mi się wierzyć, by Królową specjalnie interesowały te suche, pozbawione smaku wyroby, które ofiarowywała jej Rebecka. „Czyż nie są znakomite?”, dopytywała się tonem nie znośnym sprzeciwu, kiedy już wyszły z pieca. Przytakiwałam jej posłusznie, popijając moją porcję wodą, bo tylko wodę dawano mi do picia. Na całe szczęście służki znały się na pieczeniu znacznie lepiej, toteż ich

placki były słodkie i dostatecznie wilgotne, by mogły zadowolić podniebienie każdej królowej. A jednak, kiedy moja babka szeptała coś nad tą skromną domową ofiarą, tylko wtedy widziałam uśmiech ogarniający jej oczy.

Moje zadanie polegało na chodzeniu co dzień, wczesnym rankiem, do Rebeki i asystowaniu jej w porannych ablucjach, które miały ją przygotować na przyjęcie pielgrzymów przybywających co dzień do gaju. Znosiłam jej zdobną szkatułę z kosmetykami, zawierającą odrębne zapachy dla czoła, nadgarstków, pach i kostek, miksturę, której używała do skóry pod oczami, oraz jakiś pachnący kwasno-konkott na szyję. Po nałożeniu perfum i kremów zaczynała pieczołowicie malować sobie wargi, oczy i policzki. Twierdziła, że najważniejsze w urodzie to pachnieć słodko; dlatego właśnie jej oddech zawsze pachniał miętą, którą żuła od rana do wieczora.

Odnosiłam wrażenie, że babka płonie jakimś wewnętrznym żarem. Jadła skąpo i rzadko siedziała. Patrzyła z góry na wszystkich, którzy domagali się prawa do wypoczynku. W rzeczy samej krytykowała każdego z wyjątkiem swoich synów i mimo iż faworyzowała Jakuba, wychwalając jego aparycję i dorodnych synów, to było jasne, że polega we wszystkim na moim stryju. Co drugi dzień pojawiali się posłańcy z Seiru. Ezawa stale wzywano, po to, aby dostarczył dodatkowy efekt jęczmienia albo wyszukał mięso godne stołu Rebeki. Widywałam go co najmniej raz na każde dwa tygodnie; zawsze przybywał z pełnymi naręczami darów.

Mój stryj był dobrym człowiekiem i oddanym synem. Pilnował, by gaj odwiedzali bogaci pielgrzymi i przynosili hojne dary. To on znalazł dla Izaaka kamienną chatę, dzięki której Rebecka mogła żyć w takiej wygodzie jak jakaś kapłanka, choć nie służył jej żaden mężczyzna. Babka klepała Ezawa po policzku za każdym razem, gdy

opuszczał jej namiot, a on wtedy promieniał, jakby wychwalała go pod niebiosami. Czego ona nigdy nie robiła.

Babka nigdy nie wyrażała się źle o Ezawie, ale też nie mówiła o nim nic dobrego. Nienawidziła natomiast serdecznie jego żon. Mimo iż były to obowiązkowe i posłuszne kobiety, które, swego czasu, posyłały wspaniałe dary w nadziei zdobycia jej przychylności, to jednak ona odprawiała je, nazywając kocmołuchami i idiotkami. Przez całe lata jawnie z nich szydziła, więc odwiedzały ją tylko wtedy, gdy zmusił je do tego Ezaw.

Wobec moich matek nie była łaskawsza. Rachelę uważała za leniwą - piękną, ale leniwą. Bilhę nazywała brzydką, a Zilpę przesadną tyką. Niechętnie przyznawała, że Lea jest dobrą robotnicą i wyraźnie pobłogosławioną, skoro urodziła tylu zdrowych synów. Ale nawet Lea nie była dostatecznie dobra dla Jakuba, który zasługiwał na małżonkę idealną. A nie taką olbrzymkę o różnych oczach.

Mówiła to wszystko w mojej obecności! Jakbym ja nie była córką mojej matki, jakby moje ciotki nie były moimi ukochanymi matkami. Ja jednak wcale ich nie broniłam. Kiedy Wyrocznia przemawiała, to wszelki sprzeciw był zabroniony. Brakowało mi śmiałości Lei i Izy, które wylewałam po nocach, często smakowały wstydem i samotnością.

Najgorszy swój jad zachowywała Rebeka dla własnego męża. Izaak zgłupiał na starość, twierdziła, a biło od niego... wonią, której ona nie potrafiła zdzierżyć. Zapomniał, co jest jej winien, bo czyż nie miała racji, zmuszając go, by ofiarował swe błogosławieństwo Jakubowi? Bezustannie mówiła o niewdzięczności Izaaka i o cierpieniach, jakich zaznała z jego rąk. Ja jednak nie bardzo potrafiłam

zrozumieć, co właściwie zrobił mój dziadek. Zdawał się delikatny i nieszkodliwy, kiedy przychodził w upalne dni, aby rozkoszować się chłodnym wiatrem wiejącym pod terebintami. Cieszyłam się, że Izaak nie potrzebuje opieki Rebeki, bo lepiej mu służyła jego zawołana Debora. Plotkowano, że nakrycie głowy ukrywaającą wargę, choć było to nie do pomyślenia, by ktoś taki nie został zabity w niemowlęctwie.

Kiedy Ezaw przybywał do Mamre, na samym początku odwiedzał swoją matkę i sprawdzał, jakie są jej potrzeby. Był uprzejmy, a nawet czuły, ale gdy tylko mógł, zwracał się do dziadka i towarzyszył mu w drodze powrotnej do Arby, gdzie obaj smakowali wieczorne wino. Siedzieli tak do późna, gwarząc i śmiejąc się, obsługiwani przez Deborahę w woalu.

Dowiedziałam się tego wszystkiego od tych, które nosiły biel. Te kobiety były dla mnie dobre. Klepały mnie po ramieniu, kiedy dawały mi jeść, czesały mi włosy i pozwalały się bawić swoimi pięknymi wrzecionami z kości słoniowej. Nie opowiadały jednak żadnych historii wieczorami i nigdy też nie poznałam imion, które nadały im ich matki, ani też jak przybyły do Mamre albo czy tęsknią za towarzystwem mężczyzn. Zdawały się łagodne i zadowolone, ale równie bezbarwne jak ich szaty. Nie zazdrościłam im ich życia przy Wyroczni.

Kiedy nastawał nowy księżyc, Rebeka nie pozwalała mi wchodzić do czerwonego namiotu razem z kobietami, które krwawiły; tego zwyczaju przestrzegała bardzo surowo. Ona, która już przeżyła wiek, kiedy się rodzi, też tam nie wchodziła, to i ja nie mogłam, która jeszcze nie dojrzałam. Jedna ze służek, rzecz jasna również

nazywana Deborą, też zostawała z nami na zewnątrz. Wyjaśniła, że nigdy nie krzawiła, ale nie skarżyła się na brak odpoczynku. Ona i ja gotowałyśmy i służyłyśmy celebrantkom, których cichy śmiech sprawiał, że bardzo tęskniłam za namiotem moich matek.

Kiedy kobiety wychodziły z namiotu rankiem trzeciego dnia, wypoczęte i uśmiechnięte, było mi wolno towarzyszyć im, gdy stawały na samym szczycie wzgórza, by stamtąd przyglądać się wschodowi słońca. Sama babka składała ofiarę z wina, a kobiety śpiewały wtedy bezsłowną pieśń cichej radości. W głuchej ciszy, która potem następowała, wydawało mi się, że Królowa Niebios jest ukryta w koronach drzew zwieszających się nad nami. Tamto wspomnienie zawsze do mnie powraca razem z każdym nowym księżycem.

Nigdy nie pokochałam babki. Nie potrafiłam ani zapomnieć, ani wybaczyć tego, co zrobiła Tabiji. Niemniej jednak nadszedł kiedyś taki dzień, gdy zaczęłam ją szanować.

Drzwi do namiotu Wyrocni były zawsze otwarte i mógł tam wejść każdy przybysz z dowolnej strony świata. Tak nakazali Saraj i Abram, którzy, jak powiadano, witali jednako i książęta, i żebraków. I tak więc każdego ranka Rebeka przyjmowała pielgrzymów we wnętrzu tego pięknego namiotu. Przyjmowała wszystkich - tak wynędzniałych, jak i promieniejących szczęściem - i nie spieszyła się, gdy przybysz okazywał się biedakiem.

Tamtego dnia stałam wśród jej świty kobiet, kiedy witała swych gości. Jako pierwsza podeszła do niej bezdzietna kobieta i błagała ją o syna. Babka ofiarowała jej czerwony sznur, którym ta miała obwiązać jedno z drzew Mamre, wyszeptwała błogosławieństwo do ucha bezpłodnej i kazała jej udać się do Debory wyszkolonej w ziołach.

Następny był kupiec poszukujący czaru dla swej karawany.

- To był dla mnie zły sezon - zaczął. - Jestem niemalże nędzarzem, ale słyszałem o twojej mocy - powiedział ze śmiałością w głosie. - Przybyłem tu zadbać o siebie.

Babka podeszła do niego blisko i patrzyła mu w twarz tak długo, aż w końcu odwrócił się od jej wzroku.

- Musisz zwrócić to, coś sobie przywłaszczył - powiedziała takim głosem, że zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Mężczyzna skulił się i utracił całą swą buńczuczność.

- Nie mam niczego, co mógłbym zwracać, Babko - odparł.

- Nie ma innego sposobu - zawyrokowała głośno Wyrocznia, po czym odprawiła go machnięciem ręki.

Mężczyzna wycofał się potulnie, po czym zbiegł ze wzgórza, jakby ścigała go jakaś armia.

Rebeka zauważyła, że rozdziawiłam usta, i wyjaśniła wszystko, wzruszając ramionami.

- Tylko złodzieje przybywają w poszukiwaniu cudów, które wspomogłyby ich interesy.

Ostatnim pielgrzymem tamtego ranka była matka niosąca dziecko, które było dostatecznie duże, by móc już samo chodzić - trzy-, może czteroletnie. Kiedy jednak kobieta odwinęła je z zawiniątka, wszyscy zobaczyliśmy, dlaczego wciąż je nosi. Jego nóżki były podkurczone, a stopy pokryte wrzodami, otwartymi i zaropiałymi; ich widok przyprawiał o ból. Sądząc po wyrazie jego oczu, było oczywiste, że chłopczyk cierpi, że jest bliski śmierci. Rebeka wzięła dziecko z rąk matki. Zaniosiła je na swoją poduszkę, przyciskając wargi do jego czoła, po czym usiadła, moszcząc je sobie na kolanach. Kazała sobie przynieść maść używaną na oparzenia, środek,

który uśmierza ból, ale nie leczy. Potem, własnymi rękoma, nie wzdrygając się ani nie cofając, wtarła maść w jego rany. Kiedy skończyła, objęła swymi uperfumowanymi dłońmi nóżki chorego malca i trzymała je tak, jakby one były piękne, delikatne i czyste. Matka przyglądała się temu szeroko rozwartymi oczyma, ale mały nie bał się swej uzdrowicielki. Jego ból musiał ustać, bo wsparł głowę o zapadniętą pierś Rebeki i zasnął.

Żadna z nas ani się nie ruszyła, ani nic nie powiedziała. Nie wiem, jak długo tak stałyśmy jak zaczarowane, ale bolały mnie plecy, kiedy chłopiec otworzył oczy. Zrzucił ręce na szyję Rebeki i pocałował ją. Ona objęła go w zamian i zaniósła potem do jego matki, która załkała na widok uśmiechu na twarzyczce swego dziecka i potem jeszcze raz zapłakała na widok smutku na twarzy Wyroczeni, który wskazywał, że nic się nie da zrobić, aby utrzymać go przy życiu.

Po tym wszystkim nie potrafiłam już nienawidzić Rebeki. Wprawdzie nie widziałam więcej, by okazała komuś aż taką czułość, to jednak nie potrafiłam zapomnieć tego, jak wzięła ból chłopca we własne ręce i ofiarowała jemu ukojenie, a matce spokój.

Nigdy nie rozmawiałam z babką o Tabiji. Nie ośmieliłam się. Oplakiwałam utratę mej najlepszej przyjaciółki w milczeniu, z takim smutkiem, jakbym otuliła ją w całun żałobny.

A jednak stało się tak, że byłam świadkiem złożenia do ziemi Werenro.

Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę posłankę, podobnie zresztą jak inni w Mamre. Była ulubienicą pośród wszystkich służek babki, które uśmiechały się, kiedy je wypytywałam o powrót Werenro.

- Z pewnością zawita tu niebawem - powiedziała ta, która lubiła szcztokować mi włosy. - I wtedy usłyszemy wieczorem różne historie i nie będziesz już taka smutna.

Ale niestety, pewien kupiec w drodze z Tyru przywiózł wieść, że Werenro, posłanka Rebeki z Mamre, została zamordowana. Szczątki jej ciała znaleziono na skraju miasta; odcięto jej język, a wszędzie dookoła walały się jej włosy. Kupiec, który odwiedził świątynię wiele lat wcześniej, przypomniał sobie kobietę o dziwnym wyglądzie, która służyła Wycroczni, i rozpoznał jej torbę. Zebrał to, co z niej pozostało, i zwrócił jej kości babce, która nie zdradziła żadnych emocji, usłyszawszy tak straszliwe wieści.

Worek, który tamten przywiózł, był żałośnie mały; pogrzebaliśmy go głęboko w ziemi, w zwykłym kamionkowym garze. Tamtej nocy słyszałam, jak Debory płaczą, i sama też dodałam jeszcze jedną warstewkę soli do swojego koca. Kiedy jednak przyśniła mi się Werenro, siedziała na konarze wielkiego drzewa i uśmiechała się tym swoim nakrapianym uśmiechem. Na jej ramieniu przycupnął jakiś wielki ptak.

Następnego dnia po pochówku Werenro udałam się rankiem do Rebeki, tak jak zwykle, ale ona była już ubrana, wypchniona i umalowana. Siedziała na poduszkach, milcząca i zamknięta w sobie. Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle zauważyła, że weszłam. Zakasłałam więc. Nie spojrzała na mnie, ale po chwili przemówiła i wtedy zrozumiałam, dlaczego pielgrzymi przybywają do Mamre.

- Wiem, że tu jesteś, Dino - rzekła. - Wiem, że mnie nienawidzisz z powodu tej dziewczyny Ezawa. Wielka szkoda, że tak z nią wyszło. Ona była z nich wszystkich najlepsza i oczywiście to nie była jej wina. To przez tę jej nieszczęsną, głupią matkę, która nie postąpiła tak, jak ja jej przykazałam, tylko tak, jak nauczyła ją jej własna

głupia matka. Należało ją wziąć, kiedy była jeszcze dzieckiem. Tej dziewczynie nie dano żadnej szansy.

Babka powiedziała to wszystko, nie patrząc na mnie, jakby po prostu myślała na głos. Po chwili jednak przeniosła na mnie spojrzenie.

- Tobie taki los nie grozi - powiedziała. - Twoja matka nie dopuści, by twoje dziewictwo stało się nagrodą. Nie pozwoli, aby twoja krew stała się czymś innym niż tylko ofiarą składaną tonu wielkiej matki. Dzięki temu ty jesteś bezpieczna. Czekają cię jednak inne nieszczęścia - ciągnęła, przyglądając mi się z natężeniem, wyraźnie starając się odgadnąć moją przyszłość. - Coś, czego nie umiem sobie wyobrazić. Dokładnie tak, jak nie byłam w stanie przewidzieć końca Werenro. Może twój smutek nie będzie oznaczał niczego gorszego niż utrata jednego czy dwojga dzieci lub może przedwczesne wdowieństwo, bo wiem, że będziesz żyła bardzo długo. Ale nie ma pożytku ze straszenia dzieci ceną, jaką się płaci za życie.

Rebeka umilkła na chwilę, a kiedy znowu się odezwała, to mimo iż jej słowa dotyczyły mojej osoby, mówiła takim tonem, jakby mnie tam nie było.

- Dina też nie obejmie dziedziny. Widzę teraz, że żadna jej nie obejmie. Mamre popadnie w zapomnienie. Po mnie ten namiot już nie przetrwa. - Wzruszyła ramionami, jakby to była jakaś błażostka. - Tak naprawdę wielcy niczego od nas nie potrzebują. Nasze ofiary z wina i nasze modlitwy są równie ważne jak ptasie trele czy brzęczenie pszczoł. Ale przynajmniej ktoś wysławia ich imiona.

Powstała i podeszła do mnie, tak blisko, że nasze nosy niemalże się zetknęły.

- Wybaczam ci tę nienawiść - powiedziała i odprawiła mnie gestem ręki.

Kilka dni później zjawił się Ruben i wtedy opuściłam Mamre, pożegnawszy się z babką zwykłym skinieniem głowy. Ucieszona, że wracam do namiotu mej matki, czułam, że oczy pieką mnie od łez, kiedy odchodziliśmy. Wróciłam z pustymi rękoma. Zainteresowanie Rebeki nie zdało mi się na wiele. Nie udało mi się jej zadowolić.

Rozdział szósty

Mimo że podczas swej nieobecności na moment nie przestawałam tęsknić za domem, to jednak po powrocie przeżyłam wstrząs. Nic nie było takie, jak to zapamiętałam. Bracia, ojciec i wszyscy pozostali mężczyźni stali się nieprawdopodobnie ordynarni i brutalni. Zamiast mówić, mamrotali i burczeli, poza tym drapali się i dębali w nosach, potrafili nawet ulżyć sobie na oczach kobiet. No i jeszcze ten smród!

Ogłuszający harmider pobrmiewający w obozie też potrafił przytłoczyć. Ujadanie psów, pobekiwanie owiec, płacz małych dzieci i wrzaski kobiet. Jak mogłam przedtem nie zauważyć, że one ciągle krzyczą, i na siebie, i na dzieci? Nawet moja matka się zmieniła. Każde słowo, jakie padało z jej ust, było krytyczne, wymagające i władcze. Wszystko musiało być zrobione wedle jej woli i nic, co zrobiłam, nie było takie, jak trzeba. Słyszałam same drwiny i gniew w jej głosie, kiedy kazała mi przynosić wodę, przypilnować jakichś dzieci albo pomóc Zilpie przy krosnach.

Za każdym razem, kiedy ona odzywała się do mnie, w oczach piekły mnie łzy, a w gardle ścisnął mnie wstyd i złość.

- O co chodzi? - pytała mnie trzy razy dziennie. - Co ci się stało?

Nic mi się nie stało, myślałam. To Lea zrobiła się wybuchowa, zgorzkniała i w ogóle nie do wytrzymania. Z jakiegoś powodu podczas tych miesięcy, kiedy mnie nie było, postarzała się o całe lata. Głębokie bruzdy na jej czole często wypełniał kurz, a brud pod jej paznokciami zdejmował mnie obrzydzeniem.

Rzecz jasna nie mogłam wyrazić na głos takiego braku szacunku, więc unikałam swojej matki i uciekałam do spokoju wrzeczona Zilpy albo łagodności głosu Bilhy. Zaczęłam nawet sypiać w namiocie Racheli, co zapewne musiało Leę zaboлеć. Inna, która, jak sobie teraz uświadomiłam, musiała być równie stara jak moja babka, zbeształa mnie za to, że tak bardzo zasmucam własną matkę. Ale ja byłam jeszcze zbyt młoda, by pojąć, że to nie matka się zmieniła, tylko ja sama.

Po kilku tygodniach przyzwyczaiałam się na powrót do codziennego harmidru i zapachów mężczyzn; stwierdziłam wręcz, że oni mnie fascynują. Przyglądałam się maleńkim przyrodzeniom u małych chłopców, którzy biegali nago, i ukradkiem szpiegowałam obcujące psy. Przewracałam się niespokojnie pod kocem i dziwowałam się, pozwalając mym dłoniom błąkać się po piersiach i między nogami.

Pewnej nocy Inna przyłapała mnie pod ścianą namiotu Judy, w którym on i Szua płodzili kolejne dziecko. Położna złapała mnie za ucho i wywlokła stamtąd.

- To już niedługo, dziewczyno - powiedziała z szyderczym uśmiechem. - Twój czas się zbliża.

Byłam wstrząśnięta i przerażona na myśl, że Inna mogłaby powiedzieć matce, gdzie mnie znalazła. A jednak nie potrafiłam przestać myśleć o tajemnicach mężczyzn i kobiet.

W te noce, kiedy tak mnie pochłaniała ciekawość i skrywane pragnienia, mój ojciec i jego synowie pograżali się w rozmowach. Już niebawem stada mogły tak się rozrosnąć, że nie pomieściłyby się na użytkowanych przez nas ziemiach, a poza tym bracia życzyli sobie lepszych widoków dla siebie i swoich synów. Jakub zaczął znowu śnić, tym razem o jakimś warownym mieście oraz znajomej dolinie wciśniętej między dwa górskie szczyty. W tych snach byliśmy w Sychem, gdzie jego dziadek polał kiedyś winem stos kamieni i nazwał to świętym ołtarzem. Braciom spodobał się ten sen. Robili interesy w mieście i powracali do obozu bogaci w opowieści o targowisku, na którym wełna i trzoda zyskiwały wysokie ceny. Król Sychem, Chamor, był pokojowo usposobiony i witał z otwartymi ramionami przedstawicieli plemion, które pragnęły, aby ta kraina kwitła. Symeon i Lewi rozmawiali z najwyższym urzędnikiem Chamora w imieniu mojego ojca i powrócili do Jakuba cali nadęci z dumy, że udało im się zawrzeć umowę na spory kawał ziemi ze studnią.

I tak więc rozebrano namioty i sprowadzono z pastwisk stada, po czym odbyliśmy krótką wyprawę do miejsca, które obiecał nam król. Moje matki stwierdziły, że dolina im się podoba.

- Góry to miejsce, gdzie niebo spotyka się z ziemią - powiedziała Zilpa, urzeczona, że znajdzie tu natchnienie.

- Góry będą nas chronić przed nieprzychylnymi wiatrami - dodała Lea po namyśle.

- Muszę znaleźć jakąś miejscową zielarkę, która mi wskaże, co te wzniesienia mają do zaoferowania - rzekła Rachela do Inny.

Jedynie Bilha zdawała się nieszczęśliwa w cieniu Ebal, bo tak nazywała się góra, na której zboczu rozbiliśmy namioty. - Tu

wszystko jest takie duże - wzdychała. - Czuję się zagubiona.

Pobudowaliśmy piece i posialiśmy ziarno. Stada pomnożyły się i trzech kolejni bracia wzięli sobie żony, młode dziewczęta, które nie wzbudziły sprzeciwu moich matek. Wszystkie pochodziły z Kanaanu i zupełnie się nie znały na obyczajach obowiązujących w Charanie, gdzie matki szanuje się nie tylko za urodę, ale również za siłę. Moje nowe siostry weszły do czerwonego namiotu, żeby zadowolić Leę, ale nigdy nie śmiały się pospołu z nami. Przyglądały się, jak składamy ofiarę Królowej Niebios, bez zainteresowania i nie chciały się uczyć należnych obrządków. „Ofiary to sprawa mężczyzn”, mówiły i jadły swoje łakocie. Z drugiej jednak strony oblubienice moich braci potrafiły ciężko pracować i były nadzwyczaj płodne. W Sychem dorobiłam się wielu nowych bratanic i bratanków; całą rodzinie Jakuba dobrze się wiodło.

W naszych namiotach panował spokój, jeśli nie wspomnieć Symeona i Lewiego, którzy karmili się coraz to rosnącym własnym niezadowoleniem. Studnia, za której sprawą ta ziemia zdawała się taka cenna, okazała się bardzo starą stertą skruszałych kamieni; wszelka w niej woda wyschła nieomal natychmiast po naszym przybyciu. Moi bracia zabrali się do kopania kolejnej, ale ta ich katorżnicza praca nie przyniosła żadnych rezultatów w pierwszym miejscu, w którym spróbowali. Symeon i Lewi byli pewni, że Chamor celowo ich oszukał, i wzajemnie podsycali swój gniew, twierdząc, że ich upokorzono. Zanim druga studnia zaczęła dawać wodę, wzburzenie stało się ich nieodłączną częścią tak samo jak ich imiona. Cieszyłam się, że moje drogi rzadko krzyżowały się z ich drogami. Przerażali mnie ponurymi, zaciętymi minami i tymi długimi nożami, które dyndały im u pasa.

Kiedy w powietrzu zapachniało wiosną i owce zaciążyły jagniętami, nastał wreszcie mój miesiąc. Powietrze mroczyło, bo zapadał już wieczór, a ja przykucnęłam, żeby sobie ulżyć, kiedy spostrzegłam smugę na swoim udzie. Dopiero po chwili zrozumiałam, na co patrzę. Smuga była bardziej brunatna niż czerwona. Czy nie miała być czerwona? I dlaczego nie czułam żadnej boleści w brzuchu? Może się pomyliłam i to moja noga krwawiła, ale nie mogłam znaleźć żadnej rany ani zadrapania.

Niby zdawało się, że całą już wieczność czekam na osiągnięcie kobiecego wieku, a mimo to nie poderwałam się, by od razu pobiec i przyznać się matkom. Zostałam tam, gdzie byłam, ukryta w krzakach, wciąż nie podnosząc się z kucek, i wtedy przyszło mi na myśl: moje dzieciństwo dobiegło końca. Będę nosiła fartuch i okrywała głowę. Już nie będę musiała biegać na posyłki przy nowym księżycu, tylko będę towarzyszyła pozostałym kobietom aż do czasu, gdy stanę się brzemienna. Będę próżnowała razem z moimi matkami i siostrami w czerwonym cieniu czerwonego namiotu przez trzy dni i trzy noce, dopóki na niebie nie rozbłyśnie srebrzysty sierp bogini. Moja krew będzie spływała w świeżą słomę, napędzając powietrze słodkawym zapachem kobiet.

Przez chwilę rozważałam pomysł, by zatrzymać dla siebie sekret i pozostać małą dziewczynką, ale prędko odegnałam tę myśl. Mogłam być tylko tym, kim byłam. A byłam już kobietą.

Podniosłam się, z palcami powalnymi pierwszymi oznakami dojrzałości, i w końcu poczułam, że w moich trzewiach naprawdę zagościł tępy ból. Przepełniona dumą powlokłam się do namiotu, wiedząc, że pączkujące piersi przestaną być odtąd przedmiotem żartów innych kobiet.

Teraz będę mile witanym gościem w dowolnym namiocie, w którym Rachelą i Inna będą odbierały poród. Mogłam teraz składać ofiary z wina i chleba przy nowym księżycu i niebawem czekało mnie poznanie tajemnic spajających mężczyzn z kobietami.

Weszłam do czerwonego namiotu bez wody, po którą mnie posłano. Zanim jednak matka zdążyła otworzyć usta, aby mnie wyłajać, pokazałam jej moje brudne palce.

- Nie wolno mi niczego nosić, matko.

- Och, och, och! - zawołała Lea, której choć raz zabrakło słów. Ucałowała mnie w oba policzki i zaraz potem zgromadziły się obok nas ciotki, które kolejno witały mnie pocałunkami. Szwagierki klasnęły w dłonie i wszystkie mówiły jedna przez drugą. Przybiegła też Inna, aby sprawdzić, co się takiego stało, i zobaczyła, że otacza mnie wieniec uśmiechniętych twarzy.

Było już prawie ciemno i ceremonia zaczęła się, zanim do mnie dotarło, co się właściwie dzieje. Inna przyniosła kubek z polerowanego metalu napełniony krzepkim winem, tak ciemnym i słodkim, że ledwie poczułam jego moc. Ale już niebawem zaczęło mi się kręcić w głowie, gdy tymczasem moje matki szykowały mnie, malując spody moich stóp i wnętrza dłoni henną. Potem zaś, inaczej niż w przypadku oblubienic, dodały jeszcze czerwoną kreskę biegnącą od pięt aż do łona, a od rąk wykreśliły wzór z kropek prowadzący do pępka.

Później uczerniły mi oczy („Abyś daleko wybiegała wzrokiem”, powiedziała Lea) i uperfumowały mi czoło i pachy („Abyś mogła przespacerować się pośród kwiecia”, rzekła Rachelą). Zdjęły ze mnie bransolety i szatę. To chyba przez to wino nie wypytywałam ich, dlaczego tak starannie mnie wymalowały i wypachniły, a potem

odziały w zgrzebną, tkaną w domu szatę, którą kobiety wkładały na czas porodów i używały potem jako całunu dla łożyska, już po przyjściu dziecka na świat.

Były takie dobre, takie zabawne, takie słodkie. Nie pozwoliły mi jeść samodzielnie, tylko własnymi palcami wkładały mi do ust najsmakowitsze kąski. Masowały mi kark i plecy tak długo, aż stałam się giętka niczym kot. Zaśpiewały wszystkie znane nam pieśni. Matka stale dolewała do mojego pucharu i co rusz przykładała mi go do ust, tak więc już niebawem miałam trudności z mówieniem, a otaczające mnie głosy zlały się w jeden donośny, przepęnliony szczęściem gwar.

Żona Zabulona, Achawa, jęła płasnąć, mimo brzemiennego brzucha, do akompaniamentu wyklaskiwanego rękoma. Śmiałam się tak, że aż mnie rozbolewały boki i twarz. Jakież wspaniałe okazało się bycie kobietą!

Później Rachela przyniosła terafim i wszystkie celebrantki umilkły. Aż do tego momentu domowe bóstwa pozostawały w ukryciu. Mimo że byłam jeszcze małą dziewczynką, kiedy widziałam je po raz ostatni, to jednak zapamiętałam je niczym starych przyjaciół: ciężarna matka, bogini z węzami we włosach, istota, która była i kobietą, i mężczyzną, baran o srogim obliczu. Rachela ustawiła je wszystkie z wielką ostrożnością i wybrała boginię wyobrażoną pod postacią uśmiechniętej żaby. Owe szerokie usta służyły za schowek dla jej jaj, odnóża zaś były ułożone w kształt wąskiego trójkąta przywodzącego na myśl ostrze sztyletu. Rachela natarła obsydianową figurkę oliwą, sprawiając, że zaśniła w świetle lamp. Zagapiłam się na głupią twarz żaby i zachichotałam, ale żadna z obecnych mi nie zawtórowała.

W następnej chwili znalazłam się na zewnątrz razem z matką i ciotkami. Stałyśmy na spłachetku ziemi obsianym pszenicą, w samym

środku ogrodu - w sekretnym miejscu, gdzie sadiło się ziarno przeznaczone na ofiarę. Gleba przygotowana wcześniej do zasiewu czekała na powrót księżycy i mnie ułożono właśnie na niej, twarzą w dół, całą nagusienką. Dygotałam. Matka przycisnęła mój policzek do ziemi i okryła płaszczem moich własnych włosów, a potem rozpostarła mi ramiona, abym „objęła ziemię”, wyjaśniła szeptem. Zgięła mi jeszcze nogi w kolanach i zetknęła razem pięty, abym „oddała pierwszą krew ziemi”. I gdy poczułam wiew nocnego powietrza na swoim przyrodzeniu, zdziwiłam się i zachwyciłam, że taka jestem otwarta pod kopułą nieba.

Wtedy moje matki utworzyły krąg: Lea stanęła nade mną, Bilha po mojej lewej ręce, Zilpa zaś ułożyła dłoń na moich nogach. Uśmiechałam się jak ta bogini-żaba, na poły śpiąc, kochając je wszystkie. Ciszę przerwał głos Racheli dobiegający skądś z tyłu.

- Matko! Inanno! Królowo Nocy! Przyjmij tę ofiarę z krwi twej córki, w imieniu jej matki, w twoim imieniu. Oby żyła w jej krwi, oby w jej krwi dała życie.

To wcale nie bolało. Dzięki oliwie wszystko poszło gładko, wąski trójkąt wszedł we mnie bez żadnych przeszkód. Byłam zwrócona twarzą ku zachodowi, a mała bogini ku wschodowi, kiedy przerywała zamek pieczętujący moje łono. Kiedy krzyknęłam, to nie tyle z bólu, ile ze zdziwienia, a może nawet przyjemności, bo przywidziało mi się, że to sama Królowa leży na mnie, a jej towarzysz Dumuzi pode mną. Byłam niczym skrawek materii, uwięziony w ich miłych zmaganiach, rozgrzany ich wielką namiętnością.

Moje matki jęknęły cicho, współczując mi. Gdybym mogła mówić, zapewniłabym je, że jestem doskonale szczęśliwa, bo wszystkie

gwiazdy z nocnego nieba wniknęły do mojego łona śladami nóg uśmiechniętej bogini-zaby. W tę najłagodniejszą i najdzikszą noc od czasu oddzielenia ziemi od wody i ziemi od nieba, leżałam, dysząc jak pies i czując się tak, jakbym wirowała w niebiosach. A kiedy zaczęłam spadać, nie było we mnie trwogi.

Niebo było różowe, kiedy otwarłam oczy. Inna przykucnęła tuż obok, obserwując moją twarz. Leżałam na plecach, z rękoma i nogami rozpostartymi niczym szprychy koła, a moja nagość okryta była najlepszym kocem mojej matki. Stara położna pomogła mi się podnieść i zaprowadziła mnie do wyścielonego słomą miejsca w namiocie, w którym wciąż jeszcze spały pozostałe kobiety.

- Czy śniło ci się coś? - zagadnęła.

Kiedy przytaknęłam, przysunęła się bliżej i spytała: - Jaki kształt przybrała?

O dziwo, wiedziałam, o co pyta, choć nie miałam pojęcia, jak nazywać to stworzenie, które śmiało się do mnie we śnie. W życiu nie widziałam niczego podobnego - wielkie, czarne cielsko, zębaty uśmiech, skóra jakby wygarbowana. Spróbowałam opisać owe widziadło Innie, która zdawała się zaskoczona, po czym zapytała:

- Czy otaczała ją woda?

Odparłam, że tak, i Inna się uśmiechnęła.

- Mówiłam ci, że woda jest twoim przeznaczeniem. Taweret to bardzo stara egipska bogini, która mieszka w wodzie i śmieje się wielkimi ustami. To ona daje matkom ich mleko i ochrania wszystkie dzieci. - Stara przyjaciółka ucałowała mnie w policzki, a potem uszczypnęła je lekko. - To wszystko, co ja wiem o Taweret, ale przez te wszystkie lata nigdy nie słyszałam o kobiecie, która by o niej śniła. To musi być znak szczęścia, malutka. A teraz zaśnij.

Nie otworzyłam oczu aż do wieczora i przez cały dzień śnił mi się złoty księżyc wyrastający mi spomiędzy nóg.

Rankiem zaś doznałam zaszczytu bycia tą, która pierwsza wyjdzie na zewnątrz, aby powitać pierwszy blask dnia przy nowym księżycu.

Kiedy Lea poszła donieść Jakubowi, że jego córka dorosła, przekonała się, że on już wie. Inbu rozmawiała o tym z Lewim, który przekazał szeptem wieści o „obrzydlistwach”.

Kananejka była wstrząśnięta rytuałem, który wprowadził mnie w pradawne przymierze ziemi, krwi i nieba. Rodzina Inbu nie miała pojęcia o ceremonii otwierania łona. W rzeczy samej, kiedy Inbu poślubiła mego brata, jej matka wparowała do namiotu, by porwać koc zaplamiony krwią podczas weselnej nocy tamtej, na wypadek gdyby Jakub - który wniósł pełną opłatę ślubną - chciał dowodu jej dziewictwa. Jakby memu ojcu paliło się do widoku kobiecej krwi.

Teraz jednak Inbu doniosła Lewiemu o ofierze złożonej w ogrodzie - a przynajmniej o tym, czego się domyśliła - a on udał się do naszego ojca, Jakuba. Mężczyźni nie posiadali żadnej wiedzy o czerwonym namiocie ani też o jego ceremoniach czy ofiarach. Jakub nie ucieszył się, kiedy o nich usłyszał. Jego żony wypełniały swe zobowiązania wobec niego i jego boga; nie wyrzucał niczego ani im, ani ich boginiom. Ale nie mógł już dłużej przymykać oczu na fakt, że terafim Labana znajdują się w jego domu, nie mógł znieść obecności bogów, których się wyparł.

I tak Jakub wezwał do siebie Rachelę i nakazał jej dostarczyć domowe bóstwa, które zabrała Labanowi. Zaniósł je wszystkie w jakieś sobie tylko wiadome miejsce i tam potrzaskał kamieniem

jednego po drugim. A potem pogrzebał je gdzieś w tajemnicy, aby nikt nie mógł składać na nich ofiary z wina.

Tydzień później Achawa poroniła, co Zilpa nazwała karą i zapowiedzią, że zdarzą się jeszcze gorsze rzeczy. Lea za to nie przejmowała się aż tak bardzo losem terafim.

- Były ukryte w koszu przez całe lata i to nam wcale nie zaszkodziło. Nasze prawdziwe strapienia wiążą się z żonami moich synów, które nie uznają naszych obyczajów. Musimy im je wpoić. Musimy uczynić z nich nasze córki. - I tak moja matka przyjęła do swego serca Achawę i Szuę Judy. W następnych latach próbowała także nauczać małżonkę Issachara Hesię oraz żonę Gada Oret, one jednak nie potrafiły wyrzec się obyczajów ich matek.

Zdrada Inbu stanowiła głębokie naruszenie zwyczaju i wytworzyła podział, który nigdy się nie zróśł. Żony Lewiego i Symeona nie przyszły więcej do czerwonego namiotu, tylko zostawały pod własnymi dachami, kiedy nastawał nowy księżyc, i zatrzymywały przy sobie córki. Również Jakub popatrywał krzywo na czerwony namiot.

Teraz już przy każdym nowiu zajmowałam moje miejsce w czerwonym namiocie i uczyłam się od moich matek, jak nie dotykać nogami gołej ziemi i jak siadać wygodnie na szmacie rozłożonej na słomie. Moje dni nabrały kształtu zgodnie z przybywaniem i ubywaniem księżyca. Czas układał się podług tego uczucia pęcznienia w moim ciele, obrzmiewania piersi, bolesnego wyczekiwania ulgi, trzech spokojnych dni odosobnienia i wychnienia od pracy.

Mimo że przestałam czcić swoje matki jako istoty doskonałe, to jednak zawsze czekałam z utęsknieniem na dni spędzane razem z

nimi i innymi krwawiącymi kobietami. Pewnego razu, kiedy tak się akurat zdarzyło, że w namiocie siedziałyśmy tylko moje matki i ja, Rachela zauważyła, że jest tak, jak w dawnych czasach w Charanie. Jednak Lea stwierdziła:

- Wcale nie jest tak samo. Mamy wiele służebnic i moja córka sadowi się razem z nami na słomie.

Bilha spostrzegła, że słowa mojej matki zadały ból sercu Racheli, bo ona wciąż marzyła o córce, nie wyzbywszy się nadziei do końca. Moja dobra ciotka powiedziała:

- Ależ sama powiedz, Leo, czyż nie jest miło, gdy znowu jest nas tylko pięć? Pomyśl, jak uśmiechałyby się Ada. - Imię mojej babki jak zawsze rzuciło dobry czar i siostry odprężyły się na jej wspomnienie. Wyłom został jednak uczyniony i w kobiecej siedzibie na nowo zagościł dawny chłód między Leą i Rachelą.

Krótko po tym, jak osiedliliśmy się w cieniu Ebal, Inna i Rachela odebrały poród u jednej z naszych służebnic; był to dorodny chłopczyk. Matka przeżyła, co zdarzało się rzadko w przypadku narodzin dzieci ułożonych nóżkami w dół. Niebawem kobiety z innych zбочy i nawet z krańców doliny zaczęły posyłać po Inne i Rachełę, gdy tylko spostrzegały pierwsze oznaki, że poród będzie trudny. Plotkowano, że te dwie - a szczególnie Rachela, bo ona była krewną rodu z Mamre - mają moc obłaskawiania Lamasztu i Lillake, starożytnych demonów, które łaknęły nowo narodzonej krwi i których miejscowi bardzo się obawiali.

Wiele razy towarzyszyłam mojej ciotce i starej położnej, której łatwiej było wspierać się o lasce bez sakwy na ramieniu. Ludzie gór bardzo się dziwili, że te dwie kobiety zabierają ze sobą niezamężną dziewczynę w odwiedziny u rodzącej. Jednak tych w dolinie to jakby nie interesowało i pierworódki, niektóre młodsze ode mnie, prosiły,

żebym to ja trzymała je za ręce i patrzyła im w oczy, kiedy boleśność rozdzierała je z największą mocą.

Byłam pewna, że moje nauczycielki wiedzą wszystko o odbieraniu porodów, a jednak Rachelą i Inna starały się uczyć, czego tylko mogły, od innych kobiet. Bardzo się cieszyły, kiedy znalazły jakąś szczególnie wonną miętę rosnącą wśród wzgórz. To zioło prędko docierało do żołądka i było błogosławieństwem dla tych, które podczas ciąży cierpiały na gazy i wymioty. Kiedy jednak Inna przyuważyła, iż niektóre kobiety z gór malują ciało matki w żółte spirale, aby „ogłupić demony”, wydeła wargę i mruknęła, że to tylko podrażnia skórę, zamiast pomagać.

A jednak był taki jeden wspaniały dar, który moje nauczycielki dostały od kobiet z doliny Sychem. Nie było to ani zioło, ani narzędzie, tylko pieśń narodzin, najbardziej kojący balsam, jakiego Inna czy Rachelą kiedykolwiek używały. Dzięki niej rodzącym kobietom oddychało się łatwiej, a skóra rozciągała się, zamiast pękać. Poza tym ta pieśń uśmierzała najgorsze bóle. Nawet na twarzach konających - bo również przy położnej tak wprawnej jak Inna niektóre z nich rozstawały się z życiem - gościł uśmiech; na zawsze zamykały oczy, nie czując już trwogi przed niczym.

Śpiewałyśmy:

Nie lękaj się, nadchodzi czas
Nie lękaj się, kości masz mocne
Nie lękaj się, pomoc jest tuż obok
Nie lękaj się, Gula jest blisko
Nie lękaj się, dziecko stoi na progu
Nie lękaj się, będzie żyło, by przynieść ci zaszczyt

Nie lękaj się, ręce położnej są mądre
Nie lękaj się, pod sobą masz ziemię
Nie lękaj się, mamy wodę i sól Nie lękaj się, mała matko
Nie lękaj się, matko nas wszystkich

Inna kochała tę pieśń, zwłaszcza kiedy kobiety z danego domu potrafiły jej zawtórować wielogłosem i dodatkowo spotęgować działanie jej magii. Była zachwycona, że nauczyła się czegoś tak potężnego pod koniec życia.

- Nawet te najstarsze z nas - rzekła, potrząsając w moją stronę kościstym palcem - nawet my, starowiny, potrafimy jeszcze nauczyć się tu i tam nowych sztuczek.

Nasza najukochańsza przyjaciółka starzała się i nadszedł taki czas, kiedy Innie za bardzo już zeszywniały członki, by mogła wędrować gdzieś po nocach albo radzić sobie na stromych ścieżkach, więc Rachela zabierała mnie ze sobą i tak zaczęłam się uczyć nie tylko własnymi oczyma, ale również rękoma.

Pewnego razu, kiedy wezwano nas do pomocy przy młodej matce, która rodziła drugiego syna - rozwiązanie okazało się łatwe, a kobieta przemiła - moja ciotka pozwoliła mi ustawić cegły i podwiązać pępowinę. W drodze do domu Rachela klepała mnie po ramieniu i zapewniała, że będę dobrą położną. Nigdy w życiu nie byłam tak dumna z siebie, zwłaszcza kiedy dodała, że mój głos znakomicie się nadaje do pieśni matki, która nie zna lęku.

Rozdział siódmy

Bywało, że przywoływano nas do posługi przy rodzącej matce, która mieszkała w zasięgu wzroku z miasta. Te wyprawy lubiłam szczególnie. Mury Sychem napawały mnie zgrozą, bardziej jeszcze niżli te spowite mgłami góry, które dla Jakuba i Zilpy były natchnieniem do składania ofiar. Myśl o umysłach, w których zrodził się zamysł tak wspaniały, sprawiała, że czułam się mądra, a myśl o sile ścięgien, które pobudowały tę fortecę, sprawiała, że sama czułam się silna. Na widok tych murów nigdy nie potrafiłam odwrócić wzroku.

Marzyłam, by w nie wejść, zobaczyć plac wielkiej świątyni, wąskie uliczki i ludne domostwa. Wiedziałam trochę o wyglądzie miasta od Józefa, który był w Sychem w towarzystwie naszych braci. Józef twierdził, że w pałacu, w którym mieszka król Chamor razem z żoną Egipcjanką i piętnastoma nałożnicami, jest więcej komnat, niż ja mam braci. Józef powiadał też, że Chamor ma więcej sług niż my owiec. Co wcale nie znaczyło, by taki brudny pasterz jak mój brat mógł mieć nadzieję, że uda mu się zajrzeć do równie wspaniałego domu. A jednak lubiłam te jego nieziemskie opowieści. Nawet kłamstwa na temat tego miejsca napawały mnie dreszczem i wyobrażałam sobie, że czuję perfumy nierządnic na tunice mojego brata, kiedy ten wracał z targowiska.

Moja matka stwierdziła, że sama pragnie zobaczyć miasto. Była pewna, że wytarguje lepszą cenę. za naszą wełnę, niż Ruben, który był zbyt niefrasobliwy, aby można mu było ufać w tych kwestiach. Omal nie zaczęłam całować jej po rękach, kiedy oznajmiła, że mam udać się razem z nią, aby służyć jej wsparciem. Ruben wyszukał nam dobre miejsce tuż obok bram, ale stał w sporej odległości od nas, kiedy matka zaczęła zagadywać każdego przechodnia i z tymi, którzy podchodzili, targowała się niczym kupiec handlujący wielbłędami.

Nie miałam nic do roboty oprócz przyglądania się, ale robiłam to z radością. Tamten dzień przy wschodnich bramach okazał się cudowny. Pierwszy raz w życiu widziałam żonglerów. Zjadłam też pierwszego w życiu granata. Napatrzyłam się do woli na czarne twarze i brązowe twarze, kozły o nadzwyczaj skręconych futrach, kobiety od stóp do głów spowite w czarne szaty i młode niewolnice, które w ogóle nic nie miały na sobie. To było tak, jakbym znowu znalazła się na gościńcu, ale nie miała takich obolałych nóg. Widziałam karła kuśtykającego obok osła białego jak księżyc i przypatrywałam się, jak wysoki kapłan w kaftanie kupuje oliwki. A potem wypatrzyłam w tłumie Tabiję.

A w każdym razie wydało mi się, że ją widzę. W stronę naszych rozłożonych towarów szła dziewczyna jej wzrostu i karnacji. Była odziana w białe szaty świątyni, głowę miała ogoloną, uszy przekłute. Powstałam i zawołałam do niej, ale ona okręciła się na pięcie i uciekła pospiesznie. Niewiele myśląc, zanim matka zdążyła mnie zatrzymać, pognałam jej śladem, jakbym wciąż jeszcze była małym dzieckiem, a nie młodą kobietą.

- Tabija! - krzyczałam. - Kuzynko! - Ale ona mnie nie słyszała, a jeśli nawet, to się nie zatrzymała; białe szaty zniknęły w jakichś drzwiach. Dobiegł do mnie Ruben.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał.

- Myślałam, że to Tabija - wyjaśniłam, niemalże przez łzy. - Ale się pomyliłam.

- Tabija? - powtórzył.

- Ta kuzynka od Ezawa. Ty jej nie znasz - powiedziałam. - Wybacz, że musiałeś się za mną uganiać. Czy matka jest zła?

Roześmiał się z głupoty mojego pytania i ja też się roześmiałam. Matka rozsierdziła się na mnie i już do końca dnia musiałam siedzieć z twarzą zwróconą w stronę murów. Ale tak czy owak nie było mi już tak lekko na duszy i zadowalałam się wsłuchiowaniem w odgłosy targowiska, jednocześnie pieszcząc wspomnienia o utraconej przyjaciółce.

Po naszym powrocie z tamtej wyprawy z miasta przybyła kobieta-posłaniec. Miała na sobie lniane szaty i piękne sandały, a rozmawiać godziła się tylko z Rachelą.

- Kobieta z domostwa króla będzie niebawem rodziła - powiedziała do mojej ciotki. - Królowa, żona Chamora, wzywa położne z domu Jakuba, aby jej pomogły.

Lea nie była zadowolona, kiedy zaczęłam szykować swoje przybory do tej wyprawy. Poszła do Racheli i spytała:

- Dlaczego do królowej nie zabierzesz z sobą Inny? Dlaczego tak uparcie odbierasz mi Dinę, właśnie teraz, kiedy trzeba zbierać oliwki?

Ciotka wzruszyła ramionami.

- Sama wiesz, że Inna już nie jest w stanie dojść do miasta o własnych siłach. Jeśli zyczysz sobie, bym wzięła jakąś niewolnicę, ja to

uczynię. Jednak królowa spodziewa się nas dwóch i już nie będzie taka skora do kupowania naszych wyrobów z wełny, jeśli udam się do pałacu bez wyszkolonej pomocy.

Słyszając gładkie słowa siostry, Lea zrobiła groźną minę, a ja wbiłam wzrok w ziemię, żeby matka nie zauważyła, jak bardzo chcę iść. Matka podejmowała decyzję, a ja wstrzymywałam oddech.

- Niech wam będzie - rzekła, wyrzucając ręce w górę i odchodząc.

Przycisnęłam dłonie do ust, żeby nie krzyknąć, a Rachela uśmiechnęła się szeroko niczym małe dziecko, któremu udało się przechytryć starszych.

Dokończyłyśmy przygotowania i wdziałyśmy świąteczne szaty, ale Rachela zatrzymała mnie jeszcze tuż przed odejściem i zaplotła mi włosy w gładkie sznurki.

- Na egipską modłę - szepnęła.

Bilha i Zilpa pomachały nam na pożegnanie, Lei jednak nie było nigdzie widać, kiedy ruszałyśmy w głąb doliny, śladem kobiety-posłańca.

Srodze się zawiodłam, gdy po raz pierwszy przekroczyłam miejskie bramy. Ulice były węższe i brudniejsze, niż sobie wyobrażałam, a poza tym unosił się wśród nich smród, straszliwa mieszanina woni zgniłych owoców i ludzkich odchodów. Szłyśmy zbyt prędko, aby zaglądać do mrocznych wnętrz, ale słyszałam i czułam też własnym nosem, że kozy mieszkają tu razem z właścicielami, i wtedy narazie zrozumiałam pogardę mojego ojca do mieszkania w mieście.

Kiedy jednak przestąpiłyśmy pałacowe progi, znalazłyśmy się w całkiem innym świecie. Mury tam pobudowano grube, aby chroniły

przed odgłosami i zapachami ulicy, a dziedziniec, na którym się zatrzymałyśmy, był przestronny i jasny.

Podeszła do nas naga niewolnica, która gestem dłoni nakazała nam pójść za sobą do siedziby kobiet, a tam zaprowadziła do komnaty, w której na posadzce dyszała przyszła matka. Była mniej więcej w moim wieku i z wyglądu sądząc, rodziła przedwcześnie. Rachelą dotknęła jej brzucha, obadała łono i przewróciła oczami w moją stronę. Wezwano nas do najprostszego z porodów. Co wcale nie znaczyło, by któreś z nas to było nie w smak; wyprawa do pałacu zasługiwała na miano przygody, za którą bardzo byłymy wdzięczne.

Krótko po tym, jak poznałyśmy rodzącą, do komnaty weszła królowa, ciekawa widoku położnych z gór. Królowa, do której zwracano się imieniem Re-nefer, nosiła cienką jak pajęczyna lnianą koszulę, na nią zaś miała nałożoną tunikę z turkusowych paciorków - najelegantszy ubiór, jaki w życiu widziałam. A mimo to uroda mej ciotki nie została przyćmiona przez tę damę. Rachelą, choć już stara i pomarszczona od słońca i pracy, a teraz jeszcze przykucnięta na posadzce z rękoma między nogami rodzącej kobiety, wciąż jarzyła się swym wewnętrznym złotym światłem. Jej włosy lśniły, a czarne oczy nadal się iskrzyły. Kobiety popatrzyły na siebie z aprobatą i skinęły głowami na przywitanie.

Re-nefer podkasła suknię i przykucnęła przy drugim boku Asznan, bo tak właśnie brzmiało imię młodej matki, która posykiwała i pojękiwała bardziej ze strachu niż z bóleści. Dwie starsze kobiety zaczęły rozmawiać o oliwie, dzięki której główka dziecka mogłaby się łatwiej wyswobodzić, a ja byłam pod wielkim wrażeniem zarówno dużej wiedzy na temat rodzenia, jaką ta szlachetnie urodzona

dysponowała, jak i swobody, z jaką Rachela konwersowała z królową.

Asznan, wyszło na jaw, była córką piastunki królowej, a oprócz tego towarzyszką zabaw syna Re-nefer i jego mleczną siostrą - dokładnie tak jak Józef i ja. Piastunka zmarła im, kiedy tamci dwoje byli jeszcze niemowlętami, i królowa zawsze traktowała czule dziewczynę i to nawet jeszcze bardziej teraz, gdy Chamor uczynił ją brzemienią. Asznan była jego najnowszą nałożnicą.

Wszystkiego tego dowiedziałyśmy się z ust samej Re-nefer, która trwała u boku Asznan od południa do zmierzchu niemalże. Matka była silna i wszystko wyglądało dobrze, ale rozwiązanie niestety przebiegało powoli. Po silnych skurczach następowały długie przerwy i kiedy późnym popołudniem Asznan zasnęła, wyczerpana przeciągającym się porodem, Re-nefer zabrała Rachelę do własnej komnaty, aby tam mogła się odświeżyć, mnie zaś pozostawiono, bym czuwała przy śpiącej.

Samaomalże zasypiałam, kiedy z sieni dobiegł mnie męski głos. Należało posłać tam jakąś niewolnicę, ale nie przyszło mi to do głowy. Umierałam z nudów i cała zeszywniałam od siedzenia w miejscu przez tyle godzin, wstałam więc i sama się pokwapiłam.

Nazywał się Szalem. Był pierworodnym synem, najprzystojniejszym i najbystrzejszym z potomków króla, bardzo lubianym przez lud Sychem. Był promienny i urodziwy niczym zachód słońca.

Wbiłam wzrok w ziemię, żeby się na niego nie gapić - jakby on był dwugłowym kozłem albo jakimś innym wybrykiem natury. A zresztą zaiste był wybrykiem natury. Był doskonały.

Unikałam patrzenia mu w twarz, toteż zwróciłam uwagę, że jego paznokcie są czyste, a dłonie gładkie. Ramion nie miał tak szernych od słońca jak moi bracia, ale nie były też one chuderlawe. Rozchełstana koszula ukazywała nagi tors, bezwłosy i należycie umięśniony.

On też mi się przyglądał i aż zadrżałam, przypomniawszy sobie o plamach na swoim fartuchu. Nawet moja świąteczna tunika zdała się nędzna i bura w porównaniu z połyskliwą materią prostego odzienia, które Szalem nosił we własnym domu. Moje włosy były potargane i niczym nie nakryte, stopy zaś powalane brudem. Zaczęłam słyszeć czyjś oddech, nie bardzo wiedząc, czy to mój czy jego.

W końcu nie mogłam się powstrzymać i podniosłam na niego oczy. Był ode mnie wyższy o szerokość dłoni. Włosy miał czarne i lśniące, zęby proste i białe, oczy zaś może złote, może zielone albo może piwne. W rzeczy samej nie przyglądałam im się dostatecznie długo, by móc określić ich kolor, bo nikt mnie nigdy nie przywitał takim spojrzeniem. Jego usta uśmiechały się uprzejmie, ale oczy szukały odpowiedzi na pytanie, które nie w pełni zrozumiałam.

Dźwięczało mi w uszach. Chciałam uciec, ale też wcale nie chciałam wyzbywać się tego dziwnego bólu wywołanego pomieszaniem i pragnieniem, które mnie jednocześnie naszły. Stałam więc i milczałam jak jakaś niemowa.

On też był zbity z tropu. Zakastał w garść, zerknął w stronę drzwi, za którymi leżała Asznan, i znów zagapił się na mnie. W końcu wybąkał pytanie o swoją mleczną siostrę. Chyba coś powiedziałam, choć nie pamiętam słów. Pamiętam tylko ten ból towarzyszący naszemu spotkaniu w tamtym miejscu.

Zdumiewam się na myśl o tym, jak wiele się wydarzyło na przestrzeni jednego cichego westchnienia czy dwóch.

Cały czas besztalam się w duchu, myśląc: „Głupota! Dziecinada! Głupota! Matka mnie wyśmiej, jak jej opowiem”.

Wiedziałam jednak, że nie opowiem matce o niczym. I pod wpływem tej myśli zaczerwieńlam się. Nie od ciepła moich uczuć do Szalema, którego imienia wtedy wcale nawet nie poznałam, którego obecność sprawiła, że zgłupiałam i osłabłam. Na moje policzki wystąpił rumieniec, bo rozumiałam, że nie będę rozmawiała z Leą o nadmiarze uczuć i ogniu w moim sercu.

Szałem zauważył, że się czerwień, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Moje zakłopotanie gdzieś się zapodziało i odwzajemniłam się uśmiechem. I naraz tak się poczułam, jakby uiszczone już ślubną opłatę i ugodzono się co do posagu. Jakbyśmy byli sami w namiocie oblubieńców. Pytanie znalazło odpowiedź.

Teraz to brzmi dla mnie śmiesznie i gdyby moje dziecko wyznało mi coś takiego, wyśmiałabym je albo skarciła. Tamtego dnia jednak byłam dziewczyną gotową do obcowania z mężczyzną.

Kiedy tak uśmiechaliśmy się do siebie, przypomniały mi się odgłosy dobiegające z namiotu Judy i rozumiałam znaczenie moich rozgorączkowanych nocy. Szałem, który był kilka lat starszy ode mnie, rozpoznał własne pragnienie, a jednak poczuł coś więcej niż zwykłą żądzę, a w każdym razie tak mówił po tym, jak już złożyliśmy sobie obietnicę i legliśmy sobie w ramionach. Twierdził, że spłoszył się i onieśmielił w owej sieni wiodącej do siedziby kobiet. Twierdził, że był oczarowany, ogłupiały i podniecony. Tak samo jak ja.

Bodajże nic więcej już sobie nie powiedzieliśmy do czasu, gdy Rachel a i królowa weszły do sieni i zaciągnęły mnie z powrotem do

komnaty rodzącej. Wtedy nie miałam czasu dalej, myśleć o Szalemie, bo wody Asznan odeszły i rychło urodziła dużego, zdrowego chłopczyka, który omalże nie rozerwał jej ciała.

- Wyzdrowiejesz w tydzień - tak Rachela uspokajała dziewczynę, która łkała z ulgi, że już po wszystkim.

Tamtej nocy spałyśmy w pałacu, choć ja ledwie byłam w stanie zmrużyć oczy z podniecenia. Myśl o odejściu stamtąd następnego ranka była niczym myśl o umieraniu; lękałam się, że już go nigdy nie zobaczę. Myślałam, że to być może był błąd z mojej strony - mrzonki nieokrzeseanej wieśniaczki w obecności księcia. Moje serce buntowało się jednak na taką myśl i cały czas się rozglądałam, kiedy opuszczaliśmy pałac, w nadziei, że może on przyjdzie i weźmie mnie do siebie. Jednak Szalem nie zjawił się i dlatego zagryzałam wargi, aby nie płakać, kiedy wspinałyśmy się na wzgórze, wracając do namiotów mojego ojca.

Nikt o niczym nie wiedział! A ja już myślałam, że wszyscy się poznają. Myślałam, że Rachela odgadnie mój sekret i wydrze ze mnie prawdę w drodze powrotnej. A jednak ciotka chciała rozmawiać tylko o Re-nefer, która wychwalała jej wprawę i podarowała naszyjnik z onyksowych paciorków.

Kiedy wróciliśmy do obozu, matka wyściskała mnie, wcale jednak nie wyczuwając żaru w moim ciele, i posłała mnie do gaju oliwnego, gdzie zbiory trwały w najlepsze. Była tam Zilpa, która doglądała prasy i ledwie coś burknęła na moje przywitanie. Nawet Bilha, z jej domyślnym sercem, była zanadto zajęta partią dzbanów z oliwą, które popękały, aby cokolwiek zauważyć.

Ich brak uwagi stanowił dla mnie objawienie. Przed moją podróżą do Sychem zakładałam, że moje matki czytają mi w myślach i zagląдают wprost do serca. Tymczasem teraz odkryłam, że jestem osamotniona, nieczytelna, wciągnięta w jakiś obcy tor, o którym one nie miały pojęcia.

Rozkoszowałam się tym odkryciem własnej samotności i chroniłam ją, znalazłszy sobie pracę w przeciwległym krańcu gaju, a nawet sypiając z żonami braci w namiocie ustawionym na czas zbiorów na jego skraju. Byłam szczęśliwa, że jestem sama, bo mogłam rozmyślać tylko o moim ukochanym, wyliczać sobie jego zalety, wyobrażać sobie jego cnoty. Wpatrywałam się we własne dłonie i zastanawiałam, jak by to było dotykać jego połyskliwych barków, jego pięknych ramion. W snach oglądałam blask słońca iskrzący się na powierzchni wody i budziłam się z uśmiechem.

Po trzech dniach takiego odurzenia szczęściem moje nadzieje zaczęły blaknąć. Czy on przyjdzie po mnie? Czy te pokryte odciskami dłonie nie są zbyt szorstkie, by dać rozkosz księciu? Obgryzałam paznokcie i zapominałam o jedzeniu. Nocami przewracałam się bezsennie na pościeli, bez końca obracając nasze spotkanie w pamięci. Nie potrafiłam myśleć o niczym, jak tylko o nim, ale zaczęłam też powątpiewać we własne wspomnienia. Może ten jego uśmiech oznaczał pobłażliwość, a nie podziw. Może byłam głupia.

Jednak dokładnie wtedy, gdy już zaczęłam się bać, że zdradzę się przed swoimi matkami potokiem łez, przyszedł mój ratunek. Sam król przysłał po mnie. Chamor nie odmawiał niczego swej towarzysze i kiedy Asznan spytała, czy można posłać po miłą, młodą

córkę Jakuba, by ta rozerwała ją podczas połogu, natychmiast wy-stosowano umownego. Człowiek króla przyprowadził nawet niewolnika ze sobą, by zastąpił mnie podczas zbiorów. Moja matka uznała to za przejaw troskliwości i hojności.

- Niech idzie - powiedziała mojemu ojcu. Jakub nie wyraził sprzeciwu i wtedy kazała Lewiemu towarzyszyć mi do drzwi komnat kobiet w pałacu Chamora.

Kiedy machałam moim matkom na pożegnanie, widziałam, że Bilha i Rachela odprowadzają mnie wzrokiem. Coś je wyraźnie zaniepokoiło, może mój pośpiech albo zadowolenie z zaprosin króla, ale wtedy było już za późno, by brać mnie na spytki. Też do mnie machały, kiedy schodziłam w głąb doliny, ale czułam na swoich plecach ich pytające spojrzenia. Przez całą drogę przez dolinę kołował nad nami jastrząb. Lewi twierdził, że to dobry znak, ale posłaniec splotwał za każdym razem, gdy cień ptaka przecinał nasz szlak.

Brat zostawił mnie na progu pałacu Chamora, pouczając głośnym, napuszonym tonem przez wzgląd na obecność posłańca, że mam „zachowywać się, jak przystało na jedną z córek Jakuba”. Ubawiło mnie to, wszak byłam jedyną żyjącą córką Jakuba. Kazano mi zachowywać się, jak należy, i miałam dokładnie takie intencje.

Przez następne trzy tygodnie poznawałam córki Sychem. Żony wszystkich ważnych ludzi przybywały w odwiedziny do Asznan i jej małego synka, którego imię nie mogło być powszechnie poznane, dopóki nie skończy trzech miesięcy, zgodnie z obyczajem panującym w Egipcie.

- To po to, żeby demony nie potrafiły go znaleźć - wyjaśniła mi szeptem Asznan, obawiając się zła nawet w bezpieczeństwie swych wygodnych komnat.

Asznan była dość głupią dziewczyną, obdarzoną pięknymi zębami i dużymi piersiami, które rychło odzyskały kształt i urodę., kiedy dziecko zostało oddane mamce. Przedtem nigdy nie słyszałam o zdrowej kobiecie, która oddałaby dziecko do piersi innej kobiety; w moim świecie z mamek korzystało się tylko wtedy, gdy matka nie żyła albo była konająca. Ale z kolei co ja wiedziałam o żywocie kobiet na królewskim dworze? W rzeczy samej z początku zdumiewałam się niemal wszystkim, co zobaczyłam.

Nie przejmowałam się tym, że jestem służebnicą Asznan, bo tak właśnie ona mnie traktowała. Przynosiłam jej posiłki i karmiłam ją. Myłam jej stopy i twarz. Życzyła sobie, żebym ją masowała, bo przecież poznałam tę sztukę od pewnej starej kobiety. Chciała być malowana i cały czas trajkotała, kiedy uczyła mnie, jak mam sobie obrysowywać kredką oczy i obsypywać zielonym pudrem powieki.

- Dzięki temu jesteś nie tylko piękna - tłumaczyła Asznan - ale odstraszasz też komary.

Asznan pokazała mi także, czym jest nuda, która stanowi istną plagę nawiedzającą kobiety w pałacach. Było takie jedno popołudnie, kiedy wręcz się popłakałam od tej monotonii przymusowego siedzenia nieruchomo, kiedy Asznan spała. Jedynym zajęciem, jakie mogłam wykonywać, było zastanawianie się, czy Szalem wie o mojej obecności pod dachem jego ojca. Zaczęłam nawet wątpić, czy on zapamiętał potarganą pomocnicę położnej jego młecznej siostry. Nie znając odpowiedzi na żadne ze swych pytań, znalazłam się jakby w pułapce, bo mury dzielące świat kobiet od komnat mężczyzn były grube, a w całym pałacu nie znalazłoby się takich zajęć, by ścieżki jednych i drugich mogły się skrzyżować.

Kiedy wiele dni później Re-nefer zajrzała do Asznan, usiłowałam zdobyć się na odwagę i zagadnąć ją o syna, ale w jej obecności potrafiłam tylko jąkać się i rumienić.

- Czy tęsknisz za swoją matką? - spytała uprzejmie.

Potrząsnęłam głową, ale musiałam mieć nieszczęśliwą minę, bo królowa ujęła mnie za rękę i dodała: - Coś mi się zdaje, że trzeba ci jakiejś rozrywki. Dziewczyna taka jak ty, która mieszka pod słońcem, w tych murach musi się czuć jak ptak schwytany w sidła.

Uśmiechnęłam się do Re-nefer, a ona ścisnęła moje palce.

- Przejdiesz się na targowisko razem z moją służką - zaproponowała. - Pomożesz jej wybrać najlepsze granaty, może też upolujesz szczególnie wyborne figi dla mojego syna. Szalem przepada za figami.

Następnego ranka wyszłam z pałacu i zagłębiłam się w miejski rwetes, gdzie mogłam się gapić, ile dusza zapagnie. Służka u mojego boku zdawała się donikąd nie spieszyć i pozwoliła mi się wałęsać, gdzie tylko chciałam. Zatrzymywałam się przy niemal każdym straganie i kocu, zdumiona różnorodnością kroci lamp, owoców, tkanin, serów, barwników, narzędzi, trzody, koszyków, biżuterii, fletów, ziół, w ogóle wszystkiego.

Niestety, tego dnia nigdzie nie można było kupić fig. Szukałyśmy ich tak długo, aż zaczęło mi się kręcić w głowie od skwaru i pragnienia, ale za nic nie chciałam wracać do pałacu, nie spełniwszy prośby królowej, nie przynosząc owoców mojemu ukochanemu. W końcu jednak, kiedy przeszukałyśmy już dosłownie każdy kąt, wyszło na to, że trzeba będzie wrócić z pustymi rękoma.

W momencie, gdy wyruszyliśmy już w drogę, do pałacu, wyłowiłam z tłumu najstarszą twarz, jaką w życiu widziałam - handlarkę ziołami, której czarna skóra była tak poryta jak wyschłe wadi. Stałam przy jej kocu i słuchałam trajkotania o jakiejś miksturze „dobrej na bolesność w krzyżach”. Kiedy jednak się pochyliłam, by dotknąć korzenia, którego nigdy przedtem nie widziałam, chwyciła mnie za nadgarstek i zajrzała mi w twarz.

- Ach, ta młódka chce czegoś dla swego kochanka! Czegoś magicznego, co przyciągnie młodzieńca do jej łoża, aby wreszcie mogła rozstać się z dziewictwem, które tak jej doskwiera.

Wyrwałam rękę, przerażona, że tej wiedźmie udało się wejrzeć tak głęboko w moje serce. Prawdopodobnie taką mowę wygłaszała do każdej młodej dziewczyny, która do niej podeszła, ale służebnica Re-nefer zauważyła, jak bardzo się zmieszałam, bo wybuchnęła śmiechem. Ja zawstydyłam się i pospiesznie uciekłam od staruchy.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zjawił się Szalem, a tymczasem on stał teraz przede mną; popołudniowe słońce wypełniało niebo i otaczało jego głowę niczym rozjarzona korona. Na jego widok zaparło mi dech.

- Czy dobrze się czujesz, moja pani? - spytał tym melodyjnym głosem, który tak dobrze zapamiętałam.

Stałam jak zamurowana.

Popatrzył na mnie z tym samym pożądaniem, które ja też czułam, po czym ujął swą ciepłą dłonią mój łokieć, aby poprowadzić mnie z powrotem do pałacu; kobieta królowej szła za nami, szczerząc zęby w uśmiechu. Jej pani miała rację; między księciem a wnuczką Mamre zaiskrzyło jakieś światło.

W odróżnieniu ode mnie syn Re-nefer nie potrafił ukryć stanu swego serca przed własną matką. Re-nefer gardziła kobietami z miasta, albowiem sama przybyła do Sychem jako młoda oblubienica. „Głupie i puste”, tak je wszystkie określała. „Nie potrafią prząć, tkają paskudnie, odziewają się jak mężczyźni i nie mają bladego pojęcia o ziołach. Będą ci rodzić głupie dzieci”, tak powiedziała synowi Re-nefer. „Znajdziemy dla ciebie kogoś lepszego”.

Re-nefer była pod wielkim wrażeniem postawy położnej z gór i spodobała jej się powierzchowność dziewczyny, która niosła tamtej torbę. Przypadł jej do gustu mój wzrost i siła rąk, moja karnacja i sposób, w jaki trzymałam głowę. Fakt, że ktoś tak młody jak ja wstąpił już na drogę położnej, powiedział jej, że nie jestem głupia. Kiedy Rachela poszła się odświeżyć razem z królową podczas porodu Asznan, Re-nefer wywiedziała się o mnie tak dyskretnie, że Rachela nie zorientowała się, do czego ona dąży, gdy tamta zagadywała ją o mój wiek, o pozycję mojej matki, o moje umiejętności przy palenisku i wrzecionie.

Kiedy razem z Rachelą zaskoczyły Szalema i mnie w sieni, Re-nefer dostrzegła od razu, że ziarno jej pomysłu samo zaczęło już kiełkować. Robiła więc, co mogła, aby pielęgnować jego wzrost.

To Re-nefer przykazała Asznan, aby ta poszła po mnie do domu mego ojca, a tego ranka powiedziała swemu synowi, że ma iść i poszukać mnie na targowisku.

- Boję się, że ta mała dziewczynka z gór zgubi się tutaj - powiedziała Szalemowi. - Sam wiesz, moja służebnica jest tak głupia, że może stracić ją z oczu. Ale może ty nie pamiętasz twarzy tej, którą zwą Dina? - spytała swego syna. - To była ta ciemnooka dziewczyna o kręconych włosach i pięknych dłoniach, która przybyła do nas

razem z położną. Gawędziłeś z nią w sieni tamtego dnia, kiedy Asznan rodziła.

Szałem przystał na polecenie matki tak ochoczo, że Re-nefer z trudem ukryła uśmiech.

Kiedy księżę i ja wróciliśmy do pałacu, przekonaliśmy się, że na dziedzińcu jest pusto, zgodnie z zaleceniami Re-nefer. Służka gdzieś się zapodziała. Staliśmy w milczeniu zaledwie chwilę i potem Szalem zaciągnął mnie do cienia jakiegoś zakamarka, nakrył moje usta swymi i przycisnął swe ciało do mojego ciała. I ja, której nigdy nie dotykał ani nie całował żaden mężczyzna, wcale się nie zlekłam. Szalem nie spieszył się ani nie ponaglał, a ja ułożyłam dłonie na jego plecach, przytuliłam się do jego piersi i zaraz całkiem stopniałam pod dotykiem jego dłoni i warg.

Jęknęłam głośno, kiedy jego usta odnalazły moją szyję, a Szalem zamarł wtedy. Spojrzał mi w twarz, szukając znaczenia tego odgłosu, i zobaczywszy przyzwolenie, ujął mnie za rękę i poprowadził nieznanym korytarzem do komnaty z wypolerowaną posadzką i łóżem z nogami rzeźbionymi w szpony jastrzębia. Legliśmy na słodko pachnącym czarnym runie i odszukaliśmy się wzajem.

Nie krzyknęłam, kiedy mnie wziął, bo mój kochanek, choć taki młody, nie spieszył się. Po wszystkim, gdy znieruchomiał wreszcie i odkrył, że moje policzki są mokre, rzekł:

- Moja mała żono. Nie pozwól, abym jeszcze kiedyś cię zranił.

Ja jednak wyjaśniłam mu, że moim łzom nie towarzyszy ból. Że to pierwsze łzy szczęścia, jakie wylałam w życiu.

- Sam posmakuj - powiedziałam mojemu ukochanemu i wtedy odkrył, że mają słodki smak. I wtedy też zapłakał. Przywarliśmy do

siebie i pragnienie Szalema odżyło, a ja nie wstrzymałam oddechu, kiedy znów wniknął we mnie, dzięki czemu zaczęłam czuć, co dzieje się z moim ciałem, i pojmować, czym są rozkosze miłości.

Nikt nam nie przeszkadzał. Zapadła noc i pod drzwiami zostawiono posiłek - soczyste owoce i wino złocistej barwy, świeży chleb, oliwki i ciastka ociekające miodem. Zjedliśmy wszystko co do ostatniego kęsa niczym dwa wygłodniałe psy.

Kiedy już się posililiśmy, Szalem obmył mnie w wielkiej balii wypełnionej ciepłą wodą, która pojawiła się równie tajemniczo jak jedzenie. Opowiadał mi o Egipcie i o wielkiej rzece, nad którą obiecał mnie zabrać, bym mogła się w niej pluskać i pływać.

- Nie potrafię pływać - wyznałam.

- To i dobrze - odparł. - W takim razie będę twoim nauczycielem.

Wsunął dłonie w moje włosy, które splątały się w węzły, i dość długo trwało, nim dał radę się wyswobodzić.

- Uwielbiam te kajdany - powiedział, kiedy biedził się nad uwolnieniem, a potem jego przyrodzenie znów urosło i nasze połączenie tym razem trwało nadzwyczaj długo. Jego dłonie pieściły moją twarz i razem krzyczeliśmy z rozkoszy.

Kiedy nie całowaliśmy się, nie obcowaliśmy albo nie spaliśmy, Szalem i ja wymienialiśmy się opowieściami. Ja opowiadałam mu o swym ojcu i matkach, opisywałam też braci, jednego po drugim. Bardzo mu się podobały ich imiona i uczył się ich na pamięć, wedle porządku narodzin; wiedział też, który wziął się z łona której matki. Nie jestem pewna, czy mój ojciec potrafiłby ich wyliczyć równie sprawnie.

On z kolei opowiedział mi o swym nauczycielu, kalece obdarzonym przepięknym głosem, który nauczył go śpiewać i czytać. Opowiedział mi także o pobożności swej matki i o pięciu przyrodnich braciach, z których żaden nie poznał sztuk Egiptu. Opowiedział o swej wyprawie do kapłanki, która wtajemniczyła go w sztukę uprawiania miłości w imię niebios.

- Nie zobaczyłem jej twarzy - wyjaśniał. – Rytuały odbywają się w wewnętrznej komnacie, gdzie w ogóle nie ma światła. To wszystko przypominało sen ukryty w innym śnie.

Wyznał mi jeszcze, że trzy razy współżył z pewną niewolnicą, która chichotała głupio w jego objęciach, a po wszystkim zażądała zapłaty.

Ale pod koniec drugiego dnia spędzonego razem nasze uściski przekraczały już jego doświadczenia nabyte z innymi kobietami.

- Całkiem o nich zapomniałem - zapewnił mnie.

- W takim razie wybaczam ci je wszystkie - odparłam.

Kochaliśmy się bez końca. Zasyпалиśmy i potem ze snu wybudzały nas nasze dłonie. Okrywaliśmy nasze ciała pocałunkami, a ja poznałam smak palców u stóp mojego kochanka, woń jego przyrodzenia przed i po obcowaniu, wilgoć jego karku.

Byliśmy razem jak oblubieniec z oblubienicą przez te trzy dni, zanim zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie przysłano po mnie, abym umyła stopy Asznan albo rozmasowała jej plecy. Szaleńczo też ze szczętem zapomniał o obowiązkowych wieczornych posiłkach z ojcem. Jednak Re-nefer zadbała o to, abyśmy nie wiedzieli nic o świecie i aby świat dał nam spokój. Przysyłała nam smakołyki o najdziwniejszych porach dnia i nocy, pouczyła także służbę, aby w

czasie, gdy my spaliśmy, przygotowywała nam świeżą kąpiel z perfumowanej wody.

W ogóle nie przejmowałam się przyszłością. Szalem twierdził, że nasza miłość już przypieczętowała nasze małżeństwo. Droczył się ze mną na temat opłaty, jaką ofiaruje za mnie mojemu ojcu: wiadra pełne złotych monet, wielbłądy objuczone lapisem i lmem, karawanę niewolników, stado owiec o runie tak delikatnym, że wełna z niego nigdy nie wymaga prania.

- Zaslugujesz na okup jak za królową - szeptał, kiedy osuwaliśmy się w nasze wspólne marzenia. - Wybuduję ci grobowiec o nieprzemijalnej urodzie - obiecywał. - Świat nigdy nie zapomni imienia Diny, która doceniła wartość mego serca.

Jak ja żałuję, że sama nie byłam tak śmiała w słowach. Nie dlatego, że się wstydziłam. Szalem wiedział, jaką rozkosz z nim czuję, jaka jestem mu wdzięczna, jak bardzo go pragnę. Wszak ofiarowałam mu całą siebie; wyrzekłam się siebie dla niego i w nim. Ja po prostu nie umiałam znaleźć słów, którymi dałabym radę opisać przepelniające mnie szczęście.

Kiedy leżałam pierwszy raz w objęciach Szalema, Lewi wypadł właśnie jak burza z pałacu Chamora, rozjuszony, że nie dano mu posłuchania u króla, które jego zdaniem mu się należało. Mojego brata przysłano, żeby się wywiedział, kiedy zostaną odesłana z powrotem do domu; gdyby poczęstowano go wówczas jakimś wystawnym posiłkiem i ofiarowano mu posłanie na noc, to moje życie potoczyłoby się inaczej.

Nieraz zastanawiałam się później, co by się stało, gdyby to Ruben albo Juda przyszli po mnie. Chamor nie miał chęci spotykać się

z tym akurat synem Jakuba, tym swarliwym, który zarzucił mu, że oszukuje jego rodzinę. Po cóż król miałby się narażać na kolejne oskarżenia ze strony jakiegoś utyskującego syna pasterza?

Gdyby to był Ruben, Chamor powitałby go pewnie ucztą i udzielił noclegu. W rzeczy samej, każdy z pozostałych braci zostałby zapewne wspaniale przyjęty, tylko nie Lewi. Chamor cenił sobie Jakuba niemal tak samo jak królowa jego żony. Król wiedział, że Jakub dogląda swej trzody z wielką wprawą, że szybko stał się najbogatszym pasterzem w dolinie. Wełna produkowana przez Jakuba była najmiększa, jego żony mądre, a synowie lojalni. Nie wszczynął ponadto żadnych waśni pośród sąsiadów. Wzbogacił dolinę i Chamor bardzo liczył na dobre z nim stosunki. Małżeństwa między tymi dwoma domami były jak najbardziej pożądane i Chamor uradował się, gdy Re-nefer szepnęła mu, że jego syn upodobał sobie córkę Jakuba. W rzeczy samej, gdy tylko król usłyszał, że Szalem legł ze mną, zaczął obliczać sowitą opłatę ślubną.

Kiedy Chamor usłyszał od swej służby, że młodzi bardzo do siebie pasują, że mają się ku sobie i że z zapalem zabrali się za płodzenie mu wnuka, wezwał Asznan do swego łoża na tydzień wcześniej, niż miało się zakończyć jej obowiązkowe odosobnienie. Re-nefer, która ich nakryła, nawet nie zbesztła męża i dziewczyny, bo tak wielka była jej radość z powodu syna.

Czwartego dnia naszego szczęścia Szalem powstał z kąpieli, odział się i oznajmił, że udaje się na rozmowę do swego ojca.

- Czas, aby Chamor wyznaczył opłatę. - Był taki przystojny w tunice i sandałach, że oczy znowu zaszyły mi łzami. - Koniec tego płakania, choćby i ze szczęścia - powiedział i podniósł mnie, ciągle

jeszcze mokrą od wody, i pocałował w nos, usta, a potem odniósł mnie na postanie i dodał: - Czekaj na mnie, ukochana. Nie ubieraj się. Leż tutaj tylko, abym mógł taką cię oglądać w wyobraźni. Niebawem wrócę.

Okryłam jego twarz pocałunkami i kazałam wracać jak najszybciej. Kiedy znowu ułożył się obok mnie, spałam, po raz pierwszy od wielu dni czując woń świata spoza naszego łoża.

Nazajutrz, jeszcze rannym słońcem, Chamor wyprawił się do obozu Jakuba, zabierając ze sobą wypakowany wóz. Nie wziął ani namiotu, ani służby, bo nie spodziewał się, że zatrzyma się tam na dłużej albo że przyjdzie mu się targować. Czy mógł przewidywać sprzeciw, skoro zawoził takie wspaniałe wieści i szczodre dary?

Wieści o Szalemie i córce Jakuba rozniosły się po mieście, ale do namiotów Jakuba nic nie dotarło. Kiedy Jakub dowiedział się, że księżę z miasta wziął mnie sobie za żonę, nic nie odrzekł i nie ocenił oferty Chamora. Trwał niczym ten głaz, wpatrując się w człowieka, o którym jego synowie Lewi i Symeon wypowiedali się z takim jadem - w męzczyznę, wyszło na jaw, równego mu wiekiem, ale wystawnie odzianego, tęgiego i wypowiadającego się gładko. Król wskazał wóz wyładowany dobrami, wlokący za sobą owce i kozy. Oznajmił, że są teraz krewniakami, że niebawem połączy ich wnuk.

Jakub skrył oczy za powiekami i zakrył usta dłonią, żeby Chamor nie zauważył jego zakłopotania i zdziwienia. Przytaknął, kiedy Chamor jął wychwalać urodę jego córki. Jakub dotychczas jeszcze wcale nie myślał o zamążpójściu swej jedynaczki, choć jego żona

zaczęła o tym przebąkiwać. Dziewczyna osiągnęła już swój wiek, co do tego nie było wątpliwości. Jakub jednakże nie był przekonany do takiego stadła, choć nie umiał orzec, dlaczego, i czuł, jak sztywnie mu kark, bo widział przecież, że wedle oczekiwań Chamora miał postąpić, jak mu się każe. Szukał w głowie powodów, dla których mógłby odłożyć decyzję na później i tym samym uzyskać przewagę.

- Omówię to z moimi synami - powiedział królowi, z nieco zbyt wielkim naciskiem, niż zamierzał.

Chamor odebrał to jako zniewagę.

- Twoja córka nie jest już dziewicą, Jakubie – nalegał król. - A oto opłata za nią, jaką w Egipcie zapłacono by za księżniczkę dziewicę, więcej niżli mój własny ojciec ofiarował za moją żonę. Nie chcę rzec, że twoja córka nie jest tego warta. Powiedz, czego sobie życzysz, a dostaniesz to, bo mój syn kocha tę dziewczynę. I z tego, co mi wiadomo, ona także jest chętna.

I tu Chamor uśmiechnął się nieco zbyt szeroko jak na gust Jakuba. Nie podobało mu się, że o jego córce mówią tak grubiańsko, choć sam nie bardzo potrafił przywołać do myśli oblicza Diny. Pamiętał jedynie te włosy, potargane i dzikie, kiedy uganiała się za Józefem. Wspomnienie to było bardzo stare.

- Zaczekam na moich synów - rzekł Jakub i odwrócił się od króla, jakby władca Sychem nie był kimś lepszym niż zwykły pasterz, i pozostawił sprawę przyjęcia gościa napitkiem i jadłem swoim żonom. Chamor jednakże nie widział powodu, dla którego miałby tu zostawać, i zabierając swe dary, udał się w drogę powrotną do pałacu.

Jakub wezwał Leę i rozmówił się z nią najsurowszymi słowami, jakich kiedykolwiek wobec niej użył.

- Twoja córka nie jest już dzieckiem - powiedział. - Okazała się nierozważna, trzymając to przede mną w tajemnicy. Nieraz już posuwała się za daleko, ale nigdy tak, aby mnie zawstydzić. I teraz jeszcze to.

Moja matka była równie zdumiona jak jej mąż i wydusiła z Jakuba wieści o córce.

- Książę z Sychem ją sobie wziął. Jego ojciec przybył z pełną opłatą za dziewicę. W każdym razie zakładałam, że nią jeszcze była, kiedy wchodziła między mury tej kupy gnoju zwanej miastem - mówił Jakub tonem pełnym gorzycy. - Teraz należy do Sychem, jak przypuszczam, i do niczego już mi się nie nada.

Lea była wściekła.

- Idź poszukaj swojej żony, a mojej siostry - wypaliła. - To Rachela ją tam zabrała. To Rachela lubi miasto, nie ja, mężu. Spytaj swojej żony. - Od słów mojej matki biło zapachem żółci.

Do dziś zadaję sobie pytanie, czy w ogóle myślała o mnie wtedy, czy cierpiała z mojego powodu, bo wszak nie miała jak się dowiedzieć, czy uległam po dobrowoli czy też mnie zniewolono, czy łkałam przy tym wszystkim albo czy się radowałam. Mówiła tylko o utracie córki, która udała się do miasta, aby zamieszkać w nim, pośród obcych kobiet, uczyć się ich obyczajów i zapomnieć o swej matce.

Ojciec wezwał wtedy Rachelę.

- Mężu! - zawołała Rachela, kiedy zbliżała się do niego cała w uśmiechach. - Słyszę, że ponoć są jakieś szczęśliwe wieści.

Jakub jednakże nie odplacił się uśmiechem.

- Nie podoba mi się ani miasto, ani jego król - powiedział. - A jeszcze mniej córka, której nie można wierzyć, i żona, która kłamie.

- Nie mów niczego, czego byś później żałował - odparła Rachela.
- Moja siostra nastawia cię przeciwko mnie i przeciwko twojej własnej córce, która wszak jest ulubienicą twej matki w Mamre. To dobra partia. Sam król powiada, że tych dwoje przypadło sobie do gustu, czyż nie? Czyżbyś zapomniał własny ogień, mężu? Czyżbyś tak się postarzał, że nie pamiętasz tamtego pragnienia?

Twarz Jakuba nie zdradzała niczego. Przyglądał się długo Racheli, a ona butnie patrzyła mu w oczy.

- Daj im swe błogosławieństwo, mężu - prosiła Rachela. - Przyjmij te wozy pełne srebra i lnu, zgotuj Chamorowi powitanie godne króla. Ty tutaj jesteś panem. Nie ma po co zwlekać.

A jednak Jakub zeszywniał, usłyszawszy taką natarczywość Racheli.

- Podejmę decyzję, kiedy moi synowie powrócą z drogi.

Chamor nie pamiętał, by kiedykolwiek potraktowano go równie źle. A mimo to wciąż był łaskawie usposobiony względem Jakuba.

- To dobry sojusznik, domniemuję - powiedział Szalemowi następnego dnia. - Ale i wróg, którego winno się unikać. Jest dumnym człkiem - ciągnął - który nie chce tracić dozoru nad losem swego rodu. Dziwne tylko, że dotąd nie chce uznać, iż dzieci przestają służyć rodzicom, kiedy są już dorosłe. Nawet córki.

Jednak Szalem naciskał na ojca, aby raz jeszcze udał się do obozu Jakuba i to bez żadnej zwłoki.

- Ja miłuję tę dziewczynę - zapewniał.

Chamor uśmiechnął się szeroko.

- Ależ nie lękaj się. Dziewczyna jest twoja. Żaden ojciec nie chciałby jej z powrotem taką, jaka się stała. Wracaj do swojej żony, a o ojca pozwól, że ja będę się martwił.

Minął kolejny tydzień i oboje, ja i mój mąż, kochaliśmy się na jeszcze subtelniejsze sposoby, z towarzyszeniem wielu pieszczot i tkliwości. Miałam wrażenie, że moje stopy nie dotykają ziemi. Twarz bolała mnie od ciągłego uśmiechu.

I wtedy właśnie otrzymałam szczególny podarunek weselny: odwiedziła mnie Bilha. Moja ciotka pojawiła się przy bramach pałacowych, pytając o Dinę, żonę Szalema. Najpierw zabrano ją do Re-nefer, która obrzuciła ją pytaniami o niezdecydowanie Jakuba w związku z ofertą jej męża. Królowa zagadnęła ją też o Leę i Rachelę, po czym powiedziała, aby nie opuszczała pałacu, nie zabrawszy darów dla rodziny jej synowej. I wtedy dopiero Re-nefer osobiście przyprowadziła do mnie Bilhę.

Uściskałam ciotkę tak mocno, że aż podniosłam ją z ziemi i okryłam jej śniadą twarz pocałunkami.

- Ty cała promieniejesz - stwierdziła, kiedy już stała na ziemi, trzymając mnie za ręce. - Jesteś szczęśliwa. - Uśmiechnęła się. - To cudowne, że znalazłaś tyle szczęścia. Opowiem o tym Lei i tym ją udobrucham.

- Czy moja matka się gniewa? - spytałam zdumiona.

- Lea uważa, że Rachelę sprzedała cię w szpony zła. W tym swoim braku zaufania do miasta bardzo jest podobna do twego ojca, dlatego wcale nie jest zadowolona, że będziesz słała swoje łożo w murach. Ale ja uważam, że ona za tobą tęskni. Opowiem jej o świetle w twoich oczach, o uśmiechu na twoich wargach i o tym, jaka się stałaś kobieca, odkąd jesteś żoną. Mąż dobrze cię traktuje, prawda? - spytała Bilha, dając mi szansę wygłoszenia pochwał dla Szalema.

Przepełniała mnie chęć opowiedzenia komukolwiek szczegółów mojego szczęścia, toteż wylałam wszystko do skwapliwego ucha

Bilhy. Klaskała w ramię, słysząc, że przemawiam jak oblubienica.

- Ach, żeby tak kochać i być tak kochaną - westchnęła.

Bilha spożyła razem ze mną posiłek i ukradkiem przyjrzała się Szalemowi. Zgodziła się, że jest piękny, ale nie chciała się z nim spotkać.

- Nie mogę z nim rozmawiać, zanim rozmówi się z nim mój mąż - wyznała z wahaniem. - Ale widziałam dość, aby przekazać dobre wieści o naszej córce.

Rankiem wyściskała mnie i odeszła razem z Rubenem, który ją przyprowadził do pałacu. Zniosła słowo o moim szczęściu do namiotów, jednak jej głos całkiem zagłuszyły okrzyki moich braci, którzy nazywali mnie ladacnicą. A Jakub nie uczynił nic, aby zamknąć ich plugawe usta.

Symeon i Lewi wrócili do naszego ojca po kilku dniach, ze swej potajemnej wyprawy, która okazała się nieudana. Byli w Aszkelon, ale nie po to, by starać się o nabywców na kozy i owce, wełnę i oliwę, tylko aby naradzić się z handlarzami niewolników; ich zdaniem interesy z takimi mogły przysporzyć znacznie więcej bogactwa niżli z trudem osiągnięte płody ziemi. Symeon i Lewi pożydali bogactwa i władzy, ale nie mieli nadziei na to, że odziedziczą je po Jakubie. Było oczywiste, że prawo pierworództwa przypadnie Rubenowi i że błogosławieństwo ojca otrzyma Józef, dlatego więc postanowili sami zadbać o swoją chwałę.

Lewi i Symeon przekonali się jednak, że handlarze niewolników nie chcą niczego oprócz małych dzieci. Że interesy nie stoją najlepiej. Nadmiar handlarzy osłabił rynek i teraz dobrą cenę dawano jedynie za zdrową młodzież. Moi bracia nie byli w stanie uzyskać

nic za dwie stare służebnice, które dostali w posagach żon. Powrócili do domu rozgoryczeni.

Kiedy usłyszeli, że Chamor zaoferował memu ojcu królewską opłatę za mnie, podnieśli głosy przeciwko temu małżeństwu, wyzywając, że ich pozycje znacznie się osłabią za sprawą takiego sojuszu. Dom Jakuba zostałby wchłonięty przez dynastię z Sychem i chociaż Ruben mógłby się spodziewać, że zostanie księciem, to jednak oni i ich synowie pozostaliby pasterzami, biednymi kuzynami, nikim.

- Stalibyśmy niżej od Ezawa - pomrukiwali między sobą i na użytek tych braci, na których wciąż mieli wpływ, czyli Zabulona, Issachara i Neftalego z łona Lei oraz Gada i Asera Zilpy.

Kiedy Jakub ściągnął wszystkich synów do swego namiotu, aby pospołu z nimi rozważyć ofertę Chamora, Symeon uniósł pięść i krzyknął:

- Zemsta! Moja siostra została zbezczeszczona przez egipskiego psa!

Ruben jednakże przemawiał na korzyść Szalema.

- Nasza siostra się nie opierała - powiedział - a księżę nie odrzucił jej po wszystkim.

Juda zgodził się z nim.

- Wysokość opłaty to pochwała dla naszej siostry, naszego ojca i całego domu Jakuba. Sami zostaniemy księżętami. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie przyjęli darów, które zsyłają nam bogowie. Jaki to głupiec myli błogosławieństwo z kłątwą?

Ale Lewi darł na sobie odzienie, jakby już optakiwał mą śmierć, a Symeon ostrzegął:

- To pułapka zastawiona na synów Jakuba. Jeśli przyzwolimy na to małżeństwo, ci bogacze z miasta pożrą moich synów i synów

moich braci. To małżeństwo gniewa boga naszego ojca - dodał, patrząc wyzywająco na Jakuba.

Bracia mówili teraz podniesionymi głosami i groźnie na siebie patrzyli ponad lampami, ale Jakub nie ujawnił, co sam o wszystkim myśli.

- Ten nieobrzezany pies codziennie gwałci moją siostrę - grzmiał Symeon. - Czy mam pozwolić na takie zniesławianie naszej jedynej siostry, córki mej własnej matki?

W tym momencie Józef skrzywił się z powątpiewaniem i szepnął Rubenowi do ucha:

- Jeśli mój brat aż tak bardzo przejmuje się wyglądem członka naszego szwagra, to w takim razie niechaj nasz ojciec zażąda jego napletka w ramach opłaty. W rzeczy samej niechaj wszyscy mężczyźni z Sychem staną się tacy jak my. Niechaj spiętrzą swoje błony na wysokość pała z namiotu naszego ojca, to wtedy ich synowie i nasi synowie będą sikali na taką samą odległość i nikt nie da rady nas odróżnić. I takim to sposobem Jakubowe plemię rozrośnie się nawet nie w przyszłych pokoleniach, ale już jutro.

Jakub uczeplił się tych słów Józefa, które ów wypowiedział jedynie jako drwinę wobec braci, którzy znęcali się nad nim od niemowlęctwa. Jakub jednakże nie słyszał szyderstwa w głosie syna. Powiedział:

- Abram wziął pod swój nóż wszystkich ze swego domostwa, nawet tych, którzy nie należeli do jego rodu. Jeśli mężczyźni z Sychem przystaną na to, to nikt nie będzie mógł rzec, że nasza córka została pohańbiona. Jeśli mężczyźni z miasta zgodzą się złożyć taką ofiarę bogu moich ojców, to zostaniemy zapamiętani jako stwórcy

dusz, jako ci, którzy gromadzą przy sobie innych. Tak jak na niebie są gwiazdy, tak to właśnie zostało powiedziane naszemu ojcu Abramowi. Tak jak w morzu jest piasek, tak to zostało przepowiedziane przez moją matkę Rebekę. I teraz ja sprawię, aby tak się stało. Postąpię tak, jak mówi Józef, on bowiem ma moje serce. - Jakub przemawiał z taką pasją, że dalsze słowa byłyby tylko strzępieniem sobie języka.

Twarz Lewiego wykrzywiła się ze złości na taką decyzję Jakuba, ale Symeon położył dłoń na ramieniu brata i odciągnął go w nocny mrok, z dala od światła lamp i uszu innych braci.

Kiedy Chamor wyprawił się do namiotu Jakuba po raz drugi, Szalem mu towarzyszył. Absolutnie zdecydowany nie wracać do miasta bez błogosławieństwa mego ojca, przyprowadził dwa osły obciążone kolejnymi podarkami. Mój ukochany był pewien siebie, kiedy opuszczał miasto, ale gdy obaj z królem dotarli do namiotu mojego ojca, znowu przywitały ich skrzyżowane ramiona i zanim przystąpiono do omawiania warunków, obu mężczyznom nie zaproponowano nawet wody.

Mój ojciec przemówił jako pierwszy i to bez żadnych ceremonii.

- Przybywacie po moją córkę - powiedział. - Zgodzimy się na to małżeństwo, ale wątpię, by nasze warunki wam pasowały, gdyż są one surowe.

Chamor odpowiedział mu, ale jego dotychczasowa życzliwość wobec tego człowieka stopniała w obliczu tak obraźliwego braku gościnności.

- Mój syn kocha tę dziewczynę - powiedział król. - Zrobi dla niej wszystko, a ja zrobię to, czego życzy sobie mój syn. Określ swoje warunki, Jakubie. Sychem spełni je, aby twoje dzieci i moje dzieci dały początek nowych pokoleń tej krainy.

Kiedy jednak Jakub określił cenę za swoją córkę, Chamor pobladł.

- A cóż to za barbarzyństwo? - spytał. - Kim ty jesteś, pasterzu, że żądasz krwi męskości mojego syna i mojej, a także mych krewnych i sług? Czyżbyś oszalał od słońca, od zbyt wielu lat spędzonych w dzicy? Czyżbyś jednak chciał odzyskać tę dziewczynę taką, jaka teraz się stała? Musisz nisko sobie cenić córkę, skoro tak ryzykujesz jej przyszłość.

Szałem wystąpił jednak naprzód i położył dłoń na ramieniu swego ojca.

- Zgadzam się na te żądania - rzucił w twarz Jakubowi. - Tu i teraz, jeśli tak sobie życzysz. Uszanuję zwyczaj rodziny mej żony i nakazę mym niewolnikom i ich synom, aby poszli za moim przykładem. Wiem, że mój ojciec wypowiada się powodowany lękiem o mnie i lojalnością wobec swego ludu, któremu grozi cierpienie. Ja sam jednakże nie wyrażę tu sprzeciwu. Będę posłuszny.

Chamor był gotów gardłować przeciwko propozycji syna, a Lewi i Symeon całą swoją postawą wyrażali gotowość splunięcia mu w twarz. W powietrzu zapachniało burzą i zapewne w rękach błysnęłyby sztylety, gdyby nie zjawiała się Bilha, która przyniosła wodę i wino. Tuż za nią postępowały kobiety z chlebem i oliwą i Jakub skinął głową na znak, że mogą to wszystko podać. Mężczyźni zjedli kilka kąsków w milczeniu.

Do wieczora zapadła zgoda co do warunków. Jakub przyjął cztery obładowane osły jako opłatę za oblubienicę.

Szalem i Chamor mieli za trzy dni pójść pod nóż, podobnie jak wszyscy mężczyźni w Sychem, zarówno ci szlachetnie urodzeni, jak i niewolnicy. Ponadto tego samego ranka wszyscy zdrowi mężczyźni zamieszkujący mury miasta mieli przyjąć Jakubowe piętno, a Chamor obiecał, że odtąd już zawsze każdy syn urodzony w mieście będzie poddawany obrzezaniu w ósmym dniu swego życia, zgodnie z obyczajem przyjętym przez synów Abrama. Chamor przysiągł również, że bogowi Jakuba będzie się oddawało cześć w jego świątyni, i posunął się nawet tak daleko, że nazwał go Elohim, jedyny bóg wielu bogów.

Ojciec dał mi przyzwoity posąg. Osiemnaście owiec i osiemnaście kóz, całą moją odzież i biżuterię, moje wrzeczono i żarno, dziesięć dzbanów świeżo tłoczonej oliwy oraz sześć wielkich zwojów wełny. Jakub obiecał, że odtąd będzie się godził na małżeństwa między swymi dziećmi a tymi z Sychem.

Chamor ułożył dłoń na udzie Jakuba, Jakub też dotknął króla, i tak oto moje zrękowiny zostały przypieczętowane, bez uśmiechu ani też zadowolenia.

Jeszcze tej samej nocy Szalem wymknął się ukradkiem z namiotu ojca i powrócił do naszego łoża, przynosząc wieści.

- Jesteś teraz kobietą zamężną, a nie zhańbioną dziewczką - wyszeptał, budząc mnie tuż przed pierwszym brzaskiem.

Ucałowałam go, a potem odepchnęłam.

- No to cóż, teraz, kiedy jestem zamężna i tobie nie wolno mnie odtrącić, mam prawo ci mówić, że boli mnie głowa i że w danym momencie nie mogę przyjąć mego pana - powiedziałam, zaciągając swoją szatę wokół ramion i udając potężne ziewnięcie, a jednocześnie wsuwając dłoń między uda mego męża. - Sam wiesz, panie mój,

że kobiety z dobrej woli przyjmują jedynie pieszczoty swych mężów, nie lubią zaś, jak ich ciała poddawane są jakimś brutalnym zabiegom.

Szałem zaśmiał się, rozpląszczył mnie na łożu i tamtego ranka kochaliśmy się z wielką czułością. Było to ponowne połączenie po naszym najdłuższym rozstaniu od czasu, kiedy Szałem znalazł mnie na targowisku i zabrał do swego łoża, które wonczas uczyniliśmy wspólnym.

Spaliśmy do późna, a potem, gdy już się najedliśmy, powiedział mi o żądaniach mojego ojca. Poczułam, że robi mi się zimno i że przewraca mi się w żołądku. Oczyma duszy widziałam już mojego ukochanego w straszliwych męczarniach, zobaczyłam nóż, wcinający się zbyt głęboko, ropiejącą ranę, a wreszcie Szalema umierającego w moich ramionach. Wybuchłam łzami zupełnie jak małe dziecko.

Szałem jednakże wszystko lekce sobie ważył.

- To nic takiego - twierdził. - Zwykła rana. I z tego, co mi wiadomo, będzie mi z tobą jeszcze lepiej niż teraz. Dlatego szykuj się, kobieto. Będę się pokładał na tobie dniem i nocą.

Ale ja się nie uśmiechnęłam. Dygotałam z zimna, które przeniknęło moje kości i nie chciało odejść.

Re-nefer też starała się podtrzymać mnie na duchu. Wcale nie była niezadowolona z umowy, jaką zawarł jej mąż.

- W Egipcie - powiedziała - bierze się chłopców na obrzezanie, kiedy zmienia im się głos. Robi się z tego niezła zabawa: ściga się tych chłopaczków, łapie, a po wszystkim pieści się i karmi wszelkimi łakociami, o jakie poproszą. Tak czy siak, wszyscy wychodzą z tego cali i zdrowi.

Każemy moim strażnikom wypełnić to zadanie - dodała. - Nehesi niejednego pozbawił napletka. Ja zaś zajmę się bólem i ty mi w tym pomożesz, wszak potrafisz jako położna. - Długo jeszcze tak paplała o tym, jakie to będzie łatwe, a potem szepnęła z filuterną miną: - Czy męski członek nie wydaje ci się bardziej przystojny bez jego kapturka?

Ja jednak nie dopatrywałam się niczego zabawnego w przejściach, jakie czekały Szalema, i nie odwzajemniłam się teściowej uśmiechem.

Minęły trzy dni. Nocami kleiłam się do mojego męża jak jakaś dzika istota i łzy płynęły mi ciurkiem po twarzy, gdy odczuwałam większą błogość niż kiedykolwiek. Mój mąż zlizywał wilgoć z moich policzków i potem takim słonym językiem oblizywał całe moje ciało.

- Ależ ja się będę z ciebie naśmiewał, kiedy urodzisz nam pierworodnego - szeptał, gdy przywierałam do jego piersi, wciąż trzęsąc się z zimna.

Nadeszła wyznaczona godzina. Szalem opuścił mnie o świcie. Nie powstałam z łoża, udając, że jeszcze śpię, ale podpatrywałam go spod przymkniętych powiek, jak się mył i odziewał. Nachylił się nade mną, chcąc mnie pocałować, ale nie odwróciłam twarzy, aby przywitać jego wargi.

Leżałam tak samotnie, oceniając rozmiary swej nienawiści. Nienawidziłam ojca za to, że zażądał tak straszliwej ceny. Nienawidziłam męża i jego ojca za to, że zgodzili się ją zapłacić. Nienawidziłam teściowej za to, że starała się wszystko załagodzić. Nienawidziłam samej siebie za to, że stałam się przyczyną tego wszystkiego.

Leżałam na posłaniu, kuląc się pod kocami, dygocząc z gniewu i nienazwanych przeczuc, aż wreszcie przyprowadzono go do mnie z powrotem.

Wszystko dokonało się w sieni króla. Szalem był pierwszy, drugi jego ojciec, Chamor. Nehesi twierdził, że ani król, ani księżę nie krzyknęli. Po nich przyszła kolej na małego synka Asznan, który się rozplakał, ale malec nie cierpiał długo, bo ukoła go pełna pierś. Mężczyźni z domostwa Chamora i tych kilka nieszczęśników, którzy nie ukryli się gdzieś poza murami, nie mieli takiego szczęścia. Poczuli ukłucie noża i wielu darło się tak, jakby ich mordowano. Ich krzyki przeszywały powietrze przez cały ranek, dopóki nie nastąpiło południe.

Dzień okazał się niemiłosiernie skwarny. Ani wiatru, ani chmur, nawet w grubych murach pałacu powietrze było ciężkie i wilgotne. Zdrowiejący mężczyźni pocili się w ubraniach, ze szczętem zlewając wilgocią posłania, na których leżeli.

Chamor, z którego ust nie wyrwał się ani jeden dźwięk, kiedy go nacinano, zemdlął z bólu, a po przebudzeniu włożył sobie nóż między zęby, żeby nie krzyczeć. Mój Szalem też cierpiał, choć nie aż tak strasznie. Był młodszy i maści zdawały się mu pomagać, ale i dla niego najlepszym lekiem okazał się sen. Uśpiłam go specjalną miksturą i za każdym razem, kiedy się budził, miał mętlik w głowie, był zmęczony, oszołomiony i ziewał. Obmywałam ukochanemu twarz, kiedy zapadał w sen, i obmywałam jego spocone plecy najlżejszymi z dotknięć. Robiłam, co mogłam, aby nie płakać, chciałam bowiem, by moja twarz była świeża, kiedy Szalem się obudzi, ale w miarę upływu dnia ły same z siebie łąły mi się z oczu. Przed zapadnięciem zmroku byłam już do cna wyczerpana i zasnęłam u boku męża, otuliwszy się kocami, które miały mnie chronić przed lodowatymi podmuchami trwogi.

W środku nocy obudziłam się raz, czując, jak Szalem gładzi mnie po policzku. Kiedy spostrzegł, że otwarłam oczy, zmusił się do śmiechu i rzekł:

- Już niebawem to wszystko stanie się. Niczym sen i nasze objęcia będą słodsze niż kiedykolwiek. - Na powrót zamknął oczy i po raz pierwszy usłyszałam jego chrapanie. Kiedy sama odpływałam w sen, rozmyślałam o tym, jak będę się z niego naigrawać z powodu tego hałasu, jaki teraz czynił - zupełnie jak jakieś stare psisko wylegujące się na słońcu. A co do jego słów, to po dziś dzień nie jestem pewna, czy Szalem naprawdę wymówił je do mnie, czy był to sen, który przyniósł mi ukojenie.

Wiem jednak, że to, co stało się później, było prawdą.

Najpierw powietrze przeszył krzyk jakiejś kobiety. Coś bardzo złego musiało się stać tej biednej duszy, pomyślałam, jednocześnie usiłując odgrodzić się od tego przeszywającego, wrzaskliwego, ogłuszającego dźwięku, zbyt upiornego, by mógł przynależeć do prawdziwego świata, tak straszliwego, jakby zrodził się z sennego koszmaru.

Ten dziki wrzask, odgłos najczystszej przerażenia, dobiegał z wielkiego oddalenia, ale ukryty w nim lęk był tak natarczywy i niepokojący, że nie mogłam nie zwracać nań uwagi. Wycie z każdą chwilą potworniało coraz bardziej, aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że mam otwarte oczy i że ta storturowana dusza, której tak mi żal, nie jest ani ze snu, ani też wcale tak oddalona. To ja tak zawodziłam, nie kto inny, ten nieziemski odgłos dobywał się z moich wykrzywionych ust.

Byłam cała zalana krwią. Moje ręce pokrywała gęsta, ciepła krew, która wyciekła z gardła Szalema i niczym rzeka obrała kurs skroś łoża ku posadzce. Ta krew oblepiła też moje policzki, piekła

mnie w oczach, nadawała słony posmak wargom. Ta krew przesiąknęła na wylot koce i parzyła mnie w piersi, ciekła mi po nogach, krzepła na palcach. Tonęłam w krwi mego ukochanego, krzycząc tak głośno, że bodaj mogłabym martwych przywołać z grobów, a jednak nikt jakoś zdawał się mnie nie słyszeć. Straże nie wtargnęły do komnaty. Nie wbiegli słudzy. Bałam się, że jestem ostatnią osobą, jaka pozostała żywa na całym świecie.

Nie słyszałam kroków, toteż nic mnie nie ostrzegło, zanim poczułam czyjeś silne ręce, które pochwyciły mnie, odrywając od ukochanego. Te ręce ściągnęły mnie z łoża, każąc powlec za sobą tę krew i krzyczeć w czerń nocy. Z Symeonem, który mnie podźwignął, był Lewi; Lewi zatkał mi usta i obaj złapali mnie za ręce i nogi niczym kozła przeznaczonego na ofiarę, wrzucili na grzbiet osła i potem wtrącili do ojcowskiego namiotu, nim zdążyłam ostrzec jakąkolwiek nieszczęsną duszę, jaka jeszcze ostała się przy życiu w tym potępionym mieście. Noże moich braci, które pracowały aż do świtu, zdradziły treść straszliwego spisku uknutego przez synów Jakuba. Zamordowali każdego mężczyznę, którego znaleźli żywego.

Ja jednak nic o tym nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że chcę umrzeć. Nic oprócz śmierci nie mogło wyleczyć mnie z tej śmiertelnej zgrozy. Nic oprócz śmierci nie mogło dać mi ukojenia od widoku Szalema poranionego, zlanego krwią, zarzezanego we śnie. Gdyby ktoś nie poluźnił knebla, kiedy wymiotowałam, moje życzenie spełniłoby się. Przez całą drogę w górę zbocza, do namiotów Jakuba, krzyczałam w milczeniu. O bogowie! O niebo! O matko! Dlaczego ja jeszcze żyję?

Rozdział ósmy

To ode mnie pierwszej się dowiedziały. Matka zobaczyła mnie i wrzasnęła przeraźliwie na widok mego zakrwawionego ciała. Przypadła do ziemi, oplakując swe zamordowane dziecko, i wszyscy wylegli z namiotów, aby poznać przyczynę rozpaczey Lei. Jednak Bilha rozwiązała mnie i pomogła stanąć na ziemi, gdy tymczasem Lea gapiała się - najpierw ze śmiertelnym przerażeniem, potem z ulgą, aż wreszcie jak rażona piorunem. Wyciągnęła ku mnie ręce, po czym zamarła na widok mojej twarzy.

Odwróciłam się, zamierzając wrócić do Sychem. Ale matki uniosły mnie z ziemi, a ja byłam zbyt słaba, by im się opierać. Zdjęły ze mnie koce i odzienie, czarne i sztywne od krwi Szalema. Obmyły mnie i namaściły oliwą, a potem jeszcze rozczesaly mi włosy. Przykładały jedzenie do warg, ale ja nie chciałam jeść. Ułożyły mnie na kocu, ale ja nie chciałam spać. Już do końca dnia nikt nie odważył się ze mną mówić, a ja nie miałam nic do powiedzenia.

Kiedy znowu zapadła noc, nasłuchiwałam powrotu mych braci i słyszałam odgłosy wydawane przez ich łupy: łkanie kobiet, płacz dzieci, pobekiwanie trzody, skrzypienie wozów uginających się pod ciężarem skradzionych dóbr. Symeon i Lewi wykrzykiwali rozkazy ochrypłymi głosami. Głosu Jakuba nie było nigdzie słychać.

Powinien był powalić mnie smutek i nadludzkie zmęczenie. A jednak nienawiść wzmocniła mi kręgosłup. To, że wniesiono mnie na górę, związaną niczym ofiarne zwierzę, rozbudziło we mnie wściekłość, która karmiła się samą sobą, kiedy tak leżałam na pościeli, cała naprężona i czujna. Głosy moich braci poderwały mnie z posłania i kazały wyjść, stawić im czoło.

Z moich oczu tryskał ogień. Mogłam ich spalić na popiół jednym słowem, oddechem, spojrzeniem.

- Jakubie! - wołałam głosem rannego zwierzęcia. - Jakubie! - wyłam, wzywając go po imieniu, jakbym to ja była ojcem, a on dzieckiem, które zeszło na złą drogę.

Jakub wynurzył się ze swego namiotu, cały drżąc. Twierdził później, że nie miał pojęcia o tym, co uczyniono w jego imieniu. Obwinił Symeona i Lewiego, odwrócił się od nich. Ja jednak widziałam wiedzę w jego zmętniały eh oczach, kiedy tak stał przede mną. Widziałam winę, zanim zdążył się jej wyprzeć.

- Jakubie, twoi synowie dopuścili się mordu – rzekłam głosem, którego nie rozpoznawałam. - Kłamałeś i knułeś, a twoi synowie wymordowali prawych ludzi, napadając na nich wtedy, gdy byli słabi za sprawą twojego pomysłu. Zbeczczyłeś ciała zmarłych i splądrowałeś miejsca ich pochówku, za co ich cienie będą cię nawiedzały całą wieczność. Ty i twoi synowie zapoczątkowaliście pokolenie wdów i sierot, a oni nigdy ci nie wybaczą. Jakubie - mówiłam głosem, który brzmiał niczym echo gromu. - Jakubie - syczałam głosem węża, który zrzuca z siebie życie, a jednak wciąż dalej żyje. - Jakubie - zawyłam pod niebem, z którego gdzieś zniknął księżyc. - Jakub nigdy więcej nie zazna spokoju. Utraci to, co mu najdroższe, i będzie wypierał się tych, których powinien przyjąć w swe

objęcia. Już nigdy nie doświadczy wythnienia, a jego modlitwy nie przyniosą laski boga jego ojca. Jakub wie, że za moimi słowami stoi prawda. Przyjrzyj mi się, bo to ja odziana jestem w krew prawych ludzi z Sychem. Ich krew kala twoje dłonie i głowę, ale ty już nigdy się nie oczyścisz. Jesteś nieczysty i jesteś przeklęty - powiedziałam, spluwając w twarz człowieka, który kiedyś był moim ojcem. A potem jeszcze odwróciłam się doń plecami i odtąd stał się dla mnie martwy.

Przeklełam ich wszystkich. Wciąż czując woń krwi mego męża w nozdrzach, wymieniałam kolejno ich imiona i wzywałam moce każdego boga i każdej bogini, każdego demona i każdego źródła męczarni, aby zniszczyli i pożarli synów mojej matki Lei i syna mojej matki Racheli, synów mojej matki Zilpy i syna mojej matki Bilhy. Krew Szalema wżarła mi się głęboko pod paznokcie i nie czułam w sercu żadnej wobec nich litości.

- Synowie Jakuba to jadowite węże - mówiłam do swych tchórzliwych braci. - Cuchną niczym te robaki, które żywią się padliną. Synowie Jakuba będą cierpieli kolejno i przenosić będą cierpienie na ich ojca.

Nic nie zakłóciło milczenia, które wtedy zapanowało; było lite niczym mur, kiedy się od nich odwróciłam. Bosa, w samej białej bieliźnie, odeszła od braci, ojca i wszystkiego, co kiedyś było domem. Odeszła od miłości, by już nigdy nie oglądać własnego odbicia w oczach mych matek. Bo dłużej już żyć wśród nich nie mogłam.

Wyszłam w bezksiężycową noc, raniąc stopy do krwi i objając kolana na ścieżce wiodącej ku dolinie, ale nie zatrzymywałam się, dopóki nie dotarłam do bram Sychem. Wiodła mnie moja wizja.

Pogrzebię męża i każe się pochować obok niego. Znajdę jego ciało i owinę je w len, wezmę potem nóż, który odebrał mu życie, i otworzę sobie nim nadgarstki, dzięki czemu już zawsze będziemy spali razem, tyle że w ziemi. Przejdziemy przez wieczność w spokojnym, smutnym, szarym świecie zmarłych, żywiąc się ziemią, patrząc oczyma z ziemi na zakłamaną męską świat.

O niczym innym nie myślałam. Czułam się samotna i pusta. Byłam grobem, który czeka, aż wypełni go spokój śmierci. Szłam dopóty, dopóki nie zatrzymałam się przed wielką bramą Sychem, gdzie padłam na kolana, już niezdolna do wykonania żadnego ruchu.

Gdyby Ruben mnie odnalazł wtedy i zabrał z powrotem, moje życie dobiegłoby końca. Być może poszłabym za nim i potem przez jeszcze wiele lat bym łkała, na poły oszalała, powolnie dogorywając na progu trzeciej żony któregoś z mniej ważnych braci. Ale moje życie i tak byłoby skończone.

Gdyby Ruben mnie znalazł, Symeon i Lewi zapewne zabiliby moje dziecko, pośrodku nocy porzucając je szakalom na pożarcie. Mogli mnie sprzedać w niewolę razem z Józefem, uprzednio wyrwawszy mi język, abym przestała przeklinać ich oczy, skórę, kości, krocza. Nigdy nie znalazłabym ukojenia w ich bólu i cierpieniu, choćby nie wiadomo jak straszliwym.

Nie dałabym się przejednać nawet wtedy, gdy Jakub stchórzył i przybrał nowe imię, Izrael, aby ludzie nie zapamiętali go jako rzeźnika Sychem. Uciekł od imienia Jakub, które stało się odpowiednikiem słowa „kłamca”, przez co „Służysz bogu Jakuba” stało się jedną z najgorszych zniewag, jaką na tej ziemi jeden człowiek mógł rzucić w twarz drugiemu i to przez wiele pokoleń. Gdybym tam

była, aby na to patrzeć, to pewnie uśmiechałabym się, widząc, jak odchodzi go talent do zwierząt i że nawet psy uciekają od niego. Nie zasługiwał na nic więcej oprócz tego bólu na wieść, że dzikie bestie rozdarły na strzępy Józefa.

Gdyby Ruben znalazł mnie pod bramami Sychem, to zapewne byłabym na miejscu, aby zgotować Racheli taki pochówek, na jaki sobie zasłużyła. Rachela zmarła na gościńcu, na który wyszedł Jakub, by uciec przed gniewem doliny, która zapragnęła pomścić śmierć Chamora i pogwałcenie pokoju Sychem. Rachela zmarła w męczarniach, rodząc Jakubowi ostatniego syna

„Syn wroga”, tak nazwała tego chłopczyka, przez którego wylała rzekę czarnej krwi. Jednak w imieniu, jakie Rachela wybrała dla swego syna, kryło się zbyt straszliwe oskarżenie, toteż Jakub nie zechciał uszanować woli dogorywającej żony i udawał, że Ben-Oni to Benjamin.

Lęk odegnał Jakuba od biednego, wycieńczonego ciała Racheli, które pogrzebał pospiesznie i bez należytej ceremonii tuż obok drogi, kładąc na grobie zaledwie garść kamyków dla upamiętnienia największej miłości swego życia. Być może zostałabym obok grobu Racheli, razem z Inną, która osiedliła się tam i gromadziła najpiękniejsze kamienie, aby zbudować ołtarz dla uczczenia pamięci swej jedynej córki. Inna uczyła kobiety z doliny wymawiać imię Racheli i wiązać czerwone wstęgi wokół jej steli, obiecując, że w zamian ich łona będą rodzić same żywe owoce i tym samym zapewniając, że imię mojej ciotki będzie zawsze żywe w ustach kobiet.

Gdyby Ruben mnie znalazł, to mogłabym zobaczyć na własne oczy, jak moje przekleństwo oplata się wokół jego karku, spuszcza-
jąc z uwięzi żywot wypełniony niezaspokojonymi namiętnościami i

niewymówionymi zapewnieniami o jego miłości dla Bilhy i jej dla niego. Kiedy ta tama pękła, oboje bez tchu padli sobie w ramiona, obejmując się wśród pól, pod gwiazdami i nawet w namiocie Bilhy. Byli najgorętszymi z kochanków, wcieleniem Królowej Morza i jej Pana-Brata, stworzeni dla siebie, a jednak przez to potępieni.

Kiedy Jakub ich nakrył, wydziedziczył najlepszego wśród swych synów i odesłał go na najodleglejsze pastwisko, gdzie nie mógł chronić Józefa. Jakub uderzył Bilhę w twarz, wybijając jej zęby. A ona po tym wszystkim zaczęła nikać w oczach. Ta słodka mała matka stawiała się coraz mniejsza i cieńsza, coraz cichsza, coraz bardziej niespokojna. Nie gotowała już, a tylko przedła, przedzę tak cienką, jakiej nie osiągnęła przed nią żadna inna kobieta, tak delikatną jak pajęczka nici.

I któregoś dnia przepadła gdzieś. Jej rzeczy leżały na kocu, razem z kilkoma pierścionkami spoczywającymi dokładnie w tym miejscu, w którym znajdowałyby się jej dłonie. Nie znaleziono żadnych śladów stóp wiodących dokądkolwiek. Zniknęła i Jakub już nigdy więcej nie wymówił jej imienia.

Zilpa zmarła tej samej nocy, której Jakub potrzaskał ostatnich bogów Racheli pod świętym drzewem. Znalazł maleńką boginię-żabę - tę, która otwierała łona całych pokoleń kobiet - i zamierzył się toporem na prastarego idola. Oddał mocz na pokruszony kamień, przeklinając go jako przyczynę całego swego nieszczęścia. Zobaczywszy to, Zilpa jęła rwać sobie włosy z głowy i krzyżeć wniebogłosy. Błagała o śmierć i pluła na wspomnienie matki, która ją zostawiła. Pokładała się na ziemi i brała garście piachu do ust. Potrzeba było trzech mężczyzn do jej związania, aby nie zrobiła sobie

krzywdy. Straszna to była śmierć, a kiedy już szykowali ją do grobu, jej ciało rozpadło się na kawałki niczym stara i spękana gliniana lampa.

Cieszę się, że nie widziałam tego wszystkiego. Przepelnia mnie moc wdzięczności, że nie było mnie tam, kiedy Lea traciła władzę w rękach, a potem w ramionach albo kiedy przebudziła się któregoś ranka cała zabrudzona własnymi nieczystościami, niezdolna stanąć o własnych siłach. Błagałaby mnie, tak jak błagała swoje nieczułe synowe, abym dała jej truciznę, i ja bym usłuchała. Pożałowałabym, ugotowałabym śmiertelny napar, zabiłabym ją i potem pochowała. Lepsze to niż śmierć za życia.

Gdyby Ruben zabrał mnie z powrotem do namiotów mężczyzn, którzy przeobrazili mnie w narzędzie śmierci Szalema, to wówczas codziennie dopuszczałabym się mordu we własnym sercu. Smakowałabym żółć i gorycz we własnych snach. Stałabym się skazą ziemi.

Bogowie mieli jednak wobec mnie inne plany. Ruben zjawił się zbyt późno. Kiedy dotarł do wschodnich bram miasta, nad murami rozbłysło już słońce, a do tego czasu ujęły mnie i poniosły inne ręce.

Część trzecia

EGIPT

Rozdział pierwszy

Leżałam bez zmysłów w objęciach Nehesiego, przybocznego sługi i strażnika Re-nefer. Nehesi zaniósł mnie do pałacu, w którym roило się od much zwabionych wonią krwi ojców i synów. Moi podobni demonom bracia podnieśli nóż nawet na dzieciątko Asznan, a jego nieszczęsna matka wykrwawiła się na śmierć, bo próbowała go bronić - odcięli jej rękę, którą starała się zagrozić drogę ostrzu topora.

Z wszystkich mężczyzn w pałacu tylko Nehesi przeżył. Kiedy podniosły się krzyki, pobiegł do komnat króla, w samą porę, by zdążyć ochronić Re-nefer przed Lewim i jednym z jego ludzi. Gdy Nehesi tam dotarł, królowa właśnie zamierzała się nożem na syna Jakuba. Zranił mojego brata w udo, drugiego zbira zaś zabił na miejscu. A potem jeszcze wydarł ostrze z ręki królowej, dzięki czemu nie zatopiła go we własnym sercu.

Nehesi zaniósł mnie do Re-nefer, która siedziała na ziemi, pośrodku dziedzińca, z głową opartą o mur, z włosami powalany mi ziemią, z paznokciami ubrudzonymi krwią. Musiało upłynąć wiele lat, zanim wreszcie pojęłam, dlaczego nie porzuciła mnie na pastwę śmierci, dlaczego mord popełniony na jej najbliższych nie wypełnił jej złością przeciwko mnie, która byłam przyczyną tego wszystkiego. Jednak Re-nefer za śmierć męża i syna obwiniła tylko siebie,

bo to ona życzyła sobie naszego małżeństwa i to ona składała ofiary, aby przypieczętować nasz związek. To ona wysłała Szalema, aby odszukał mnie na targowisku, i to ona się postarała, abyśmy padli sobie w ramiona bez przeszkód. Wzięła winę na siebie i już nigdy jej nie zdjęła.

Inny powód współczucia Re-nefer wobec mnie był nawet jeszcze silniejszy niż żal. Bardzo liczyła na wnuka - na kogoś, kto wybuduje dla niej grobowiec i odkupi jej stracone życie, kogoś, dla kogo byłoby warto żyć. Dlatego właśnie Re-nefer nie uciekła od razu z Kanaanu, kiedy już się ocknęła, tylko wysłała Nehesiego do zalanego łożami miasta, aby mnie odszukał.

Jej sługa wysłuchał polecenia w milczeniu, choć ze zgrozą. Znał królową lepiej niż kto inny - lepiej niż jej służebnice, z pewnością lepiej niż jej własny mąż. Nehesi przybył do Sychem razem z Re-nefer, przestraszona młodą oblubienicą. A kiedy znalazł mnie, zastanawiał się, czy powinien dodatkowo potęgować smutek swej pani tym, że zanieśie do niej mnie, jeszcze jedno nieszczęście. Obwiśłam w jego ramionach niczym trup, a gdy zdobywałam się wreszcie na jakiś ruch, to po to tylko, by lamentować wniebogłose i rozdrapywać sobie gardło do krwi. Trzeba było skrępować mi ręce i zakneblować usta, abyśmy mogli wejść do miasta niepostrzeżenie, korzystając z osłony nocy.

Re-nefer i Nehesi wykopali spod ziemi dzbany pełne złota i srebra, po czym razem ze mną wymknęli się z miasta do portu zwanego Jafa, gdzie z kolei najęli kreteńską łódź płynącą do Egiptu. Podczas tej wyprawy rozpuściła się straszna burza, która rozdzierała żagle i omal nie wyrzuciła łodzi. Żeglarze, którzy słyszeli mój krzyk i łkanie, myśleli, że opętał mnie demon, podburzający teraz wody przeciwko

nim. Tylko dzięki mieczowi Nehesiego nie wyrzucili mnie w morską toń.

Ja sama o niczym nie wiedziałam, kiedy tak leżałam sama w mroku, skulona, spocona, starając się odejść za swoim mężem. Może byłam za młoda, by szczeznąć ze smutku, a może dbano o mnie zbyt dobrze. Re-nefer nie odchodziła ode mnie nawet na chwilę. Zwilżała mi wargi i przemawiała kojąco, wyrozumiałym tonem, jakiego matki używają wobec trudnych dzieci.

Znalazła zresztą powód do nadziei. Kiedy tak leżałam jak nieżywa, pogrążona we własnej ciemności, nastał nowy księżyc, ale krew nie splamiła koców pod moimi nogami. Brzuch miałam miękki, czułam pieczenie w piersiach i mój oddech pachniał jęczmieniem. Po kilku dniach mój sen stał się mniej rozgorączkowany. Przełknęłam kilka łyków rosołu, który przyniosła mi Re-nefer, i ścisnęłam jej palce w niemej wdzięczności.

W dniu, w którym przybiliśmy do lądu, moja teściowa przyszła do mnie, położyła mi palce na wargach i przemówiła z niepokojem, który nie miał nic wspólnego z moim stanem zdrowia.

- Wracamy do ziemi mojej matki i ojca - oznajmiła. - Słuchaj, co mówię, i bądź posłuszna. Otóż w obecności mojego brata i jego żony będę tytułowała cię córką - powiedziała. - Przekonam ich, że służyłaś w moim domostwie i że mój syn wziął sobie ciebie jako dziewczę za moim przyzwoleniem. Powiem, że pomogłaś mi uciec przed barbarzyńcami. Staniesz się moją synową, a ja będę twoją panią. Urodzisz swego syna na moich kolanach i on zostanie księciem Egiptu.

Spojrzała mi w oczy, domagając się zrozumienia. Była dobra i ja ją kochałam, a jednak coś tu było nie tak. Ona mówiła, a mnie zdjął jakiś nienazwany lek. Później dotarło do mnie, że moja nowa matka nie nazwała swego syna imieniem, że nie powiedziała nic o jego zamordowaniu, że nie wspomniała o moich braciach i ich zdradzie. Nie opłakiwałyśmy Szalema ani nie obnosiłyśmy się z żałobą po nim, ani też nie zdradziła mi, gdzie on został pochowany. Zgroza tamtych zdarzeń miała zostać przemilczana, mój smutek miał pozostać ukryty za moimi wargami. Później już nigdy więcej nie wspominałyśmy naszej wspólnej historii i byłam obowiązana wspierać pustkę przytoczonej przez nią opowieści.

Kiedy postawiłam stopę na egipskiej ziemi, byłam brzemienna i owdowiała. Przywdziałam biały len Egipcjanki i choć nie byłam już panną, to jednak paradowałam z odkrytą głową jak inne kobiety w tym kraju. Nosiłam za Re-nefer mały koszyk, ale nie wniosłam nic od siebie. Nie miałam przy sobie nawet skrawka wełny utkanej przez moje matki i ani jedno wspomnienie nie dawało mi pociechy.

Podczas wyprawy do tego wielkiego miasta na południu, które było domem brata Re-nefer, napotykaliliśmy liczne cuda i dziwy, inne miasta i piramidy, ptaki i drapieżniki, palmy i kwiaty, piaszczyste nieużytki i strome wzgórza, ale ja nic z tego nie widziałam. Nie odrywałam wzroku od rzeki i wpatrywałam się w wodę, przebierając w niej dłonią mimo mętnej barwy, która stawała się na przemian brunatna, zielonkawa, czarna albo szara, a raz, kiedy mijaliśmy warsztat garbarski, nabrała nawet barwy krwi.

Tamtej nocy ocknęłam się, z dłonią obłapiającą własne gardło, tonąc we krwi, wykrzykując imię Szalema, wołając pomocy, wołając

matkę, w samym środku koszmaru, który nieraz jeszcze miał mnie nawiedzić. Z początku czułam ciężar Szalema przygniatający mi plecy, cudowny ciężar, który tak wspaniale mnie koił. Ale potem na piersiach i rękach poczułam nienaturalny gorąc, a później jeszcze odkryłam, że dławię się krwią Szalema, że nos mam zatkany duszącym zapachem wyciekającego zeń życia. Otworzenie zaklejonych krwią oczu kosztowało mnie moc wysiłku. Krzyczałam bez nabierania oddechu, choć nie słyszałam żadnego dźwięku. A mimo to nadal krzyczałam, w nadziei, że moje serce i żołądek wyskoczą od tego ze mnie, i uda mi się rozstać z życiem.

Czwartej nocy tego samego snu, w momencie gdy krew znowu zaczęła mnie pochłaniać i moje usta otworzyły się w poszukiwaniu śmierci, ocucił mnie rozdzierający ból, od którego zaparło mi dech. Usiadłam i zobaczyłam pochylonego nade mną Nehesiego oraz płaskie ostrze jego szerokiego miecza ułożone tuż przy podszwach moich stóp, w które mnie tym mieczem uderzył.

- Dość tego - syknął. - Re-nefer nie może tego ścierpieć.

Zostawił mnie wtedy, z włosami stojącymi dęba, z trudem łapiącą oddech. I od tej pory już zawsze budziłam się sama, bez niczyjej pomocy, gdy tylko poczułam ciepło zalewające moje piersi. Głośno dysząc i roniąc strugi potu, układałam się na plecach i starałam więcej nie zasypiać. Nauczyłam się bać zmierzchu tak samo, jak niektórzy ludzie lękają się śmierci.

Za dnia słońce wyjaławiało moje lęki. Rankiem, gdy skwar jeszcze nie dawał się tak we znaki, Re-nefer siadywała razem ze mną i Nehesim i wspominała radosne historie z dzieciństwa. Kiedy widzieliśmy kaczkę, opowiadała nam o swoich łowieckich eskapadach z

ojcem i braćmi, z których ten najstarszy miał nam udzielić schronienia. Gdy była małą dziewczynką, powierzano jej włócznie, które podawała łowczym, odgadując, kiedy są im potrzebne. Kiedy mijaliśmy jakiś wielki dom, Re-nefer opisywała dom swego ojca w Memfis, a także liczne ogrody i sadzawki na jego wielkim dziedzińcu. Jej ojciec był skrybą kapłanów Re, toteż życie jej rodziny upływało wśród dostatku i przyjemności.

Re-nefer wspominała każdego sługę i niewolnika, którzy usługiwali jej, gdy była dzieckiem. Opowiadała też o swej matce, Nebetanie, którą zapamiętała jako piękną, ale chłodną - zainteresowaną tylko swymi malowidłami do twarzy, najszcześniejszą wtedy, gdy brała kąpiel i służba wylewała kolejne wiadra pachnącej wody na jej plecy. Ale Nebetana umarła przy porodzie, kiedy Re-nefer wciąż jeszcze nosiła lok na czole.

Moja teściowa opowiedziała całą swoją historię, poczynając od dzieciństwa aż do tego tygodnia, kiedy to opuściła Egipt, aby wyjść za mąż. Przygotowania były wielce skomplikowane i zgromadzono wielki posag. Re-nefer zapamiętała dokładnie, ile sztuk lnu złożono w jej skrzyniach, kamienie, które nosiła na palcach i szyi, przewoźników z barki, na której dotarła do morza.

Wychyliłam się do przodu, w nadziei, że poznam jakieś szczegóły życia w Sychem, że usłyszę opowieść o narodzinach Szalema albo o jego dzieciństwie. Ona jednak urwała dokładnie w tym momencie, kiedy dotarła do pałacu męża; na miejscu wesołości pojawiło się puste spojrzenie. Nie opowiadała o Kanaanie ani o mężu, ani też o dzieciach, które mu urodziła. Imienia Chamor nie wypowiedziała ni

razu i było to tak, jakby Szalem nigdy się nie urodził ani mnie nie pokochał, ani też nie wykrwawił się na śmierć w moich ramionach.

Milczenie Re-nefer pulsowało bólem, ale kiedy dotknęłam jej ręki, znów uśmiechnęła się wesoło i jąła paplać o urodzie drzew palmowych oraz o wysokiej pozycji brata jako głównego skryby i opiekuna kapłanów boga Re. Skierowałam wzrok ku wodzie i nie odrywałam już od niej oczu, dopóki nie dotarliśmy do Teb.

Oświetlone zachodzącym słońcem miasto wprost odbierało mowę. Od zachodu purpurowe wzgórza opasywały zieloną dolinę nakrapianą świątyniami pomalowanymi na żywe barwy i obwieszonymi zielonymi i złotymi proporcami. Na wschodnim brzegu stały wielkie domostwa, jeszcze inne świątynie i zbieżące labirynty mniejszych budynków - wszystkie jarzyły się odcieniami różu i złota, od chwili gdy słońce jęło się chować za wzgórzami. Dostrzegłam białe namioty na niektórych dachach i zastanawiałam się, jakaż to odrębna rasa ludzi mieszka ponad zwykłymi mieszkańcami miasta.

Ulice, które odchodziły od rzeki, były hałaśliwe i pyliste; przemierzaliśmy je prędkimi krokami, starając się dotrzeć do miejsca naszego przeznaczenia przed zapadnięciem zmroku. Woń lotosu stawała się coraz silniejsza, w miarę jak blade światło. Nehesi spytał jakiegoś przechodnia, czy zna drogę do domu skryby Nakht-re. Mężczyzna wskazał wielką budowlę przylegającą do jednej ze wspinających świątyn na wschodnim brzegu.

Wielkie, wypolerowane drzwi otworzyła mała dziewczynka, całkiem naga: zamrugała na widok trojga obcych. Re-nefer zażądała widzenia z Nakht-re, swoim bratem. Jednak dziecko tylko wytrzeszczyło oczy. Zobaczyło Egipcjanekę odzianą w zakurzoną szatę, której

nie zdobił ani makijaż, ani biżuteria, i której towarzyszyli rośli ciemnoskóry strażnik ze sztyletem u pasa, a za to bez butów, oraz cudzoziemka w niedopasowanej szacie, która pochylała głowę, tak nisko, że mogła ukrywać zającą wargę.

Kiedy służka wciąż nie ustępowała z drogi, mimo że Re-nefer ponowiła swe żądanie, Nehesi pchnął drzwi i przeszedł przez sień do wielkiej komnaty. Pan tego domu kończył właśnie pracę, ze zwojami na kolanach i asystentami u stóp. Zagapił się na Nehesiego nie rozumiejącym wzrokiem, ale kiedy spostrzegł Re-nefer, poderwał się na nogi, rozrzucając swe papiery, i podbiegł, by ją uściskać.

Kiedy objął ją ramionami, Re-nefer zanosła się łzami - nie łzami ulgi i szczęścia kobiety, która cieszy się, że po latach rozłąki spotyka rodzinę, tylko bolesnym łkaniem matki, której dziecko zostało zamordowane we własnym łóżu. Re-nefer szlochała w ramionach zaskoczonego brata. Padła na kolana i błagała, udzielając głosu swemu pękniętemu sercu.

Ten straszliwy dźwięk ściągnął do komnaty wszystkich członków domostwa Nakht-re: kucharzy i ogrodników, piekarzy i dzieci, a także panią domu. Nakht-re przygarnął siostrę i usadził ją na swym krześle, gdzie wachlowano ją i napojono wodą. Oczy wszystkich były wbite w Re-nefer, która ujęła dłonie brata i podała mu najniezbędniejsze szczegóły swej opowieści, tak jak ją przećwiczyła przede mną. Opowiedziała, że jej dom nawiedzili barbarzyńcy, że skradli jej dobytek, wymordowali rodzinę, zrujnowali całe życie. Opowiadała o swej ucieczce i o burzy na morzu. Kiedy Nakht-re spytał ją o jej męża, odparła:

- Nie żyje! I mój syn też! - i znowu zanosła się łzami. W tym momencie wszystkie kobiety podniosły wysoki lament żałobny, od

którego ciarki mnie przeszły po plecach niczym przekleństwo.

Re-nefer znowu dała się objąć bratu i na powrót wzięła się w garść.

- Nehesi jest moim zbawcą - powiedziała, sprawiając, że oczy wszystkich zwróciły się ku stojącemu obok mnie mężczyźnie. - Umarłabym, gdyby nie jego silne ramię, mądrość i pociecha. To on wyprowadził mnie z Kanaanu, razem z tą dziewczyną, która była towarzyszką mego syna i która nosi w swym łonie mego wnuka. - Wszyscy zagapili się teraz na mój brzuch, a moje dłonie mimo woli pogładziły to miejsce, gdzie rosnęło dziecko.

Moim zdaniem było to głupie przedstawienie. Znałam jedynie garść słów z ich języka, a nauczyłam się ich od mego ukochanego w naszym łożu. Znałam słowa, które określały części ciała, wschód i zachód słońca, chleb, wino i wodę. Oraz miłość.

Jednak Egipcjanie okazali się ludźmi pełnymi wyrazu, którzy mówiąc, żywo gestykulowali i pokazywali zęby, dlatego też całkiem dobrze zrozumiałam ich opowieść. Obserwowałam twarz Re-nefer i dowiedziałam się, że jej ojciec umarł, że młodszy brat był gdzieś hen stąd, że jej najserdeczniejsza przyjaciółka - a może siostra - zmarła przy porodzie, że Nakht-re odniósł taki sam sukces jak jego ojciec.

Stałam tuż obok drzwi, na szczęście zapomniana, aż nagle upadłam. Ocknęłam się jakiś czas później w mroku, na słodko pachnącym pościeli ustawionym obok łoża, na którym spokojnie spała Re-nefer. Reszta domu też zdawała się spać. Cisza była tak głęboka, że gdybym jeszcze tego samego popołudnia nie szła po hałaśliwych ulicach miasta, pomyślałabym, że znalazłam się na samym środku wyludnionej łąki albo na szczycie jakiejś góry.

Cisze, przerwał ptak; nasłuchiwałam, starając się doszukać melodii w jego dzikiej pieśni. Czy kiedykolwiek słyszałam ptaka śpiewającego nocą? Nie mogłam sobie przypomnieć. Na chwilę inne sprawy przestały zaprzętać mój umysł, wypełniony teraz melodią ptaka śpiewającego do sierpu księżycy, i niemalże się uśmiechnęłam.

Uczucie przyjemności zbladło już w następnej chwili, kiedy poczułam lekkie dotknięcie na moich palcach. Poderwałam się na nogi, ale przypomniawszy sobie miecz Nehesiego, czym prędzej zdusiłam okrzyk. Wokół mnie krążył jakiś mały cień. Ptak wciąż wyśpiewywał swe trele, ale teraz zdawał się drwić z tej radości, którą czułam jeszcze chwilę wcześniej.

Przyglądałam się z przerażeniem, jak cień wskoczył na łożo Re-nefera i potem jakby gdzieś zniknął. Oczy bolały mnie od wyteżania ich w mroku i zorientowałam się, że opłakuję śmierć mojej dobrej pani, bo to stworzenie z całą pewnością ją zabiło. Załamywałam ręce i użalałam się nad sobą, samotna i porzucona na obcej ziemi. Z ust wyrwał mi się szloch i Re-nefer się poruszyła.

- Co się dzieje, dziecko? - mruknęła, na poły jeszcze śpiąc.

- Niebezpieczeństwo - wybąkałam.

Usiadła wtedy wyprostowana i cień skoczył w moją stronę. Zakryłam głowę dłońmi i wrzasnęłam przeraźliwie. Re-nefer zaśmiała się cicho.

- To kot - wyjaśniła. - To tylko kot. Bastet włada sercem tego domu. A teraz zaśnij - westchnęła i złożyła głowę na poduszce.

Położyłam się, ale tej nocy nie zamknęłam już oczu. Kiedy dużo, dużo później światło zaczęło się przesączać przez okna osadzone

rzędem w ścianach tuż pod samym sklepieniem, kiedy blask słońca wypełnił całą komnatę, przyjrzałam się lepiej bielonym ścianom i zauważyłam pająka, który tkął w kącie swe sieci. Obejrzałam też sobie nieznaną terafim w niszach ściennych, a potem jeszcze wyciągnęłam rękę, by dotknąć nogi łoża mej pani, rzeźbionej na podobieństwo stopy jakiejś ogromnej bestii. Wdychałam aromat swojego posłania - siana osłodzonego wonią jakiegoś nie znanego mi kwiecica. Komnata zdawała się tonąć pod mnogością zdobnych koszy i plecionych mat. Na inkrustowanej szkatule stała kolekcja flakonów, obok wielkiej sterty złożonych tkanin, ręczników do kąpieli, jak się później dowiedziałam. Każda powierzchnia była albo pomalowana, albo polakierowana jaskrawymi barwami.

Nie było dla mnie miejsca pośród tych wszystkich pięknych przedmiotów, a jednak to był teraz mój jedyny dom.

Przez pierwsze kilka tygodni ledwie do mnie docierało, że noszę w sobie dziecko. Moje ciało ani trochę się nie zmieniło i byłam tak zaabsorbowana moim nowym otoczeniem, że nie zauważałam przemian księżycy, które kobiety Egiptu naznaczały jedynie skromnym ceremoniałem, nie zamykając się w odosobnieniu. Trzymałam się boku Re-nefer, która przez pierwsze dni wypoczywała w ogrodzie, i gdy czegoś nie rozumiałam, tłumaczyła te nieliczne słowa, jakie do mnie wypowiedano.

Nie traktowano mnie źle. Wszyscy w domostwie Nakht-re byli przejmni, nawet jego żona, Heria, która nagle musiała podzielić się swym domem z dawno zapomnianą siostrą i dwójką jej cudzoziemskich sług. Nehesi wiedział, jak okazać się użytecznym, i Nakht-re

zaczął go niebawem posyłać z różnymi sprawami do świątyni oraz grobowców budowanych w zachodniej dolinie.

Ja sama nie byłam ani służką, ani też siostrzenicą, tylko raczej cudzoziemką pozbawioną znajomości języka i jakichś oczywistych umiejętności. Pani domu poklepywała mnie, kiedyśmy się spotykały, trochę tak jak kota, ale odwracała się, zanim zaszła potrzeba wymiany słów. Słudzy też nie wiedzieli, jak ze mną postępować. Pokazywali mi, jak się przedzie len, żebym mogła pomagać w domu, ale moje dłonie uczyły się wolno, a że nie mogłam plotkować razem z nimi w kuchni, więc pozostawiano mnie samej sobie.

Moim głównym zajęciem było usługiwanie Re-nefer, ale ona wolała samotność, więc wynajdywałam sobie inne zajęcia, aby mieć czym wypełnić dni. Miejscem, które szczególnie sobie upodobałam w domostwie Nakht-re, były schody, toteż korzystałam z każdej wymówki, by móc chodzić po nich w górę i w dół, przyglądając się, jak główna komnata zmienia się z każdym stopniem. Wzięłam na siebie obowiązek zamiatania ich wieczorem i mycia rankiem i bardzo byłam dumna, że to ja ich pilnuję.

Kiedy tylko mogłam, wspinałam się aż na sam dach, gdzie północny wiatr wiejący od rzeki rozdymał płótno namiotu rozpiętego tam, aby dawał cień. Większość domowników sypiała w nim w upalne noce, ale ja nigdy się do nich nie przyłączałam, z obawy, że mogłabym męczyć innych swoimi koszmarami.

Z dachu przyglądałam się słońcu odbijającemu się w rzece i urodzie płynących w dole łodzi. Pamiętałam wciąż pierwszą wielką wodę, którą zobaczyłam jako mała dziewczynka, kiedy moja rodzina wyprawiła się z Charami na południe. Rozmyślałam też o rzece, nad

którą ja i Józef zostaliśmy napadnięci przez jakąś niewidzialną siłę i gdzie uratowała nas miłość naszych matek. Ale przypominało mi się również przyrzeczenie Szalema, że nauczy mnie pływać, i wtedy za gardło ścisnął mnie wielki ból. Jednak w takich chwilach tylko otwierałam szeroko oczy, tak samo jak w Mamre, i wpatrywałam się w horyzont, aby nie płakać i nie spaść z dachu niechcący.

Dni upływały w zamęcie nowych obyczajów, jednak noce były zawsze takie same. Zmagałam się ze snami, z których budziłam się cała złana potem, który przesiąkał moje pościele tak, jak krew Szalema przesączyła nasze łóżko, z trudem łapiąc powietrze i bojąc się wydać jakiś dźwięk. Rankiem bolały mnie oczy i pulsowało mi w głowie. Re-nefer uważała się nade mną i konsultowała ze swoją szwagierką. Kazały mi odpoczywać popołudniami. Wiązały czerwony powróż wokół mojej talii. Nakłaniały mnie do picia koziego mleka zmieszanego z dziwnym żółtym odwarem, który plamił mi język.

Kiedy mój brzuch stał się nabrzmiaty, kobiety z domostwa zaczęły mnie rozpieszczać. Minęło dużo czasu, odkąd w rodzinie Nakht-re było niemowlę, i wszystkie bardzo łaknęły takiego. Karmiono mnie różnymi zdumiewającymi potrawami, tak dla mnie egzotycznymi jak kwiaty w wiecznie kwitjącym ogrodzie za domem. Zajadałam się melonami o pomarańczowym albo różowym miększu i zawsze miałam pod dostatkiem daktyli. W liczne dni świąteczne poświęcone bogom albo rodzinnym ceremoniom podawano gęsi przyrządzone z czosnkiem albo ryby w sosie miodowym.

Najlepsze jednak z wszystkiego okazały się ogórki, najdoskonalsze pożywienie, jakie potrafiłam sobie wyobrazić, zielone i słodkawe. Nawet w żarze słońca ogórek pieścił język swym księżycowym

chłodem. Mogłam je jeść bez końca i nigdy mi nie obrzydły ani też nie rozchorowałam się od nich. Moja matka uwielbiałaby je, przyszło mi do głowy, kiedy po raz pierwszy wgryzłam się w wodnisty miąższ. Wtedy to po raz pierwszy od miesiąca pomyślałam o Lei. Moja matka nie wiedziała, że jestem brzemienna. Moje ciotki nie wiedziały nawet, że żyję. Aż zadygotałam z samotności.

Heria zauważyła, że drżą mi ramiona, i wzięwszy mnie za rękę, poprowadziła przez sień do frontowych drzwi. Zatrzymałyśmy się przy jakiejś ściennej niszy, gdzie pokazała mi gestem, że mam stamtąd wyjąć małą boginię. Był to wodny koń stojący na zadnich nogach, z ogromnym brzuchem i wielkimi, roześmianymi ustami.

- Taweret - powiedziała, dotykając glinianej figurki, a potem przenosząc dłoń na mój brzuch. Zmarszczyłam brew. Heria przycupnęła wtedy niczym rodząca kobieta i umieściła figurkę między swoimi nogami, a potem kolejnymi gestami zapewniła mnie, że Taweret zapewni łatwy poród.

Pani domu myślała, że ja się boję rodzić. Przytaknęłam i się uśmiechnęłam.

- Chłopiec - powiedziała i znowu pogładziła mnie po brzuchu.

Znów skinęłam głową. Wiedziałam, że noszę syna.

- Chłopiec - zgodziłam się w języku tego domu.

Heria opłótła moje dłonie wokół posążka, pokazując, że mam go sobie zatrzymać, i ucałowała mnie w policzki. Przez chwilę w moich uszach dźwięczał głośno śmiech Inny; miałam wrażenie, że stara położna jest razem ze mną w tej komnacie i że naigrawa się z przepowiedni, jakoby Taweret miała mnie wziąć pod swą opiekę.

W następnym tygodniu poczułam pod sercem dziwne trzepotanie, niczym skrzydeł ptaka. Byłam jak porażona piorunem od miłości do życia, które w sobie nosiłam. Szeptalam do mego nie narodzonego syna, kiedy kładłam się na spoczynek, i nuciłam mu piosenki z własnego dzieciństwa, kiedy zamiatałam albo przędłam. Rozmyślałam o swoim dziecku, kiedy zaplatałam włosy i kiedy się posiłam, rano i wieczorem.

Krwawe koszmary o Szalemie ustąpiły miejsca radosnym snom o jego synu, któremu nadałam imię Bar-Szałem. W tych snach mój syn nie był dzieckiem, lecz maleńką kopią swego ojca wtulonego w moje ramiona, snującego historie o dzieciństwie w pałacu, o cudach i dziwach rzeki, o życiu po drugiej stronie tego życia. W tych snach mój ukochany chronił mnie i walczył z wygłodniałym krokodylem, który chciał mnie atakować.

Nie znosiłam się budzić i nabrałam zwyczaju spania do coraz to późniejszych pór po to tylko, aby pozostać w tym śnie. Re-nefer pozwalała mi i na to, i na wszystko inne. Codziennie przed zaśnięciem obie przyglądałyśmy się mojemu brzuchowi, jak marszczy się i trzęsie.

- Jaki on silny - cieszyła się moja teściowa.

- Oby był silny - modliłam się.

Nie byłam gotowa, kiedy nadszedł mój czas. Pewna wszystkiego, czego nauczyłam się od Racheli i Inny, ani trochę nie lękałam się porodu; wszak byłam świadkiem przyjścia na świat tylu zdrowych dzieci i widziałam, jak odważne potrafią być matki. Tak więc uznałam, że tu nie ma się czego bać. Kiedy pierwszy ból ścisnął mój

brzuch i pozbawił mnie oddechu, przed oczyma stanęły mi wszystkie te kobiety, które mdlały, kobiety, które darły się wniebogłosy, szlochały i błagały o śmierć. Przypomniałam sobie pewną rodzącą, która zmarła z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia, i jeszcze inną, która zmarła w powodzi krwi, z oczyma zapadniętymi z wyczerpania.

Zaczęłam szlochać, kiedy moje wody odeszły i spłynęły mi po nogach.

- Matko! - płakałam, czując brak czterech ukochanych twarzy, czterech par czułych rąk. Jakże daleko one wszystkie były. Jakże byłam samotna. Jak ja tęskniłam za ich głosami mówiącymi słowa otuchy w moim własnym języku.

Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że moje ciało stanie się polem bitwy, ofiarą, sprawdzianem? Dlaczego nie wiedziałam, że poród to szczyt, na który muszą się wspinać kobiety, by dopiero wtedy odkryć w sobie odwagę do bycia matkami? Ale rzecz jasna tego nikt nie ma jak powiedzieć ani też nie ma tego gdzie usłyszeć. Dopóki nie jesteś kobietą kucającą na ceglach, dopóty nie masz pojęcia, że gdzieś w kącie czai się śmierć, gotowa odegrać swoją rolę. Dopóki nie jesteś kobietą na ceglach, dopóty nie znasz siły udzielającej ci się od innych kobiet - nawet obcych mówiących nieznanym językiem, wzywających imiona obcych bogiń.

Re-nefer stała za moimi plecami, przyjąwszy mój ciężar na swoje kolana, i chwaliła moją odwagę. Heria, pani domu, trzymała mnie za prawą rękę, mrużąc modlitwy do Taweret, Izydy i Besa, brzydkiego karłowatego boga, który kochał maleńkie dzieci. Kucharka, przy moim lewym boku, wymachiwała mi nad głową zakrzywionym kijem rzeźbionym w sceny narodzin, aby uśmierzyć jakoś te męczarnie. Przede mną przycupnęła Meryt, położna, która miała złapać

dziecko. Nie znałam jej, ale jej dłonie były tak pewne i tak delikatne, jak zapewne musiały być dłonie Inny. Dmuchała mi w twarz, żebym nie wstrzymywała oddechu, kiedy dopadał mnie ból, a nawet mnie rozśmieszała i sprawiała, że też na nią dmuchałam.

Cztery kobiety gawędziły nad moją głową, gdy skurcze ustępowały, i dodawały mi otuchy, gdy powracały. Wlewały mi owocowe soki do ust i ocierały mnie słodko pachnącymi ręcznikami. Meryt masowała mi nogi. Oczy Re-nefer lśniły od łez.

A ja płakałam i wrzeszczałam. Wyzbrałam się wszelkiej nadziei i modliłam się. Wymiotowałam i pozwalałam, by uginały się pod mną nogi. Ale mimo że kobiety marszczyły brwi, gdy ból nacierał na mnie, to jednak żadna nie wydawała się ani zmartwiona, ani niespokojna. I tak, pokrzepiona na duchu, zmagalam się dalej.

I w którymś momencie zaczęłam przeć, bo już nie pozostawało nic innego.

Parłam tak długo, aż mi się zdawało, że zaraz stracę czucie. Parłam, a dziecko wciąż się nie pojawiało. Minał jakiś czas. Znowu parłam. Żadnego postępu.

Meryt popatrzyła na Re-nefer i zauważyłam, że wymieniają spojrzenia, które widziałam między Rachelą i Inną dokładnie w takich samych chwilach, kiedy zwyczajne przejście życia w życie przeobrażało się w walkę między życiem a śmiercią i wydało mi się, że jakiś cień ukryty w zakamarku izby nachyla się ku mnie i memu synowi.

- Nie! - krzyknęłam przeraźliwie w moim ojczystym języku. - Nie! - znów zawołałam, tym razem w języku otaczających mnie kobiet. - Matko - zwróciłam się do Re-nefer - przynieś mi lustro, abym mogła się zobaczyć. - Przyniesiono mi lustro i lampę, dzięki czemu zobaczyłam, jak bardzo mam napiętą skórę. - Wsuń tam rękę

- powiedziała do Meryt, przypomniawszy sobie praktyki Inny. - Obawiam się, że on jest ułożony nogami w dół. Włóż tam rękę. i obróć jego twarz, a potem ramię.

Meryt spróbowała zrobić, jak kazałam, ale jej dłonie okazały się zbyt duże, a moja skóra zanadto napięta. Mój syn też był okazały.

- Przynieście nóż - powiedziałam, nieledwie krzyżąc. - Potrzebuję szerszych drzwi.

Re-nefer przetłumaczyła i Heria odpowiedziała jej pełnym powagi szeptem.

- W domu nie ma żadnego medyka, córko.

Re-nefer przetłumaczyła mi to.

- Zaraz po jakiegoś pošlemy, ale...

Te słowa docierały do mnie jakby z oddali. Chciałam tylko pozbyć się tego brzemienia, wygnać z siebie agonię i potem odejść w sen albo nawet umrzeć. Moje ciało krzychało, chciało przeć, ale kiedy cień w kącie przytaknął z aprobatą, nie usłuchałam.

- Ty to zrób - powiedziałam do Meryt. - Weź nóż i otwórz mu drogę. Proszę - błagałam, a ona patrzyła na mnie z bezrozumnym współczuciem.

- Nóż! Matko! - krzychałam z rozpaczą. - Rachelo, gdzie jesteś? Inno, co ja mam robić?

Re-nefer zawołała i przyniesiono nóż. Meryt ujęła go bojaźliwie. Kiedy wrzeszczałam i robiłam, co w mojej mocy, żeby nie przeć, przyłożyła ostrze do skóry i wycięła w niej drzwi, od przodu do tyłu, dokładnie tak, jak już to nieraz widywałam. Wsunęła rękę, aby poruszyć ramię dziecka. Ból był oślepiający, jakbym usiadła na słońcu. W następnej chwili dziecko znalazło się na zewnątrz. Jednak zamiast radosnego krzyku powitało je milczenie; pępownina oplatała mu szyję, jego wargi były sine.

Meryt natychmiast przystąpiła do działania. Rozcięła pępowinę ściskającą jego gardło i wzięwszy trzcinki, wyssała śmierć z jego ust i wdmuchnęła życie w jego nozdrza. Ja zaś wrzeszczałam, łkałam, rzucałam się. Heria obejmowała mnie i wszystkie razem przyglądałyśmy się zmaganiom położnej.

Widmowy psi łeb śmierci wysunął się do przodu, ale wtedy dziecko zakasłało i swym gniewnym krzykiem rozwiało wszelkie wątpliwości. W ciemnym zakamarku pojaśniało. Śmierć nie zagrzewa miejsca tam, gdzie ją pokonano. Dookoła mnie rozbrzmiało echo głosów czterech kobiet, echo ich głośnego śmiechu. Padłam z powrotem na posłanie i już nic więcej do mnie nie dotarło.

Kiedy się obudziłam, dookoła panował mrok. Obok mnie migotała samotna lampa. Posadzka została umyta i nawet moje włosy pachniały czystością. Dziewczyna pozostawiona, aby mnie doglądać, spostrzegła, że otwarłam oczy, i natychmiast pobiegła po Meryt, która przyniosła lniane zawiniątko.

- Twój syn - powiedziała.

- Mój syn - powtórzyłam całkiem ogłupiała, biorąc go w ramiona.

Dokładnie tak, jak nic nie ostrzega, że oto zbliża się poród, tak nic nie przygotowuje do widoku pierwszego dziecka. Obejrzałam jego twarz, palce, fałdki na jego maleńkich nóżkach, drobne loczki, maleńkie sutki na piersi. Wstrzymałam oddech, kiedy westchnął, zaśmiałam się, kiedy ziewnął, zdumiałam się, gdy uścisnął mój kciuk. Nie mogłam się napatrzeć.

Powinna istnieć jakaś pieśń albo modlitwa, którą kobiety mogłyby opiewać ową chwilę. Ale być może żadna taka nie powstała, bo

nie ma słów, którymi dałoby się tę chwilę, opisać. Tak jak każda matka od czasów pierwszej matki byłam zarazem ogłuszona i zamucona, podniecona i przybita. Oto na zawsze zostałam wykluczona z dziewczynskiego stanu. Oczyma duszy ujrzałam samą siebie jako niemowie, w ramionach matki i dostrzegłam przelotnie własną śmierć. Łkałam, sama nie wiedząc, czy to z radości czy z żalu. Moje matki i ich matki były ze mną, kiedy trzymałam własne dziecko.

- Bar-Szałem - wyszeptałam. A on wtedy ujął moją pierś i zaczął pić przez sen. - Szczęśliwce - powiedziałam wniebowzięta. - Dwie przyjemności naraz.

Potem spaliśmy razem pod czujnym okiem egipskiej położnej, kobiety, o której wiedziałam, że będę ją kochać już do końca życia, nawet gdybym nie miała jej nigdy więcej zobaczyć. W moim śnie tamtej nocy Rachela podała mi dwie złote cegły, a Inna sprezentowała mi srebrną trzcinę. Przyjęłam ich podarunki z powagą, z dumą, w towarzystwie Meryt stojącej u mojego boku.

Kiedy się zbudziłam, mojego syna nie było. Przeżrana usiłowałam się podnieść, ale ból przykuł mnie do posłania. Krzyknęłam głośno i wtedy zjawiała się Meryt z opatrunkami i maściami na rany.

- Gdzie mój syn? - spytałam w jej mowie. Meryt popatrzyła na mnie tkliwie i odparła:

- Dziecko jest z jego matką.

Pomyślałam, że źle ją zrozumiałam. Może nie użyłam właściwych słów. Spytałam raz jeszcze, powoli, ale ona pogładziła mnie litościwym gestem i potrząsnęła przecząco głową.

- Dziecko jest z jego matką, z panią.

Wciąż zdezorientowana krzyknęłam:

- Re-nefer! Re-nefer! Oni zabrali mojego chłopczyka! Matko, pomóż mi!

Re-nefer przysłała na moje wołanie, niosąc dziecko owinięte w koc z najprzedniejszego białego lnu obrzeżonego złotą nicią.

- Moje dziecko - powiedziała Re-nefer, stając nade mną - dobrze się spisalaś. W rzeczy samej byłaś wspaniała i wszystkie kobiety w Tebach dowiedzą się o twojej odwadze. A co do mnie, to na zawsze pozostanę ci wdzięczna. Syn, którego powiłaś na moich kolanach, będzie księciem Egiptu. Zostanie wychowany jako siostrzeniec wielkiego skryby Nakht-re i wnuk Pasera, skryby dwóch królestw, kronikarza samego faraona, króla egipskiego.

Spojrzała na moją skołowaną, ściągniętą żałością twarz i spróbowała mnie uspokoić, jednocześnie układając na łożu.

- W Egipcie to ja będę jego matką. Ty będziesz jego mamką i on się dowie, że to ty dałaś mu życie. Opieka nad nim będzie twoim błogosławieństwem, ale on będzie nazywał matką nas obie i zostanie tutaj do czasu, aż będzie gotów na pobieranie nauk, i za to możesz być wdzięczna. Albowiem to jest mój syn, Re-mose, dziecię Re, które ty urodziłaś dla mnie i mojej rodziny. On wybuduje mój grobowiec i wypisze na nim także twoje imię. Zostanie księciem Egiptu.

Wręczyła mi dziecko, które zaczęło kwilić, i ruszyła do wyjścia, zostawiając nas sobie samym.

- Bar-Szałem - szepnęłam mu do ucha.

Re-nefer usłyszała to i zatrzymała się. Nie odwracając się, by na mnie spojrzeć, powiedziała:

- Jeśli jeszcze raz nazwiesz go tym imieniem, każę wyrzucić cię z tego domostwa, prosto na ulicę. Jeśli nie podporządkujesz się moim poleceniom w tej sprawie, a także we wszystkich kwestiach dotyczących wykształcenia naszego syna, stracisz go. Musisz to w pełni pojąć.

Odwróciła się wtedy, a ja spostrzegłam, że ma mokre policzki.

- Całe moje życie jest tutaj, nad tą rzeką – powiedziała głosem nabrzmiałym od łez. - Zły los, zło, które skradło moje ka i cisnęło je pomiędzy bestie w zachodniej dzicy, nareszcie osiągnęło swój kres. Powróciłam do swej rodziny, do rodzaju ludzkiego, do służby Re. Radziłam się kapłanów, którym służy mój brat; są zdania, że twoje ka, twój duch, też musi przynależeć do tego miejsca, bo inaczej nie przeżyłabyś ani choroby, ani podróży, ani tego porodu.

Re-nefer popatrzyła na dziecko u mojej piersi i z nieskończoną czułością w głosie dodała:

- On będzie miał ochronę przed wszelkimi niepomyślnymi wiatrami, złoczyńcami i nienawistnikami. Będzie księciem Egiptu. - A potem szeptem, który bynajmniej nie krył jej stanowczości, dodała jeszcze: - Zrobisz, jak mówię.

Z początku słowa Re-nefer miały dla mnie niewielkie znaczenie. Bardzo wprawdzie dbałam, by nie nazywać swojego syna Bar-Szałem, kiedy ktoś jeszcze był obok, ale tak czy inaczej byłam mu matką pod każdym względem. Re-mose towarzyszył mi dniem i nocą, więc mogłam go karmić, kiedykolwiek zapłakał. Nie tylko spał u mego boku, ale też tuliłam go, bawiłam się z nim, zapamiętywałam wszystkie jego nastroje i uwidaczniające się przymioty charakteru.

Przez trzy miesiące oboje zamieszkiwaliśmy komnatę Re-nefer. Mój syn rósł z godziny na godzinę, nabierając ciała i kształtów, stając się najpiękniejszym dzieckiem, jakie się kiedykolwiek narodziło.

Pod dobrą opieką Meryt ozdrowiałam do końca i popołudniową porą, gdy przypiekał najgorszy skwar, Re-nefer przejmowała nad nim opiekę., dzięki czemu ja mogłam skorzystać z kąpeli i się zdrzemnąć.

Dni mijały, niczym się nie różniąc, nie wypełnione pracą, nie pozostawiając śladu w pamięci. Dziecko u mojej piersi stało się dla mnie pępkiem świata. Ja zaś służyłam za całe źródło jego szczęścia i w ciągu kilku tygodni bogini i ja stałyśmy się jednością.

U zarania jego czwartego miesiąca rodzina zebrała się w wielkiej komnacie, gdzie zasiadał Nakht-re w otoczeniu swych pomagierów. Kobiety ustawiły się pod ścianami, mężczyźni zaś zebrali się wokół dziecka i umieścili przybory skryby w jego małych rączkach. Malec zacisnął palce na trzciniowych pędzelkach, schwycił owalne naczynie do rozrabiania atramentu, po czym wyraźnie urzeczony zamachał zwojem papirusu niczym wachlarzem, co zachwyciło Nakht-re, który orzekł, że mały jest urodzonym skrybą. I takim to sposobem mój syn został przywitany w świecie mężczyzn.

Dopiero wtedy przypomniało mi się o ósmym dniu, kiedy to nowo urodzonych chłopców z mojej rodziny poddawano obrzezaniu, a świeżo upieczone matki kryły się w czerwonym namiocie, w towarzystwie starszych kobiet dodających im otuchy. Miałam wrażenie, że moje serce rozpękło się na połowy, z których jedna nie posiadała się z żalu, że bóg mego ojca nie pozna tego chłopca, że nie pozna go też Józef ani jego babki. A jednocześnie byłam taka dumna, że przyrodzenie mego syna pozostanie całe, bo niby czemu miałyby skazić je blizna, która przypominałaby o śmierci jego własnego rodzica? Dlaczego mój syn miałby składać swój napletek w ofierze bogu, w imię którego ja owdowiałam, a on sam stał się sierotą?

Tamtego wieczoru wyprawiono ucztę. Siedziałam na posadzce obok Re-nefer, która piastowała dziecko na kolanach, wsuwała mu do ust zmiążdżonego melona, łaskotała chłopca piórkami i kołysała go, a on śmiał się do gości, którzy przybyli świętować pojawienie się nowego syna w siedzibie Nakht-re.

Jadła i napitków podano w ilościach, których nie umiałam ogarnąć; były ryby i dziczyzna, owoce i łakocie tak słodkie, że aż cierpły zęby, wino i piwo, ile dusza zapagnie. Muzykanci przygrywali na piszczałkach i sistrum, osobliwych instrumentach wyposażonych w młoteczki wydające dźwięk przy potrząsaniu; ich czarowne brzmienie bardzo przypominało odgłos spadającej wody. Śpiewano głupie piosenki, pieśni miłosne i hymny dedykowane bogom. Kiedy pojawiły się sistrum, na środek posadzki wybiegła grupa młodych tancerek, które okręcały się i podskakiwały, a nawet potrafiły tak się wygiąć w tył, że dotykały posadzki czubkami nosów.

Wszystkim gościom dawano przy wejściu nakrycia głowy, stożki z perfumowanego wosku, który topniał przez cały wieczór, rozsiewając aromat lotosu i lilii. Moje dziecko, śpiące jak zabite, całe się kleiło od tych perfum, kiedy je odebrałam od Re-nefer; aromat przywarł do jego włosów na wiele dni.

Pośród licznych osobliwości tej mojej pierwszej ucztę w Egipcie najdziwniejsze było to, że kobietom wolno było jeść razem z mężczyznami. Mężowie i żony siedzieli obok siebie podczas całego posiłku i gawędzili ze sobą. Zauważyłam, że jedna z kobiet położyła rękę na ramieniu męża i że jeden z mężczyzna ucałował upierścienione palce dłoni swej towarzyszki. Nawet nie umiałabym wyobrazić sobie moich rodziców spożywających wspólny posiłek, a co

dopiero dotykających się na oczach wszystkich. To jednak był Egipt i ja byłam tu obca.

Tamta noc stanowiła kres mojego odosobnienia. Rany się zagoiły, a dziecko było zdrowe, więc posyłano nas oboje do ogrodu, aby nie brudziło posadzek i nie rozpraszało zapracowanych skrybów swym gaworzeniem. Tak więc spędzałam całe dni poza domem. Kiedy mój syn drzemał pośród kwiatnych grządek, ja pełłam i zbierałam to, o co prosiła kucharka, poznając przy tym kwiaty i owoce tej ziemi. Kiedy syn się budził, witały go trele egipskich ptaków i aż mu się oczy śmiały z uciechy, gdy zrywały się do lotu.

Ogród stał się domem dla mnie i nauczycielem dla mojego syna. Re-mose stawiał swe pierwsze kroki nad brzegiem wielkiego stawu pełnego ryb i wodnego ptactwa, którym przypatrywał się z ustami szeroko rozdziawionymi ze zdumienia. Nie dziwota więc, że jego pierwszymi słowami, oprócz „Ma”, były „kaczka” i „lotos”.

Jego babka wciąż znosiła mu wspaniałe zabawki. Niemal codziennie robiła mu niespodziankę, ofiarowując piłkę, bąka albo małą włóczęgę do polowania. Któregoś razu dała mu drewnianego kota, którego pyszczek zamykał się i otwierał za pociągnięciem sznurka. Mnie to cudo podobało się nie mniej niż mojemu dziecku. Mój syn kochał Re-nefer i kiedy ją widział, biegł do niej zaraz, aby przytulić się na przywitaniu.

W ogrodzie zapominałam o swoim nieszczęściu. Re-mose, który był zdrowy i pogodny, dał mi nie tylko cel do życia, ale i również pozycję, bo wszyscy domownicy uwielbiali go i uważali, że to dzięki mnie jest taki układny i miły.

Co dnia okrywałam pocałunkami własne palce i potem dotykałam nimi posążka Izdy, składając na jej ręce podziękowania

należne licznym egipskim boginiom i bogom, których historii nie znałam, z wdzięczności za ten dar, jakim był mój syn. Dziękowałam za każdym razem, kiedy mój syn tulił się do mnie, a raz na każde siedem dni ułamywałam kawałek chleba i karmiłam nim kaczkę i ryby, ku pamięci ofiary, jaką moje matki poświęcały Królowej Niebios, i tym sposobem modląc się o nieustające zdrowie mojego Re-mose.

Dni mijały błogo, przeobrażając się w miesiące, pochłonięte nie kończącymi się zadaniami wspartymi miłością do dziecka. Nie było mi w smak sięgać pamięcią wstecz i nie potrzebowałam przyszłości.

Zostałabym na wieczność w ogrodzie dzieciństwa Re-mose, ale czas jest wrogiem matki. Moje niemowlę odeszło, nim się połapałam, a potem na miejscu dziecka, które należało prowadzić za rękę, pojawił się ruchliwy chłopiec. Został odstawiony od piersi, a ja wyrzekłam się skromności Kanaanu i sposobem Egipcjanek przywdziałam przewiewną, lnianą koszulę. Re-mose golono głowę, pozostawiając pasmo, które nosił splecione w warkocz jak wszystkie egipskie dzieci.

Syn wyrósł mi na silnego i muskularnego chłopca, między innymi za sprawą brutalnych zabaw z Nakht-re, wujem, którego Re-mose nazywał Ba. Obaj uwielbiali się wzajem i Re-mose często towarzyszył tamtemu podczas polowań na kaczkę. Zdaniem Re-nefer pływał jak ryba. Ja nigdy nie opuszczałam domu i ogrodu, ale ona wypływała barką na rzekę, aby mu się przyglądać. Mój syn już jako siedmiolatek potrafił pokonać swego wuja nie tylko w seneta, ale nawet w dwadzieścia kwadratów, skomplikowane gry planszowe, które wymagały znajomości strategii i logicznego myślenia. Od czasu,

kiedy Re-mose potrafił utrzymać patyk w ręku, Nakht-re pokazywał mu, jak się układa obrazki z odłamków kamieni, najpierw w ramach zabaw, a potem jako nauczyciel uczniowi.

Re-mose w miarę, dorastania spędzał coraz więcej czasu w schronieniu domu wuja, przyglądając się Nakht-re przy pracy, ćwicząc pod jego okiem pisanie liter i spożywając wieczorne posiłki z Re-nefer. Któregoś ranka, kiedy towarzyszył mi przy śniadaniu w kuchni, zauważyłam, że sztywnieje i czerwieni się, bo przełamałam figę zębami i podałam mu połowę. Jak zawsze nie wyrzekł słowa, którym mógłby mnie zranić, ale odtąd przestał ze mną jadać i zaczął sypiać na dachu domu, a ja zostałam sama na moim posłaniu w ogrodzie, nie bardzo rozumiejąc, gdzie przepadło całe osiem lat.

Skończywszy dziewięć lat, Re-mose wkroczył w wiek, w którym chłopcy przywdziewają swój pierwszy pas, tym samym na zawsze rozstając się z latami nagości. Nadszedł dla niego czas pójścia do szkoły i zostania skrybą. Nakht-re zdecydował, że miejscowi nauczyciele nie są dostatecznie umiejętni dla jego siostrzeńca i że w związku z tym będzie uczęszczał do akademii w Memfis, gdzie pobierają nauki synowie najznamienitszych skrybów i gdzie on sam kształcił się swego czasu. Wyjaśnił mi to wszystko pewnego ranka w ogrodzie. Mówił to łagodnie i ze współczuciem, bo wiedział, jak bardzo mnie zasmuci odejście Re-mose.

Re-nefer polowała na targowiskach w poszukiwaniu właściwych koszyków na jego odzienie, sandałów, które byłyby trwałe, mocnej skrzyni, w której mógłby chować swoje pędzle. Zamówiła też u rzeźbiarza płytkę do mieszania atramentu. Nakht-re z kolei obmyślił wspaniałą ucztę, by uświetnić wyjazd Re-mose, i dał mu w prezencie komplet najprzedniejszych pędzli. Re-mose ze swej strony aż

wytrzeszczał oczy z podniecenia, że oto wyjeżdża w świat, i kiedy byliśmy razem, nie mówił o niczym innym.

Obserwowałam te wszystkie przygotowania jakby z samego dna jakiejś ciemnej studni. Kiedy usiłowałam porozmawiać z moim synem, oczy zachodziły mi łzami i ścisnęło mnie w gardle. Re-mose robił wszystko, żeby mnie pocieszyć.

- Ja przecież nie umieram, mamu - mówił z pełną powagą słodyczą, od której robiło mi się jeszcze smutniej. - Wrócę z podarkami dla ciebie, a kiedy już zostanę tak wielkim skrybą jak Ba, wybuduję dom z największym ogrodem na całych Południowych Ziemiach. - Ścisnęło mnie i ujmowało za rękę wiele razy podczas tych dni poprzedzających jego odejście. Zadzierał wysoko podbródek, abym nie myślała, że się boi albo że jest nieszczęśliwy, choć przecież był małym chłopcem, który po raz pierwszy w życiu rozstawał się ze swymi dwiema matkami i domem. Pocałowałam go po raz ostatni w ogrodzie, nieopodal tego stawu, nad którym dziwował się rybom i śmiał do kaczek, a potem Nakht-re wziął go za rękę.

Odprowadzałam ich wzrokiem z dachu domu, wcisnąwszy sobie skrawek materii do ust, dzięki czemu mogłam wreszcie płakać tak długo, aż mi zabrakło łez. Tamtej nocy stary sen powrócił z całą swoją mocą i tak oto znowu zostałam całkiem sama w Egipcie.

Rozdział drugi

Od dnia urodzenia syna moje życie obracało się wyłącznie wokół niego. Moje myśli nie błąkały się nigdzie samopas, tylko trwały przy jego szczęściu, a moje serce biło zgodnie z rytmem jego serca. Zachwycało mnie to samo, co budziło jego zachwyt, a że był takim kochanym dzieckiem, moje dni miały cel i dostarczały mi wielu przyjemności.

Kiedy opuścił dom, stałam się jeszcze bardziej samotna niżli na samym początku pobytu w Egipcie. Szalem był moim mężem przez kilka krótkich tygodni i pamięć o nim skurczyła się do smutnego cienia nawiedzającego sny, ale Re-mose był przy mnie przez całe moje dorosłe życie. Razem z jego dorastaniem moje ciało nabierało kształtów, a serce mądrości, bo teraz już rozumiałam, co to znaczy być matką.

Kiedy przyjrzałam się swemu odbiciu w lustrze stawu, ujrzałam kobietę o wąskich wargach, kręconych włosach i małych, krągłych oczach cudzoziemki. Jakże byłam niepodobna do swego smagłolicego, przystojnego syna, który najbardziej przypominał swego wuja i który powoli stawał się wcieleniem przepowiedni Re-nefer: księciem Egiptu.

Miałam niewiele czasu na rozmyślanie o swojej samotności, bo musiałam sobie zasłużyć na miejsce w wielkim domu Nakht-re.

Choć Re-nefer nigdy nie traktowała mnie nieuprzejmie, to jednak odkąd Re-mose odszedł, miałyśmy sobie coraz mniej do powiedzenia; wręcz mi się zdawało, że dzielące nas milczenie staje się złowieszcze. Rzadko kiedy zachodziłam do domu.

Urządziłam sobie własne miejsce w kącie ogrodowej szopy, w której trzymano sierpy i motyki - w miejscu, gdzie Re-mose zwykł chować swe skarby: kamyki, ptasie pióra, skrawki papirusu troskliwie zbierane w komnacie Nakht-re. Zostawiał tu te przedmioty, nawet się potem nie obejrzawszy, ale ja owijałam je w kawałki cienkiego lnu, jakby to były terafim z kości słoniowej, a nie zabawki porzucone przez dziecko.

Mężczyznom, którzy sprawowali dozór nad ogrodem, nie wadziło, że kręci się pośród nich kobieta. Pracowałam ciężko i oni doceniali moją rękę do kwiatów i owoców, które potem zanosiałam kucharkom. Nie szukałam towarzystwa i odrzucałam względy mężczyzn tak niezłomnie, że przestali mnie nachodzić. Kiedy napotykałam kogoś z rodziny mojego syna, kto szukał ochłody w ogrodzie, kiwaliśmy sobie głowami i nie wymienialiśmy nic oprócz uprzejmych pozdrowień.

Kiedy z Memfis przychodziły wieści o Re-mose, przysyłane przez Kara, jego mistrza i nauczyciela, Nakht-re osobiście mi je dostarczał. Tym sposobem dowiedziałam się, że Re-mose w czasie zaledwie dwóch lat opanował keymł, sztukę zapamiętywania, co dowodziło, że mój syn zajdzie wysoko i może nawet będzie służył samemu królowi.

Ani razu nie dotarły wieści, że miałby gościć w domu; Re-mose nie mógł odrzucać zaproszeń na polowania z synami samego namiestnika królewskiego. Potem mój syn uzyskał miano pomocnika

Kara, kiedy ów został wezwany do rozsądzenia jakiejś sprawy sądowej, która zajęła wiele tygodni w czasie, gdy inni chłopcy odwiedzali swoje rodziny.

Raz Nakht-re i Re-nefer odwiedzili Re-mose w Memfis, przy okazji pielgrzymki do grobu ich ojca, który tam właśnie się znajdował. Wrócili z czułymi pozdrowieniami dla mnie i wieściami o tym, jak wyrósł; po czterech latach przerósł już Nakht-re, stał się wygadany i pewien siebie. Przywieźli też dowody jego wykształcenia - gliniane tabliczki pokryte jego pismem.

- Popatrz tylko - powiedział Nakht-re, wskazując palcem wizerunek sokoła. - Popatrz, jak wspaniale oddał ramiona Horusa.

Ofiarowali mi ten skarb, który wyszedł spod ręki mojego syna. Zachwyciałam się nim, a nawet pokazałam Meryt, która była pod wielkim wrażeniem regularności i urody wizerunków wyrysowanych przez Re-mose. I byłam też wstrząśnięta tym, że mój syn potrafi dostrzegać znaczenie w kreskach wydrapanych na połamanych fragmentach glinianych tabliczek, i czerpałam pociechę z wiedzy, że któregoś dnia będzie wielkim człowiekiem. Mógł nawet zostać skrybą kapłanów Amona albo może nawet rządcą siedziby jakiegoś namiestnika królewskiego. Wszak Nakht-re orzekł, że Re-mose będzie mógł nawet ubiegać się o posadę przy samym faraonie! Wiedziałam, że mój syn wyrasta na mężczyznę i obawiałam się, że kiedy następnym razem się zobaczymy, będziemy sobie obcy.

Równie dobrze mogłam zniknąć podczas tych długich lat i zapewne nikt oprócz Meryt by tego nie zauważył. Ale Meryt zawsze tu

była, niezachwianie okazując mi dobroć nawet wtedy, gdy odwracałam się od niej i nie dawałam żadnych powodów, aby mogła mnie kochać.

Przez kilka tygodni po urodzeniu Re-mose położna odwiedzała mnie codziennie. Zmieniała opatrunki i przynosiła rosół ugotowany na kościach wołowych, abym nabrała siły, oraz słodzone piwo, żebym miała mleko. Rozcierała mi grzbiet zeszywniały od noszenia dziecka i niczym rodzona matka pomogła mi wziąć pierwszą kąpiel, polewając mnie chłodną, pachnącą wodą i owijając w świeży ręcznik.

Jeszcze długo po tym, jak przestałam żyć w odosobnieniu, Meryt wciąż przychodziła. Martwiła się o moje zdrowie i zachwycała dzieckiem; badała je dokładnie i powoli, a także delikatnie masowała, dzięki czemu spało całymi godzinami. W dniu, w którym mój syn został odstawiony od piersi, Meryt przyniosła mi podarek - figurkę z obsydianu przedstawiającą karmiącą matkę. Byłam nieco skołowana tą jej hojnością, ale kiedy próbowałam sprzeciwić się tym jej atencjom albo nie brać podarków, zawsze obstawała przy swoim.

- Życie położnej nie jest łatwe, ale to jeszcze nie powód, by było niemiłe - twierdziła.

Meryt zawsze gawędziła ze mną jak położna z położną. Nie liczyło się, że nie widziała mnie przy żadnym porodzie od czasu przyjścia na świat mego syna; wciąż szanowała mnie za umiejętności, jakie zdradziłam przy narodzinach Re-mose. Tamtego dnia, kiedy już było po wszystkim, wróciła do swego domu i poprosiła swoją panią, aby wywiedziała się o mnie, ile się tylko da; jej pani, Rudedit, wyciągnęła moją historię od Re-nefer, która wyjawiała zaledwie garść szczegółów. Meryt wzięła je i utkała z nich istną bajkę.

Otóż wedle opowieści Meryt byłam córką i wnuczką położnych, które znały się na ziołach i korach lepiej niż nekromanci z egipskiego On, gdzie naucza się sztuk uzdrawiania. Uważała mnie za kanańską księżniczkę, spadkobierczynię jakiejś potężnej królowej, obalonej przez króla-nikczemnika.

Nie wyprowadzałam jej z błędu, bojąc się, że gdybym wymieniła z imienia którąś z moich matek albo Inne, to wówczas zdradziłabym jej moją prawdziwą historię i w końcu zostałabym wyrzucona z domu Nakht-re, a razem ze mną mój syn za to, że w jego żyłach płynie krew morderców. Tak więc Meryt upiększyła rzecz o mnie i powtarzała ją wszystkim napotkanym kobietom, a było ich wiele, odbierała bowiem większość porodów w północnych dzielnicach, zarówno w siedzibach możnych, jak i nisko urodzonych. Wystawiała mnie przede wszystkim za to, że własnymi rękoma uratowałam życie memu synowi, zawsze pomijając swój w tym udział. Opowiadała też o mojej znajomości ziół i o sławie uzdrowicielki, jaką rzekomo zdobyłam w zachodniej dziczy. Te ostatnie elementy wymyśliła sobie całkiem samodzielnie. A kiedy jeszcze pomogłam jednej ze służek Nakht-re urodzić jej pierwsze dziecko, Meryt rozgłosiła wszem i wobec, jak to obróciłam sześciomiesięczny płód w łonie tamtej. Dzięki Meryt stałam się legendą wśród miejscowych kobiet, ani razu nie opuszczając granic ogrodu Nakht-re.

Meryt miała własną historię wartą wysłuchania. Urodziła się wprawdzie w Tebach, ale krew jej matki była przemieszana z krwią z dalekiego południa i dlatego jej cera miała barwy nubijskie. Jednak w odróżnieniu od Bilhy, której twarz pojawiała mi się przed oczyma,

kiedy słuchałam gadaniny mojej przyjaciółki, Meryt była wysoka i postawna.

- Gdybym nie została położną - mówiła - to wybrałabym życie tancerki najmowanej na okazałe przyjęcia w najlepszych domach, a nawet w królewskim pałacu. Ale życie płynie zbyt prędko - dodawała z żartobliwym westchnieniem. - Jestem już zbyt tęga, by tańczyć dla książąt - mówiła, klepiąc się po kościstym ramieniu, na którym nie było krztyny tłuszczu, i wybuchała zaraźliwym śmiechem.

Meryt potrafiła każdego doprowadzić do śmiechu. Nawet rodzące kobiety zapominały o bólu, bo tak się zaśmiewały z jej żartów. Kiedy Re-mose był mały, nazywał ją „przyjaciółką mamy”, jeszcze zanim pojęłam, że ona rzeczywiście jest moją przyjaciółką i błogosławieństwem.

Wiedziałam o Meryt wszystko, co trzeba było wiedzieć, bo ona uwielbiała mówić. Jej matka była kucharką, która poślubiła piekarza, i znano ją też jako śpiewaczkę, często wzywaną, aby występowała na przyjęciach u swego pana. Głębokie brzmienie jej głosu sprawiało, że widownia drżała z przyjemności.

- Gdyby nie obnażała piersi, wąpiliby, że jest kobietą - twierdziła Meryt.

Matka umarła, kiedy jej córka była jeszcze mała, a że w domu nie było dla niej miejsca, Meryt została odesłana tam, gdzie mieszkała aż do chwili, gdy ją poznałam. Jako dziecko nosiła wodę dla Rudedit, córki rodu z On, skąd kapłani słynęli jako magicy i uzdrowiciele. Pani patrzyła łaskawym okiem na Meryt i kiedy zorientowała się, że dziewczyna jest bystra, posłała ją na naukę do miejscowej położnej, kobiety o niespotykaniu długich palców, która przynosiła szczęście matkom.

Meryt wyrosła w tym domu na kobietę i podobnie jak jej matka poślubiła piekarza. Był zacnym człowiekiem, który traktował ją zbożnie. Łono Meryt okazało się jednak jałowe i nic nie potrafiło sprawić, aby wydało owoce. Po wielu latach Meryt i jej mąż przysposobili dwóch chłopców, którym rzeczna febra zabrała rodziców. Ci synowie, jeszcze nie mężczyźni, piekli chleb dla robotników z wioski budowniczych grobowców, na zachodnim brzegu rzeki.

Mąż odumarł ją dawno temu i Meryt, choć rzadko widywała synów, częstokroć chełpiła się ich umiejętnościami i zdrowiem.

- Moi chłopcy mają najpiękniejsze zęby, jakie w życiu widziałam - zapewniała uroczystym tonem; jej usta były jamą pełną rozkładu i jak dzień długi, żuła majeranek dla złagodzenia bólu.

Przez te wszystkie lata Meryt nie zachowała przede mną ani jednego szczegółu ze swego życia, w nadziei, że ja zdradzę jej coś o sobie. W końcu przestała ciągnąć mnie za język, ale nie przestała zapraszać, abym pomagała jej w odbieraniu porodów. Wstępowała do domu Nakht-re i prosiła Herię albo Re-nefer, abym mogła jej towarzyszyć. Obie kobiety kazały wtedy kierować prośbę do mnie, ale ja zawsze odmawiałam. Nie chciałam oddalać się od Re-mose i wcale też mnie nie kusiło zwiedzanie świata. Ani razu nie wyszłam z domu Nakht-re, odkąd tam przybyłam, i w miarę jak miesiące przerażały się w lata, zaczęłam się bać nawet samej myśli o tym. Byłam przekonana, że się zgubię, albo co gorsza, że w jakiś sposób zostanę odkryta. Wyobrażałam sobie, że ktoś rozpoznałby grzech mojej rodziny na moim obliczu i że zostałabym na miejscu rozerwana na

strzępy. Mój syn odkryłby niebawem prawdą o swej matce i o jej braciach, a swoich wujach. Zostałby pozbawiony dobrego życia, jakie bez wątpienia przydzielił mu los, i przekląłby moją pamięć.

Wstydziałam się tych tajemnych lęków, które sprawiły, że wyrzekałam się lekcji wpojonych mi przez Rachelę i Inne i tym samym ich pamięci. Bezżyteczność stała się mym więzieniem; nie mogłam robić tego, co wiedziałam, że powinnam.

Meryt nigdy się nie poddała. Czasami, kiedy jakiś poród szedł wyjątkowo źle, wracała później, nawet w samym środku nocy, budząc mnie z posłania w kącie ogrodowej szopy, aby o wszystkim opowiedzieć i spytać, co mogła zrobić lepiej. Często mogłam ją zapewnić, że zrobiła, co w jej mocy, i wtedy siedziałyśmy razem w milczeniu. Ale czasami po wysłuchaniu jej opowieści aż mi zamierało serce. Raz, kiedy pewna kobieta umarła wyjątkowo nagle podczas porodu, Meryt nie wpadła na pomysł, aby wziąć nóż i uwolnić dziecko z łona, przez co zmarli oboje. Nie ukryłam swego przerażenia dostatecznie dobrze i Meryt zauważyła wyraz mojej twarzy.

- No więc powiedzże mi - zażądała, chwytając mnie za ramiona. - Nie wydymaj teraz warg, wszak ty byś uratowała to dziecko. Naucz mnie przynajmniej, żebym też mogła spróbować.

Zawstydzona łzami Meryt zaczęłam jej opowiadać o metodach Inny, o tym, jak posługiwała się nożem, o jej sprytnych wybiegach. Staralam się jej wpoić umiejętność korzystania z ziół, ale brakowało mi egipskich terminów na niektóre rośliny i korzenie. Dlatego Meryt przyniosła swoje zapasy ziół i zaczęłyśmy tłumaczyć nazwy. Mówiłam, do czego moje matki używały pokrzywy, kopru i kolendry, a

ona przetrząsała targowiska w poszukiwaniu liści i nasion, których nie widziałam od dzieciństwa.

Meryt zносиła mi wszystkie kwiaty i łodygi, jakie sprzedawano na nabrzeżu. Niektóre z nich były mi znajome, ale inne cuchnęły, zwłaszcza miejscowe odwary, do których dokładano drobiny padłych zwierząt, mielone kamienie i muszle, a także najrozmaitsze ekskrementy. Egipcscy uzdrowiciele obkładali różne części ciała łajnem wodnych koni i aligatorów albo końskim i dziecięcym moczem, uzależniając swój wybór od pory roku. Bywało, że takie najdziwniejsze preparaty zdawały się pomagać, ale ja nie umiałam się nadziwić, jak ludzie tak dbali o schludność mogą się godzić na równie nieczyste leki.

Choć w Egipcie wiedza o ziołach była rozległa i wiekowa, to jednak z zadowoleniem stwierdziłam, że znam takie metody i zioła, o których oni wiedzieli niewiele. Meryt znalazła nasiona kopru na targowisku i bardzo się zdumiała, usłyszawszy, że one przydają się do leczenia ran. Kupiła miętę i hizop z nietkniętymi korzeniami, a te zakwitły w kwaśnej, czarnej glebie Egiptu. W domu Nakht-re nikt już się nie uskarżał na kwaśność w żołądku. Tym sposobem Meryt zaczęła słynąć „swymi” wymyślnymi ziołowymi lekami, a ja cieszyłam się, że mądrość moich matek nie idzie na marne.

Moje spokojne życie dobiegło kresu w czwartym roku od odejścia Re-mose z domu Nakht-re, kiedy to córka Rudedit miała stanąć na cegłach.

Miała na imię Hatnuf i było z nią źle. Jej pierwsze dziecko urodziło się martwe - w pełni rozwinięte i doskonałe pod każdym względem, a jednak nie miało w sobie życia.

Po latach poronień kolejne dziecko ukorzeniło się w jej łonie, ale panicznie bała się rozwiązania i po całym dniu zmagañ skurcze nie przynosiły żadnego postępu. Meryt była przy wszystkim, jednak pani domu posłała po kapłana-medyka, który śpiewał modlitwy, obwiesił pokój amuletami oraz usypał stos z ziół i koziego łajna, który miał odymiać Hatnuf od dołu.

Niestety, ta woń sprawiła, że rodząca zemdlała, upadła i zraniła się mocno w głowę. Rudedit przegnała medyka z izby, przykazawszy mu czekać pod drzwiami, gdzie ów recytował inkantacje nosowym pomrukiem kapłana. Dzień znowu przeszedł w noc, potem noc jęła jaśnieć, ustępując miejsca kolejnemu brzaskowi, a tymczasem bóleści wciąż nie malały i dziecko się nie ruszało. Hatnuf, jedyna córka pani, była bliska śmierci ze strachu i bólu, toteż Meryt poddała myśl, że należy wezwać mnie.

Tym razem nikt mnie o nic nie prosił. Meryt stanęła na progu mojej szopy, z Rudedit za plecami, opromieniona światłem brzasku. Zmęczenie zaledwie nieznacznie szpeciło urodę tej już niemłodej twarzy.

- Den-ner - wymówiła moje imię egipskim akcentem - musisz przyjść i uczynić, co w twej mocy dla mojego dziecka. Jesteś naszą ostatnią nadzieją. W izbie rodzącej unosi się już woń Anubisa. Zabierz swoje przybory i chodź ze mną.

Meryt prędko przedstawiła mi całą rzecz, a ja wtedy chwyciłam garść ziół, które suszyłam na krokwiach mojej szopy. Pani niemalże biegła. Ledwie zdążyłam zauważyć, że opuszczam ogród. Gdy obchodziliśmy dom Nakht-re od przodu, przypomniał mi się tamten dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam to miejsce, w poprzednim życiu. Światło słońca odbijało się od okutych złotem tyk wbitych w

ziemię przed wielką świątynią, z których w porannej martwocie wisiały bezwładnie płaty proporców. Dom Rudedit znajdował się tuż za ową budowlą, więc natychmiast dotarliśmy do izby, gdzie na posadzce leżała i głośno jęczała Hatnuf, otoczona domową służbą, niemal równie wyczerpaną jak rodząca.

W komnacie była śmierć. Dostrzegłam ją w cieniach za posążkiem Besa, przyjaznego opiekuna dzieci, który zdawał się krzywić z własnej bezsilności w tym miejscu.

Rudedit przedstawiła mi swojej córce, która spojrzała na mnie pustym wzrokiem, ale postępowała, jak jej kazałam. Ułożyła się na boku, abym mogła sięgnąć naoliwioną dłonią do wnętrza jej łona, jednak główka dziecka nie ożyła pod moim dotykiem. W komnacie było bardzo cicho, kiedy kobiety czekały na to, co zrobię albo o co je poproszę.

Cień śmierci zadarł swój psi łeb, wyczuwając moje przerażenie. Ale ta jego skwapliwość rozzłościła mnie. Przeklełam jego szczek, jego ogon i jego matkę. Przeklinałam w moim macierzystym języku, co brzmiało wulgarnie nawet teraz, po tylu latach słuchania egipskiej mowy. Me-ryt i pozostałe myślały, że wymawiam jakieś sekretne zaklęcie, i zamruczały z aprobatą. Nawet Hatnuf musiała się ożywić, bo toczyła w krąg wzrokiem.

Kazałam sobie przynieść oliwę i mózdzierz i zmieszałam najsilniejsze zioła, jakie miałam pod ręką: kokornak i ekstrakt z konopii, bo oba potrafiły sprawić, że łono wydalało swą zawartość na samym początku ciąży. Nie miałam pojęcia, czy i tym razem wywołają jakiś skutek, a nawet martwiłam się, że mogą zrobić coś złego, ale wiedziałam, że ta kobieta kona i że nie ma już nic do stracenia. Dziecko nie żyło już, ale to jeszcze nie był powód, aby nie ratować matki.

Podawałam ziołową mieszankę i niebawem dziewczynę chwyciły bóle. Pomogłam kobietom ustawić Hatnuf na cegłach, masowałam jej brzuch i starałam się wypchnąć dziecko. Hatnuf nie była w stanie ustać o własnych siłach i niebawem Meryt musiała zająć miejsce Rudedit za jej plecami; szeptała słowa zachęty, a ja znowu sięgnęłam do wnętrza łona, aby wymacać główkę dziecka, która dochodziła już do drzwi.

Bóle trwały teraz bez ustanku, skazując stojącą na cegłach niešťczęsną kobietę na nieopisane męczarnie. Z oczyma zapadniętymi w głąb czaszki padła bez zmysłów w ramiona Meryt, niezdolna dalej przeć.

Nastał już ranek, ale cień w komnacie nie pozwalał, aby promienie słoneczne rozproszyły mrok. Miałam policzki zalane łzami. Nie wiedziałam, co robić dalej. Inna opowiedziała mi kiedyś historię uwolnienia dziecka z łona martwej matki, ale przecież ta matka żyła. Nie miałam już żadnych sztuczek w zanadrzu, żadnych ziół.

I wtedy przypomniała mi się pieśń z gór Sychem, która tak ongiś zachwycała Inne.

- Nie lękaj się - zaintonowałam, bez trudu przypominając sobie melodię i przetrząsając pamięć w poszukiwaniu dalszych słów.

Nie lękaj się, nadchodzi czas
Nie lękaj się, kości masz mocne
Nie lękaj się, pomoc jest tuż obok
Nie lękaj się, Gula jest blisko
Nie lękaj się, dziecko stoi na progu
Nie lękaj się, będzie żyło, by przynieść ci zaszczyt
Nie lękaj się, ręce położnej są mądre
Nie lękaj się, pod sobą masz ziemię

Nie lękaj się, mamy wodę i sól
Nie lękaj się, mała matko
Nie lękaj się, matko nas wszystkich

Meryt zawtórowała mi, powtarzając owo „Nie lękaj się”, wyczuwając moc tych słów, mimo że ani trochę nie pojmowała ich znaczenia. Przy trzecim razie już wszystkie kobiety powtarzały za mną frazę „Nie lękaj się” i Hatnuf na powrót odzyskała oddech.

Krótko potem dziecko urodziło się i zaiste było martwe. Hatnuf obróciła twarz ku ścianie i zamknęła oczy, pragnąc pójść w jego ślady. Kiedy jednak Meryt zaczęła opatrywać jej biedne, storturowane łono wygotowanym lnem, Hatnuf znowu wydała okrzyk rodzącej matki.

- Jeszcze jedno dziecko! - zawołała Meryt. - Nuże, Den-ner! - powiedziała do mnie. - Chwytaj bliźniaka.

Hatnuf jeszcze raz się zapała i powiła dziecko, zgoła niepodobne do brata. Pierwszy syn był tłusty, doskonały i bez życia, ten zaś był drobny, pomarszczony i ryczał tak głośno, jakby miał płuca wołu.

Meryt roześmiała się, słysząc ten dźwięk, i cała komnata rozbrzmiała okrzykami, westchnieniami, śmiechami ulgi i radości. Zakrwawione, nie umyte, rozwrzeszczane dziecko podawano sobie z rąk do rąk, całowała je i błogosławiła kolejno każda z obecnych. Rudedit padła na kolana ze swoim wnukiem w objęciach, śmiejąc się i łkając jednocześnie. Ale Hatnuf nas nie słyszała. Mały przybył na świat w potoku krwi, który nie chciał wyschnąć. Żadne ilości zwitków tkanin nie były w stanie tego zatamować i po kilku chwilach od urodzenia syna Hatnuf szczyła, z głową na podolku swej matki.

Wnętrze izby prezentowało straszny widok: nieżywa matka, jedno dziecko martwe, niepozorny noworodek, który wył wniebogłosy, żądając piersi, która nie miała go nigdy nakarmić. Rudedit zastężyła w miejscu, pogrążona w żalu po jedynej córce, po raz pierwszy w życiu zostawszy babką. Meryt wtórowała swej zapłakanej pani, a ja wycofałam się ukradkiem, żałując, że odważyłam się opuścić ogród.

Po tamtych straszliwych zdarzeniach myślałam, że otrzymam zakaz chodzenia do porodów. Kiedy jednak Meryt rozgłosiła tę historię, uznano, że to dzięki mnie jedno dziecko przeżyło, urodzone w dniu tak znienawidzonym przez Seta, że chyba tylko cudem udało mu się zaczerpnąć choć jednego oddechu.

Niebawem przy wejściu do ogrodu Nakht-re zaczęli się pojawiać posłańcy z innych liczących się domów w Te-bach, z rozkazami, że mają nie wracać do domu bez położnej o imieniu Den-ner. Byli to słudzy kapłanów, skrybów i kogo tam jeszcze. Godziłam się tylko wtedy, gdy mogła mi towarzyszyć Meryt, ale ponieważ ona godziła się zawsze, obie stałyśmy się położnymi obsługującymi całe nasze sąsiedztwo, pełne wspaniałych domostw zamieszkałych przez wysoko urodzone kobiety i ich służki, które radowały się nadzwyczaj plennymi łonami. Wzywano nas co najmniej raz na siedem dni i za każde zdrowe dziecko nagradzano biżuterią, amuletami, cienkim lnem albo dzbanami oliwy. Meryt i ja dzieliłyśmy się tymi dobrami i choć ja potem ofiarowywałam swoje Re-nefer, to jednak ona nalegała, abym zatrzymywała je dla siebie.

Po roku moja szopa była zupełnie zagracona różnaitością przedmiotów, do których za nic nie miałam serca.

Któregoś dnia Meryt rozejrzała się po tym wnętrzu i stwierdziła, że przydałby mi się wiklinowy kosz na mój dobytek. A że posiadałam dużo więcej na wymianę, Meryt wybrała dzień, w którym miałyśmy udać się razem na targowisko.

Do tego czasu odebrałam już bardzo wiele porodów, a jednak wciąż bardzo się wzdrygałam przed wyprawami do zewnętrznego świata. Meryt wiedziała, że się trwożę, i trzymała mnie za rękę, kiedy opuszczaliśmy mój ogród, cały czas coś do mnie paplając, aby moje lęki mnie nie przytłoczyły. Przyłgnęłam do niej niczym małe dziecko, które boi się zgubić matkę, ale po jakimś czasie znalazłam w sobie odwagę, by przyjrzeć się widokom rojnego tebańskiego nabrzeża. Do żniw brakowało jeszcze wielu dni i większość rolników miała niewiele do roboty oprócz czekania, aż wszystko dojrzeje, dlatego też przy straganach siedziało wielu wieśniaków, którzy nie mieli na handel nic oprócz czasu.

Meryt wymieniła naszyjnik z paciorków, który dostała od jednej z matek, na słodki placek; posilałyśmy się nim podczas naszej wędrówki, ramię w ramię, od jednego straganu do drugiego. Dziwowałam się ilościom biżuterii wystawionej na sprzedaż i zastanawiałam, kogo stać na tyle błyskotek. Widziałam szewców, którzy wystawiali na pokaz tanie buty wykonane na zamówienie. Sznur mężczyzn czekał na swoją kolej u jednego szczególnego balwierza, słynącego z tego, że znał najciekawsze plotki. Odwróciłam wzrok od sterty kananejskich wełen, niewykluczone, że utkanych przez moje ciotki. Razem z Meryt śmiałyśmy się ze sztuczek małpy, która trzymała na smyczy wielkie psy o wygłodniałych pyskach i kazała im zebrać o ochłapy jedzenia.

Kiedy już napatrzyłyśmy się do syta, moja przyjaciółka stwierdziła, że czas ruszać na łowy, ale pierwszy wyplatacz koszyków, jakiego napotkałyśmy, nie miał nic dostatecznie dużego, co by odpowiadało moim potrzebom, więc szłyśmy dalej, mijając handlarzy winem i oliwą, piekarzy, ludzi sprzedających żywe ptactwo. Obejrzałyśmy też moc pięknych przedmiotów: rytą ceramikę kuszycką, kute wazy z brązu, domowe bóstwa i boginie, trójnożne stołki i krzesła. Mój wzrok padł na prześliczną skrzynię z wykładanym wiekiem, obrazującym ogród, z kości słoniowej, fajansu i macicy perłowej.

- Oto przedmiot godny grobowca naszego pana - orzekła Meryt ze szczerym podziwem.

Obok skrzyni pojawił się cieśla, który ją wykonał; jął przytaczać jej historię: gdzie nabył akacjowe drewno, jakie miał kłopoty z osadzaniem kawałków kości. Mówił z namysłem i powoli, jakby opowiadał baśń, a nie starał się coś sprzedać. Nie odrywałam oczu od skrzyni, kiedy to wszystko opowiadał, wsłuchana w ciepło jego głosu i wpatrzona w dłonie, które gładziły wzory rękodzieła.

Meryt zaczęła się z nim droczyć.

- Za kogo ty nas masz, niegodziwcze? - spytała. - Myślisz, że jesteśmy bogaczkami przebranymi za położne? Któż inny, jak nie bogacz, mógłby sobie pozwolić na coś równie wspaniałego? Któż mógłby pragnąć takiego dzieła sztuki, jak nie budowniczy grobu samego faraona? Naigrawasz się ze mnie, mały człowieczku - dodała.

Mężczyzna skwitował to śmiechem i odparł:

- Jeśli uważasz mnie za małego, to w takim razie musisz pochodzić z jakiejś ziemi gigantów, siostró. Zwią mnie Benia - przedstawił

się. - I potarguj się ze mną, kto wie, może się zdziwisz cenami przy moim straganie. Wszak wszystko zależy od kupującego, moja miła - teraz on się z nią droczył. - Piękne kobiety zawsze dostają, czego chcą.

Meryt w tym momencie zaniósł się śmiechem i dźgnęła mnie w żebra, ale ja się nie odezwałam, bo wiedziałam, że jego słowa skierowane są do mnie. Po chwili Meryt również pojęła, że cieśla mówił do mnie i że brzmienie jego głosu i łagodność jego sformułowań poruszyły mnie, choć nie przemówiłam ani słowem.

Moje palce, jakby kierowane własną wolą, obwiodły wzór z mlecznobiałych liści, którym ozdobiona była skrzynia.

- To pochodzi z serca pewnego morskiego stworzenia, które żyje daleko na północy - rzekł Benia, wskazując inny fragment wzoru.

Zauważyłam, jak duże ma dłonie, masywne i ciężką pracą ukształtowane w góry i doliny mięśni, o palcach grubych niczym konary młodego drzewka owocowego.

Zauważył, że mu się przyglądam, i schował ręce, jakby się ich wstydził.

- Kiedy się urodziłem, moja matka spojrzała raz na mnie i aż krzyknęła, zobaczywszy je - wyjaśnił Benia. - Już wtedy były o wiele za duże w porównaniu z resztą ciała. „Toż to rzeźbiarz”, powiedziała do mojego ojca, który oddał mnie do terminu u najlepszego kamieniarza. Niestety, zabrakło mi talentu do pracy w kamieniu. Alabaster pękał, ledwie nań spojrziałem, i nie poddawał mi się nawet granit. Tylko drewno rozumiało moje dłonie. Drewno, jędrne, ciepłe i żywe, przemawia do mnie i mówi mi, gdzie je ciąć, jak je kształtować. Kocham moją pracę, pani.

Zerknął mi w oczy, które podniosłam ku jego twarzy, kiedy to wszystko mówił.

Meryt zauważyła tę naszą wymianę spojrzeń i zamilkła niczym sprytna handlarka rybami.

- To jest Den-ner, rzemieślniku, wdowa i najlepsza położna w całym Tebach. Przyszliśmy na targ, aby znaleźć jakiś prosty koszyk, by miała w czym składować zapłaty od wdzięcznych matek.

- Ależ koszyk to rzecz zbyt skromna - rzekł Benia, przystępując do targów z Meryt. - Pozwól, że obejrzę, co mi przyniosłaś na wymianę, matko, bo siedzę tu cały dzień i coś nie mam szczęścia.

Meryt rozpakowała naszą kolekcję błyskotek: rzeźbiona płytka służąca do ucierania malachitu, dzięki czemu powstawał zielony cień do powiek, duży skarabeusz z chalcedonu, nazbyt czerwony jak na mój gust, oraz piękne nakrycie głowy z paciorków, dar pewnej urodziwej młodej nałożnicy, która powiła zdrowego chłopczyka i oddała go zaraz swej pani, nawet nie rzuciwszy nań okiem. (Meryt i ja byliśmy świadkami wielu dziwnych zdarzeń w tebańskich izbach porodowych.)

Benia udał, że jest zainteresowany skarabeuszem.

- Może dla twojej żony? - spytała Meryt, nie siląc się na żadne subtelności.

- Nie mam żony - odparł z prostotą Benia. - Mieszkam w domu mej siostry, już od wielu lat, ale jej mąż bardzo by chciał zająć moje miejsce przy stole. Niebawem opuścę miasto, będę żył wśród robotników z Doliny Królów - wyjaśnił powoli, znowu zwracając się do mnie.

To zainteresowało Meryt, która opowiedziała mi o swych synach piekarzach, zatrudnionych na rzecz pracujących tam robotników.

- Jeśli rzeczywiście tam się udam, to ich odszukam - obiecał Benia i dodał: - Sam dostane, dom na własność, tak jak się należy mistrzowi rzemiosła. Cztery izby, tylko dla mnie samego - powiedział, jakby już słyszał własny głos kołaczący się echem po pustce tych wnętrz.

- Co za szkoda, cieślo - odparła Meryt.

Oboje wymieniali się tymi zapewnieniami na moją korzyść, a ja tymczasem gładziłam palcami brzegi stawu, którym Benia ozdobił wieko skrzyni. Chciałam cofnąć dłoń, ale nie zdążyłam, bo Benia nakrył ją swoją dłonią.

Bałam się spojrzeć mu w twarz. Może zwyczajnie naigrawał się ze mnie. Może sobie wymyślił, że jeśli dobije ze mną tak niedorzecznego targu, a więc wymieni jakąś piękną błahostkę na dzieło sztuki, to ja potem pozwolę mu wykorzystać swe ciało. Kiedy jednak Meryt dźgnęła mnie pod żebra, abym się odezwała, zobaczyłam na obliczu cieśli jedynie dobroć.

- Przynies skrzynię do wrót ogrodu przy domu Nakht-re, skryby kapłanów Amon-Re - przykazała Meryt. - Przynies ją jutro. - I z tym wręczyła mu skarabeusza.

- Jutro rano - przyrzekł i wtedy opuściliśmy go.

- A to ci udany nabytek, dziewczyno - cieszyła się Meryt. - Skarabeusz okazał się nadzwyczaj szczęśliwy; kupiłaś sobie za niego nie tylko skrzynię, ale i męża.

Potrząsnęłam głową i uśmiechnęłam się do przyjaciółki, jakby to dla mnie była tylko czcza gadanina, ale nie wyrzekłam tego na głos. W ogóle się nie odezwałam, bo byłam jednocześnie zawstydzona i podniecona. Między nogami czułam nieznanome napięcie, a na moje policzki wystąpił rumieniec.

A jednak nie do końca rozumiałam stan własnych uczuć, wszak nic z tego, co zaszło na targowisku, nie przypominało mojego

pierwszego spotkania z Szalemem. Obojga nas z Benią nie owiał gorący wiatr. Wszystko zdawało się znacznie chłodniejsze i spokojniejsze. Mimo to moje serce biło szybciej i wiedziałam, że pojaśniały mi oczy.

Benia i ja wymieniliśmy ledwie kilka słów i nasze palce się zetknęły. A jednak wciąż czułam się związana z tym obcym mi człowiekiem. I nie miałam wątpliwości, że on czuje to samo.

Przez całą drogę do domu stawiałam kroki w rytm przepętniającego mnie zdumienia : „Jak to możliwe? Jak to możliwe?”

Kiedy zbliżyłyśmy się już do domu Nakht-re, Meryt przerwała swoje nienaturalne milczenie i powiedziała ze śmiechem w głosie:

- Jeszcze będę odbierała twoje dzieci. Wedle moich szacunków nie przeżyłaś na tym świecie więcej niż trzydzieści lat. Dzięki tobie zobaczę kiedyś własne wnuki, córko mego serca. - To rzekłszy, ucałowała mnie na pożegnanie.

Kiedy jednak weszłam do ogrodu, Benia odszedł w niepamięć. W domu panował nieopisany harmider. Re-mose wrócił!

Przybył tuż po tym, jak wyszłam na targowisko. Posłano służących, aby mnie odszukali, a ponieważ nigdy nie opuszczałam domu Nakht-re, nie poinformowawszy o tym pierwiej Re-nefer, ta wystraszyła się i nawet wystosowała wiadomość do swej przyjaciółki Rudedit. Kiedy moja teściowa zobaczyła, jak wchodzę na dziedziniec z niedojdzonym kawałkiem placka w rękę, zeżliła się i okrzyknęła na

pięcie, nic nie mówiąc. Dopiero kucharka kazała mi się pospieszyć i iść zobaczyć syna, który przybył do domu, aby wyzdrowieć.

- Wyzdrowieć? - spytałam, nagle zmrożona ze strachu. - To on był chory?

- Ależ skąd - odparła z szerokim uśmiechem. - Powrócił do domu, aby wyzdrowieć po obrzezaniu i świętować osiągnięcie wieku męskiego. Tak więc w tym tygodniu czeka mnie praca od świtu do zmierzchu - dodała i uszczypnęła mnie w policzek.

Ja tymczasem nie usłyszałam nic oprócz słowa „obrzezanie”. Huczalo mi w głowie i łomotało w sercu, kiedy wparowałam do wielkiej komnaty, gdzie obok krzesła Nakht-re spoczywał na noszach Re-mose. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się beztrąsko, bez śladu bólu na twarzy całkiem teraz odmienionej.

Minęło blisko pięć lat od czasu, kiedy się ze mną rozstał, i tamten mały chłopiec wyrósł na młodego mężczyznę. Włosy, które przestał wygalać, urosły gęste i czarne. Ramiona zrobiły się muskularne, nogi nie były jedwabście gładkie, przypominał urodę ojca.

- Mamo - zagaił młodzieniec, który był moim synem. - Mamo, jak ty dobrze wyglądasz. Jeszcze lepiej, niż cię zapamiętałem.

Z jego strony te słowa stanowiły wyraz zwykłej uprzejmości. Był księciem Egiptu przemawiającym do służki, która go urodziła. Było dokładnie tak, jak się obawiałam: staliśmy się sobie obcy i sposób życia każdego z nas nie dopuszczał, abyśmy byli dla siebie kimś więcej. Dał gestem znać, że mam podejść i usiąść przy nim, co Nakht-re potraktował uśmiechem aprobaty.

Spytałam go, czy cierpiał, a on zbył pytanie machnięciem ręki.

- Nic mnie nie boli - powiedział. - Zanim zaczęli ciąć, dali mi wina zaprawionego wywarem z maku i po wszystkim też mnie nim spoił - wyjaśnił. - A zresztą to wszystko stało się przed tygodniem i nieledwie już ozdrowiałem. Czas świętować, wróciłem do domu na ucztę. Ale jak ty się masz, mamó? - spytał. - Mówiono mi, że jesteś teraz wysławianą położną, że tylko tobie najwspanialsze kobiety Teb ufają, kiedy wzywają do porodu.

- Służę, jak umiem - odparłam cicho, kwitując tak jego pytanie, bo cóż kobieta mogła opowiedzieć mężczyźnie o noworodkach i krwi? - Za to ty, synu, powiedz mi, czego się nauczyłeś. Opowiedz mi o swoich latach w szkole, o przyjaźniach, o zaszczytach, jakich dostąpiłeś; twój wuj wszak twierdzi, że okazałeś się najlepszy wśród swych rówieśników.

Chmura zasnuła twarz Re-mose i wtedy rozpoznałam tego małego chłopca, który wybuchał łzami, kiedy znalazł martwą kaczkę w ogrodzie. Jednak mój syn nie opowiedział o tym, że szkolni koledzy znęcali się nad nim, ani też nie powtórzył drwiących okrzyków, które ścigały go wszędzie podczas pierwszego roku nauki: „Gdzie twój ojciec? Nie masz ojca!”

Re-mose nie opowiedział o swej samotności, która spotęgowała się, gdy dowiedział, że jest najlepszy, gdy nauczyciel go zauważył i uczynił swoim ulubieńcem. Opowiadał jedynie o Karze, swym mistrzu, którego kochał i którego słuchał we wszystkim, a który go rozpieszczał. W odróżnieniu od innych panów Kar nigdy nie bił swych uczniów ani też nie karmił ich za błędy.

- Najzacniejszy człek, jakiego w życiu poznałem, nie licząc wuja - powiedział Re-mose, ujmując Nakht-re za rękę. - Wróciłem do

domu nie tylko po to, by świętować moją dorosłość, lecz również wspinały dar, jaki dostałem od Kara. Otóż mój nauczyciel chce, abym towarzyszył mu w jego wyprawie na południe, do Kusz, gdzie ożył handel hebanem i kością słoniową i gdzie przyłapano rządca na sprzeniewierzeniu się faraonowi. Sam król poprosił Kara, aby pojechał i dopatrywał mianowania nowego namiestnika i aby ponadto zliczył wszystkie towary i sporządził sprawozdanie na temat tego, co tam zastał. Ja mam asystować mojemu nauczycielowi, gdy będzie zasiadał jako sędzia i ludzie będą doń przychodzili z prośbą o rozsądzenie ich sporów. - Re-mose urwał, abym dobrze usłyszała wagę jego następnych słów. - Pouczono mnie, abym zapoznał się z obowiązkami rządcy. Po tej wyprawie moje wykształcenie się dopełni, otrzymam własny obstalunek i zacznę zarabiać na honor mojej rodziny. Mój wuj jest zadowolony, matko. Czy ty też jesteś rada?

Pytanie zabrzmiało szczerze, słysząc w nim było tęsknotę chłopca, który prosi swą matkę, aby pochwaliła go za osiągnięcia.

- Ależ jestem rada, synu. Jesteś wspinałym mężczyzną, który przyniesie zaszczyt temu domowi. Życzę ci szczęścia, dobrej żony i wielu dzieci. Jestem z ciebie dumna i chełpię się tym, że jestem twoją matką.

Tyle tylko mogłam powiedzieć. Tak samo jak on nie chciał mi się przyznać do cierpień, jakich zaznał w szkole, tak ja nie wymawiałam mu swej tęsknoty za nim ani też nie żaliłam się na to, jak puste było moje serce, jak bardzo pozbawił me życie światła swym odejściem. Popatrzyłam mu w oczy, a on odwzajemnił się spojrzeniem pełnym

czułości. Pogładził mnie po ręce i przyłożył ją do ust. Serce zabiło mi w rytm bliźniaczych bębnow szczęścia i samotności.

Dwie noce później przyglądałam się Re-mose z przeciwległej strony komnaty podczas uczty wydanej na jego cześć. Siedział obok Nakht-re i jadł niczym mały chłopiec, który od tygodnia nie miał nic w ustach. Popijał wino, a jego oczy aż lśniły z podniecenia. Ja też piłam wino i wpatrywałam się w syna, zastanawiając nad życiem, jakie było mu pisane, zdumiona, że jest już mężczyzną, zaledwie kilka lat młodszym od jego ojca, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, w domu jego ojca.

Stojący na skraju wieku męskiego Re-mose przewyższał Nakht-re o głowę, miał czyste oczy i był prosty jak drzewo. Re-nefer i ja siedzieliśmy obok siebie po raz pierwszy od wielu lat i podziwialiśmy tego mężczyznę-dziecko, który nam obu dał powód do życia. Przejechałam dłonią po jej dłoni, a ona nie cofnęła jej pod moim dotykiem, tylko ścisnęła me palce i przynajmniej przez chwilę dzieliłyśmy się jedną miłością do naszego syna, a poprzez niego do nienazanego syna i męża z Sychem.

Jedna ze służek, nad wyraz urodziwa, wlepiła w niego wzrok, a on odwzajemnił spojrzenie. Zaśmiałam się na myśl, że to dziecko, którego siedzenie myłam, teraz rozgrzewa się na widok kobiety. Twarz mnie bolała od uśmiechu, a jednak moje westchnienia były tak głośne, że Re-nefer odwróciła się do mnie i spytała, czy coś mnie boli.

Była to najwspanialsza uczta, jaką kiedykolwiek widziałam, a uczestniczyło w niej wielu tebańskich wielmożów. Kwiaty lśniły w świetle stu lamp, a powietrze było gęste od woni smakowitego jadal, świeżego lotosu, kadzidła i perfum. Śmiech, podsycany sześcioma gatunkami piwa i trzema odmianami wina, dźwięczał w komnacie, a

tancerki płażały i wirowały tak, że aż całe lśniły od potu i ciężko dyszały.

Wynajęto też drugą trupe, muzykantów, aby wymieniali się z miejscowymi artystami. Ci przywędrowali zza rzeki, po drodze wstępując do świątyń i możliwych domów, aby tam dawać swe pokazy, ale w odróżnieniu od innych nie chcieli przygrywać tancerkom, tylko nalegali, aby widownia wtórowała im w pieśniach, które rzekomo miały magiczne właściwości. Przewodziła im tajemnicza kobieta w woalu. Niewidoma, jak to się często zdarza wśród muzyków, była mistrzynią gry na sistrum.

Wieść gminna niosła, że artystka uniknęła kłów Anubisa i tym sposobem wygrała drugie życie, jednak on odgryzł jej twarz i dlatego nosiła ten woal. Te historie opowiadano z towarzyszeniem mru-gania i kuksania się pod boki, bo Egipcjanie dobrze wiedzieli, że dosadne historie przydają się do nakręcania interesów. A mimo to, kiedy wprowadzono ją do komnaty, zapadła pełna wyczekiwania cisza i podchmieleni biesiadnicy wyprostowali się.

Kobieta była ubrana na białą, od stóp do głów spowita w przejrzystą materię, która licznymi warstwami spływała na posadzkę. Renefer nachyliła się w moją stronę i szepnęła:

- Ona przypomina kłęb dymu.

Niewidoma przysiadła na zydłu, uwolniła dłonie z szat, aby ująć sistrum, i w tym momencie gościom głośno zapało dech, bo jej dłonie były równie białe jak jej szaty, nieziemsko blade, jakby wypalił je jakiś straszliwy ogień. Cztery razy potrząsnęła instrumentem, dobywając zeń cztery całkiem różne dźwięki, sprawiając, że słuchacze raptownie otrzeźwieli i uciszili się, by słuchać.

Na początku muzykanci odegrali lekką melodie, na fletach i bębenkach, potem samotna trąbka wykonała żałobną melodię, pod której wpływem kobiety wzdychały, a mężczyźni gładzili się po brodach. Stara dziecięca piosenka wywołała uśmiechy na wszystkich twarzach, uśmiechy, w które normalnie zbroją się mali chłopcy i dziewczynki.

W tej muzyce zaiste kryła się magia, która potrafiła przeobrazić najczarniejszy smutek w najjaskrawszą radość. Goście klaskali, unosząc ręce w stronę artystów, i podnosili puchary z wdzięczności dla Nakht-re, że zgotował im tak wspaniałą rozrywkę.

Kiedy owacje ucichły, artystka grająca na sistrum zaczęła śpiewać, akompaniując sobie na swym instrumencie i pojedynczym bębenu. Była to długa pieśń, złożona z wielu zwrotek. W historii, którą opowiadała, nie było niczego znaczącego: ot, opowieść o znalezionej i utraconej miłości - najstarsza historia świata. Jedyna historia.

Na samym początku pieśni mężczyzna odwzajemnił miłość dziewczyny i oboje zachwycili się sobą. Ale potem opowieść przybrała smutny obrót i kochanek wzgardził miłością swej wybranki, zostawiając ją samą. Dziewczyna płakała i modliła się do Złotej Pani Hathor, ale bez skutku. Ukochany już jej nie chciał. Smutek dziewczyny nie miał końca i nie dawał się znieść. Kobiety szlochały otwarcie, każda wspominając swoją młodość. Mężczyźni ocierali oczy, nie wstydząc się łez, wspominając swe najwcześniejsze namiętności. Nawet najmłodszy z obecnych wzdychali, czując ból straty, którą dopiero mieli poznać.

Pieśń dobiegła końca i zapadła długa cisza. Niewidoma wygrywała teraz spokojniejsze melodie, ale rozmowy ustały. Nie podnoszono już pucharów. Re-nefer powstała i bezceremonialnie wyszła,

a potem wyszli też wszyscy goście, jeden po drugim. Uczta zakończyła się głośną, komnata opustoszała przy akompaniamencie westchnień i podziękowań wypowiedzianych półgłosem. Muzykanci spakowali instrumenty i wyprowadzili swą główną wykonawczynię. Część służby zasnęła na posadzce, zbyt wyczerpana, aby już teraz brać się do porządków. W domu zapanowała całkowita martwota.

Do świtu brakowało jeszcze kilku godzin, kiedy zmierzałam do miejsca, gdzie pokładli się muzycy. Zawołowana artystka siedziała oparta o ścianę, pogrążona w bezruchu. Myślałam, że ona też śpi, ale odwróciła się, wyciągając ręce, by sprawdzić, kto do niej podszedł. Ujęłam jej dłonie, małe i chłodne.

- Werenro - powiedziałam.

Była wyraźnie zaskoczona, słysząc mój akcent.

- Kanaan - rzekła pełnym gorczy szeptem. - Tak w tym kraju brzmiało moje imię, kiedy mnie torturowano.

- Byłam dzieckiem - odparłam. - Ty przyniosłaś wieści od Rebecki, mojej babki. Opowiedziałaś nam coś, czego nigdy nie zapomniałam. Ale przecież ciebie zamordowano, Werenro. Byłam z wizytą u mojej babki, kiedy cię przynieśli. Widziałam, jak grzebali twoje kości. Czyżbyś naprawdę wróciła spośród zmarłych?

Zapanowała długa cisza; kobieta pochyliła głowę zakrytą welonem.

- Tak - odparła. A po chwili dodała jeszcze: - Nie. Ja nie uciekłam. Prawda jest taka, że ja nie żyję... Jakie to dziwne znaleźć ducha z tamtych czasów tutaj, w wielkim domu nad rzeką. Powiedz mi - spytała - czy ty też jesteś martwa?

- Być może - odrzekłam, wzdrygając się.

- Pewnie tak jest, bo żywi wszakże nie zadają takich pytań ani też nie znoszą bólu prawdy bez pocieszenia w muzyce. Martwi rozumieją. Czy znasz twarz śmierci? - spytała.

- Tak - potwierdziłam, przypomniawszy sobie podobne psom cienie, które towarzyszyły tak wielu porodom, cierpliwe i spragnione jednocześnie.

- Ach - westchnęła i bez uprzedzenia uniosła woal. Wargi miała całe, ale reszta twarzy była poszarpana i popalona, nos złamany i rozdarty, policzki zapadnięte i przeszyte głębokimi bliznami, oczy jak mleczone kamienie. Zdawało się niemożliwe, że ktoś dał radę przeżyć takie zniszczenia. - Opuszczałam Tyr z dzbanem pełnym purpurowego barwnika, dla niej, dla babki. Świtało już i niebo przyćmiło urodą namioty Mamre. Patrzyłam właśnie w górę, kiedy na nas napadli. Było ich trzech, Kananejczycy tacy jak inni, brudni i głupi. Nie powiedzieli nic ani do mnie, ani między sobą. Zabrali mi sakiewkę i koszyk, rozpruli je, a potem napadli na mnie.

Werenro zaczęła się kołysać, tam i z powrotem, ale jej głos nie miał w sobie życia.

- Ten pierwszy przyparł mnie do ziemi na samym środku drogi. Ten drugi zdarł ze mnie odzienie. Trzeci zadarł własną szatę i rzucił się na mnie. Opróżnił się we mnie, która nigdy przedtem nie obcowałam z mężczyzną. A potem splunął mi w twarz. Potem drugi wziął swoją kolej, ale nic mu nie wyszło, więc zaczął mnie okładać pięściami, przeklinając za to. Złamał mi nos, wybił kilka zębów i dopiero wtedy, gdy zalałam się krwią, rozognił się dostatecznie, by móc dokonać tego, co chciał. Ten trze ci obrócił mnie twarzą ku

ziemi i rozdarł mnie od tyłu. I śmiał się. - Przestała się kołysać i usiadła wyprostowana, wciąż słysząc tamten śmiech. - Leżałam, z twarzą wbity w drogę, a tamci trzej stali nade mną. Myślałam, że zabiją mnie i zakończą tę udrukę. Jednak im nie o to szło. „Czemu nie krzyczysz?”, spytał ten, który się śmiał. „Nie masz języka? A może wcale nie jesteś kobietą, bo brak ci barw kobiety. Jesteś barwy gówna chorego psa. Usłyszemy, jak krzyczysz, sprawdzimy, czyś jest kobietą czy zjawą. I wtedy właśnie zrobili mi to, co teraz widzisz. O tym nie muszę mówić. - Werenro opuściła woal i znowu zaczęła się kołysać. - Usłyszawszy czyjeś kroki, porzucili mnie na pastwę śmierci. Znalazł mnie pies jakiegoś pasterza tam, gdzie leżałam, a zaraz za nim chłopiec, który jął krzyżeć na mój widok. Słyszałam, jak wymiotował, i myślałam już, że ucieknie, ale on zakrył mnie swą szatą i sprowadził matkę. Ta użyła maści na twarz i ciało, gładziła z litością po rękach i podtrzymała przy życiu. I nigdy nie kazała niczego wyjaśniać.

Kiedy już było wiadome, że jednak przeżyję, spytała, czy powinna posłać jakieś wieści do Mamre, bo rozpoznała mą przynależność po strzępach szaty. Ja jednak nie chciałam. Miałam dość żywota niewolnicy, dość arogancji Rebeki, dość Kanaanu. Chciałam tylko wrócić do domu, poczuć woń rzeki i kwiecica lotosu rozkwitającego o poranku. Powiedziałam jej więc, że chcę być martwa dla Mamre, i ona mnie usłuchała. Nacięła pęk moich włosów, owinęła je w moje ubranie i do tego dołożyła kilka owczych kości. Posłała swego syna do miasta, gdzie ten znalazł kupca wybierającego się do Mamre, który z kolei przekazał babce słowo o mojej śmierci.

Tamta Kananejka dała mi woal, kij wędrowny i zaprowadziła mnie do Tyru. Znalazła karawanę kierującą się do kraju nad wielką

rzeką. Wzięli mnie w zamian za owcę z jej stada i obietnicę, że będę ich zabawiła pieśniami i opowieściami. Kupcy zawieźli mnie do On, gdzie do moich rąk trafił sistrum, i tak oto znalazłam się tutaj razem z tobą i znowu używam kananejskiej mowy. - Powiedziawszy to, odwróciła ode mnie głowę i splunęła. Od miejsca, gdzie padła ślina, umknął, wijąc się, wąż, a ja zadrżałam, czując lodowaty podmuch gniewu Werenro. - Przekleństwami całym naród, gdyby nie dobroć tamtej Kananejki. Wydłubano mi oczy, więc nie widziałam jej twarzy, ale wyobrażałam sobie, że ona promienieje światłem i pięknem. W rzeczy samej, kiedy o niej myślę, widzę oblicze księżycy w pełni. Może ona pragnęła wynagrodzić jakieś zło, które sama kiedyś wyrządziła. A może została kiedyś porzucona i ktoś pomógł jej uciec. A może nikt jej nie wsparł, kiedy była w potrzebie. Nie pytała mnie o nic, nawet o imię. Uratowała mnie przez samą dobroć serca. Już samo jej imię, Tamar, owoc podtrzymujący życie, oznaczało dobroć - rzekła Werenro i znowu zaczęła się kołysać.

Siedziałyśmy tak razem, w tej godzinie poprzedzającej brzask, dłuższy czas milcząc. W końcu Werenro odezwała się ponownie, odpowiadając na pytanie, którego nawet nie przyszło mi do głowy zadać.

- Nie jestem nieszczęśliwa - powiedziała. - I nie jestem też radośna. W moim sercu nie ma nic. Nikt ani nic mnie nie obchodzi. Śnią mi się psy z obnażonymi zębami. Jestem martwa. Bycie martwą nie jest wcale takie złe.

Ten potok słów przerwały westchnienia i chrapanie śpiących muzykantów.

- Pocziwe dusze - wyraziła się z czułością o swych towarzyszach. - Nie zadajemy sobie żadnych pytań. A ty? - spytała Werenro.

- Jak to się stało, że zaczęłaś mówić językiem rzeki?

Opowiedziałam jej o wszystkim bez wahania. Odchyliłam głowę, zamknęłam oczy i opowiedziałam swoje życie. Nigdy nie mówiłam ani tak dużo, ani tak długo, a mimo to słowa przychodziły mi bez trudu, jakby to było coś, co robiłam już wiele razy wcześniej.

Zadziwiłam samą siebie, bo wspominałam Tabiję, Ruti, swe dorastanie w czerwonym namiocie. Opowiedziałam o Szalemie i o naszej namiętnej miłości, nie czerwieniąc się. Opowiedziałam o tym, jak nas zdradzono, i o tym, jak jego zamordowano. Opowiedziałam o tym, jak Re-nefer mnie przehandlowała, i o opiece Meryt. Opowiedziałam o synu, z dumą i miłością.

Nie było to trudne. W rzeczy samej było to tak, jakbym dotąd umierała z pragnienia i teraz poczuła chłodną wodę w ustach. Powiedziałam „Szalem” i mój oddech, od wielu lat cuchnący i gorzki, stał się nareszcie czysty. Nazwałam syna „Bar-Szalem” i dawny ucisk w piersi zelżał.

Wyliczyłam imiona moich matek i wiedziałam już teraz z całkowitą pewnością, że one nie żyją. Wsparłam głowę na ramieniu Werenro i umoczyłam jej szatę w pamięci Lei, Racheli, Zilpy i Bilhy.

Werenro zaś cały ten czas kiwała głową, wzdychała i trzymała mnie za rękę. Kiedy w końcu umilkłam, powiedziała:

- Ty nie jesteś martwa. - Jej głos zdradzał lekki smutek. - Ty nie jesteś taka jak ja. Twój smutek promieniuje z serca i płomień miłości wciąż jest w tobie silny. Twoja historia jeszcze nie poznała kresu, Dino - powiedziała akcentem moich matek. Nie Den-ner, cudzoziemska położna, tylko „Dina”, ukochana córka czterech matek.

Werenro gładziła mnie po głowie, wspartej o jej ramię, gdy izba zaczęła jaśnieć od pierwszych przebłysków świtu. Zasnęłam tak właśnie, oparta o nią, ale kiedy się obudziłam, jej już nie było.

Re-mose opuścił dom tydzień później, w towarzystwie Kara, który przybył z Memfis i zatrzymał się u nas po drodze do Kusz. Re-mose przyprowadził czcigodnego nauczyciela do ogrodu, chcąc nas sobie przedstawić, ale ten ledwie raczył zauważyć nisko urodzoną matkę swego ulubionego ucznia. Po ich odejściu zastanawiałam się, bez cienia współczucia, czy tak wiekowy człek jest w stanie przeżyć tak długą podróż.

Rozdział trzeci

Benia dostarczył skrzynię, tak jak obiecał, ale ja jej nie odebrałam. Kiedy przyniósł ją pod bramę ogrodu, powiedziano mi obcesowo, że Den-ner siedzi w wielkiej komnacie razem ze swym synem i że nie można jej stamtąd wywołać dla byle rzemieślnika. Skrzynię ustawiono w jakimś kącie kuchni i nie widziałam jej aż do czasu, gdy Re-mose wyruszył w drogę do Teb i w domu wszystko wróciło do powszedniości.

Kucharkę, która przekazała mi skrzynię, zżerała ciekawość. Jakim cudem weszłam w posiadanie czegoś tak wytwornego i niespotykanego? I kim był ów mężczyzna, który tak zachłannie o mnie wypytywał? Nie powiedziałam nikomu z domowników ani o nim, ani o skrzyni i plotki niebawem ucichły. Nie posłałam też żadnej wiadomości do Beni, w nadziei, że przyjmie moje milczenie za odrzucenie zawaolowanej propozycji, jaką złożył mi na targowisku. Choć jego słowa i dotyk mnie poruszyły, to jednak nie wyobrażałam sobie, że mogłabym żyć jak inne kobiety. Wbrew słowom Werenro byłam przekonana, że to Re-mose opowie kolejne i ostatnie rozdziały mojej historii.

Meryt zeżliła się na mnie za to, że odtrąciłam Benie.

- Takiego mężczyznę? Tak umiejętnego? Tak zacnego? - Zagroziła wręcz, że już nigdy się do mnie nie odezwie, ale obie wiedziałyśmy,

że to tylko takie gadanie. Byłam jej córką i ona za nic by się ode mnie nie odcięła.

Tak czy owak skrzynia od Beni stała się dla mnie tym, co wyrzut sumienia, i za nic nie przystawała do ogrodowej szopy. Nie wykonano jej z przeznaczeniem dla cudzoziemskiej położnej bez pozycji albo oparcia w rodzinie. Weszłam w jej posiadanie tylko dlatego, że cieśla dostrzegł moją samotność, i dlatego, że i ja dostrzegłam, że on też kogoś potrzebuje. Napełniłam skrzynię podarkami od matek, którym pomogłam, ale zakryłam jej lśniące piękno starą matą z papiirusu, aby nie przypominała mi o Beni, którego wcisnęłam do zakamarka serca, razem z innymi marzeniami, które umarły dawno temu.

Tygodnie upływały leniwie, stając się miesiącami; upływ czasu wyznaczały historie kolejnych narodzin, przeważnie zakończonych pomyślnie. Nauczyłam się, że wywar z czerwonej marzanny rosnącej w moim ogrodzie w wielu przypadkach ułatwia poród, i razem z Meryt byłyśmy wzywane do coraz to odleglejszych dzielnic miasta. Któregoś razu przysłano nawet barkę, która miała nas zawieźć do miasta On, gdzie umierała ulubiona nałożnica pewnego kapłana. Znalazłyśmy dziewczynę o wiele za młodą, by już mogła być matką, krzyczącą ze śmiertelnego strachu, zostawioną w samotności bez pociechy obecności drugiej kobiety. Krótco po naszym przybyciu zamknęłyśmy jej powieki i starałyśmy się uwolnić dziecko, ale ono też niestety umarło.

Meryt poszła rozmówić się z mężczyzną, który, ani trochę nie zasmucony, zaczął przeklinać moją przyjaciółkę i mnie za to, że zabiłyśmy jego żonę i dziecko. Wparował nawet do izby porodowej, zanim zdążyłam okryć nieszczęsną matkę.

- Cudzoziemka podniosła na nią nóż?! - wrzasnął. - Tylko chirurgowi wolno to robić. Ta kobieta jest zagrożeniem, demonem przysłanym ze wschodu, aby zniszczył królestwo rzeki. - Rzucił się na mnie, ale Meryt go powstrzymała i z siłą, o jaką jej nie podejrzewałam, przyparła go do ściany i starała się mu wyjaśnić, że rozciąłam matkę w nadziei, że uratuję dziecko.

Ja jednak nie widziałam powodu, aby się tłumaczyć. Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam w nich ohydłą, nędzną duszę, a wtedy wypełniła mnie wściekłość i litość dla tej młodzieńczej dziewczynki, która leżała u mych stóp.

- Ty obleśny synu larwy - warknęłam w języku mojej matki - obyś ty i inni tobie podobni uwiedli niczym pszenica na pustyni. Nikt nie kochał tej dziewczyny, a teraz ona leży tutaj martwa i bije od niej wonią jej nieszczęścia. Za to właśnie szejniesz w najstraszliwszych męczarniach.

Meryt i kapłan gapili się na mnie jak oniemiała, kiedy ja wypływałam swoje przekleństwa, a gdy wreszcie umilkłam, mężczyzna jął się trząść i z trwogą wyszeptał:

- Cudzoziemska czarownica w Domu Bogów!

Nasze głosy przyciągnęły innych kapłanów, którzy unikali mego wzroku i przytrzymali swojego brata, dzięki czemu mogliśmy odejść wolno. Podczas podróży powrotnej przyglądałam się uciekającemu nabrzeżu i przypomniało mi się proroctwo Inny, że odnajdę pragnienie mego serca na brzegu rzeki. Aż potrząsnęłam głową, dopatrując się jakiegoś szyderstwa w tej wizji; do swej szopy wróciłam rozdygotana i niezadowolona.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy byłam dzieckiem, nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Przestał mi się śnić Szalem i jego śmierć, a za

to budziłam się co rano zmaltretowana obrazami wyludnionych krajobrazów, wynędzniałych owiec, kobiet tonących we łzach. Wstawiałam z posłania, na próżno starając się określić źródło swych niepokojów. Meryt zauważyła u mnie siwe włosy i zaofiarowała się, że mi je ufarbuje barwnikiem z popiołu i krwi czarnego wołu. Wyśmiałam ten pomysł, choć wiedziałam, że ona sama używa tego środka i dzięki temu wygląda znacznie młodziej mimo swych lat. Tak czy owak ta jej propozycja sprawiła, że spojrzałam na swój niepokój jako na zwykły objaw upływu lat. Dochodziłam prawie do tego wieku, w którym kobiety nie krwawią już wraz z nadejściem nowego księżyca, toteż oczyma duszy widziałam, jak dożywam zmierzchu swoich dni w znajomym spokoju ogrodu Nakht-re. Ustawiłam posążek Izydy przy swoim posłaniu i modliłam się o mądrość i spokój tej bogini, uzdrowicielki jednako kobiet i mężczyzn.

Ale niestety zaniedbałam modły o dobrobyt moich ziemskich protektorów. Któregoś razu, w samym środku nocy, wybił mnie ze snu odgłos kociego wycia, a następnego ranka przyszedł do mnie Nakht-re z wieścią, że Re-nefer zmarła podczas snu. Jej ciało zostało zabrane przez kapłanów, którzy mieli przygotować je do następnego życia drogą zawilego rytuału odprawionego w grobowcu jej ojca w Memfis; tam też uszykowano już upamiętniający ją posąg. Obrzędy miały trwać trzy dni.

Nakht-re spytał, czy chcę razem z nim uczestniczyć w pogrzebie. Podziękowałam mu i odmówiłam. Zapewne odczuł ulgę, bo oboje wiedzieliśmy, że wśród celebrantów nie będzie dla mnie wygodnego miejsca.

W dniach, które nastąpiły po śmierci Re-nefer, przeklinałam ją w równej mierze, jak opłakiwałam. Ona mnie uratowała i jednocześnie

uwieźli. Dała mi Szalema, a potem ukradła wspomnienie o nim. I ostatecznie nawet nie poznałam tej kobiety. Od czasu, gdy Re-mose udał się do szkoły, widywałam ją rzadko i nie miałam pojęcia, czym się zajmowała przez te wszystkie lata; czy przędła, tkła albo może przesyiała całe dnie, a nocami opłakiwała swego syna i męża. Czy nienawidziła mnie, żałowała albo czy może mnie kochała.

Przez kilka nocy po jej śmierci miałam sny pełne żywych szczegółów, w których Re-nefer odwiedzała mnie pod postacią małego ptaka wzlatującego razem ze wschodem słońca, wrzeszczącego „Sychem” znajomym głosem, którego jednak nie potrafiłam rozpoznać. Re-nefer-ptak usiłowała podnosić ludzi i przedmioty z ziemi, ale brakowało jej siły, więc biła tylko skrzydłami w rozpacz, aż stawała się całkiem wyczerpana i wściekła. Co noc znikwała w słońcu, skrzecząc. Zdawało się, że jej znękana dusza nie może zaznać spokoju. Po siedmiu nocach takiej wizji nie czułam do niej już nic więcej prócz litości.

Nakht-re zmarł, kiedy nastąpiła kolejna pora roku, i jego opłakiwałam bez żadnych zastrzeżeń. Uczciwy, hojny, pogodny i zawsze uprzejmy, był wzorem egipskiego przedstawiciela szlacheckiego rodu. To było istne błogosławieństwo dla mojego syna, że trafił mu się taki ojciec, i wiedziałam, że Re-mose będzie płakał po tym jedynym Ba, jakiego kiedykolwiek poznał. Zakładałam, że Re-mose przybędzie do Memfis, by wziąć udział w obrządku pogrzebowym, ale nikt mnie o tym nie powiadomił. Jedynie Nakht-re zawsze pamiętał o tym, żeby mówić mi o podróżach mojego syna. Razem z jego śmiercią poczułam, że więź z Re-mose słabnie jeszcze bardziej.

Po odejściu Nakht-re jego żona udała się do swego brata, aby zamieszkać z nim gdzieś na północy, w Delcie.

Dom miał zostać przekazany nowemu skrybie. Gdyby Re-mose był nieco starszy i bieglejszy w polityce uprawianej przez świątynię, mógłby sam objąć to stanowisko. A tak wybrano jednego z rywali Nakht-re. Większość służby miała pozostać i kucharka namawiała mnie, abym też została. Niestety, chłód w oczach nowej pani, która przybyła obejrzeć swą nową siedzibę, sprawił, że niczego mniej nie pragnęłam.

Meryt też miała zmierzyć się ze zmianą. Jej starszy syn, Menna, zaferował jej miejsce pod swym dachem w Dolinie Królów. Został tam mianowany głównym piekarzem, któremu przysługiwał większy dom, toteż jego matka byłaby tam mile widziana. Menna przybył spotkać się z Meryt i powiedział, że żonom rzemieślników z doliny rodzi się wiele dzieci, ale brakuje tam wprawnych położnych i dlatego wiele kobiet umiera. Meryt byłaby tam wielce szanowana, gdyby zechciała zamieszkać wśród nich.

Moja przyjaciółka uległa pokusie. Od tamtej nieszczęsnej wyprawy do On zaczęły krążyć złe plotki o cudzoziemskiej położnej i jej towarzysze. Kapłan, którego przeklęłam, stracił głos po moim z nim spotkaniu, a potem jeszcze okulał. Wezwań do porodów w możliwych domach było teraz mniej, choć służebne i żony rzemieślników wciąż chciały nas widzieć.

Wiedziałam, że moja przyjaciółka cieszy się na myśl o zaszczytach i rozpoczynaniu wszystkiego od nowa, ale niepokoi ją mieszkanie pod jednym dachem z synową i wcale nie jest jej spieszo wyrzekać się wygod życia w Tebach. Powiedziała więc synowi, że będzie rozważała jego zaproszenie do następnego sezonu, otwierającego nowy rok. Ostatecznie, wyjaśniła na mój użytek, wygląd Psiej Gwiazdy dobrze wróżył do podejmowania zmian.

Razem z przyjaciółką ważyłyśmy nasze wybory, ale często popadałyśmy w milczenie, zachowując dla siebie nasze najgorsze obawy. Po prawdzie, ja sama nie miałam dokąd pójść. Heria nie zaoferowała mi miejsca przy sobie. Tak więc musiałabym zostać tam, gdzie byłam, i liczyć, że coś się zmieni. Gdyby Meryt udała się do domu swego syna, wówczas pochłonęłaby mnie samotność, ale na ten temat milczałam i słuchałam, jak ona opisywała życie w dolinie.

Meryt w ogóle nie brała pod uwagę, że mogłaby się udać do doliny beze mnie, ale bała się spytać synową o to, czy zdzierzy dwie dodatkowe kobiety pod swoim dachem. Wyłożyła więc kłopot swej dobrej pani i Rudedit błagała ją, aby została, i dała Meryt swoje słowo, że ja też zawsze znajdę u niej miejsce.

Niestety, jej mąż w niczym nie przypominał Nakht-re. Był tyranem o ciasnym umyśle, obdarzonym temperamentem, który czasami wyładowywał na grzbietach swych sług, i nawet Rudedit trzymała się odeń na odległość. Przestrzeń mojego życia byłaby się mocno skurczyła, gdybym przeniosła się do tego domu.

Zapewne byłabym straciła ducha, gdyby nie pociecha, jaką znajdowałam w swoich snach, w których rozkwitał ogród tysiąca lotosów, rozbrzmiewał śmiech dzieci i silne ramiona zapewniały mi bezpieczeństwo. Meryt pokładała wielkie nadzieje w tych snach i odwiedziła nawet miejscową wyrocznię, która z parujących wnętrzności kozła przepowiedziała dla mnie miłość i bogactwa.

Nastał nowy rok i Menna znów przybył spotkać się z matką. Tym razem towarzyszyła mu żona Szifra, która oznajmiła:

- Matko, udaj się razem z nami do naszego domostwa.

Moi synowie cały długi dzień pracują razem ze swym ojcem w piekarni i dlatego ja często siedzę w domu całkiem sama. Jest u nas dużo dla ciebie miejsca, abyś mogła posiedzieć na słońcu i wypocząć. A jeśli zechcesz wciąż pracować jako położna, to ja będę nosiła twoje przybory i zostanę twoją pomocnicą. Pod dachem mego męża będziesz traktowana z szacunkiem, a gdy dokonasz żywota, uczymy twą pamięć wspaniałą stelą z twoim imieniem wyrytym od zachodniej strony.

Meryt wzruszyła się tą przemową synowej. Szifra, kilka lat młodszą ode mnie, miała by zgoła pospolitą powierzchowność, gdyby nie oczy, duże i obrzeżone gęstymi, czarnymi rzęsami, promieniujące zrozumieniem dla innych.

- Menna jest szczęśliwym człowiekiem, mając ciebie - powiedziała Meryt, ujmując dłonie kobiety. - Ja jednak nie mogę zostawić Den-ner. Jest teraz moją córką i beze mnie stanie się całkiem samotna. Prawdę powiedziawszy, to ona jest najlepszą położną, a ja służę jako jej pomocnica. To ją wzywają kobiety z możnych rodów Teb, kiedy nadchodzi ich czas. Nie mogę cię prosić, abyś ją też przygarnęła do siebie. Jeśli jednak potraktujesz ją z taką samą gościnnością, to jestem pewna, że zostaniesz sownie nagrodzona w tym życiu. Ona ma w sobie znak pieniądza i szczęścia. Śni o wielkiej potędze i widzi kłamstwa na wylot. Wszystko to również mi się udziela i przyniesie korzyść i tobie, i twemu domostwu.

Szifra udała się do swego męża, aby powtórzyć mu słowa Meryt. Menna nie zachwyił się, że miałby gościć u siebie jeszcze jedną starzejącą się kobietę, jednak obietnica szczęścia potrafiła w nim jakąś strunę. Razem ze swoją matką i żoną przybył do mojej szopy,

aby mnie powitać, i ja przyjąłem jego ofertę z najprawdziwszą wdzięcznością. Wyjęłem turkusowego skarabeusza ze swojej saskiewki i ofiarowałem go Mennie.

- Gościnność jest skarbem bogów - powiedziałam, dotykając czołem ziemi przed piekarzem, który zawstydził się takim pokazem uniżoności.

- Może mój brat będzie mógł ofiarować ci swój ogród na własność - rzekł, pomagając mi wstać. - Jego żona nie ma ręki do roślin, a moja matka twierdzi, że ty masz rękę samego Ozyrysa, jeśli idzie o glebę.

W tym momencie to ja musiałam się zawstydzić jego dobrocią. Jak to się stało, że poznałam tylu dobrych ludzi w swoim życiu? Jaki to cel krył się za takim szczęściem?

Praca Menny wzywała go z powrotem do domu, dlatego więc miałyśmy zaledwie kilka dni na przygotowanie się do wyprawy. Najsamprzód wynajęłam skrybę, który pisał w imieniu niepiśmiennych ludzi, i przez niego posłałam wiadomość do Re-mose, pomocnika Kara, skryby rezydującego w Kusz, aby go powiadomić, że jego matka Den-ner przeniosła się do Doliny Królów, do domu głównego piekarza zwanego Menna. Posłałam mu błogosławieństwa w imieniu Izydy i jej syna Horusa. A skrybie zapłaciłam podwójnie, chcąc mieć pewność, że on dopatrzy, by ów list dotarł do mojego syna.

Zebrałam zioła ze swojego ogrodu, biorąc zarówno sadzonki od korzeni, jak i suszone rośliny. Podczas pracy przypomniało mi się, jak moje matki ogołacały swoje ogrody, kiedy opuszczały jedno życie na rzecz innego. Zapuściłam się też samodzielnie na targowisko i wymieniłam większość swoich drobiazgów na oliwę z oliwek i olej rycynowy, a także olej i jagody jałowca, bo słyszałam, że w dolinie rośnie niewiele drzew. Przejrzałam wszystkie stragany w

poszukiwaniu najlepszego noża i w dniu poprzedzającym nasz odjazd Meryt i ja udałyśmy się nad rzekę i nacięłyśmy tam tyle trzciniek, że starczyłoby ich do narodzin tysiąca dzieci.

Spakowałam cały swój dobytek do skrzyni otrzymanej od Beni, która stała się jeszcze piękniejsza, bo drewno użyte do jej wykonania zdążyło się postarzeć. Zamknąwszy wieko, poczułam smak ulgi, że udało mi się uciec przed nieszczęśliwą przyszłością.

W noc poprzedzającą moje odejście z domu Nakht-re obeszałam ogród, spacerując wokół stawu, gładząc palcami każdy krzak i drzewo, napełniając nozdrza bogatą wonią kwitnącego lotosu i świeżego goździka. Kiedy księżyc zaczął zachodzić, zakradłam się do domu i przeszłam obok śpiących ciał aż na dach. Koty ocierały się o moje nogi, a ja uśmiechałam się, przypomniawszy sobie moją trwogę na widok „owłosionych węży” żyjących w tym kraju.

Spędziłam w tym domostwie wszystkie swoje dni w Egipcie i kiedy teraz oglądałam się na nie w nocnym powietrzu, przypominało mi się niewiele chwil, ale za to wszystkie dobre: zapach mojego maleńkiego syna i twarz Nakht-re, ogórki i ryba w miodowym sosie, śmiech Meryt i uśmiechy młodych matek, które pod moim okiem rodziły zdrowych synów i córki. Bolesne sprawy - historia Werenro, wybór Re-nefer, nawet moja samotność - zdawały się niczym supły na jakimś pięknym naszyjniku, niezbędne do utrzymania paciorków na miejscu. Oczy zachodziły mi łzami, kiedy żegnałam się z tamtymi dniami, ale nie czułam żalu.

Siedziałam pod wrotami ogrodu, ze skrzynką i niewielkim tobołkiem, kiedy przyszli po mnie rankiem. Rudedit doszła razem z nami

aż do przystani i uściskała mnie, zanim wsiadłam na prom. Potem długo płakała w ramionach Meryt, ale tylko ona jedna żegnała nas łzami, gdy prom odbijał od brzegu. Pomachałam do niej, ale zaraz potem skierowałam wzrok ku zachodowi.

Podróż od domu skryby do domu piekarza trwała zaledwie jeden dzień, ale była to przestrzeń, która stanowiła miarą różnic między dwoma światami. Na promie panowała ciasnota, bo z targowiska wracali nim do domów owładnięci świątecznym nastrojem mieszkańcy doliny. Wielu mężczyzn płaciło za usługi balwierzy pracujących pod gołym niebem, dzięki czemu ich policzki lśniły, a włosy błyszczały. Matki gawędziły o swych czepiających się szat dzieciach, głaszcząc je i besztając na przemian. Cudzoziemcy nawiązywali rozmowy, porównując swe nabytki i starając się ustanowić jakieś związki przez porównywanie imion, profesji i miejsc zamieszkania. Zdawali się zawsze znajdować jakiegoś wspólnego znajomego albo przodka i potem już klepali się wzajem po plecach niczym bracia, którzy odnaleźli się po latach rozłąki. Nosili się ze swobodą i ze swobodą zwracali się do innych; nigdy takich ludzi nie widziałam, toteż zastanawiałam się, co jest tego przyczyną. Być może było tak dlatego, że na promie nie było ani ludzi wysoko urodzonych, ani też strażników, nawet jednego skryby. Jedynie rzemieślnicy i ich rodziny, wszyscy powracający do domów.

Kiedy wysiedliśmy na brzeg, czekała nas jeszcze krótka, ale za to stroma wspinaczka do miasta, które rozciągało się w wejściu do doliny niczym ogromne gniazdo os. Serce mi zamarło. Nigdy przedtem nie widziałam równie brzydkiego miejsca. W palącym skwarze

popołudniowego słońca drzewa rosnące wzdłuż wyludnionych ulic wydawały się przywiedle i zakurzone. Stłoczone domy, pobudowane jakby jedno na drugich całymi setkami, wszystkie niczym się nie odznaczające i równie nieciekawe jak inne. Wszystkie drzwi wiodły do wąskich przejść spowitych w mroku, a ja zastanawiałam się, czy przypadkiem nie okaże się, że jestem zbyt wysoka, by stanąć w którymś z nich wyprostowana. Na ulicach nie było widać żadnych ogrodów, barw, w ogóle niczego, co umila życie.

Menna w jakiś sposób potrafił odróżniać jedną ulicę od drugiej i zaprowadził nas do drzwi domu swego brata, przy których stał niczym na warcie mały chłopczyk. Zobaczywszy nas, przywołał krzykiem swego ojca i drugi syn Meryt, Hori, wybiegł na ulicę, z rękoma pełnymi świeżego chleba. Podbiegł do Meryt i podźwignął ją za łokcie, obracając nią, uśmiechając się tak samo jak jego matka. Jego rodzina zebrała się i klaskała w ręce, a tymczasem ich babcia śmiała się w twarz swemu synowi i całowała go w nos. Hori wciąż miał dom pełen dzieci, razem pięciorga, od córki gotowej do zamążpójścia po owego nagiego berbecia, który zauważył nas jako pierwszy.

Cała rodzina wyszła na ulicę, przyciągając sąsiadów, którzy ze swych progów uśmiechali się na widok całego zamieszania. Potem Meryt została poprowadzona przez sień domu Horiego i do jego głównej izby, skromnego pomieszczenia, którego wysokie okna wpuszczały popołudniowe światło na kolorowe maty okrywające posadzki i ściany z malowidłami przedstawiającymi bujny ogród. Moją przyjaciółkę usadzono na najlepszym krześle i przedstawiono kolejno wszystkim wnukom.

Ja sama przysiadłam na posadzce, tuż pod ścianą, i patrzyłam, jak Meryt pławi się w hołdach składanych jej przez dzieci. Kobiety wniosły poczęstunek z tylnych izb, gdzie przelotnie zauważyłam ogrodową kuchnię. Meryt chwaliła jedzenie, dobrze przyprawione i obfite, stwierdziła też, że tak dobrego piwa nie dane jej było posmakować nawet w mieście możnych. Jej synowa rozpromieniła się, słysząc takie słowa, a syn z dumą pokiwał głową.

Dzieci przyglądały mi się, jako że nigdy przedtem nie widziały kobiety ani tak wysokiej, ani też obdarzonej cudzoziemską twarzą. Trzymały się na odległość, z wyjątkiem maleńkiego strażnika, który wskrobał mi się na kolana i tak już został, ssąc kciuk w ustach. Ciężar dziecka na mojej piersi przypomniał mi słodycz czasów, kiedy to w taki sam sposób tuliłam do siebie Re-mose. Zapomniawszy się, westchnęłam z taką tęsknotą, że aż inni obrócili się w moją stronę.

- Moja przyjaciółko! - krzyknęła Meryt, podbiegając do mnie. - Wybacz, że zapomniałam o tobie. - Matka dziecka też podeszła i zabrała je ode mnie, a Meryt pomogła mi wstać. - To jest Den-ner - obwieściła wszem i wobec i jeszcze obróciła mnie niczym dziecko, aby każdy mógł przyjrzeć się mojej twarzy. - Menna będzie was zapewniał, że to samotna położna, którą zgodził się przyjąć z litości pod swe skrzydła. Ja jednak powiadam wam, że jestem jej przyjaciółką, siostrą i uczennicą, bo nigdy w życiu nie poznałam ani też nie słyszałam o równie doświadczonej położnej. Ona ma ręce Izydy i razem z miłością bogini do dzieci okazuje współczucie niebios dla matek i dzieci.

Meryt, której twarz zarumieniła się od tego, że stała się ośrodkiem uwagi całej rodziny, opowiadała o mnie niczym kupiec na targowisku sprzedający swoje wyroby.

- I jest też ona wyrocznią, moi mili. Jej sny mają w sobie moc i jej gniewu trzeba się obawiać, bo na własne oczy widziałam, jak przeklęła pewnego mężczyznę w kwiecie wieku za to, że skrzywdził młodą matkę. Ona czyta wszystko z serc mężczyzn i nikt jej nie oszuka pięknymi słówkami, za którymi kryje się serce kłamcy. Den-ner pochodzi ze wschodu - ciągnęła Meryt, odurzona już brzmieniem własnego głosu i skupieniem zasłuchanych członków rodziny. - Tam kobiety często bywają równie wysokie jak mężczyźni z Egiptu. A nasza Den-ner jest równie mądra jak wysoka, bo mówi zarówno językiem wschodu, jak i naszą mową. A jeszcze urodziła Remose, skrybę i dziedzica Nakht-re, który kiedyś będzie sprawował władzę w tym kraju. Wielkie to dla nas szczęście, że mamy wśród nas jego matkę, a i dom Menny przekona się o swym szczęściu, gdy ona będzie spała pod jego dachem.

Byłam zupełnie przytłoczona tymi wszystkimi spojrzeniami skierowanymi na mnie.

- Dziękuję - na tylko tyle się zdobyłam. - Dziękuję - powiedziałam, kłaniając się najpierw Mennie i Szifrze, a potem Horiemu i jego żonie Takaru. - Dziękuję wam za waszą hojność. Jestem waszą wdzięczną służebnicą.

Wróciłam do swojego kąta pod ścianą, zadowolając się popatrywaniem na rodzinę, która posilała się, żartowała i radowała własnym towarzystwem. Kiedy zaczęło się zmierzchać, na chwilę zamknęłam oczy i zobaczyłam Rachelę trzymającą na kolanach Józefa, z policzkiem przyciśniętym do jego twarzyczki.

Od wielu lat nie myślałam o swoim bracie Józefie i jakoś nie potrafiłam dokładnie umiejscowić tego wspomnienia.

A jednak scena ta była tak żywa jak moje wspomnienia dotyku Lei, tak wyrazista dla oka mego umysłu jak namioty w Mamre. Wszak już jako dziecko wiedziałam, że Józef stanie się tym, który przeniesie historię rodziny do następnego pokolenia. Że on przeobrazi się w kogoś znacznieszego i bardziej zapadającego w pamięć niżli pospolity, acz piękny mężczyzna zrodzony z pięknej matki.

Rodzina Meryt uznała, że zapadłam w drzemkę pod ścianą, ja jednakże pogrążyłam się w rozmyślaniach o Józefie i Racheli, Lei i Jakubie, ciotkach, Innie i czasach poprzedzających Sychem. Znowu westchnęłam, westchnieniem kobiety osieroconej, i mój oddech przepełnił izbę smutkiem zadumy, tym samym przywołując koniec powitalnej uczyty.

Nadchodziła już noc, kiedy Menna poprowadził Meryt i mnie przez oświetlone księżycową poświatą ulice do swego domu znajdującego się w sąsiedztwie. Był wprawdzie większy i nawet lepiej urządzony niż dom Horigo, ale jego wnętrza okazały się parne i duszne, dlatego też wyniosłyśmy nasze pośłania na dach, gdzie baldachim z gwiazd zdawał się zawieszony zaledwie w odległości dłoni.

Zbudziłam się tuż przed świtaniem; wstałam i przyjrzałam się miastu pogrążonemu we śnie. Jego mieszkańcy leżeli samotnie, w parach albo w dużych grupach z dziećmi i psami. Po ulicy biegnącej obok domu przeszła kotka niosąca w pyszczku jakiś przedmiot. Kiedy ułożyła to coś na ziemi i jąta wylizywać do czysta, połapałam się, że to mały kociak. Wpatrywałam się w tę scenę, a słońce tymczasem

zaróżowiło najpierw, a potem załocilo nadmorskie wzgórza. Kobiety dawały oznaki życia, przeciągając się, a potem schodząc z dachów po drabinach. Niebawem w powietrzu rozniosła się woń strawy i zaczął się dzień.

Z początku Szifra nie pozwalała Meryt ani mnie robić czegokolwiek w swojej kuchni albo ogrodzie, więc obie siedziałyśmy bezczynnie, przyglądając się jej pracy. Meryt straszliwie się pilnowała, by nie okazać się wścibską teściową, ale aż ją swędziały ręce, tak bardzo pragnęła jakiegoś zajęcia.

- Pozwól mi tylko dopomóc przy warzeniu piwa - prosiła.

- Mogłabym zamieść dach - proponowałam.

A jednak Szifra zdawała się urażona naszymi ofertami. Po tygodniu takiego siedzenia nie mogłam już dłużej tego ścierpieć. Wzięłam duży pusty dzban i oznajmiłam:

- Idę do źródła - i z tym wyszłam z domu, zanim moja gospodyni zdążyła się przeciwstawić, zadziwiając tym i siebie, i Meryt. Po latach strachu przed ulicami Teb wyszłam samotnie, nie bardzo pewna, dokąd właściwie zmierzam. Ale ponieważ wciąż napotykałam kobiety, które albo wędrowały do źródła, albo odeń wracały, wnet odnalazłam drogę.

Po drodze zaglądałam do wnętrz domów i uśmiechałam się do nagich dzieci bawiących się w kurzu. Zaczęłam dostrzegać różnice między jedną siedzibą a drugą; tu i tam ktoś posadził kwiaty, pomalował próg na czerwono albo zielono, ustawił zydel obok wejścia. Czułam się tak, jakbym znowu była małą dziewczynką, która ma dzień wolny od pracy i szeroko wytrzeszcza oczy, gdy napotyka jakieś nowe widoki.

Niedaleko źródła dogoniłam brzemienną kobietę, która stąpała ciężko przede mną.

- To nie jest twoje pierwsze, mam rację? – zagaiłam wesoło, gdy się z nią zrównałam.

Ta obróciła się na pięcie, by na mnie spojrzeć, i wtedy zobaczyłam twarz Racheli, taką, jak musiała wyglądać na wiele lat przed tym, zanim urodził jej się Józef. Twarz kobiety wykrzywiła się z gniewu i rozpacz.

- Och, droga moja - powiedziałam zawstydzona. - Odezwałam się, zanim zrozumiałam, co to dla ciebie oznacza. Nie obawiaj się, mała matko. Ten chłopiec urodzi się zdrow.

Kobieta otworzyła usta, jej oczy zognomniały ze strachu i nadziei.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? Ten też umrze, tak jak i inne przed nim. Bogowie mnie znienawidzili. – Jej słowa barwiła gorzycz i udręka. - Jestem kobietą, którą omija szczęście.

Niby to ja jej odpowiedziałam, ale przemawiała przeze mnie sama wielka matka:

- On urodzi się cały i zdrow, już niebawem. Jeśli nie dzisiaj, to jutro. Wezwij mnie, a ja pomogę ci stanąć na ceglach i przetnę piępowinę.

Razem z Achori, bo tak miała na imię ciężarna, napełniłyśmy nasze dzbany, a potem ona odprowadziła mnie z powrotem do domu piekarza. Mieszkała zaledwie kilka domów na wschód od Menny i kiedy następnej nocy nadszedł jej czas, jej mąż przyszedł odszukać cudzoziemską położną.

Razem z Meryt odebrałyśmy najłatwiejszy z porodów, jakich kiedykolwiek byłam świadkiem. Achori łkała z ulgi, kiedy obejmowała trzecie dziecko, jakie wyszło z jej łona, jedyne, które po urodzeniu

oddychało. Był to krzepki chłopczyk, którego nazwała Den-ori; pierwszy człon imienia został mu nadany na moją cześć. Jej mąż, garncarz, dał mi piękny dzban w podzięcie, całował mnie po rękach i zaniósłby mnie do domu, gdybym na to pozwoliła.

Meryt rozgłosiła wieść o tym, jak to dokonałam czegoś w rodzaju cudu na rzecz Achori, i niebawem miałyśmy więcej jeszcze zajęć niż w Tebach. Mężczyźni pracujący w dolinie byli na ogół młodzi, ich żony znajdowały się w wieku odpowiednim do rodzenia i odbierałyśmy miesięcznie nawet i dziesięć porodów. Szifra nie miała już bezczynnych gości do karmienia i w rzeczy samej prędko dorobiła się drobiazgow i lnu w takich ilościach, że nie wiedziała, co z nimi robić. Menna był dumny, że pod jego dachem mieszkają tak szanowane kobiety, i traktował mnie jak własną ciotkę.

Tygodnie i miesiące prędko mijały i życie w dolinie nabrało własnego, uporządkowanego rytmu. Poranki były najpracowitsze, zanim nastawał najgorszy upał. Mężczyźni wychodzili z domów skoro świt, dzieci bawiły się na ulicach, a kobiety zamiatwały izby, gotowały posiłki i przynosiły wodę ze źródeł, przy których wymieniano się wieściami i układano plany nadchodzącego święta.

Choć wielkiej rzeki nie było widać z miasta, to jednak ona wciąż rządziła przebiegiem codziennego życia w tej wyschłej dolinie. Rzemieślnicy nadzwyczaj uroczyście celebrowali pory roku, bo nauczyli się czerpać korzyści z rytmu przemian natury nad Nilem. Po tylu latach przeżytych w kraju nad tą wielką rzeką nauczyłam się nareszcie jego pięknych nazw pór roku. Akhit - powódź, pent - dorastanie, shemou - żniwa. Każdej towarzyszyło odrębne święto i

rytuał księżycowy, świąteczne jadlo i pieśni.

Tuż przed moim pierwszym żniwnym księżycem w dolinie do drzwi Menny zapukał skryba z listem od mojego syna. Re-mose napisał, że znowu mieszka w Tebach, że Safnat Paneach, nowy wielkorządca Egiptu wybrany przez faraona, mianował go skrybą. Przesyłał pozdrowienia w imieniu Amon-Re i Izydy oraz modlitwę o moje zdrowie. Był to formalny list, ale ucieszyłam się, że myślał o mnie choć tyle, aby go przysłać. I ten kawałek łupka, zapisany jego ręką, stał się najcenniejszym przedmiotem, jaki posiadałam, i wbrew moim protestom, dowodem mojego statusu osoby ważnej.

Niedługo po tym, jak dotarł do mnie list od syna, przed drzwiami Menny zjawił się jeszcze jeden człowiek, który szukał kobiety o imieniu Den-ner. Szifra spytała go, czy może jego żona albo córka potrzebują cegieł położonej, ale ten zaprzeczył. Potem spytała, czy jest może skrybą z kolejnym listem z Teb, ale też nie przytaknął.

- Jestem cieślą - rzekł.

Szifra przysłała do ogrodu z osobliwymi wieściami o nieżonatym cieśli, który poszukuje położonej. Meryt oderwała wzrok od swego wrzeciona i udając obojętność, powiedziała:

- Den-ner, idź i zobacz, czego chce ten nieznajomy.

Poszłam, nic nie myśląc.

Miał oczy jeszcze smutniejsze, ale poza tym nic się nie zmienił. Stałam chwilę, a Benia wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć. Bez wahania złapałam ją lewą dłonią. Wyciągnęłam prawą rękę i on ujął ją swoją lewą. Staliśmy tak, trzymając się za ręce i uśmiechając jak głupcy, nic nie mówiąc, aż wreszcie Meryt nie wytrzymała tego zawieszenia.

- Och, Den-ner - rzekła z udawana troską. – Jesteś tam jeszcze, czy może do drzwi zapukał jakiś pirat?

Poprowadziłam go przez dom do miejsca, gdzie Meryt podskakiwała niczym ptak z jednej nogi na drugą, z tak szalonym uśmiechem na twarzy jak bóg Bes. Szifra też się uśmiechała, bo właśnie się dowiedziała, że Meryt spędziła ostatnie kilka miesięcy na poszukiwaniu artysty, który zaofiarował mi swoje serce razem z paradną skrzynią, która towarzyszyła mi od Teb.

Obie kazały mu usiąść i zaproponowały piwo i chleb. Ale Benia patrzył tylko na mnie. A ja odwzajemniałam mu tym samym.

- A więc idź - powiedziała Meryt, obejmując mnie, a potem popychając. - Menna przyniesie ci jutro skrzynię, a ja przyjdę za nim z chlebem i solą. Idź, w imię pani Izydy i jej towarzysza Ozyrysa. Idź i ciesz się.

Gdy porzucałam dom mojej przyjaciółki, aby udać się za obcym mi człowiekiem, byłam zdumiona tym, że jestem taka pewna swego, ale nie wahałam się.

Nic nie mówiąc, szliśmy obok siebie przez ulice, jak się zdawało bardzo długi czas. Jego dom stał niemal na samym skraju dzielnicy, blisko ścieżki wiodącej do grobowców, wiele ulic dalej od Meryt. Kiedy tak szliśmy, przypominałam sobie opowieści moich matek o dłoniach pomalowanych henną i pieśniach dla oblubieńca i oblubienicy udających się do ich małżeńskiego namiotu. Uśmiechałam się do myśli, że oto sama kroczę jakby w procesji, wędrując w stronę mego małżeńskiego łoża. Uśmiechałam się też na myśl o tym, jak to Meryt będzie następnego ranka biegała od jednego źródła do drugiego, rozpowiadając wszystkim o przygodzie miłosnej Beni, znakomitego cieśli, i Den-ner, położnej o magicznych talentach.

Mało co, a byłabym się roześmiała w głos z takiego wyobrażenia. Benia uznał, że dźwięk, który dobywa się z moich ust, to oznaka niepokoju. Objął mnie ramieniem, przyłożył wargi do mojego ucha i wyszeptał: „Nie lękaj się”.

Magiczne słowa. Ułożyłam głowę na jego ramieniu i do końca już szliśmy, trzymając się za ręce, zupełnie jak para dzieci.

Kiedy dotarliśmy do jego domu, który okazał się niemal tak okazały jak dom Menny, przeprowadził mnie przez wnętrza i z wielką dumą pokazał mi zbudowane własnoręcznie meble - dwa podobne do tronów krzesła, zdobnie rzeźbione łóże, skrzynie o najrozmaitszych kształtach. Roześmiałam się na widok stojaka na nocne naczynie, zbyt pięknego jak na tak obrzydliwy użytek.

- Myślałem o tobie, kiedy robiłem wszystkie te przedmioty - powiedział, wzruszając ramionami, by pokryć onieśmienie. - Wyobrażałem sobie, że siadasz na nich, że na nich śpisz, że układasz wszystko po własnej myśli. A to wykonałem już tylko dla ciebie, kiedy Meryt mnie odnalazła.

Wyjął przepiękną skrzynkę z wnęki w ścianie. Była zrobiona z hebanu, bez żadnych ozdób, a jednak doskonała - hebanu używano wyłącznie do budowania grobowców królewskich - i została tak wypolerowana, że lśniła niczym czarny księżyc.

- To na twoje przybory położnej - rzekł i wręczył mi skrzynkę.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, olśniona jego hojnością i czułością.

- Ja nie mam ci nic do ofiarowania - wyznałam.

Wzruszył jednym ramieniem, z którym to gestem miałam się niebawem tak oswoić jak z widokiem własnych dłoni.

- Nie musisz mi niczego dawać. Jeśli przyjmiesz ją z moich rąk, to twój wybór stanie się dowodem.

I takim to sposobem zostałam w Egipcie kobietą zamężną.

Benia wyłożył chleb, cebulę i owoce, po czym zasiedliśmy po-
społu w kuchni - jedliśmy i pili w lęklwym milczeniu. Ostatni raz,
kiedy połączyłam się z mężczyzną, byłam młodą dziewczyną. Benia
myślał o mnie od tamtego dnia na targowisku, całe dwa lata wcze-
śniej. Byliśmy nieśmiali niczym dwoje dzieci wyswatanych sobie
przez rodziców.

Kiedy już się posililiśmy, Benia ujął mnie za rękę i poprowadził
do głównej izby, w której stało owo wspaniałe łóżce, zaścielone
przednim lnem. Jego widok przypomniiał mi łóżce Re-nefer w domu
Nakht-re. Przypomniiał mi też łóżce Szalema, w domu jego ojca. Ale
potem Benia obrócił mnie ku sobie, ujął moją twarz dłońmi i wnet
zapomniałam o wszystkich posłaniach, na jakich dotychczas leża-
łam.

Nasze obcowanie zaskoczyło mnie siłą czułości. Już od tej naszej
pierwszej nocy Benia zawsze dbał, abym odczuła jak największą
rozkosz, i zdawał się w tym właśnie znajdować źródło własnej. Moje
onieśmienie zniknęło podczas naszego pierwszego poznania i w
miarę upływu tygodni znajdowałam pokłady pożądania i namiętno-
ści, jakich nigdy u siebie nie podejrzewałam. Kiedy Benia łączył się
ze mną, przeszłość przestawała istnieć i przeobrażałam się w nową
duszę, odrodzoną w smaku jego ust, w dotyku jego palców. Te
ogromne dłonie obejmowały moje ciało i rozplątywały sekretne wę-
zły stworzone przez lata samotności i milczenia. Widok jego nagicz-
nie umięśnionych nóg podniecał mnie do takiego stopnia, że Benia dro-
czył się ze mną, gdy zostawiał mnie rankiem, zadzierając koszulę

i odsłaniając udo, sprawiając, że czerwieniłam się i śmiałam jednocześnie.

Mój mąż co rano szedł do swego warsztatu, ale w odróżnieniu od kamieniarzy i malarzy, nie musiał pracować przy grobowcach, dzięki czemu mógł wracać do mnie wieczorami, podczas których oboje odkrywaliśmy coraz to większą przyjemność z bycia razem - a także taką oto smutną prawdę, że ja nie potrafię gotować.

Podczas lat spędzonych w domu Nakht-re rzadko bywałam w kuchni, a co tu dopiero mówić o przygotowywaniu posiłków. Nigdy nie nauczyłam się piec chleba w egipskim piecu, patroszyć ryb ani skubać ptactwa z pierza. Tak więc jedliśmy niedojrzałe owoce z zaniedbanego ogrodu Beni oraz chleb, który wyzebrywałam od Menny. Z zawstydzoną miną prosiłam Szifrę o lekcje gotowania, w których uczestniczyła również Meryt, ale po to jedynie, by się ze mnie naśmiewać.

Usiłowałam odgrzać w pamięci przepisy mojej matki, ale brakowało mi składników i zapomniałam też proporcje. Wstydziłam się tego, ale Benia tylko się śmiał.

- Przecież nie umrzemy z głodu - mówił. - Tyle lat utrzymywałam się przy życiu na pożyczanym chlebie, owocach i przypadkowych ucztach w domach znajomych i rodziny. Nie ożeniłem się z tobą po to, aby uczynić z ciebie swoją kucharkę.

Ale choć w kuchni czułam się obco, to jednak czerpałam wielką radość z prowadzenia własnego domu. Jakże miło było orzekać, gdzie postawić krzesło albo co posadzić w ogrodzie. Uwielbiałam tworzyć własny porządek i nuciłam za każdym razem, gdy zamiatałam posadzki albo układałam koce. Spędziłam wiele godzin na porządkowaniu garnków w kuchni wedle ich wielkości i barw.

Mój dom był światem mojego dobytku, krainą, której byłam i władcą, i obywatelem, miejscem, gdzie wybierałam i gdzie służyłam. Któregoś wieczoru, kiedy wracałam do domu bardzo późno, wyczerpana po odebraniu zdrowych bliźniąt, miałam wrażenie, że się zgubiłam. Stojąc na środku ulicy, pośrodku nocy, rozpoznałam swój dom po zapachu - mieszaninie kolendry, goździków i cedru Beni.

Kilka miesięcy po tym, jak wprowadziłam się do własnego domu, Menna przygotował skromną ucztę na cześć moją i Beni. Robotnicy męża śpiewali pieśni o swoim warsztacie. Meryt śpiewała o chlebie. A potem wszyscy mężczyźni, razem z żonami i dziećmi, połączyli głosy, odśpiewując pieśni miłosne, których liczba zdawała się nie mieć końca. Ja pławiłam się w tej uwadze, jaką na nas kierowano, z podniesionymi pucharami, szerokimi uśmiechami i pocałunkami. Mimo że ja i Benia byliśmy tak naprawdę zbyt starzy na podobne głupstwa, to jednak aż kręciło nam się w głowach z wzajemnego zachwytu. Kiedy Meryt pochyliła się w moją stronę i kazała mi przestać odstraszać ludzi od kąpania się w świetle naszego wzajemnego szczęścia, z wdzięczności odrzuciłam na bok wszelką wstydlivość i jęłam się uśmiechać do naszych przyjaciół.

Miałam rację, że zaufałam Beni, który był wcieleniem dobroci. Którejś nocy leżeliśmy na plecach, wpatrzeni w niebo. Oświetlał nas jedynie sierp księżycy i tańczyły nad nami gwiazdy, a Benia opowiadał mi o swoim życiu. Mówił niespiesznie, bo niejednemu z jego wspomnień towarzyszył smutek.

- Gdy pomyślę o ojcu - rzekł Benia - to przypomina mi się tylko widok jego pleców, kiedy orał pole. Miałem sześć lat, gdy nas odumarał,

pozostawiając moją matkę z czwórką dzieci. Ja byłem trzecim synem. Matka braci nie miała, a krewni ojca nie należeli do hojnych. Musiała wyszukać dla nas jakieś miejsce w życiu i dlatego właśnie zabrała mnie do miasta, aby pokazać kamieniarzom moje dłonie. Ci wzięli mnie do terminu, uczyli i kształtowali tak długo, aż moje plecy nabrały siły, a dłonie pokryły się odciskami. A jednak stałem się przedmiotem żartów w warsztatach. Marmur pękał, gdy wchodziłem do izby, a granit płakał, gdy zamierzałem się nań dłutem.

Zawędrowawszy któregoś dnia na targowisko, miałem okazję przyjrzeć się cieśli, który reperował zydeł jakiejś biednej kobiety. Zauważył mój pas i skłonił się nisko, bo choć byłem tylko czeladnikiem, kamieniarze, którzy rzeźbią w nieśmiertelnym budulcu, uważani są za znacznie ważniejszych niż cieśle, których najlepsze twory ulegają takiemu samemu rozkładowi jak ludzkie ciało. Wyjaśniłem cieśli, że obrał niewłaściwą osobę dla wyrażania szacunku i że najzwyklejszy piaskowiec pokonał mnie ze szczętem. Wyznałem, że grozi mi wyrzucenie na ulicę. Stolarz ujął moją dłoń i obracał ją to w tę, to w tamtą stronę. Wręczył mi nóż i kawałek drewna, po czym poprosił, abym wyrzeźbił zabawkę dla jego wnuka.

Drewno zdawało się ciepłe i pełne życia; lalka bez wysiłku nabrała kształtów w moich rękach. Każdy słój zdawał się darzyć mnie uśmiechem. Cieśla pokiwał głową na widok mego dzieła i zabrał mnie do warsztatu swego mistrza, przedstawiając jako przyszłego ucznia. I to tam właśnie odkryłem powołanie swojego życia.

W tym miejscu mój mąż westchnął.

- Tam również poznałem swą żonę, która była służką w domu mego mistrza. Byliśmy tacy młodzi - dodał cicho i z milczenia, w

które wtedy zapadł, wywnioskowałam, że kochał tamtą żonę z młodych lat całym sercem. Podjął opowieść dopiero po dłuższej chwili.

- Spłodziliśmy dwóch synów.

Znów urwał i w tym milczeniu usłyszałam głosy małych chłopców, rodzicielski śmiech Beni, kobietę śpiewającą kołysankę.

- Zabiła ich rzeczna febra - powiedział Benia. - Zabrałem ich z miasta, aby poznali mojego brata, który wzenił się w rolniczą rodzinę. Kiedy jednak przybyliśmy do ich domu, zastaliśmy mojego brata na łożu śmierci i resztę jego rodziny porażoną. Moja żona opiekowała się nimi wszystkimi - wyszeptał. - Powinniśmy byli odejść zawczasu - dodał, wciąż wyrzucając to sobie, mimo upływu tak wielu lat. - Po tym wszystkim - ciągnął - żyłem już tylko swoją pracą i nikogo innego nie pokochałem. Raz odwiedziłem płatne nierządnicę - wyznał wstydliwie. - Ale one nie dały mi radości. Aż do dnia, kiedy ujrzałem ciebie na targowisku, brakowało mi odwagi, by mieć na cokolwiek nadzieję. Gdy po raz pierwszy wymiarkowałem, żeś jest moją ukochaną, me serce na nowo ożyło - wyznał. - Ale kiedy mi się zapodziałaś, albo nawet, jak mi się zdawało, wzgardziłaś mną, wpadłem w złość. Po raz pierwszy w życiu złorzeczyłem niebu za to, że skradło mi rodzinę, i za to, że pomachało tobą przed oczyma i zaraz potem porwało. Byłem rozsierdzony i przerażony własną samotnością. Tak więc wziąłem sobie żonę.

Do tego momentu słuchałam go całkiem spokojnie, ale to oświadczenie sprawiło, że wyprostowałam się gwałtownie.

- Tak, tak - potwierdził głosem pełnym zawstydenia. - Moja siostra naraiła dziewczynę nadającą się do małżeństwa, służkę z domu

pewnego malarza, i ja sprowadziłem ją tutaj ze sobą. I to była wielka pomyłka. Ja okazałem się dla niej zbyt stary; ona była dla mnie zbyt głupia. Och, Den-ner - powiedział przepraszająco. - Byliśmy tak niedopasowani, że to wręcz mogło śmieszyć. W ogóle nie rozmawialiśmy. Dwa razy próbowaliśmy dzielić łożę i nawet to było okropne. W końcu ona okazała się odważniejsza niż ja, biedna istota. Po dwóch tygodniach odeszła. Wyszła z domu, kiedy ja byłem w pracy, dotarła do promu i wróciła do domu malarza, gdzie pozostaje do teraz. Byłem tak zrezygnowany, że pragnąłem uczynić mocne napitki mym stałym towarzystwem, dopóki nie odszukała mnie Meryt. Trzy razy mnie odwiedzała, nim zgodziłem się zobaczyć z tobą. Mam szczęście, że twoja przyjaciółka nie zna słowa „nie”.

Spojrzałam na mojego męża i powiedziałam:

- A miarą mojego szczęścia jest twoja niezgłębiona dobroć.

Tamtej nocy kochaliśmy się bardzo powoli, jakby po raz ostatni, łkając. Jedna z jego łez wpadła mi do ust, stając się w nich błękitnym szafirem, źródłem siły i wieczystej nadziei.

Benia nie wypytywał o moją historię. Jego oczy wypełniały się pytaniami, kiedy wspominałam o metodach warzenia piwa mojej matki czy też o umiejętnościach ciotki położnej, ale rezygnował z chęci dowiedzenia się czegoś więcej. Zapewne lękał się, że mogłabym zniknąć, gdyby spytał mnie choćby tylko o znaczenie mojego imienia albo o to, jak brzmi słowo „woda” w moim ojczystym języku.

Podczas kolejnej bezksiężycowej nocy przekazałam mu tyle prawdy, ile mogłam: że ojciec Re-mose był synem Re-nefer, siostry

Nakht-re, i że przybyłam do Teb po tym, jak zamordowano mojego męża w naszym łożu. Usłyszawszy to, Benia wzdrygnął się, wziął mnie w ramiona, jakbym była dzieckiem, i pogładził po włosach. Powiedział tylko: „Biedactwo”. A ja tylko tyle pragnęłam usłyszeć.

Żadne z nas nigdy nie udzieliło głosu naszym ukochanym zmarłym, a ci w podzięcie za ów akt szacunku pozwolili nam żyć w spokoju z naszymi nowymi współmałżonkami i nigdy nie nawiedzali naszych myśli za dnia ani też nie nękali naszych snów nocą.

Życie w Dolinie Królów, na zachodnim brzegu rzeki, było doskonałe. Benia i ja znajdowaliśmy w sobie wzajem wszystko, czego potrzebowaliśmy. W rzeczy samej byliśmy bogaci pod każdym względem oprócz jednego, brakowało nam bowiem dzieci.

Ja byłam jałowa albo może zbyt stara, aby jeszcze rodzić. Choć żyłam dotąd pełnią życia - blisko czterdzieści lat - mój grzbiet wciąż był silny, a ciało wciąż jeszcze dawało posłuch przyciąganiu księżycyca. Byłam pewna, że moje łono wyziębło już, ale nawet wtedy nie potrafiłam się wyzbyć resztek nadziei z serca i smuciłam się razem ze strumieniem towarzyszącym każdemu nowemu księżycowi.

A jednak wcale nie byliśmy aż tacy bezdzietni, bo na naszym progu często siadywała Meryt, a z nią wnuczęta, które traktowały nas jak wuja i ciotkę - zwłaszcza mała Kija, która tak bardzo lubiła spać w naszym domu, że jej matka czasami przysyłała ją do nas, aby pomagała nam w ogrodzie i rozjaśniała nasze dni.

Wieczorami Benia i ja wymienialiśmy się różnymi historiami. Ja opowiadałam mu o dzieciach, które odebrałam, i o matkach, które umarły, choć tych na szczęście było niewiele. On mówił o swoich

zamówieniach - kolejnych wyzwaniach, kształtowanych nie tylko pragnieniami nabywców i budowniczych, ale również życzeniami drewna w jego ręku.

Dni mijały spokojnie i to, że niewiele odróżniało jeden od drugiego, poczytywałam za hojny dar od losu. Miałam dłonie Beni, przyjaźń Meryt, dotyk maleńkich dzieci, uśmiechy nowych matek, małą dziewczynkę., której śmiech rozlegał się w mojej kuchni, własny dom.

Niczego więcej nie potrzebowałam.

Rozdział czwarty

O liście od Re-mose wiedziałam, jeszcze zanim posłaniec dotarł do mojego domu. Do naszych drzwi przybiegła Kija z wieścią, że jakiś skryba przybył do domu Menny, że szuka położnej Den-ner i że zmierza właśnie do siedziby Beni.

Bardzo się uradowałam na myśl o kolejnym liście od syna. Upłynął dobry rok od czasu, gdy otrzymałam poprzedni, i wyobrażałam sobie, jak to będzie wieczorem, gdy Benia wróci do domu, a ja pokażę mu pismo mojego syna na łupkowej tabliczce.

Stałam na progu, nie mogąc już się doczekać, kiedy zobaczę list. Ale gdy zza rogu wyłonił się ów mężczyzna, otoczony gromadką podnieconych dzieci, połapałam się, że posłaniec przynosi mi własną wiadomość.

Re-mose i ja oniemieliśmy na swój widok. Ja zobaczyłam mężczyznę, którego nie znałam - wcielenie Nakht-re, gdyby nie oczy osadzone tak jak u jego rodzonego ojca. Nie zobaczyłam nic z siebie w księciu Egiptu, który stanął przede mną, odziany w przedni len, ze złotym sznurem lśniącym na skroś piersi, w nowiusieńkich sandałach nałożonych na wypielęgowane stopy.

Nie wiedziałam natomiast, co on sam widzi, patrząc na mnie. Wydało mi się, że dostrzegam w jego oku wzgardę, ale może był to

tylko mój urojony lęk. Zastanawiałam się, czy zauważył, że jestem wyższa teraz, kiedy dźwigam mniej smutku na swych barkach. Ale niezależnie od tego, co zobaczył albo pomyślał, byliśmy sobie obcy.

- Wybacz moje maniere - odezwałam się wreszcie. - Wejdz do domu Beni i pozwól, że dam ci chłodnego piwa i owoców. Wiem, że podróż z Teb to uciążliwość.

Re-mose też oprzytomniał i rzekł:

- I ty mi wybacz, matko. Tyle upłynęło wody, odkąd po raz ostatni widziałem twoją ukochaną twarz. - Jego słowa brzmiały chłodno, a uścisk był prędko, niezręczny. - Z chęcią ugaszę pragnienie - powiedział i wszedł za mną do domu.

Patrzyłam na każdą z moich izb jego oczyma, nawykłymi do przestronnych komnat pałaców i świątyń. Izba od ulicy, moja izba, którą ceniłam sobie najwyżej ze względu na wielobarwne malowidła na ścianie, nagle wydała się mała i naga, toteż ucieszyłam się, kiedy przeszedł przez nią pospiesznie. Izba Beni była okazalsza, a poza tym umeblowana sprzętami, jakie widuje się jedynie w domach możnych i w grobowcach. Jakość krzesel i łóża znalazły aprobatę w oczach mego syna i to właśnie tam go pozostawiłam, by przynieść jedzenie i napitki. Kija weszła za nami do środka i przyglądała się teraz pięknie odzianemu mężczyźnie goszczącemu w moim domu.

- Czy to moja siostra? - spytał Re-mose, wskazując milczące dziecko.

- Nie - odparłam. - To siostrzenica przyjaciółki, a więc również jakby moja siostrzenica. - Ta odpowiedź zdała się sprawić mu ulgę. - Bogowie najwyraźniej zarządzili, abyś ty pozostał moim jedynym dzieckiem - dodałam. - Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu i pomyślności. Powiedz mi, ożeniłeś się już? Czy zostałam może babką?

- Nie - odrzekł Re-mose. - Moje obowiązki za bardzo mnie pochłaniają, abym miał czas na rodzinę. - ciągnął, zbywając ową kwestię, machnięciem ręki. - Może któregoś dnia moja sytuacja się poprawi i będę mógł ci ofiarować jakiegoś malca, abys go piastowała na kolanie.

To wszystko nie było jednak niczym więcej niż uprzejmą rozmową, która toczyła się jakby w pustce i pachniała fałszem. Przepaść między nami była zbyt wielka, aby pozwalała na jakąkolwiek bliskość. O tym, czy i kiedy zostałam babką, miałam się dowiadywać jedynie za pośrednictwem listów przysyłanych na łupkowych tabliczkach, przeznaczonych do tego, aby je wyrzucić po przeczytaniu.

- Mamo - powiedział, gdy już opróżnił swój puchar - jestem tu nie tylko dla własnej przyjemności. Mój pan polecił mi przywieźć ze sobą najlepszą położną w Egipcie, aby ta odebrała poród jego żony. Ależ tak, to prawda - dodał, lekceważąc moje wzruszenie ramionami. - Nie mów nic, aby umniejszać swą reputację, bo w Tebach nikt dotąd nie zajął twojego miejsca. Żona mojego pana dwukrotnie poroniła i raz sama omal nie umarła, rodząc martwe dziecko. Lekarze i nekromanci na nic się dotąd nie przydali i teraz położne lękają się pomagać księżniczce, wobec której los jest tak nieprzychylny. Jej własna matka nie żyje, a ona się boi.

Mój pan nie widzi świata poza swoją żoną i niczego nie pragnie bardziej, niż mieć z nią synów. Asenat słyszała o twoich umiejętnościach od swych służebnic i tak więc uprosiła męża, aby ten odszukał cudzoziemską położną o złotych rękach, która kiedyś służyła kobietom w Tebach. Pan polega we wszystkim na mojej osobie, to i w tej sprawie się do mnie zwrócił - oświadczył Re-mose ustami,

które robiły się coraz to mniejsze i bardziej wyduęte na każdą wzmiankę o jego panu. - Wyobraź więc sobie moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałem, że on szuka mojej własnej matki. On zaś nieprawdopodobnie się ożywił, kiedy usłyszał o twym pochodzeniu, że jesteś jego krajanką - dodał wyraźnie kpiącym tonem Re-mose. - Rządca nakazał mi odłożyć na bok sprawy państwowe, udać się do Doliny Królów i towarzyszyć ci do jego siedziby. Zabronił mi wracać bez ciebie.

- Nie lubisz ty tego człowieka - stwierdziłam łagodnie.

- Safnat Paneach jest rządcą w Tebach z wyboru samego króla - odparł mój syn grzecznym, choć zarazem potępiającym tonem. - Uważa się go za wielkiego wróżbitę, który widzi przyszłość i czyta sny z równą łatwością, jak główny skryba czyta bazgroły uczniaka. Ale jest niepiśmienny - mówił z goryczą Re-mose. - Nie potrafi ani rachować, ani pisać, ani czytać i dlatego właśnie król wyznaczył mnie, najlepszego z uczniów Kara, na jego prawą rękę. I dlatego właśnie jestem tu teraz, bez żony, bez dzieci, drugi po barbarzyńcy.

Zesztywniałam, usłyszawszy to słowo. Re-mose zauważył, jak to ostatnie na mnie podziałało, i poczerwieniał ze wstydu.

- Och, mamó, nie bierz tego do siebie - zapewnił mnie prędko. - Ty nie jesteś taka jak oni, bo inaczej mój ojciec i babka nigdy by ciebie nie wybrali. Ty jesteś wspaniała - dodał. - Nie ma w Egipcie matki lepszej od ciebie.

Jego pochlebstwo sprawiło, że uśmiechnęłam się mimo woli. Re-mose objął mnie i na krótką chwilę odzyskałam tego kochającego chłopca, który kiedyś był moim synem.

Przez chwilę popijaliśmy piwo w milczeniu, po czym ja powiedziałam:

- Ma się rozumieć, pojedę z tobą do Teb. Jeśli królewski rządca rozkazał ci mnie sprowadzić, to ja usłucham nakazu. Najpierw jednak muszę pomówić z moją przyjaciółką Meryt, która jest mi oparciem w izbach narodzin i powinna mi towarzyszyć. Muszę też porozmawiać z moim mężem Benią, mistrzem ciesielki, aby wiedział, dokąd się udaję i kiedy mogę wrócić.

Re-mose znowu wydał wargi.

- Nie ma na to czasu, mamó. Musimy ruszać natychmiast, bo pani już rodzi i pan oczekuje mnie lada chwila. Poślij tę dziewczynkę, aby powiadomiła innych. Nie mogę zwlekać.

- Obawiam się, że musisz - odrzekłam i wyszłam z izby.

Re-mose poszedł za mną do kuchni i chwycił mnie za łokieć, niczym pan, który zamierza skarcić niesfornego sługę.

Wyrwałam mu się i spojrzałam w twarz.

- Nakht-re prędzej by umarł niż tak potraktował krewnego, a tym bardziej matkę. Czy w taki właśnie sposób czcisz pamięć jedyne go ojca, jakiego kiedykolwiek poznałeś? Ja zapamiętałam go jako szlachetnego człowieka, któremu ty zawdzięczasz wszystko i którego imię okrywasz teraz hańbą.

Re-mose znieruchomiał, a potem zwiesił głowę. Jego ambicje i serce były w stanie wojny, a twarz zdradzała rozłam w sercu. Przy padłszy do ziemi, skłonił się nisko, bijąc czołem u moich stóp.

- Wybaczam ci - powiedziałam. - Daj mi chwilę na przygotowanie, a moją przyjaciółkę i męża znajdziemy po drodze do Teb.

Re-mose podniósł się z ziemi i wyszedł na zewnątrz, aby zacząć, aż przygotowuję się do podróży, na którą nie miałam najmniejszej

ochoty. Kiedy zbierałam swoje przybory i zioła, uśmiechałam się do własnej bezczelności, że zawstydziłam mojego możnego syna za jego grubiaństwo, że tak się uparłam przy swoich pożegnaniach. Gdzie się podziała ta potulna kobiecina, która przez te wszystkie lata mieszkała kątem w domu Nakht-re?

Meryt czekała na mnie przy drzwiach domu swego syna, żądna wieści. Oczy jej zogromniały, kiedy przedstawiłam ją Re-mose, którego nie widziała od czasu, gdy był dzieckiem. Zakryła usta z przestachu, gdy usłyszała o zaproszeniu do rodzającej żony samego wielkorządcy królewskiego, ale nie mogła mi towarzyszyć. Lada moment aż trzy kobiety w mieście miały rodzić, przy czym jedna z nich była krewniaczką, córką brata Szifry. Objęłyśmy się; Meryt życzyła mi dotknięcia Izydy i szczęścia Besa. Stała przy drzwiach i machała mi wesoło.

- Przywieź jakieś dobre historie - zawołała i jej śmiech odprowadził mnie aż do końca ulicy.

Benia nie odprawił mnie śmiechem. Razem z moim synem zmierzyl się zimnymi spojrzeniami; Benia skłonił się na znak szacunku wobec skryby z taką pozycją, Re-mose pochylił głowę przed cieślą prowadzącym tak znamienity warsztat. Oboje z mężem nie mieliśmy możliwości rozstać się, jak należy, więc tylko wymieniliśmy nasze pożegnalne przysięgi oczyma. Ja obiecałam, że wrócę. On przysiągł, że do tego czasu nie zazna spokoju.

Re-mose i ja opuściliśmy dolinę, niewiele do siebie mówiąc. Zanim ruszyliśmy w stronę brzegu rzeki, dotknęłam jego ramienia, dając znak, że ma się zatrzymać. Obróciwszy się twarzą w stronę domu, upuściłam na ziemię garść ruty, którą zebrałam w swoim

ogrodzie, oraz kawałek chleba z własnego pieca, aby w ten sposób zapewnić sobie szybki powrót.

Było już ciemno, kiedy dotarliśmy do rzeki, ale nie musieliśmy wyglądać porannego promu; czekała na nas królewska barka oświetlona setką lamp. Popychało ją wiele wiosł i już niebawem spieszyliśmy śpiącymi ulicami miasta w stronę wielkiego pałacu, gdzie Remose pozostawił mnie pod drzwiami do siedziby kobiet. Zabrano mnie stamtąd do komnaty, gdzie na wielkim łożu siedziała blada, młoda kobieta, całkiem samotnie.

- Ty jesteś Den-ner? - spytała.

- Tak, Asenat - odparłam łagodnie, układając moje cegły na posadzce. - Pozwól, że sprawdzę, co dla nas przygotowali bogowie.

- Lękam się, że ono też jest martwe - wyszeptała. - I jeśli tak jest, to pozwól mi umrzeć razem z nim.

Przyłożyłam ucho do jej brzucha i dotknęłam jej łona.

- To dziecko żyje - powiedziałam. - Nie bój się. On tylko odpoczywa przed podróżą.

Razem z nastaniem dnia bóle zaczęły się na dobre. Asenat bardzo się starała zachowywać cicho, tak jak to przystoi damie z królewskiego rodu, ale natura uczyniła ją skorą do krzyku i niebawem powietrze wypełniło się wrzaskami towarzyszącymi każdemu skurczowi.

Zawołałam, aby przyniesiono świeżą wodę do obmycia twarzy matki, nową słomę, lotosowe kadzidło do odświeżenia wnętrza i żeby przysłano pięć służek; te otoczyły wiankiem swą panią i dodawały jej otuchy. Czasami lepiej jest być biednym, pomyślałam. Nawet kobiety bez rodziny mieszkają tak blisko sąsiadów, że okrzyki rodzącej matki przyciągają inne kobiety niczym gęsi, które słuchają

wołania ich przywódcy w kluczu. Inaczej niż kobiety bogate, otoczone służkami, które za bardzo obawiają się swych pań, aby zachowywać się jak siostry.

Asenat nie miała lekko, ale też wcale poród ten nie zaliczał się do najgorszych, jakie dane mi było oglądać. Parła przez wiele godzin, wspierana przez kobiety, które przynajmniej tego dnia były jej siostrami. Tuż po zachodzie słońca powiła drobnego, ale zdrowego synka, który natychmiast gdy wzięto go w ręce, zaczął donośnym płaczem domagać się piersi.

Asenat całowała mnie po rękach, zalewając je łzami radości, i posłała jedną ze swych służek, aby doniosła Safnat Paneachowi, że został ojcem wspaniałego syna. Mnie zaś zabrano do ustronnej izby, gdzie zapadłam w mroczny, pozbawiony snów sen.

Obudziłam się następnego ranka cała mokra od potu, z pulsowaniem w głowie i ogniem w gardle. Leżałam na pościeli, mrużąc oczy od światła sączącego się przez wysokie okna, i próbowałam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byłam chora. Poczułam łomot w czaszce i znowu zamknęłam oczy. Kiedy otworzyłam je na powrót, światło wyciekało już z izby.

Dziewczyna siedząca pod ścianą zauważyła, że się ocknęłam; przyniosła mi picie i przyłożyła wilgotny ręcznik do czoła. Minęły dwa dni, a może trzy, wszystkie zamazane w jednym ciągu rozgorączkowanych snów i zmienianych kompresów. Kiedy moja głowa nareszcie ochłodziła i ból ustąpił, stwierdziłam, że jestem zbyt słaba, by ustać o własnych siłach.

Opiekowała się mną kobieta, która miała na imię Szery. Aż rozdziawiłam usta, gdy mi się przedstawiła, ponieważ jej imię oznaczało

„maleńką”, a tymczasem była to najgrubsza kobieta, jaką w życiu widziałam.

Szery zmyła kwaśny odór z mojego ciała, nakarmiła rosołem i owocami, oferując, że przyniesie mi, co tylko zechce.. Nigdy przedtem nikt tak o mnie nie dbał i byłam wdzięczna za jej pomoc, choć nie do końca mi się podobało, że tak mi nadskakuje.

Po kilku dniach zaczęłam odzyskiwać siły i wtedy poprosiłam Szery, aby przekazała mi wieści o dziecku, którego poród odebrałam. Była zachwycona moim pytaniem; usadowiła swoje tłuste cielsko na zydlu, bo Szery uwielbiała mieć widownię.

Dziecko ma się dobrze, doniosła.

- Jest bardzo żarłoczny i omal nie odgryzł sutków swojej matce, bo tak często się najada - powiedziała Szery ze złym uśmiechem. Współczuła przedtem bezdzietności swej pani, ale stwierdziła, że Asenat to arogancka dziewczka. - Macierzyństwo nauczy ją wszystkiego - doszła do wniosku moja nowa przyjaciółka. - Ojciec nazwał chłopca Manasses, straszne imię, które zapewne oznacza coś wspańskiego w jego ojczystym języku. Manasses. To przecież brzmi jak odgłos przeżuwania, nieprawdaż? Ale zaraz, ty przecież też jesteś z Kanaanu, mam rację?

Wzruszyłam ramionami.

- To było tak dawno temu - powiedziałam. - Proszę, opowiadaj jeszcze, Szery. Twoje słowa działają niemalże jak magia, dzięki nim zapominam, że coś mnie boli.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, dając do zrozumienia, że nie ukryłam swojej niechęci pod tym pochlebstwem. Ale i tak mówiła dalej.

- Safnat Paneach to butny syn suki - powiedziała, dowodząc zaufania do mnie tym wyklinaniem swego pana. - Lubi opowiadać o

swych skromnych początkach, jakby takie wyniesienie miało czynić jego pozycją jeszcze znacznieszą. Ale w Egipcie to nie jest nic takiego. Wielu znaczących mężów stanu i rzemieślników, wojowników i artystów zalicza się do nisko urodzonych. To samo się tyczy twojego męża, co Den-ner? - spytała, dając do zrozumienia, że moja historia nie jest jej taka całkiem obca. Ale ja tylko się uśmiechnęłam.

- Ten Kananejczyk jest przystojny, co do tego nie ma wątpliwości. Kobiety mdleją na jego widok, czy raczej mdlały, kiedy był młodszy. Mężczyzn też do niego ciągnie i to nie tylko tych, co to wolą chłopców. Ma się rozumieć, ta uroda nie przysłużyła mu się, kiedy był młody. Rodzeni bracia nienawidzili go tak bardzo, że sprzedali go w niewolę; wyobrazasz sobie, by Egipcjanin mógł uczynić coś takiego? Ja codziennie dziękuję bogom, że urodziłam się w dolinie wielkiej rzeki.

- Bez wątpienia - odparłam, omiatając wzrokiem jej tuszę; zaiste, żaden inny kraj nie utrzymałby takiej obfitości.

Szery zrozumiała aluzję i aż się chwyciła za brzuch.

- Ha, ha! Jestem istotą o zdumiewających kształtach, nieprawdaż? Król uszczypnął mnie kiedyś i powiedział, że tylko karły zachwycają go bardziej niż widok kogoś tak dużego i krągłego jak ja. Nie uwierzyłybyś, ilu mężczyznom wydaje się to godne pożądanía - powiedziała Szery. - Za młodu - zaczęła poufnym szeptem - dawałam rozkosz staremu królowi, dopóki jego żona nie zrobiła się zazdrosna i nie odesłała mnie do Teb. Ale to - i tu mrugnęła - inna opowieść, na inną chwilę. Historia tego domu jest dostatecznie pikantna - stwierdziła beczelnie. - Safnat Paneach został sprzedany

do niewoli, jak już powiedziałam, a jego nowi panowie okazali się najbardziej kananejscy z Kananejczyków, świniom podobni. Nie wątpię, że był bity, gwałcony i zmuszany do najpodlejszych prac. Rzecz jasna, jego wysokość nie mówi o tym. Safnat Paneach dostał swoje pompatyczne imię. dopiero niedawno. „Bóg mówi i żyje”, też coś! Zwykli nazywać go Patykiem, bo gdy przybył do Egiptu, był tak chudy jak ten jego nowo narodzony syn. Kiedy jego właściciele przybyli do Teb, został sprzedany Potifarowi, dowódcy pałacowej straży, człowiekowi o lepkich rękach, który mieszkał w wielkim domu na obrzeżach miasta. Patyk był sprytniejszy od swego pana o połowę, więc kazano mu pilnować ogrodu, a potem doglądać tłoczenia wina. W końcu postawiono go ponad całą służbą w domu, bo Potifar kochał tego małego Kananejczyka i wykorzystywał go do własnej przyjemności.

Ale żona Potifara, wielka piękność o imieniu Nebetper, również popatrywała na niego z tęsknotą i oboje zostali kochankami pod samym nosem pana. Krążą nawet plotki, jakoby to on był ojcem jej najmłodszej córki. W każdym razie Potifar wreszcie nakrył ich razem w łóżu i nie mógł dłużej udawać, że nie wie, co się dzieje. Tak więc, demonstrując wielki gniew i żądzę zemsty, posłał Patyka do więzienia.

W tym momencie straciłam zainteresowanie opowieścią Szery, która najwyraźniej nie miała końca. Chciałam spać, ale nie było jak powstrzymać tej kobiety, która nie rozumiała aluzji, gdy ziewnęłam, ani nawet wtedy, gdy zamknęłam oczy.

- Tebańskie więzienie nie jest czymś, z czego można się śmiać - stwierdziła ponurym tonem. - Obrzydliwa dziura, pełna szaleńców i

rzejmieszków, w której więźniowie padają pastwą mordy, rozpacz albo febry. Jednak strażnik ulitował się nad przystojnym więźniem, który nie był ani nienawistny, ani obłąkany. Wkrótce spożywał swoje posiłki w towarzystwie Kananejczyka, który do tego czasu władał już dobrze mową Egiptu. Strażnik nie miał ani potomstwa, ani żony i traktował Patyka jak syna. Po latach powierzył Patykowi zadanie pilnowania współwięźniów, aż w końcu to on określał, kto będzie spał obok okna, a kto będzie przykuty łańcuchem blisko latryny, toteż inni więźniowie robili, co mogli, aby go przekupić i przypodobać mu się. Powiadam ci, Den-ner - powiedziała Szery, potrząsając z podziwem głową - gdziekolwiek uda się ten człowiek, tam władza sama wsuwa mu się w ręce.

Tymczasem stary król umarł, a nowy król miał w zwyczaju karać za najpośledniejsze przewinienia przeciwko niemu poprzez wtrącanie do więzienia. Jeśli był niezadowolony z miękiszu chleba, który podano mu do obiadu, to potrafił wsadzić piekarza do więzienia na tydzień albo i dłużej. Posyłano do tego miejsca podczaszych, dworzan, szewców, nawet dowódców straży, a oni poznawali tam Patyka. Każdy był pod wrażeniem jego książęcego obejścia, jego umiejętności odczytywania snów i wróżenia przyszłości. Pewnemu biednemu pijaczynie powiedział, że nie dożyje tygodnia, i kiedy owego znaleziono martwego - nie zamordowanego, zważ, zwyczajnie wycieńczonego po latach nadużywania mocnych napitków - więźniowie ogłosili go wyrocznią. Kiedy pewien podczaszy wyszedł z więzienia z opowieścią o takim, co to widzi przyszłość, faraon kazał sprowadzić Patyka i potem polecił mu odczytać serię snów, które nawiedzały go od miesięcy.

Nie było trudno wróżyć z tego snu, jeśli mnie spytasz - orzekła Szery. - Tłuste ryby pożerane przez chude ryby, tłuste krowy tratowane przez chude krowy, siedem dorodnych kłosów zboża zdeptane tak, że zostawało siedem martwych kłosów. Był półgłupi magik, który wyciąga ptaki z koszyków na targowisku, mógł odczytać te sny - stwierdziła drwiąco. - Ale sny nawiedzały i przerażały idiotę króla, który uspokajał się, słysząc, że ma siedem lat na przygotowanie się do nadchodzącego głodu. Tak więc wywyższył tego więźnia, niepiśmiennego, urodzonego na obcej ziemi oszusta, czyniąc go pierwszym po sobie.

Wyobrażam sobie, że twój syn powiedział ci już, że ten tak zwany Safnat Paneach jest całkowicie zależny od Re-mose. I że teraz, kiedy Safnat Paneach jest nie tylko wielkorządcą, ale również ojcem, nie będzie jak pohamować jego pychy - gardłowała Szery, krzając się po izbie i przygotowując moje posłanie, bo przegadała przecież całe popołudnie. - Wczoraj zaś - burczała, zwracając się praktycznie do siebie - ten szaleniec zażądał, aby obrzezali mu syna. Nie wtedy, kiedy stanie na progu wieku męskiego i będzie w stanie coś takiego przetrzymać. Nie jak cywilizowani ludzie, tylko teraz. Natychmiast! Dałabyś wiarę, że ktoś mógłby chcieć czegoś takiego dla małego dzieciątka? To tylko dowodzi, że ten barbarzyńca ani trochę się nie zmienił. Asenat wrzeszczała jak patroszony kot, kiedy usłyszała o tym nakazie. I nie mogę jej za to winić.

- Józef - wyszeptalam z przerażeniem i niedowierzaniem.

Szery zerknęła na mnie.

- Co? - spytała. - Coś ty powiedziała, Den-ner?

Ja jednak zamknęłam oczy, czując nagle, że brak mi tchu. Ni stąd, ni zowąd pojęłam wreszcie, dlaczego wezwano mnie do Teb i dlaczego Szery opowiedziała mi całą tę długą historię o wielkorządcy. Ale to przecież nie mogła być prawda. Na pewno ta gorączka przytępiła mi umysł. Leżałam na posłaniu, ciężko dysząc i zmagając się z zawrotami głowy.

Szery zauważyła, że coś ze mną nie tak.

- Den-ner - zagadnęła. - Źle się czujesz? Przynieść ci co? Może już jesteś gotowa na solidną strawę. A tu jest coś, co cię rozweseli - powiedziała, podnosząc głowę na dźwięk kroków. - Idzie twój syn, żeby oddać ci wyrazy szacunku. Oto Re-mose. Przyniosę wam obojgu coś na ząb - wybelkotała i zostawiła mnie samą z synem.

- Matko? - spytał formalnie i wykonał sztywny ukłon. Kiedy jednak spojrział na moją twarz, wzdrygnął się. - Mamo? Co ci? Powiedzieli mi, że już wydobrzałaś i że mogę się z tobą dzisiaj zobaczyć - dodał z wątpliwością w głosie. - Ale może to jednak nie jest odpowiednia chwila.

Odwróciłam twarz do ściany, odpowiadając go gestem ręki. Usłyszałam, że Szery wychodzi razem z nim i mruczy jakieś wyjaśnienia. Pospieszne kroki cichnące w dali były ostatnią rzeczą, jaka do mnie dotarła, zanim zapadłam w sen.

Szery opowiedziała Re-mose o naszej rozmowie i powtórzyła słowo, które wypowiedziałam, zanim na powrót moim umysłem zawładnął mrok gorączki. I takim to sposobem mój syn przejął słowo „Józef” do własnych ust i niezapowiedziany wkroczył do wielkiej komnaty, gdzie siedział wielkorządca Egiptu, szepcząc słowa

otuchy swemu pierworodnemu synowi, którego obrzezano właśnie tego dnia.

- Józef - powiedział Re-mose, rzucając to imię niczym wyzwaniem.

I wtedy ten, którego znano z imienia Safnat Paneach, zadygotał.

- Czy znasz kobietę o imieniu Den-ner? - spytał pod niesionym tonem.

Safnat Paneach przez chwilę nic nie mówił, a potem powtórzył:

- Den-ner? - Spojrzał w oczy swego skryby. - Miałem siostrę o imieniu Dina, ale ona umarła dawno temu. Dlaczego wymieniasz jej imię? Co wiesz o Józefie? - dopytywał się rozkazującym tonem.

- Powiem ci, co wiem, ale ty pierwszej opiszesz mi jej śmierć - odrzekł Re-mose. - Taki jest mój warunek.

Groźba w jego głosie rozjuszyła Józefa. A jednak, mimo że zasiadał na tronie ze zdrowym synem w ramionach i strażnikami gotowymi wypełnić każdy jego rozkaz, czuł się obowiązany odpowiedzieć. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni słyszał własne imię, dwadzieścia lat, odkąd wypowiedział na głos imię siostry.

Tak więc zaczął. Cichym głosem, tak cichym, że Re-mose musiał podejść bliżej, opowiedział, jak to Dina udała się do pałacu w Sychem razem z jego matką, położną Rachelą, aby odebrać tam poród.

- Księżę z tego miasta wziął ją sobie za żonę - powiedział Józef i Re-mose usłyszał o tym, jak to Jakub odrzucił sowitą zapłatę za swoją córkę i w końcu przyjął księcia, określiwszy najpierw najokrutniejsze z warunków.

Re-mose zdrzął, usłyszawszy imię swego ojca z ust Józefa, ale w następnej chwili dowiedział się, że bracia Józefa, czyli jego wujowie,

zamordowali Szalema w jego własnym łóżu. Re-mose musiał zagryźć wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Józef wyznał swoją odrazę do tej zbrodni i zapewnił o własnej niewinności.

- Dwaj spośród moich braci zakrwawili sobie race - powiedział, ale przyznał też, że być może w mordzie czterech uczestniczyło. - Ukarani zostaliśmy wszyscy. Dina przeklęła nas wszystkich bez wyjątku. Niektórzy z moich braci zachorzel, inni patrzyli, jak czezną ich synowie. Mój ojciec utracił wszelką nadzieję, a ja zostałem sprzedany w niewolę. Kiedyś zwykłem obwiniać moją siostrę za wszelkie swoje nieszczęścia, ale teraz już tego nie czynię. Gdybym wiedział, gdzie ją pogrzebano, to udałbym się tam, oddał ofiarę z wina i zbudował stelę ku jej pamięci. Ostatecznie przeżyłem nikczemność moich braci i razem z urodzeniem tego syna bóg moich ojców pokazuje mi, że nie umrę w zapomnieniu. A jednak imię mej siostry zostało wymazane, jakby ona nigdy nie zaczerpnęła oddechu. Była mi mleczną siostrą - ciągnął Józef i pokręcił głową. - To dziwne, że mówię o niej teraz, kiedy sam zostałem ojcem. Być może nazwę swoje następane dziecko jej imieniem, aby uczcić jej pamięć - i z tym umilkł.

- A kim jest Józef? - spytał Re-mose.

- Józef to imię, które nadała mi matka - wyjaśnił cicho Safnat Paneach.

Re-mose odwrócił się, aby wyjść, ale rządca zatrzymał go.

- Czekaj! Zawarliśmy umowę. Opowiedz mi teraz, jakim to sposobem poznałeś imię moje i mojej siostry.

Re-mose zatrzymał się i nie patrząc mu w oczy, odparł:

- Ona nie umarła.

Te słowa jakby zawisły w powietrzu.

- Ona jest tutaj, w twoim pałacu. W rzeczy samej to ty kazałeś jej tu przybyć. Den-ner, położna, ta, która odebrała twego syna, to Dina, twoja siostra. Moja matka.

Józef wytrzeszczył oczy ze zdumienia i uśmiechnął się niczym uszczęśliwione dziecko. Ale Re-mose splunął mu pod nogi.

- Każesz mi się nazywać wujem? - wysyczał. - Znienawidziłem cię od samego początku. Okradłeś mnie ze stanowiska, które należy mi się zgodnie z prawem, i awansujesz w oczach króla dzięki moim umiejętnościom. Teraz widzę, że niszczyłeś mi życie od urodzenia! Zabiłeś mi ojca, kiedy był w kwiecie wieku. Ty i twoi barbarzyńscy bracia zamordowaliście też mojego dziadka, który, choć Kananejczyk, zachował się z honorem. Ograbiłeś mnie z serca mojej babki. Zdradziłeś swoją siostrę, uczyniłeś moją matkę wdową, a mnie sierotą i wyrzutkiem. Kiedy byłem małym dzieckiem, sługa mojej babki powiedział mi, że gdy wreszcie poznam morderców mego ojca, ich imiona rozedrą mi duszę na kawałki. Jego słowa okazały się prawdziwe. Jesteś moim wujem. O bogowie, co za koszmar! - krzyknął Re-mose. - Morderca i kłamca. Jak śmiesz zapewniać, żeś niewinny, w obliczu takiej niegodziwości? Być może ty sam nie wzniosłeś żadnego miecza, ale nie uczyniłeś nic, aby ich powstrzymać. Musiałeś coś wiedzieć o spisku, ty, twój ojciec i pozostali z jego nasienia. Ja widzę krew mojego ojca na twoich rękach. W oczach wciąż masz poczucie winy.

Józef odwrócił wzrok.

- Nie pozostało mi już nic innego, jak tylko cię zabić albo szczeniąc jako tchórz. Jeśli nie pomszczę swojego ojca, okażę się niewart

jego życia, nie mówiąc już o następnym.

Głos Re-mose, podniesiony z nienawiści, zaalarmował strażników, którzy pojмали go i wyprowadzili, przy wtórowaniu Manassesa w ramionach jego ojca.

Kiedy wreszcie się obudziłam, siedziała obok mnie Szery ze ściągniętą twarzą.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Och, moja pani - powiedziała pospiesznie, chcąc czym prędzej podzielić się swą wiedzą. - Mam złe wieści. Twój syn i rządcą poprzeczali się; Re-mose jest trzymany pod strażą w jego komnatach. Ponoć pan wpał w furię i ludzie mówią, że młody skryba znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie znam przyczyny ich sporu, jeszcze nie w każdym razie. Ale kiedy ją poznam, natychmiast ci powiem.

Wstałam z posłania, chwiejna, ale zdeterminowana.

- Szery, posłuchaj mnie teraz - zarządziłam - bo nie będę się sprzeczała ani powtarzała. Muszę porozmawiać z panem tego domu. Idź i zapowiedz mnie.

Służka skłoniła się w pas, ale cienkim głosem powiedziała:

- Nie możesz iść do Safnat Paneacha, tak wyglądając. Pozwól, że cię wykąpię i uczeszę ci włosy. Nałóż czystą szatę, abyś wyglądała jak kobieta godnego stanu, a nie jakaś żebraczka.

Zgodziłam się z nią, nagle zalękniona czekającą mnie sceną. Jakimi słowami miałam przemawiać do brata, którego nie widziałam całą wieczność? Przycupnęłam w kąpielu, pozwalając, by Szery oblewała mnie chłodną wodą, a potem jeszcze dałam sobie uczesać i

ułożyć włosy. Czułam się jak niewolnica, która zaraz ma paradować przed szpalerem kupców.

Kiedy już byłam gotowa, Szery doprowadziła mnie do drzwi komnaty Safnat Paneacha; siedział za nimi sam, z głową ukrytą w dłoniach.

- Położna Den-ner domaga się posłuchania - obwieściła Szery.

Rządca powstał i machnął w moją stronę ręką, każąc mi podejść.

- Zostaw nas samych - warknął.

Szery i pozostali członkowie jego świty zniknęli. Zostaliśmy sami. Żadne z nas nie wykonało ruchu. Zajmowaliśmy nasze miejsca po przeciwległych stronach komnaty i wpatrywaliśmy się w siebie.

Choć przez te lata utracił gładkość policzków i kilka zębów, to jednak wciąż miał urodziwą, silną twarz, wciąż był synem Racheli.

- Dina - powiedział. - Achat, mała siostrzyczko - powiedział językiem naszej młodości. - Grób cię wyzwolił.

- Tak, Józefie - odparłam. - Ja żyję i nie posiadam się ze zdumienia, że oto znalazłam się w twojej obecności. Jednak jedynym powodem, dla którego przyszłam, jest pytanie o to, co się stało z moim synem.

- Twój syn zna historię śmierci swego ojca i zagraża mojemu życiu - odrzekł sztywno Józef. - Obarcza mnie odpowiedzialnością za grzechy moich braci. Już same jego pogroźki mogłyby go skazać na śmiertelną karę, ale ponieważ jest twoim synem, więc tylko go odeślę. Nic mu się nie stanie, obiecuję - dodał dobrodusznie Józef. - Zaleciłem, by król powierzył mu urząd na północy, gdzie nie będzie

miał nikogo nad sobą. Z czasem pokocha morze - z wszystkimi tak jest - i zbuduje sobie życie przyprawione słonym powietrzem i słoną wodą; nie będzie pragnął już niczego innego. Musisz mu powiedzieć, że ma postąpić tak, jak ja każe, i zapomnieć o całym gadaniu o zemście - dodał. - Musisz zrobić to jeszcze dzisiaj, wieczorem. Jeśli on podniesie na mnie rękę, jeśli tylko zagrozi mi w towarzystwie mojego strażnika, to będzie musiał umrzeć.

- Wątpię, by syn zechciał mnie posłuchać - odparłam ze smutkiem. - Nienawidzi mnie, bo jestem przyczyną jego nieszczęścia.

- Bzdura - stwierdził Józef, z tą nadzwyczajną pewnością siebie, o którą nasi bracia byli tacy zazdrośni. - Nigdzie na świecie mężczyźni nie darzą swych matek takim szacunkiem jak tu w Egipcie.

- Ty nic nie wiesz - odparłam. - Re-mose nazywał matką własną babkę. Ja nie byłam niczym lepszym jak tylko jego mamką.

- Nie, Dino - spierał się Józef. - On za bardzo cierpi, aby to mogło być prawdą. Posłucha cię i będzie musiał odejść.

Spojrzałam na mojego brata i zobaczyłam w nim człowieka, którego nie znałam.

- Zrobię, jak każeś, panie - powiedziałam tonem posłusznej służki. - Ale nie proś mnie o nic więcej. Pozwól mi stąd odejść, bo dla mnie to miejsce jest grobem. Oglądanie ciebie jest niczym wkroczenie do przeszłości, gdzie spoczywa mój smutek. A teraz, z twojego powodu, tracę wszelką nadzieję na odzyskanie syna.

Józef przytaknął.

- Rozumiem, Achati, i będzie, jak chcesz, z wyjątkiem jednej sprawy. Kiedy moja żona znowu stanie na ceglach - bo wiesz, że już

mi się śnił drugi syn - będziesz musiała tu przybyć i jej pomóc. Nie będziesz musiała mnie wtedy oglądać, jeśli tak zechcesz, i dostaniesz sutą zapłatę. W rzeczy samej otrzymasz zapłatę w ziemi, jeśli taka będzie twoja wola, twoja i twojego cieśli.

Zachnęłam się na owo domniemanie, że jestem uboga, i odparłam:

- Mój mąż, Benia, jest mistrzem w Dolinie Królów.

- Benia? - spytał Józef i jego twarz skrzywiła się z żalem. - Tak w dzieciństwie nazywaliśmy Beniamina, ostatniego syna mojej matki, która zmarła, gdy dawała mu życie. Kiedyś nienawidziłem Beni za to, że ją zabił, ale teraz myślę, że dałbym połowę tego, co mam, byle tylko potrzymać go za rękę.

- A ja nie mam ochoty go oglądać - odrzekłam, zaskakując nas oboje zapalczywością w głosie. - Nie należę już do tamtego świata. Jeśli moje matki nie żyją, to ja jestem sierotą. Moi bracia nie są dla mnie niczym więcej jak bydłętami ze stad zapamiętanych z młodości. Ty i ja byliśmy sobie bliscy w dzieciństwie, kiedy znaliśmy się wzajem dostatecznie dobrze, aby dzielić się naszymi sercami. Ale to było w innym życiu.

W wielkiej komnacie zapanowała cisza, każde z nas pogrzyżyło się we własnych wspomnieniach.

- Pójdę do mojego syna - oznajmiłam w końcu. - A potem stąd odejdę.

- Odejdź w pokoju - pożegnał mnie Józef.

Re-mose leżał na łożu, twarzą w dół, w swojej wspaniałej komnacie. Nie poruszył się, nie odezwał, nie dał żadnego znaku, że mnie widzi. Przemawiałam więc do jego pleców.

Okna tej komnaty wychodziły na rzekę, połyskującą w świetle księżyca.

- Twój ojciec kochał tę rzekę - powiedziałam, walcząc z łzami. - A ty pokochasz morze. Już cię nigdy nie zobaczę, Re-mose, i nie będzie więcej okazji do wypowiedzenia tych słów. Posłuchaj swojej matki, która przychodzi się z tobą pożegnać. Nie proszę cię, abys wybaczał moim braciom. Nigdy o to nie prosiłam i nigdy nie poproszę. Proszę tylko, abys mi wybaczył to nieszczęście, do jakiego się przyczyniłam, będąc ich siostrą. Wybacz, że nigdy nie rozmawialiśmy o twoim ojcu. Tak zarządziła twoja babka, bo uznała, że dochowanie tajemnicy to jedyny sposób na odgrodzenie cię od bólu, który przeszywa cię dzisiaj. Wiedziała, że przeszłość zagrozi twojej przyszłości i że musimy cię osłaniać przed strasliwymi okolicznościami twych narodzin. Prawdziwa historia twoich rodziców jest wciąż znana tylko tobie, mnie i Safnat Paneachowi. Nie trzeba opowiadać jej nikomu innemu.

Ale teraz, odkąd ten sekret stał się naszym wspólnym, powiem ci coś innego. Re-mose, twój ojciec miał na imię Szalem i był piękny jak zachód słońca, od którego wziął swe imię. Wybraliśmy się wzajem z miłości. Imię, które nadałam tobie, kiedy trzymałam cię przy piersi, brzmiało Bar-Szalem, syn wschodu słońca, i twój ojciec zamieszkał wtedy w tobie. Twoja babka nazwała cię Re-mose, czyniąc cię w ten sposób dzieckiem Egiptu i boga słońca. W obu językach i obu krajach błogosławi cię wielka moc niebios. Masz w twarzy wypisaną przyszłość, a ja modłę się, abys spełnił się w latach, których odmówiono twemu ojcu. Obyś znalazł zadowolenie.

Będę o tobie pamiętała rankiem i wieczorem, każdego dnia, dopóki na zawsze nie zamknę oczu. Wybaczam ci każdą złą myśl na mój temat i przekleństwa, jakie mogłeś ciskać przeciwko memu imieniu. A kiedy wreszcie mi wybaczysz, zakazuję ci cierpieć z powodu poczucia winy. Proszę, abyś zapamiętał tylko moje błogosławieństwo dla ciebie, Bar-Szalem Re-mose.

Mój syn nie powstał z postania ani nie odezwał się słowem; wyszłam ze złamanym sercem, ale za to nareszcie wolna.

Rozdział piąty

Powrót do domu był dla mnie jak powtórne narodziny. Wtulałam twarz w pościel i gładziłam każdy mebel, każdą roślinę, w ogrodzie, zachwycona, że zastałam wszystko na swoim miejscu. Kiji, która akurat przybiegła, udało się zobaczyć, jak obejmuję dzban na wodę. Posłałam ją do Meryt, żeby powiadomiła ją o moim powrocie, a potem czym prędzej poszłam do warsztatu Beni.

Mój mąż zauważył, że idę, i wybiegł mi na spotkanie. Wydawało się, że nasza rozłąka trwała nie kilka dni, ale kilka lat.

- Jakże ty schudłaś, żono - zauważył szeptem, kiedy wziął mnie już w ramiona.

- Zachorowałam w mieście - wyjaśniłam. - Ale już odzyskałam zdrowie.

Nie mogliśmy oderwać wzroku od naszych twarzy.

- Coś jeszcze się zdarzyło - powiedział Benia, gładząc palcami moje czoło i odczytując przeżycia ostatnich dni w oczach. - Czy wróciłaś na zawsze, ukochana? - spytał i wtedy zrozumiałam przyczyną jego wynędzniałego wyglądu.

Zapewniłam go o tym gorącym objęciu, czym wywołałam donośne pohukiwania ze strony mężczyzn w warsztacie.

- Przyjdę najszybciej, jak się da - obiecał, całując mnie po rękach.

Przytaknęłam, zbyt szczęśliwa, by powiedzieć coś więcej.

Kiedy wróciłam do domu, zastałam Meryt czekającą na mnie tam z ciepłym chlebem i piwem. Zobaczywszy mnie, krzyknęła:

- Co oni z tobą zrobili, siostrze? Sama skóra i kości, a twoje oczy to tak wyglądają, jakby wylały rzekę łez.

Opowiedziałam mojej przyjaciółce o gorączce i o kłótni Re-mose z jego panem. Kiedy Meryt usłyszała, że został odesłany na północ, jej oczy wypełniły się współczuciem.

Kiedy już obie się posiliłyśmy, Meryt kazała mi się położyć do łóżka i wymasowała mi stopy. Ugniatała mi palce i pięty, przeganiając z ciała ból ostatnich tygodni. A kiedy wreszcie odzyskałam wewnętrzny spokój, poprosiłam ją, aby usiadła u mego boku; ujęłam ją za rękę, wciąż ciepłą i wilgotną od oliwy, i opowiedziałam jej do końca wszystko, co zdarzyło się ze mną w Tebach, nie pomijając nawet tego, jak to się stało, że Safnat Paneach, prawa ręka faraona, okazał się moim bratem Józefem.

Meryt wysłuchiwała wszystkiego spokojnie. Przyglądała mi się, kiedy opowiadałam jej historię moich matek, a także o Sychem i o morderstwie Szalema. Nie poruszyła się ani nie wydała żadnego odgłosu, za to jej oblicze odzwierciedlało kolejne drgnienia serca, zdradzając przerażenie, złość, zrozumienie, współczucie.

Gdy skończyłam, potrząsnęła głową.

- Już teraz rozumiem, dlaczego dotąd milczałaś - stwierdziła ze smutkiem. - Jaka szkoda, że nie mogłam ci pomóc w dźwiganie tego

brzemienia od samego początku. Ale twoja przeszłość jest bezpieczna również teraz, kiedy mi ją powierzyłaś. Wiem, że nie będziesz chciała ode mnie żadnych przysiąg, bo inaczej niczego byś przede mną nie wyjawiała. Droga moja - ciągnęła, przykładając dłoń do mojego policzka - czuję się taka zaszczycona, że stałam się naczyniem, do którego przelałaś ową historię bólu i siły. Przez wszystkie te lata żadna córka nie mogłaby uczynić mnie szczęśliwszą ani bardziej dumną niż ty. Teraz, kiedy już wiem, kim jesteś i jakiej ceny zażądało od ciebie życie, nie posiadamy się z dumy, że mogę zaliczać cię do osób mi najbliższych.

Po chwili krzepiącego milczenia Meryt zebrała swoje rzeczy i przygotowała się do odejścia.

- Pójdę już, aby dać ci czas na przygotowanie się do powrotu Beni - powiedziała, ujmując moje ręce. - Błogosławię cię w imię Izydy. Błogosławię w imię Hathor. Błogosławię za matki z twego domu.

Zanim jednak wyszła za próg, odzyskała swój niecny uśmiech i z przyjaznym grymasem powiedziała:

- Zajrzę jutro do ciebie. Ciekawe, czy do tego czasu uda ci się wstać z łoża choć na chwilę i ugotować coś dla mnie dla odmiany?

Benia przybiegł niebawem i oboje padliśmy na nie pościelone łóżko niczym para młodocianych kochanków, bez tchu i pośpiesznie. Potem, wciąż zaplątani w nasze ubrania, spaliśmy wygłodniałym snem zakochanej pary, która połączyła się na powrót po długiej rozłące. Obudziłam się jeden raz, w samym środku nocy, zadziwiona i uśmiechnięta, za nic nie chcąc zamykać oczu, bo tak się znów ucieszyłam, że oto jestem w domu.

Po powrocie już nigdy nie utraciłam upodobania do pospolitych przyjemności. Wstawałam przed Benią, aby przyglądać się jego

twarży i w duchu wygłaszać modlitwy dziękczynne. Kiedy wędrowałam do źródła albo pełam chwasty w ogrodzie, nie mogłam się oprzeć radości, że spędziłam cały dzień bez brzemienia przeszłości, które dotychczas miażdżyło mi serce. Ptasi trel doprowadzał mnie do łez i każdy wschód słońca zdawał się darem ukształtowanym specjalnie dla moich oczu.

Nie zdziwiłam się, gdy na naszym progu stanął posłaniec od wielkorządcy, bo spodziewałam się, że to kiedyś nastąpi, ale zastygłam w pół kroku ze strachu na myśl, że miałabym wyjechać choćby na jeden dzień, jednak ku mojej wielkiej uldze list wcale nie wzywał mnie do wielkiego domu na wschodnim brzegu rzeki. Sen Józefa się spełnił i urodził mu się drugi syn. Asenat nie zdążyła po mnie posłać, bo ten, którego nazwano Efraim, nadzwyczaj prędko uTORował sobie drogę na świat.

Mimo że nic dla niego nie zrobiłam, Safnat Paneach przysłał mi w darze trzy długości śnieżnobiałego lnu. Kiedy Benia spytał mnie, dlaczego ten dar jest taki hojny, wyznałam mu prawdę.

Wówczas po raz trzeci opowiadałam całą tę historię ze szczegółami; po raz pierwszy na użytek Werenro, drugim jej powiernikiem była Meryt. Tym razem jednak moje serce nie łomotało, a oczy nie zachodziły łzami. Teraz była to tylko historia z odległej przeszłości. Wysłuchawszy jej, Benia wziął mnie w objęcia, w tę tak dobrze mi znaną ochronną przestrzeń między mocarnym ramieniem a bijącym sercem.

Benia stanowił opokę mojego życia, a Meryt jego dobre źródło. Ale moja przyjaciółka była starsza ode mnie o całe pokolenie i w jej

przypadku wiek zbierał już swoje żniwo. Wypadły jej ostatnie zęby, za co, jak twierdziła, była wdzięczna.

- Koniec bólu - chichotała. - I koniec mięsa - dodawała, smutno wzruszając ramionami. Jednak jej synowa Szifra siekała i przecierała każdą potrawę, toteż moja przyjaciółka pozostała krzepka; uwielbiała pić piwo i opowiadać dowcipy tak jak zawsze. Razem ze mną odbierała liczne porody, ciesząc się uśmiechami noworodków i płacząc nad tymi, które urodziły się martwe. Nieraz zasiadałyśmy do wspólnego posiłku i zawsze odchodziłam od jej stołu roześmiana. Wiedziałyśmy, że jej dni są policzone, i przy każdym rozstaniu całowałyśmy się na pożegnanie. Nie było między nami żadnych nie-domowień.

Aż nadszedł taki poranek, kiedy na moim progu stanęła Kija, która powiedziała, że Meryt nie może wstać z łóżka.

- Jestem tutaj, moja najukochańsza siostrze - powitałam ją, kiedy wreszcie stanęłam u jej boku, ale moja stara przyjaciółka nie mogła mi odpowiedzieć. W ogóle nie mogła się poruszyć. Prawa strona jej twarzy zapadła się jakby i oddech przychodził z najwyższym trudem.

Dała znak, że czuje dotyk moich palców na jej lewej dłoni i zamrugnęła do mnie.

- Och, siostrze - powiedziałam, starając się nie płakać.

Drgnęła wtedy; widziałam teraz, że Meryt, choć bliska śmierci, stara się mnie pocieszyć. Ale to wcale nie tak miało być. Spojrzałam jej w oczy i zdobyłam się na uśmiech położnej. Znałam swoje zadanie.

Nie lękaj się, nadchodzi czas
Nie lękaj się, kości masz mocne
Nie lękaj się, pomoc jest tuż obok

Nie lękaj się, Amebis to tkliwy towarzysz
Nie lękaj się, ręce położnej są mądre
Nie lękaj się, pod sobą masz ziemię
Nie lękaj się, mała matko
Nie lękaj się, matko nas wszystkich

Meryt odprężyła się i zamknęła oczy, otoczona synami i córkami, wnukami i wnuczkami. Wydała jedno przeciągłe westchnienie, podobne do podmuchu wiatru wśród trzcin, i opuściła nas.

Przyłączyłam się do kobiet, które zaintonowały pieśń żałobną, zawodząc i lamentując tak głośno, że rozbudziły całą dzielnicę; wszyscy z miejsca wiedzieli, że oto odeszła ukochana przez wszystkich położna, matka i przyjaciółka. Dzieci wybuchwały łzami, słysząc ten dźwięk, mężczyźni ocierali oczy wilgotnymi dłońmi. Moje serce pękało, ale koił mnie jeden z ostatnich podarków Meryt - przy jej łożu śmierci stałam się członkiem jej zasmuconej rodziny.

W rzeczy samej traktowano mnie teraz jako najstarszą krewną i to mnie przypadł w udziale zaszczyt obmycia jej wyniszczonego wiekiem ciała. Owinęłam ją w najlepszy egipski len, jaki posiadałam. Ułożyłam jej członki w pozycji dziecka, które lada chwila ma przyjść na świat i tak przesiedziałam z nią całą noc.

O świcie przenieśliśmy ją do miejsca pochówku, do grotty na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na grobowce królów i królowych. Synowie pogrzebali ją razem z naszyjnikami i pierścieniami. Córki pogrzebały ją z wrzecionem, alabastrową misą i innymi przedmiotami, które kochała. Ale przybory położnej nie miały już jej się przydać w następnym życiu i dlatego zostały przekazane Szifrze,

która przyjęła narzędzia Meryt z taką czcią, jakby wykonano je ze złota.

Pogrzebaliśmy Meryt z towarzyszeniem pieśni i łez, a w drodze powrotnej do domu śmialiśmy się ku jej czci, wspominając, jak to uwielbiała niespodzianki, żarty, jedzenie i wszystkie inne przyjemności ciała. Miałam nadzieję, że nadal będzie się nimi cieszyła w następnym życiu, które w jej przekonaniu miało się okazać takie samo jak ten świat, tyle że wolne od śmierci i wieczne.

Tamtej nocy Meryt odwiedziła mnie we śnie; obudziłam się, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała. Następnej nocy przyśniła mi się Bilha; obudziłam się ze łzami na policzkach, łzami o posmaku tych korzennych przypraw, które moja ciotka dodawała do swych potraw. Następnej nocy powitała mnie we śnie Zilpa, razem pofrunęliśmy przez nocne niebo niczym para sokolic.

Kiedy słońce znowu zaszło, wiedziałam już, że spotkam się we śnie z Rachelą. Była tak piękna, jak ją zapamiętałam. Biegałyśmy po ciepłym deszczu, który obmył mnie tak starannie, że byłam czysta jak nowo narodzone dziecko i obudziłam się, pachnąc, jakbym się wykąpała w źródlanej wodzie.

Skwapliwie czekałam na sen o Lei, a jednak ona nie pojawiła się ani następnej nocy, ani kolejnej. Dopiero gdy zapanowała ciemność nowego księżyca, odwiedziła mnie ta, która była matką mojego ciała. I owo ciało wtedy właśnie po raz pierwszy nie oddało księżycowi tego, co mu należne. Odtąd nie byłam już zdolna do dawania życia i moja matka, która urodziła tyle dzieci, przyszła, aby mnie pocieszyć.

- Teraz ty jesteś stara - powiedziała łagodnie. - Jesteś babką, przez którą przemawia mądrość. Biję przed tobą pokłon - rzekła

moja matka Lea, dotykając czołem ziemi przede mną i prosząc o wybaczenie.

Podźwignęłam ją, a wtedy przeobraziła się w dziecko w powijakach. Tuląc ją w ramionach, sama błagałam o wybaczenie za to, że kiedykolwiek zważyłam w jej miłość, i czułam w moim przepelnionym sercu, że ona mi odpuszcza. Rankiem, po śnie z Leą, udałam się do grobu Meryt i złożyłam ofiarę z wina, dziękując jej za to, że przysłała do mnie moje matki.

Meryt odeszła i teraz to ja byłam mądrą kobietą, matką, babką, a nawet prababką tych, którzy mnie otaczali. Szifra, świeżo upieczona babka, oraz Kija, która lada chwila miała wyjść za mąż, pomagały mi za każdym razem, gdy szłam ustawiać cegły. Nauczyły się ode mnie tego, czego należało, i niebawem już samodzielnie szły wyzwalać kobiety ze strachu i samotności porodu. Moje uczennice stały się dla mnie siostrą i córką. To w nich właśnie odkryłam nową wodę w studni, o której myślałam, że już na zawsze pozostanie sucha po tym, jak umarła moja Meryt.

Mijały miesiące i lata. Moje dni były wypełnione pracą, noce upływały w spokoju. Ale spokój, nim złożą nas w grobie, nigdy nie trwa wiecznie i któreś nocy, po tym, jak Benia i ja położyliśmy się spać, na naszym progu stanął Józef.

Miałam wrażenie, że on mi się śni, bo tak dziwnie się jawił w długim, czarnym płaszczu upodabniającym go do cienia. Jednak ostra nuta w głosie mojego męża wybudziła mnie i cała ta scena znienacka zdała mi się mroczna i podszyta groźbą.

- Kto wchodzi do mojego domu bez pukania? - warknął Benia niczym pies wyczuwający zagrożenie, bo od razu się zorientował, że nie jest to jakiś zaniepokojony ojciec, który szuka połoźnej.

- To Józef - wyszeptalam.

Zapaliłam lampy i Benia zaferował memu bratu najlepsze krzesło. Józef uparł się jednak, że wejdzie za mną do kuchni; nalałam mu piwa, którego nawet nie tknął.

Cisza była jakby gęsta i sztywna. Benia zaciskał ręce w pięści, bo bał się, że zostanie mu zabrana; zwarł też szczęki, bo nie był pewien, jak ma się odzywać do można-władcy, który przycupnął na zydłu w jego kuchni. Józef rzucał w moją stronę ponagląjące spojrzenia, bo nie chciał nic mówić w obecności Beni. Popatrzyłam to na jedną, to na drugą twarz i wtedy dotarło do mnie, jak my się wszyscy postarzeliliśmy.

W końcu powiedziałam do Józefa:

- Benia jest teraz twoim bratem. Zdradź, co chciałeś mi przekazać.

- Chodzi o tatę - odparł, używając tego słowa z dziecięcej mowy, którego nie słyszałam od Kanaanu. - On umiera i musimy udać się do niego.

Benia parsknął z obrzydzeniem.

- Jak śmiesz? - zachnął się Józef, zrywając się z miejsca i kładąc dłoń na sztylcie przypasanym u boku.

- Jak ty śmiesz? - odparł Benia z równą pasją, podchodząc bliżej.
- Czemuż to moja żona miałaby płakać przy łożu ojca, który zamordował jej szczęście i własny honor? Ojca, który ciebie posłał pod długie noże ludzi znanych z braku litości?

- Znasz zatem całą historię - stwierdził Józef, nagle zrezygnowany. Usiadł z powrotem, ukrył głowę w dłoniach i jąknął. - Przysłano

mi wieści z północy Egiptu, gdzie moi bracia i ich synowie hodują stada. Juda twierdzi, że nasz ojciec nie przeżyje tej pory roku i że chce udzielić swego błogosławieństwa moim synom. Nie chcę tego - powiedział, patrząc na mnie tak, jakbym miała dla niego jakąś odpowiedź. - Uznałem, że ja swój obowiązek już tam wypełniłem. Myślałem, że nawet wybaczyłem mojemu ojcu, choć nie bez podawania ceny.

Kiedy przybyli do mego domu, umierając z głodu i szukając schronienia, obróciłem nóż w dłoniach. Oskarżyłem ich o kradzież i zmusiłem, żeby ukorzyli się przed moźnym Safnat Paneachem. Patrzyłem, jak Lewi i Symeon biją czołami o ziemię u moich stóp i cali się trzęsą. Kiedy już nasyciłem się tym widokiem, odesłałem ich do Jakuba, z żądaniem, aby przysłano do mnie Beniamina. Ukaralem naszego ojca za to, że wybierał swoich ulubieńców. Ukaralem też moich braci i sprawiłem, że zatrwożyli się o własne życie. A teraz ten starzec chce ułożyć dłonie na głowach moich chłopców, wybrać ich jako tych, którym przekaże swe błogosławieństwo. Nie synów Rubena czy Judy, którzy wspierali go przez te wszystkie lata, znosząc jego kaprysy i humory. Nawet nie synów Beniamina, najmłodszego z jego synów. Znam serce Jakuba. On pragnie się odciąć od zła przeszłości poprzez udzielenie błogosławieństwa moim synom. Ja jednak boję się o to, co im może przyjść z przywileju pierworództwa. Odziedziczą dręczące wspomnienia i dziwne sny. Znienawidzą w końcu moje imię.

Józef ciągnął dalej, a my z Benią słuchaliśmy go. Krzywdy przeszłości przywarły do niego, uwięzły w fałdach jego długiego, ciemnego płaszcza. Miotał się niczym tonące jagnię.

Kiedy tak opowiadał o latach tłustych i latach chudych, o samotności i bezsennych nocach, o tym, jak bardzo okrutnie obeszło się z nim życie, ja szukałam tego brata, którego zapamiętałam, towarzysza zabaw, który słuchał słów kobiet z szacunkiem i kiedyś patrzył na mnie jak na przyjaciółkę. Ale nie znalazłam nic z tego chłopca w pochłoniętym sobą mężczyźnie, który teraz siedział przede mną, którego nastrój i głos zdawał się zmieniać z chwili na chwilę.

- Jestem człowiekiem słabego charakteru - wyznał Józef. - Mój gniew nie zelżał i nie znajduję w sercu litości dla Jakuba, który oślepił tak jak przedtem jego ojciec. A jednak nie potrafię mu odmówić.

- Listy potrafią ginać - zauważyłam cichym głosem. - Posłańcom zdarza się zbaczać z drogi.

- Nie - odrzekł Józef. - Takie kłamstwo zabiłoby mnie kiedyś. Ojciec nigdy nie przestanie mnie nawiedzać, jeśli nie udam się do niego. Usłucham go więc i ty będziesz mi towarzyszyła - rzekł Józef, zniecierpliwionym głosem, jak przystało na człowieka nawykłego do rozkazywania innym.

Nawet nie starałam się ukryć obrzydzenia do jego tonu, a kiedy on dostrzegł moją pogardę, spuścił głowę ze wstydu. A potem przypadł czołem do glinianej posadzki domu cieśli i przeprosił nas oboje, mnie i Benie.

- Wybacz mi, siostrze. Wybacz mi, bracie. Nie chcę oglądać umierającego ojca. Nie chcę w ogóle go widzieć. A jednak nie potrafię być nieposłuszny. To prawda, że mógłbym cię zmusić, abyś udała się tam ze mną, i to nie z innego powodu, jak tylko po to, abyś trzymała mnie za rękę. Ale i tobie przysporzy to korzyści.

Powstał i na powrót przybrał maniery Safnat Paneacha.

- Będziecie moimi gośćmi - rzekł gładko. - Mistrz ciesielski będzie robił interesy w imieniu faraona. Ja wybieram się na północ, by zakupić drewno i potrzebne mi usługi artysty, który umie wybrać najlepszy budulec. Tak więc udasz się. na targowisko w Memphis i obejrzysz oliwę, dąb i sosnę, i wybierzesz jedynie te, które przystoją domostwu i grobowcowi króla. Przyniesiesz zaszczyt swej profesji i własnemu imieniu.

Jego słowa brzmiały kusząco, ale Benia patrzył tylko na mnie. Wtedy Józef przysunął twarz do mojej i powiedział łagodnie:

- Ahati, to twoja ostatnia szansa na obejrzenie owoców łon twych matek, ich wnuków i wnuczek. Bo nie są to tylko dzieci Jakuba, ale również Lei, Racheli, Zilpy i Bilhy. Jesteś jedyną ciotką, w której żyłach płynie krew ich matek, a zresztą nasze matki życzyłyby sobie, abyś obejrzała ich wnuczki. Ostatecznie jesteś ich jedyną córką, jedyną, którą kochały.

Mój brat potrafiłby umarłego zagadać na śmierć, toteż mówił do nas bez przerwy, aż do wschodu słońca, kiedy to Benia i ja ze szczętem opadliśmy z sił. Choć nie powiedzieliśmy „tak”, to jednak Safnat Paneachowi, królewskiemu wielkorządcy, nie można było powiedzieć „nie”, tak samo jak nie można było powiedzieć „nie” Józefowi, synowi Racheli, wnukowi Rebeki.

O świcie wyruszyliśmy razem z nim w drogę. Nad rzeką znaleźliśmy barkę urządzoną nadzwyczaj zbytkownie, bogato umeblowaną w siedziska i łoża, pełną malowanych talerzy i pucharów, słodkiego wina i świeżego chleba. Wszędzie też było moc kwiatów i owocu. Benia zdumiewał się tym bogactwem i żadne z nas nie potrafiło spojrzeć w twarz nagim niewolnikom, którzy usługiwali nam z tą

samą służalczością, jaką okazywali Safnatowi, jego dwóm synom oraz ich świecie.

Chłopcy byli już dostatecznie dorośli, aby móc zapuścić włosy; okazali się grzeczni i ciekawi gości swego ojca, ale też dostatecznie uprzejmi, aby nie zadawać pytań. Benia zachwycił ich małymi zwierzątkami, które rzeźbił z drewna i opatrywał imionami. Zauważył, że mu się ukradkiem przyglądam, i wyjaśnił ze smutnym uśmiechem, że przed laty robił to samo dla własnych synów.

Asenat nie płynęła razem z nami, a Józef nie wymówił ani słowa na temat swej połowicy. Mojemu bratu towarzyszyli za to młodzi strażnicy, wszyscy równie urodziwi jak on za młodu, i często zauważałam, że popatruje na swych przystojnych towarzyszy z żalem. On i ja rzadko kiedy rozmawialiśmy ze sobą podczas podróży na północ. Posiłki jadalіśmy oddzielnie i nikt nie podejrzewał, że żona cieśli miałaby coś do powiedzenia możnemu rządcy. A kiedy już wymienialiśmy jakieś słowa - witając się na dzień dobry albo wygłaszając komentarze na temat dzieci - to nigdy nie posługiwaliśmy się naszą ojczystą mową. Coś takiego mogłoby zwrócić uwagę na jego cudzoziemskie pochodzenie, które jątrzyło wielu z najbliższego otoczenia króla.

Józef przeważnie wybierał samotność na dziobie barki, gdzie zasiadał pod połyskliwym baldachimem, otulony w swój ciemny płaszcz. Gdybym była sama, mogłabym tak się odgrodzić jak on, samotnie przeżywając raz jeszcze podróż, która sprowadziła mnie do domu Nakht-re, gdzie zostałam matką i gdzie utraciłam własnego syna. Gdyby nie Benia, rozmyślałabym o zbliżającym się spotkaniu z braćmi, tym samym rozdrapując zadawnione rany serca.

Ale blisko mnie był zawsze Benia, bez reszty pochłonięty widokami podróży, która dla niego była niczym dar drugiego życia. Kazał mi patrzeć na żagle rozdęte na wietrze albo kiedy powietrze było nieruchome, na harmonię ruchów wiosel. Nic nie umykało jego uwagi; wskazywał linię horyzontu i drzewa, ptaki w locie, oraczy na polach, kwiaty na łąkach, kępy papirusu, które w zachodzącym słońcu wyglądały jak pola porośnięte miedzią. Kiedy napotkaliśmy stado wodnych koni, zachwycił się tak samo, jak chłopcy Józefa, którzy przywarli do jego boku i przyglądali się dzieciom Taweret, które pluskały się i pokrzykiwały wśród trzcin.

Trzeciego dnia podróży odłożyłam wrzeciono i usiadłam bezczynnie, przyglądając się wodzie chlupoczącej o brzegi, z umysłem tak spokojnym i milczącym jak jej powierzchnia. Wdychałam gliniastą woń rzeki i wsłuchiwałam się w odgłosy fal, które uderzały o kadłub barki, przywodząc na myśl szum nieustającego wiatru. Przebieierałam palcami w wodzie, przyglądając się, jak marszczą się i bieleją.

- Uśmiechasz się! - zauważył Benia, kiedy mnie tak znalazł.

- Kiedy byłam dzieckiem, powiedziano mi, że znajdę zadowolenie nad rzeką - powiedziałam mu. - Ale ta wróżba się nie sprawdziła. Woda koi me serce i myśli i prawdą jest, że nad wodą czuję się jak u siebie w domu, ale odnalazłam też radość wśród zwarzonych suszą wzgórz, gdzie do źródła daleko i gdzie wszystko okrywa gęsta warstwa kurzu.

Benia uściśnął mnie za rękę i oboje patrzyliśmy na mijający nas smaragdowozielony Egipt, gdy tymczasem słońce igrało na wodzie niezliczonymi świetlnymi punkcikami.

Rankami i o zmierzchu, kiedy barka przybijała na noc do brzegu, Manasses i Efraim wskakiwali do wody. Słudzy wypatrywali krokodyli i waży, ale mój mąż nie mógł się oprzeć zaproszeniom chłopców, by się do nich przyłączyć. Zdejmował przepaskę z bioder i wskakiwał z donośnym krzykiem, któremu wtórowały radosne popiskiwanie dzieci. Ja śmiałam się, widząc, jak mój mąż nurkuje pod powierzchnię i wynurza się ponad nią, niczym czapla, niczym mały chłopiec. Kiedy opowiedziałam Beni o śnie, w którym byłam rybą, uśmiechnął się szeroko i obiecał, że sprawi, aby ten sen się spełnił.

I tak któreś nocy, przy pełni księżyca, Benia przyłożył palec do ust i poprowadził mnie do skraju wody. Nic nie mówiąc, pokazał, że mam się ułożyć w jego ramionach, a potem trzymał mnie bez wysiłku, jakbym była tak lekka jak dziecko, a on tak silny jak dziesięciu mężczyzn. Uspokajał mnie pieszczotami, aż wreszcie odchyliłam głowę, rozprostowałam dłonie zaciśnięte dotąd w pięści i ułożyłam się jak na łożu. Gdy w końcu przestałam się opierać, mój mąż poluznił uścisk, tak że czułam teraz tylko opuszki jego palców na plecach, a podtrzymywała mnie sama rzeka, srebrzysta od blasku księżyca.

Z każdą nocą nabierałam coraz większej śmiałości. Nauczyłam się unosić na wodzie bez wsparcia dłoni mego męża, a potem leżeć na plecach, wpatrzona w ubywający księżyc. Benia pokazał mi, co trzeba robić, żeby utrzymać się na wodzie, a nawet pływać jak pies, kopiąc i ugniatając wodę. Śmiałam się i potykałam wodę. Nie figlowałam tak od czasu, gdy mój syn był maleńkim dzieckiem.

Pod koniec naszej wyprawy na północ potrafiłam chować głowę pod wodą, a nawet płynąć u boku Beni. Gdy później szeptaliśmy do

siebie na naszym posłaniu, opowiedziałam mu o tym, jak to po raz pierwszy w życiu widziałam kogoś, kto umiał pływać, z brzegu rzeki podczas naszego odejścia z Charanu.

- To byli Egipcjanie - powiedziałam, przypomniawszy sobie ich głosy. - Ciekawe, czy porównywali wody tamtej rzeki z tymi wodami, tak jak ja to dzisiaj robię.

Obróciliśmy się ku sobie i kochaliśmy się niemo jak ryby i spaliliśmy potem jak dzieci kołyszące się w łonie wielkiej rzeki, w źródle i spełnieniu.

W Tanisie pożegnaliśmy się z rzeką i zaczęliśmy ten etap podróży, który miał nas zawieść między wzgórz, gdzie mieszkali synowie Jakuba. W Egipcie rolników, a nawet garbarzy darzono znacznie większym szacunkiem niż pasterzy, których praca była uważana za najpodlejszą i najbardziej nużącą z wszystkich zawodów. Oficjalnym celem podróży Safnat Paneacha było dokonanie oceny stad i wybranie najlepszych zwierząt na królewski stół. W istocie rzeczy było to zadanie nie na jego pozycję, bo coś takiego wyznaczano na ogół jakiemuś skrybie średniej rangi. Niemniej jednak mój brat miał dzięki temu wymówkę, aby móc odwiedzić krewnych, których nie widział od dziesięciu lat, odkąd udzielił im schronienia, gdy uciekali przed głodem w Kanaanie.

Podróżowanie z karawaną Safnat Paneacha w niczym nie przypominało podróży, jakie odbyłam w dzieciństwie. Mój brat był noszony w lektyce przez tragarzy, a synowie podążali jego śladem na grzbietach osłów. Benie i mnie, którzy szliśmy pieszo, otaczali słudzy oferujący chłodne piwo albo owoce, gdy tylko podnieśliśmy

rękę albo przesłoniłiśmy oczy. Nocami odpoczywaliśmy na grubych posłaniach pod śnieżnobiałymi namiotami.

Nie tylko ten zbytek stanowił o różnicy. Ta wyprawa była bardzo spokojna, niemalże wygłuszona. Józef siadywał samotnie, ze ściągniętymi brwiami, z kłykciami zbieleatymi od zaciskania dłoni na poręczach krzesła. Ja też byłam niespokojna, ale nie miałam możliwości porozmawiania z Benią tak, aby nas nikt nie mógł podsłuchać.

Beztroscy byli tylko synowie Józefa. Manasses i Efraim naśladowali swoje osły i opowiadali sobie różne historie. Bawili się piłką, śmiali się i narzekali, że ich siedzenia zrobiły się czarno-niebieskie od jazdy na osłach. Gdyby nie oni, być może zapomniałabym, co to uśmiech.

Po czterech dniach dotarliśmy do obozu, w którym mieszkali synowie Jakuba. Byłam wstrząśnięta jego rozmiarami. Wyobrażałam sobie takie samo zgromadzenie jak tamto w Sychem, z kilkunastoma namiotami i połową tej liczby ognisk do gotowania. Tymczasem tu była cała wioska; dziesiątki kobiet z nakrytymi głowami biegały tam i z powrotem, targając dzbany z wodą i naręcza drewna do ognisk. Płacz małych dzieci wybijał się ponad pomruk mojej ojczystej mowy, wymawianej krzykliwie albo zawodząco, z towarzyszeniem akcentów zarówno znajomych, jak i obco brzmiących. Ale to przede wszystkim zapachy doprowadziły mnie do łez: cebula smażona na oliwie, duszny odór stad przemieszany z aromatem pieczonego chleba. Gdyby nie oparcie Beni, byłabym zapewne zemdląca.

Naprzeciw rządcy, ich krewniakowi, wyszła delegacja złożona z przywódców plemienia. Józef stawiał im czoło z synami u boku, otoczony swymi przystojnymi strażnikami. Za nimi stali słudzy, tragarze i niewolnice, na uboczu cieśla i jego żona. Twarz Józefa była

niemalże biała z niepokoju, ale pokazywał zęby w szerokim, fałszywym uśmiechu.

Synowie Jakuba stanęli przed nami, ale nie rozpoznałam żadnego wśród tych starców. Najstarszy, z twarzą porytą głębokimi zmarszczkami i skrytą wśród brudnosiwych włosów, przemówił powoli, niezdarnie, w języku Egiptu. Przywitał się formalnie z Safe-nat Paneachem, ich protektorem i zbawcą, tym, który sprowadził ich do tego kraju w pokoju i zaspokoił ich głód.

Dopiero gdy zaczął mówić językiem swego urodzenia, rozpoznałam mówcę.

- W imieniu naszego ojca, Jakuba, witam cię bracie wśród naszych skromnych namiotów - powiedział Juda, który w młodości był taki urodziwy. - Tato zbliża się do swego kresu - powiedział. - Nie zawsze panuje nad swym umysłem i miota się na postaniu, przywołując Rachelę i Leę. Budzi się ze snu i przeklina któregoś z synów, ale już godzinę później błogosławi tego samego wielkimi pochwałami i obietnicami. Ale czeka na ciebie, Józefie. Na ciebie i twoich synów.

Kiedy Juda mówił to wszystko, ja rozpoznawałam niektórych ze stojących za jego plecami mężczyzn. Był tam Dan, z czarnymi, podobnymi do mchu włosami jego matki, z wciąż jeszcze gładką skórą i oczyma spokojnymi jak u Bilhy. Nie było już trudno rozróżnić Neftalego od Issa-chara, bo Tali wciąż nosił się prosto, a Issa się garbił. Zabulon wciąż był podobny do Judy, choć życie znacznie mniej go wyniszczyło. Kilku młodszych mężczyzn, moich bratan-ków, jak się domyślałam, przypominało Jakuba takim, jaki był w młodości. Nie potrafiłam jednak odgadnąć, czyimi są synami, ani też który spośród nich to Benjamin.

Józef wysłuchał Judy, ani razu nie patrząc bratu w oczy. Nawet kiedy tamten skończył mówić, Józef ani nie odpowiedział, ani nie podniósł głowy.

W końcu Juda odezwał się raz jeszcze:

- To zapewne są twoi chłopcy. Jakie nadałeś im imiona?

- Manasses jest starszy, a to jest Efraim - odparł Józef, kolejno kładąc dłonie na ich głowach.

Usłyszawszy swe imiona, obaj chłopcy popatrzyli na ojca, z twarzami rozjaśnionymi ciekawością wobec tego, co zostało powiedziane w tym dziwnie brzmiącym języku, którego nigdy wcześniej nie słyszeli z ust ojca.

- Ledwie rozumieją, dlaczego tu jesteśmy - dodał Józef. - Zresztą ja sam tego nie wiem.

Na twarzy Judy błysnął gniew, ale prędko ustąpił miejsca przygnębieniu.

- Nie da się odwrócić zła przeszłości - powiedział. - A jednak dobrze, że dzięki tobie starzec będzie mógł umrzeć w spokoju. Żył w udęce od chwili, kiedy okrzyknęliśmy cię martwym, i nigdy już nie ozdrowiał, nawet gdy się dowiedział, że jednak żyjesz. Chodź. Chodźmy sprawdzić, czy ojciec jest przytomny. A może najpierw zjesz coś i się napijesz?

- Nie - odrzekł Józef. - Lepiej to zrobmy od razu.

Ujmując swych synów za ręce, Józef udał się za Judą do namiotu, w którym umierał Jakub. Ja stałam wśród członków służby i świty Safnat Paneacha, patrząc, jak tamci znikają w głębi pylistej wioski.

Stałam jak wmurowana w ziemię, cała się trzęsąc, wściekła, że żaden z nich mnie nie rozpoznał. Ale czułam też ulgę. Benia doprowadził mnie delikatnie do miejsca, gdzie słudzy rozbijali namioty na noc, i tam czekaliśmy.

Ledwie miałam czas na ocenę swoich uczuć, kiedy ponownie pojawił się Józef, razem z Manassesem i Efraimem, którzy nie odrywali oczu od ziemi, wyraźnie zdjęci strachem. Mój brat przeszedł obok mnie i bez słowa zniknął w swoim namiocie.

Tamtego wieczoru Benia nie dał rady namówić mnie, abym coś zjadła, i choć ułożyłam się obok niego, to jednak nie zamknęłam oczu. Wpatrywałam się w mrok i pozwalałam, by obmywała mnie przeszłość.

Przypomniałam sobie dobroć Rubena i urodę Judy. Przypomniałam sobie głos Dana w pieśni i to, że gdy Gad i Aser naśladowali naszego dziadka, aż się tarzałam po ziemi ze śmiechu. Przypomniałam sobie, jak Issa i Tali płakali, kiedy dokuczali im Lewi i Symeon, twierdząc, że własna matka ich nie odróżnia. Przypomniałam sobie, jak Juda tak mnie kiedyś łaskotał, że aż się posusiałam. Przypomniałam sobie, jak Ruben nosił mnie na swoich barkach, a mnie się wtedy wydawało, że mogę dotykać chmur.

W końcu nie byłam w stanie dłużej tak leżeć, więc wyszłam w mrok, gdzie czekał na mnie Józef, spacerujący obok mojego namiotu. Oddaliliśmy się od obozu powolnymi krokami, bo nie było księżycy i wszystko spowijały ciemności. Kawalek dalej Józef przypadł do ziemi i powiedział mi, co tam zaszło.

- Z początku mnie nie rozpoznał - powiedział mój brat. - Łkał jak zmęczone dziecko, pokrzykując: „Józef! Gdzie jest Józef?” „Tu jestem”, odparłem na to. A jednak on wciąż pytał: „Gdzie mój syn Józef? Dlaczego nie przychodzi?” Przyłożyłem więc usta do jego ucha i powiedziałem: „Józef jest tutaj, razem ze swoimi synami, tak

jak prosileś”. Po wielu takich wymianach zdań zrozumiał nagle wszystko i zaczął obmacywać moją twarz, ręce, szaty. Łkając, powtarzał moje imię, bez końca i błagał o wybaczenie moje i mojej matki. Przeklął pamięć Lewiego, Symeona i nawet Rubena. A potem płakał, ponieważ nie wybaczył swemu pierworodnemu. Wymieniał kolejno wszystkich moich braci, błogosławiąc ich i przeklinając, przemieniając ich w zwierzęta, wzdychając z powodu ich chłopięcych psot, wzywając ich matki, aby podcierały im siedzenia.

Jakież to straszne tak się zestarzeć - stwierdził Józef, z litością i jednocześnie wstrętem w głosie. - Modłę się o to, aby umrzeć, zanim nastanie taki dzień, kiedy nie będę wiedział, czy moi synowie są jeszcze dziećmi czy już mają wnuczeta.

Wydawało się, że Jakub zasnął, ale po chwili znowu zawołał: „Gdzie jest Józef?”, jakby dopiero co mnie nie całował. „Tu jestem”, odparłem. „Pozwól, że pobłogosławię chłopców”, rzekł Jakub. „Pozwól, że ich teraz zobaczę”. Synowie trzęśli się u mego boku. W namiocie cuchnęło chorobą Jakuba, a jego pokrzykiwania ich przerażały, ale wyjaśniłem im, że dziadek chce ich pobłogosławić, a potem popchnąłem ich ku niemu, po jednym do każdego boku. Jakub położył prawą dłoń na głowie Efraima, lewą na głowie Manasesa. Pobłogosławił ich w imieniu Abrama i Izaaka, a potem usiadł prosto i ryknął: „Zapamiętajcie mnie!” Obaj skulili się i ukryli za moimi plecami. Podałem Jakubowi imiona jego wnuków, ale on mnie nie słuchał. Wpatrywał się niewidzącymi oczyma w sklepienie namiotu i mówił o Racheli, przepraszając, że porzucił jej kości na poboczu drogi. Opłakiwał swoją ukochaną i błagał, by pozwoliła mu zemrzeć w spokoju. Nie zauważył, kiedy ja i moi synowie wyszliśmy.

Kiedy Józef mówił to wszystko, ja czułam stary ciężar powracający do mego serca i rozpoznałam tamto brzemie, które dźwigałam podczas lat przeżytych w domu Nakht-re. Nie był to więc ciężar smutku, ale gniew, który zrodził się we mnie i odnalazł utracony głos.

- A co ze mną? - spytałam. - Czy wspominał o mnie? Czy ukorzył się za to, co mi zrobił? Czy mówił o mordzie dokonanym w Sychem? Czy opłakiwał niewinną krew Szalema i Chamora? Czy ukorzył się za rzeź dokonaną w jego imieniu?

Od miejsca na ziemi, gdzie leżał Józef, wionęło ciszą.

- Nic o tobie nie mówił. W domu Jakuba nie pamiętają Diny.

Jego słowa powinny mnie były przygnębić, ale tak się nie stało. Zostałam Józefa i samotnie wróciłam do obozu. Poczułam nagle, jak bardzo jestem wyczerpana, i każdy krok kosztował mnie moc wysiłku, ale oczy miałam suche.

Po przybyciu Józefa Jakub przestał jeść i pić. Jego śmierć mogła nastąpić w ciągu najbliższych godzin, w najlepszym razie za kilka dni. Tak więc czekaliśmy.

Dla zabicia czasu siadywałam przed wejściem do mojego namiotu i przędłam len, jednocześnie przyglądając się potomstwu Lei, Racheli, Zilpy i Bilhy. Widziałam uśmiechy i gesty moich matek, słyszałam ich śmiech. Niektóre związki były tak oczywiste jak światło dnia. W córce Dana dostrzegłam wierną kopię Bilhy; inna mała dziewczynka miała włosy Racheli. U wszystkich można było się dopatrzeć wydatnego nosa Lei.

Drugiego dnia czuwania przy umierającym Jakubie podeszła do mnie dziewczyna z koszem pełnym świeżego chleba. W mowie Egiptu

przedstawiła się jako Gera, córka Beniamina i jego egipskiej żony, Neset. Gera chciała się koniecznie dowiedzieć, jak to możliwe, że kobieta o mojej pozycji może sobie tak siedzieć i prząść, podczas gdy inni ze służby Safnat Paneacha gotują, biegają z posyłkami i sprzątają od rana do wieczora.

- Powiedziałam moim siostram, że jesteś zapewne opiekunką synów rządcy, mojego stryja - wyznała. – Czy mam rację? Dobrze zgadłam?

Uśmiechnęłam się i odparłam:

- Dobrze zgadłaś - i poprosiłam ją, żeby usiadła i opowiedziała mi o swoich siostrach i braciach.

Gera przyjęła moje zaproszenie z uśmiechem samozadowolenia i zaczęła opowiadać o wszystkich osnowach i wątkach swej rodziny.

- Moje siostry to jeszcze dzieci - zaczęła ta dziewczyna, której brakowało jeszcze kilku lat do osiągnięcia kobiecości. - Mamy bliźniaczki, Meuzę i Naamę, jeszcze zbyt małe, aby mogły zostać prządkami. Mój ojciec, Beniamin, dorobił się w Kanaanie również innych dzieci, z innej żony, która zmarła. Imiona moich braci to Bela, Beker, Echi i Ard i są to dość zacni mężowie, choć wcale nie znam ich lepiej niż synów moich stryjów, którzy są tak liczni jak nasze stada i podobnie hałaśliwi - stwierdziła i mrugnęła do mnie, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami.

- Wielu masz tych stryjów? - spytałam.

- Jedenastu - odparła Gera. - Ale trzech najstarsi już nie żyją.

- Ach tak - przytaknęłam, żegnając się w sercu z Rubenem.

Moja bratanica usadowiła się obok mnie, wyciągnęła spod fartucha swoje wrzeciono i zabrała się do pracy, jednocześnie rozplątując

pokrętne wątki naszej rodzinnej historii.

- Najstarszy był Ruben, syn Lei, pierwszej żony mojego dziadka. Skandal, jaki się z nim przydarzył, polegał na tym, że Rubena nakryto razem z Bilhą, najmłodszą z żon Jakuba. Jakub nigdy nie wybaczył swemu pierworodnemu, nawet po śmierci Bilhy, mimo że Ruben dał mu wnuków i przysporzył większego bogactwa niż pozostali bracia razem wzięci. Powiadają, że mój stryj na łożu śmierci z płaczem błagał Jakuba o wybaczenie, a jednak jego ojciec nie przyszedł do niego. Symeon i Lewi, również urodzeni przez Leę, zostali zamordowani w Tanisie, kiedy byłam dzieckiem. Nikt nie zna całej historii, ale wśród kobiet krążą pogłoski, jakoby obaj próbowali wymusić na jakimś kupcu większą zapłatę, niżli im się należało, ale niestety dla nich, obrali jako ofiarę najbardziej bezlitosnego rzeźmieszka w całym Egipcie i ów zabił ich za tę chciwość.

Gera podniosła wzrok i zauważyła Judę idącego w stronę namiotu Jakuba.

- Stryj Juda, syn Lei, przez wiele lat był przywódcą rodu. Jest sprawiedliwym mężem i potrafi dźwigać brzemię rodziny, aczkolwiek niektórzy z moich kuzynów uważają, że na starość zrobił się zanadto ostrożny.

Gera mówiła dalej, wykładając mi historię moich braci i ich żon, wyliczając ich dzieci, recytując imiona bratanków i bratanic, krew z mojej krwi, z którymi nie miałam nigdy zamienić ani słowa.

Ruben miał trzech synów z żoną, której imię brzmiało Silla. Jego druga żona, Atar, urodziła mu dwie dziewczynki, Binę i Efrat.

Symeon miał pięciu synów z obmierzłą Jalutu, którą Gera zapamiętała jako straszną sekutnicę o cuchnącym oddechu. Miał jeszcze

jednego syna z Sychemitką, ale ten wszedł do zalanego wodą wadi i utonął.

- Moja matka twierdzi, że on się zabił - dodała szeptem Gera. - A tamten mężczyzna to Merari - ciągnęła. - Jego niezwykłość polega na tym, że jest dobrym człowiekiem, mimo że spłodzili go Lewi i Inbu. Jego bracia są takimi samymi nikczemnikami, jakim był jego ojciec.

Do Gery przycłapał mężczyzna z obwisłą szczęką; dziewczyna dała mu kawałek chleba i odesłała.

- To był Szela - wyjaśniła. - Syn Judy zrodzony z Szuy. Jest przemyły, choć słaby na umyśle. Mój stryj miał jeszcze drugą żonę, Tamar, która dała mu Peresa, Zeracha oraz moją najlepszą przyjaciółkę Dafne. Jest prawdziwą pięknoscią w tym pokoleniu mojej rodziny. A tam jest Hesia - powiedziała, wskazując kobietę niemal dorównującą mi wiekiem - żona Issachara, syna Lei. Hesia jest matką trzech synów oraz Toli, która wybrała życie położnej. O ile Dafna jest spadkobierczynią urody Racheli, o tyle Tola ma po niej złote ręce.

- Kim jest Rachela? - spytałam z nadzieją, że dowiem się czegoś więcej o mojej ciotce.

- To matka twojego pana - odparła, zdziwiona moją niewiedzą. - Ale przypuszczam, że nie istnieje powód, dla którego miałabyś znać jej imię. Rachela była drugą żoną Jakuba, jego ukochaną, piękną żoną. Umarła, kiedy rodziła Beniamina, mojego ojca.

Przytaknęłam i poklepałam ją po ręce, zauważając, że ma palce Racheli.

- Mów dalej, moja miła - poprosiłam. - Opowiadaj. Podoba mi się brzmienie imion członków twojej rodziny.

- Dan był jedynym synem Bilhy - podjęła opowieść Gera. - Ta była trzecią żoną Jakuba, służebnicą Racheli i tą właśnie, która legła

z Rubenem. Dan miał trzy córki z Timną, Ednę, Tirsę i Beryt. Wszystkie to serdeczne kobiety; to one właśnie doglądają Jakuba. Czwartą żoną była Zilpa, służebnica Lei; urodziła bliźnięta. Pierwszy był Gad, który kochał swoją żonę Serach Imnach wielką miłością. Ale ona umarła przy narodzinach czwartego dziecka, swej pierwszej córki Serach, która ma talent do śpiewu - powiedziała. - Aser, brat bliźniak Gada, ożenił się z Oret - kontynuowała. - Ich najstarszym dzieckiem była Areli, która w zeszłym tygodniu powiła córkę, najmłodszą duszyczkę w rodzinie; nadano jej imię Nina. Nefkali zrodzony z Lei jest ojcem sześciorga dzieci z Jedidą, której córki to Eliszewa i Wanija. No i oczywiście synów Józefa znasz lepiej niż kto inny - powiedziała Gera. - Nie ma żadnych córek, prawda?

- Jeszcze nie - odrzekłam.

Gera dostrzegła jakieś dwie młode kobiety i pokazawszy je mnie, znacząco pokiwała głową.

- Te dwie to córki Zabulona, syna Lei. Ich matka, Achawa, wydała na świat sześć dziewczynek, które razem tworzą własne, małe plemię. Zawsze bardzo się cieszę, kiedy dopuszczają mnie do swego kręgu. To bardzo wesołe stado. Lijora, Machalat, Gija, Jara, Nodija i Jael - wylczyła ich imiona, zginając kolejno palce. - Są najlepszymi plotkarkami. To one właśnie opowiedziały mi historię o synu kobiety z Sychem, który się zabił. Postradał rozum - dodała, zniżając głos - kiedy poznał straszliwe okoliczności towarzyszące jego narodzinom.

- A co mogło spowodować taką rozpacz? - spytałam.

- To paskudna historia - odparła bojaźliwie, pochylając się, aby zwiększyć moje zainteresowanie.

- Takie często bywają najlepsze - odparłam.

- Proszę bardzo - powiedziała Gera, zabierając się do przędzy i patrząc mi prosto w oczy. - Otóż wedle słów cioci Achawy, Lea miała jedną córkę. Musiała być wielką pięknoscią, bo została poślubiona przez możnowładcę z Sychem, księcia, mówiąc dokładnie. Syna samego króla Chamora! Król dał Jakubowi sówitą zapłatę za oblubienicę i to własnoręcznie, ale Symeonowi i Lewiemu to nie wystarczyło. Stwierdzili, że ich siostra została uprowadzona i zgwałcona i że skalano honor rodziny. Narobili takiej wrzawy, że król, robiąc ukłon wobec wielkiej namiętności swego syna do córki Lei, podwoił opłatę. Moich stryjów nadal to nie zadowalało. Twierdzili, że to spisek Sychemitów, którzy chcą zagarnąć Jakubowe miemie i dać je Chamorowi. I tak więc Lewi i Symeon próbowali unieważnić małżeństwo, żądając, aby Sychemici się obrzezali i zostali Jakobitami.

I teraz następuje ta część historii, o której myślę, że nie jest niczym innym jak bajką, którą opowiadają sobie dziewczęta. Księżę zgodził się pójść pod nóż! On, jego ojciec i wszyscy mężczyźni w mieście! Moje kuzynki twierdzą, że to niemożliwe, bo mężczyźni nie są zdolni do aż tak wielkiej miłości. Tak czy owak, w opowieści księżę przystał na to żądanie. Dał się obrzezać i razem z nim wszyscy mężczyźni z Sychem. - Gera zniżyła głos, przybierając posępny ton stosowny dla smutnego zakończenia. - Dwie noce po obrzezaniu, kiedy wszyscy mężczyźni jęczeli z bólu, Lewi i Symeon zakradli się potajemnie do miasta i zamordowali księcia, króla i wszystkich mężczyzn, jakich znaleźli za bramami. Zabrali całą trzodę i wszystkie kobiety zamieszkujące miasto, co tłumaczy, skąd u Symeona wzięta się żona z Sychem. Ich syn utopił się, kiedy dowiedział się o nikczemnym postępku ojca.

Kiedy opowiadała to wszystko, ja nie odrywałam oczu od wrzeciona.

- A co się stało z tą siostrą? - spytałam. - Z tą, którą pokochał książę?

- To jest do dziś zagadką - odparła Gera. - Myśla, że umarła ze smutku. Serach wymyśliła nawet pieśń, w której została zabrana przez Królową Niebios i przemieniona w spadającą gwiazdę.

- Czy ktoś pamięta jej imię? - spytałam cicho.

- Dina - odparła. - Podoba mi się jego brzmienie. Któregoś dnia, jeśli urodzę córkę, też nazwę ją Dina.

Gera nie powiedziała już nic więcej o córce Lei i dalej trajkotała o waśniach i miłościach wśród kuzynek i kuzynów. Gadała tak aż do późnego popołudnia, zanim przyszło jej na myśl, aby wypytać o moją historię, a wtedy mogłam już się wymówić, bo nadeszła pora wieczornego posiłku.

Jakub umarł tamtej nocy. Słyszałam szloch jakiejś kobiety i zastanawiałam się, któraż z jego synowych mogłaby opłakiwać tego starca. Benia tulił mnie w ramionach, ale ja nie czułam ani smutku, ani gniewu.

Dzięki Gerze odzyskałam spokój. Opowieść o Dinie była zbyt straszna, by dało się ją zapomnieć. Dopóki żyła pamięć o Jakubie, dopóty moje imię miało żyć we wspomnieniach. Przeszłość zrobiła ze mną, co mogła najgorszego, i nie musiałam się obawiać o przyszłość. Dom Jakuba opuściłam w znacznie lepszym nastroju niż Józef.

Rankiem Juda poczynił przygotowania do pogrzebu Jakuba, który miał zostać pochowany obok swoich ojców w Kanaanie. Józef przyglądał się, jak kładli jego kości do złoconej lektyki, którą oddał na pogrzebową podróż.

Zanim Juda udał się złożyć ojca do grobu, objął się z Józefem po raz ostatni. Odwróciłam się, żeby na to nie patrzeć, ale zanim dotarłam do swojego namiotu, poczułam czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciwszy się, ujrzałam, że stoję przed Judą, na którego twarzy malowała się mieszanina niepewności i wstydu. Wyciągnął w moją stronę rękę zwiniętą w pięść.

- To należało do naszej matki - zagał, z wielkim trudem dobierając słowa. - Tuż przed śmiercią wezwała mnie do siebie i kazała przekazać to swojej córce. Myślałam, że postradała rozum - rzekł Juda. - Ale ona po prostu przewidziała nasze spotkanie. Nasza matka nigdy o tobie nie zapomniła i choć Jakub tego zakazywał, mówiła o tobie codziennie, dopóki nie umarła. Weź to od naszej matki Lei. I obyś zaznał spokoju - powiedział, wciskając mi coś do ręki, zanim odszedł, z nisko zwieszoną głową.

Spuściłam wzrok i zobaczyłam pierścień z lapisem, który należał do Racheli, pierwszy podarunek, jaki ofiarował jej Jakub. Z początku chciałam zawołać Judę z powrotem, spytać go, czemu moja matka przysłała mi dowód miłości Jakuba do jej siostry. Ale oczywiście nie wiedziałby tego.

Dobrze było znowu zobaczyć rzekę. Po skwarze panującym wśród wzgórz objęcie Nilu było słodkie i chłodne. Nocą zaś, w ramionach Beni, opowiedziałam mu o tym, co usłyszałam od Gery, i pokazałam pierścień.

Głowiłam się nad jego znaczeniem i modliłam się o sen, który wyjaśniłby mi tę zagadkę, ale to Benia dostarczył mi odpowiedzi. Trzymając moją dłoń do światła i przyglądając mu się oczyma nawykłymi do oglądania piękna, powiedział:

- Może twoja matka chciała, abyś uznała to za znak, że wybaczyła swojej siostrze. Może to był znak, że zmarła z nie podzielonym sercem i tobie życzyła tego samego.

Słowa mojego męża trafiły mi do przekonania; przypomniałam sobie coś, co powiedziała mi Zilpa, kiedy jako dziewczynka przebywałam w czerwonym namiocie i byłam zbyt mała, aby zrozumieć, co miała na myśli. „Wszystkie rodzimy się z tej samej matki”, powiedziała. Miałam za sobą całe życie i rozumiałam teraz, że to prawda.

Podróż powrotna mnie wyczerpała, mimo że upłynęła bez zdarzeń i na próżnowaniu. Bardzo chciałam już wrócić do własnego domu, zobaczyć Szifrę i dziecko Kiji, które urodziło się podczas mojej nieobecności.

Podczas trzydniowego postoju w Memfis byłam straszliwie niespokojna, ale ze względu na Benie swoje zniecierpliwienie zachowałam dla siebie. Mój mąż wracał każdego wieczora z targowiska, urzeczony pięknem, na jakie się napatrzył. Zachwycał się drzewem oliwnym, najczystsza czernią hebanu, aromatycznymi cedrami. Znosił sosnowe szczapy i uczył synów Józefa rzeźbienia. Kupił mi podarek, dzban w kształcie uśmiechniętej Taweret, który sprawiał, że robiło mi się wesoło za każdym razem, kiedy na nią spojrzałam.

Kiedy wypływaliśmy z Memfis, aby pokonać końcowy etap podróży do Teb, barka wielkorządcy wlokła za sobą drugą barkę wyładowaną najlepszym drewnem. Józef i ja pożegnaliśmy się w mroku ostatniej nocy. Mój brat twierdził beztroskim tonem, że nie ma potrzeby się smucić z powodu naszego rozstania.

- To tylko pożegnanie. Jeśli Asenat znowu będzie rodzic, wezwiemy cię.

Ja jednak wiedziałam, że już nigdy się nie spotkamy.

- Józefie - powiedziałam - to nie zależy od nas. Bądź zdrow - do-
dałam szeptem, dotykając jego policzka tą dłonią, na której nosiłam
pierścień matki. - Będę. o tobie myślała.

- Ja też będę o tobie myślał - obiecał cicho.

Rankiem Benia i ja skwapliwie zboczyliśmy w stronę zachodu.
Gdy już znaleźliśmy się w domu, wróciliśmy do dawnej codzienno-
ści. Nowo narodzony syn Kiji był spokojnego usposobienia i zwykł
gaworzyć szczęśliwie, kiedy jego matka podawała mi go nocami, a
sama szła odebrać poród. Ja rzadko towarzyszyłam jej po zapadnię-
ciu zmroku, bo starzałam się już.

Rankami bolały mnie nogi i czułam sztywność w rękach, ale
wciąż uważałam się za szczęśliwą, bo nie byłam ani słaba, ani ote-
piała na umyśle. Wciąż jeszcze starczało mi sił do zajmowania się
domem i opiekowania Benią. On sam pozostał silny i pewny, wzrok
wciąż miał dobry, jego miłość do rzemiosła i do mnie pozostała tak
silna jak zawsze.

Moje ostatnie lata mogę uważać za pomyślne. Kija urodziła jesz-
cze dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę; oboje całkiem zawładnęli
domem i sercem mojego męża. Codziennie obdarzali nas mnóstwem
słodkich pocałunków.

- Jesteście eliksirem młodości - mówiłam, kiedy łaskotałam ich i
razem z nimi się śmiałam. - To wy podtrzymujecie przy życiu te
stare kości. Dzięki wam żyję.

Nawet jednak poświęcanie się małym dzieciom nie mogło wiecz-
nie odpędzać śmierci i w końcu nadszedł mój czas. Nie cierpiałam
długo. Obudziłam się w środku nocy z uczuciem wielkiego ciężaru
przygniatającego mi pierś, ale po pierwszym oszołomieniu przesta-
łam odczuwać ból.

Benia trzymał moją twarz w swoich wielkich, ciepłych dłoniach. Przyszła też Kija, która tuliła moje stopy w swych długich palcach. Oboje płakali, ale ja już nie byłam w stanie wymówić żadnego słowa, którym mogłabym ich pocieszyć. A kiedy na moich oczach ulegli przemianie, nie potrafiłam już nawet znaleźć słów, aby opisać, co widzę.

Mój ukochany zamienił się w latarnię wielką jak słońce i jego światło ogrzało mnie na wylot. Kija lśniła łuną niczym księżyc i śpiewała młodzieńczym, uroczystym głosem Królowej Nocy.

Z ciemności, które otaczały te płonące światła mojego życia, zaczęły mi się jawić twarze moich matek, z których każda jarzyła się własnym ogniem. Lea, Rachel, Zilpa i Bilha. Inna, Re-nefer i Meryt. Nawet biedna Ruti i arogancka Rebeka stały w szeregu powitalnym. Adę i Saraj też rozpoznałam, choć nigdy nie było mi dane ich poznać. Silne, dzielne, zadziwione, dobre, utalentowane, złamane, lojalne, głupie, mądre, słabe: każda witała mnie na swój sposób.

- Ach! - krzyknęłam ze zdziwienia.

Benia przytulił mnie jeszcze mocniej i załkał. Myślał, że cierpię, ale ja nie czułam nic oprócz oszołomienia wiedzą, którą obdarowała mnie śmierć. Na chwilę przed tym, zanim przeszłam na drugą stronę, zrozumiałam, że kapłani i magicy Egiptu to głupcy i szarlatani obiecujący przedłużyć urodę życia poza granicami tego świata, który jest nam dany. Śmierć nie jest wrogiem, tylko podwaliną wdzięczności, współczucia i sztuki. Z wszystkich przyjemności życia tylko miłość nie jest nic winna śmierci.

- Dziękuję ci, ukochany - powiedziałam do Beni, ale on mnie nie słyszał.

- Dziękuję ci, córko - powiedziałam do Kiji, która przyłożyła ucho do mojej piersi i nic nie usłyszawszy, zaczęła szlochać.

Umarłam, ale nie zostawiłam ich. Benia usiadł obok mnie i ja zostałam w jego oku i sercu. Jeszcze przez wiele tygodni, miesięcy i lat moja twarz żyła w ogrodzie, moja woń unosiła się z pościeli. Tak długo, jak żyłam, tak towarzyszyłam mu za dnia i razem z nim kładłam się na spoczynek nocą.

Kiedy on sam po raz ostatni zamknął oczy, pomyślałam, że może nareszcie opuścić ten świat. A jednak nawet wtedy wciąż na nim trwałam. Szifra śpiewała pieśni, których ją nauczyłam, a Kija naśladowała moje ruchy. Józef myślał o mnie, kiedy urodziła mu się córka. Gera nazwała swoje dziecko Dina. Re-mose ożenił się i opowiedział swojej żonie o matce, która odesłała go, dzięki czemu nie umarł, tylko żył dalej. Dzieci Re-mose rodziły dzieci do setnego pokolenia. Niektóre z nich zamieszkały w kraju mojego urodzenia, inne w zimnych, owianych wiatrem miejscach, które Werenro opisała mi w świetle ogniska moich matek.

W nieśmiertelności nie ma żadnej magii.

W Egipcie pokochałam woń lotosu. Jego kwiaty rozkwitały w stawie o świcie, napełniając cały ogród błękitnawym zapachem tak potężnym, że nawet ryby i kaczki zdawały się przy nim omdlewać. Nocą kwiat wiądnął, ale jego aromat nie zanikał. Był coraz słabszy, ale nie zanikał do końca. Jeszcze wiele dni później lotos pozostawał w ogrodzie. Mijały miesiące i pszczoła rozwijała skrzydła obok miejsca, gdzie kiedyś kwitł lotos, i jego esencja znów się uwalniała, przelotna, ale bez wątpienia tam była.

W Egipcie kochają lotos, bo on nigdy nie umiera. Tak samo dzieje się z ludźmi, którzy są kochani. Dlatego właśnie coś tak niby mało znaczącego jak czyjeś imię - dwie sylaby, jedna zaznaczona akcentem, druga słodka jak melodia - może wywołać niezliczone uśmiechy i łzy, westchnienia i sny o ludzkim życiu.

Jeśli siedzicie nad brzegiem rzeki, widzicie tylko niewielką część jej powierzchni. A jednak ta woda przed waszymi oczyma to dowód na istnienie niepoznanych głębi. Moje serce jest przepełnione słowami podziękowań za dobroć, jaką okazałyście mi tym, że zechciałyście przysiąc na brzegu tej rzeki, że zechciałyście wsłuchać się w echa mojego imienia.

Błogosławię wasze oczy i wasze dzieci. Błogosławię ziemię, po której stąpacie. Gdziekolwiek pójdziecie, ja będę wam towarzyszyć.
Sela.

Podziękowania

Pragnę podziękować Barbarze Haber, kustoszowi działu „Historia Kobiet w Ameryce” Biblioteki Arthura i Elizabeth Schlesingerów Radcliffe College. To właśnie za jej sugestią wystąpiłam o członkostwo tej biblioteki, której pracownicy potraktowali mnie nadzwyczaj życzliwie i wspierali niniejszy projekt, dalece wykraczając poza swe statutowe obowiązki. Radcliffe College również użyczył mi wsparcia, przydzielając do pomocy w poszukiwaniu materiałów swoją znakomitą studentkę Rebeccę Wand.

Dziękuję także Departamentowi Studiów Kobięcych Uniwersytetu Brandeisa za przyznanie mi statusu stypendystki oraz Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie za wyrażenie zgody na wykonanie fotografii pomnika Pani Sennuwy. Również Ellen Grabiner, Amy Hoffman, Renee Loth i Marla Zarow, moje najbliższe współpracowniczki, wspierały mnie przez trzy lata, oferując pomoc redakcyjną, znakomite rady i wreszcie przyjaźń, która okazała się najlepszą zachętą. Również Eddy Myers i Valerie Monroe trzymali mnie za rękę (głównie za pośrednictwem e-maili), zanim przystąpiłam do pracy nad książką, podczas niej i również po jej ukończeniu.

Serdecznie też dziękuję Larry'emu Kushnerowi, dzięki któremu zapoznałam się z midraszami.

Za pomoc dziękuję także Iris Bass, profesorowi Markowi Brettlerowi, Jane Devitt Gnojek, Judith Himber, Karen Kushner, Gili Langer z czasopisma „Kerem”, Barbarze Penzner, Davidowi Rosenbaumowi, Janice Sorków z Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie oraz Diane Weinstein.

Mój brat, Harry Diamant, przedstawił mnie mojej agentce, Carolyn Jenks, która z kolei przedstawiła mnie Bobowi Wyattowi, nadzwyczaj skrupulatnemu redaktorowi i wspaniałej osobie.

Mój mąż, Jim, okazał się nieskończenie cierpliwy, a moja matka, Helenę Diamant, i córka, Emilia Diamant, cały czas dbały o to, abym nie upadła na duchu. Mój ojciec (którego wspomnienie jest dla mnie błogosławieństwem) zawsze wierzył, że któregoś dnia napiszę powieść.